



# DIABOLIKA

Jej rola: maszyna do zabijania.  
Jej słaby punkt: iskra człowieczeństwa.

S.J. KINCAID

moondrive

S.J. KINCAID

# DIABOLIKA

TŁUMACZENIE ANNA GRALAK

moondrive

*JAMIEMU*  
(*alias Poosen*)

*i*

*JESSICE*  
(*alias Prawdziwa Yaolan*)

*To wielkie szczęście mieć przyjaciela na całe życie,  
niezawodnego i zasługującego na bezgraniczne zaufanie,  
a mnie poszczęściło się tak bardzo,  
że mam aż dwoje przyjaciół.  
Znaczyście dla mnie więcej,  
niż myślicie*

„Powiedz, czy ten sam Stworzyciel

W ciebie tchnął i w Jagnię życie?”

William Blake, *Tygrys*, tłum. Jerzy Pietrkiewicz

Wszyscy uważają, że diaboliki są nieustraszone, ale ja w pierwszych latach życia znałam tylko strach. Dręczył mnie także tego ranka, gdy Impirianowie przyszli obejrzeć mnie w zagrodzie.

Nie umiałam mówić, lecz rozumiałam większość słów. Przejęty zarządca zapowiedział swoim pomocnikom, że niebawem przybędą senator von Impirian oraz jego czcigodna żona zwana matriarchinią. Opiekunowie krążyli wokół mojego kojca, oglądając mnie od stóp do głów w poszukiwaniu choćby najmniejszego defektu.

Czekałam na senatorską parę z łomoczącym sercem, rozgrzana i gotowa do walki.

Wreszcie przybyli.

Wszyscy trenerzy i opiekunowie padli przed nimi na kolana. Zarządca z nabożną czcią przyłożył sobie ich dłonie do policzków.

– Jesteśmy zaszczyceni państwa wizytą.

Przeszył mnie strach. Kim oni są, że nawet budzący grozę zarządca pada przed nimi na kolana? Rozjarzone pole siłowe mojego kojca jeszcze nigdy nie wydawało się tak ciasne. Skuliłam się i odsunęłam najdalej, jak to było możliwe. Senator von Impirian i jego żona podeszli i mierzyli mnie wzrokiem zza niewidzialnej bariery.

– Jak państwo widzą – zwrócił się do nich zarządca – Nemezis jest mniej więcej w wieku państwa córki i jej cechy fizyczne zostały zmodyfikowane zgodnie z państwa wytycznymi. W ciągu kilku następnych lat urośnie i stanie się jeszcze silniejsza.

– Jest pan pewien, że ta dziewczyna jest niebezpieczna? – spytał senator, przeciągając samogłoski.  
– Wygląda jak wystraszone dziecko.

Jego słowa przeszły mnie chłodem.

Ale nie wolno mi było się bać. Za okazanie strachu karano mnie elektrowstrząsami, zmniejszeniem racji żywnościowych, zadawaniem bólu. Nikt nie powinien był widzieć, że się boję. Wbiłam w senatora mordercze spojrzenie.

Gdy napotkał mój wzrok, był wyraźnie zaskoczony. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zawahał się, zmrużył oczy i się odwrócił.

– Chyba ma pan rację – mruknął. – Widać to w jej oczach. Coś nieludzkiego. Kochanie, jesteś absolutnie pewna, że potrzebujemy tego potwornego stworzenia?

– Wszystkie potężne rodziny mają teraz diaboliki. Nasza córka nie będzie jedynym dzieckiem pozbawionym ochrony – powiedziała matriarchini. Odwróciła się do zarządcy. – Chciałabym zobaczyć, czy jest warta swojej ceny.

– Oczywiście – odrzekł, po czym pomachał do opiekuna. – Daj tu jakiegoś...

– Nie. – Głos matriarchini był ostry jak brzytwa. – Musimy mieć pewność. Przyprawiliśmy trzech własnych skazańców. Niech pokaże, co potrafi.

Właściciel się uśmiechnął.

– Ależ oczywiście, *grandeé* von Impirian. Ostrożności nigdy za wiele. W tej branży działa tylu kiepskich hodowców... Nemezis na pewno państwa nie zawiedzie.

Matriarchini skinęła na kogoś, kto znajdował się poza zasięgiem mojego wzroku. Niebezpieczeństwo, którego się spodziewałam, właśnie się zmaterializowało. W stronę mojego kojca prowadzono trzech mężczyzn.

Znowu przywarłam do granicy pola siłowego i poczułam na plecach łaskotanie wibracji. Ścisnęło mnie w żołądku. Już wiedziałam, co się za chwilę wydarzy. Nie po raz pierwszy przyprawiano mi takich gości.

Pomocnicy zarządcy rozkuli mężczyzn, dezaktywowali zewnętrzne pole siłowe, żeby wepchnąć ich do kojca, po czym znów je włączyli. Z trudem łapałam oddech. Nie chciałam tego robić. Naprawdę nie chciałam.

– Co to ma być? – spytał głośno jeden ze skazańców, spoglądając to na mnie, to na przypadkową publiczność.

– Nie domyślasz się? – Matriarchini wzięła senatora pod rękę. Rzuciła mężowi pełne zadowolenia spojrzenie, po czym zwróciła się do skazańca niezwykle uprzejmym tonem: – Trafiliście tu z powodu okrutnych zbrodni, jakie popełniliście, ale macie szansę się zrehabilitować. Zabijcie to dziecko, a mój mąż was ułaskawi.

Mężczyźni wlepili wzrok w senatora, ten zaś lekceważąco machnął ręką.

– Będzie tak, jak mówi moja żona.

Jeden ze skazańców zaklął.

– Wiem, co to takiego. Macie mnie za głupca? Nie zamierzam się do tego zbliżyć!

– Jeśli odmówisz – odrzekła matriarchini z uśmiechem – wszyscy trzej zostaniecie straceni. Więc do roboty.

Skazańcy przez chwilę mi się przyglądali, po czym największy z nich obleśnie się uśmiechnął.

– Przecież to tylko dziewczynka. Sam się nią zajmę. No chodź, malutka. – Ruszył w moją stronę. – Wolą państwo dużo krwi czy mam po prostu skrócić jej kark?

– Wybór należy do ciebie – powiedziała matriarchini.

Jego pewność siebie ośmieliła pozostałych – ich twarze rozjaśniła nadzieja na wolność. Serce łomotało mi pod żebrami. Nie mogłam ich przed sobą ostrzec. Zresztą nawet gdybym to zrobiła, żaden by mnie nie posłuchał. Ich przywódca orzekł, że jestem tylko dziewczynką – więc widzieli we mnie tylko dziewczynkę. I to był fatalny błąd.

Ten duży niedbale sięgnął w moją stronę. Jego ręka była teraz tak blisko, że czułam zapach jego

potu.

I ten zapach coś we mnie wyzwolił. Przeżyłam to nie po raz pierwszy: strach zniknął. Przerazenie rozpląnęło się w fali wściekłości.

Chwycałam jego rękę zębami. Trysnęła gorąca, rdzawoczerwona krew. Mężczyzna krzyknął i próbował się cofnąć – za późno. Złapałam go za nadgarstek i rzuciłam się do przodu, wykręcając mu rękę. Trzasnęły ścięgna. Kopnęłam go w goleń i powaliłam na ziemię. Potem skoczyłam, moje buty wylądowały z hukiem na jego potylicy. Rozłupałam mu czaszkę.

Drugi mężczyzna też dał się zwieść mojemu wyglądowi – za bardzo się przysunął i dopiero teraz uświadomił sobie swój błąd. Wrzasnął z przerażenia, ale nie zdążył uciec. Byłam zbyt szybka. Strzeliłam go pięścią w nos, wgniatając chrząstkę prosto w mózg.

Przeszłam nad dwoma ciałami w stronę trzeciego mężczyzny – tego mającego dość rozumu, żeby się mnie bać. Krzyknął i przywarł do granicy pola siłowego, kuląc się tak jak ja, gdy jeszcze nie czułam złości. Podniósł drżące ręce. Jego ciałem wstrząsał szloch.

– Proszę, nie rób tego. Błagam, nie krzywdź mnie!

Zawahałam się.

Moje życie, całe moje życie, wyglądało w ten sposób: odpierałam ataki napastników, mordowałam, żeby uniknąć śmierci, zabijałam, żeby nie dać się zabić. Jednak dotąd tylko raz słyszałam błaganie o litość. Wtedy nie wiedziałam, co zrobić. Teraz, gdy stałam nad skulonym ze strachu mężczyzną, znów poczułam tę niepewność. Znieruchomiałam. Jak powinnam się zachować?

– Nemezis.

Matriarchini stanęła tuż przede mną, dzieliło nas jedynie pole siłowe.

– Rozumie, co do niej mówię? – spytała zarządcę.

– Ma w sobie dość człowieczeństwa, żeby opanować znaczenie słów – odparł – ale odpowiadać nauczy się dopiero, gdy maszyny popracują nad jej mózgiem.

Matriarchini pokiwała głową i znowu odwróciła się w moją stronę.

– Nemezis, zrobiłaś na mnie duże wrażenie. Pytam cię zatem: chcesz stąd wyjść? Chcesz mieć coś cennego, co będziesz mogła kochać i ochraniać, a do tego cieszyć się luksusami, o jakich nawet ci się nie śniło?

Kochać? Luksusy? Te słowa brzmiały dziwnie. Nie wiedziałam, co znaczą, ale matriarchini mówiła tonem, który wiele obiecywał. Był jak melodia zagłuszająca jęki przerażonego mężczyzny.

Nie potrafiłam oderwać wzroku od przenikliwych oczu matriarchini.

– Jeśli pragniesz być czymś więcej niż zwierzęciem w tym zawilgoconym kojcu – powiedziała – udowodnij, że jesteś godna służyć rodzinie Impirianów. Pokaż, że w razie potrzeby potrafisz się podporządkować. Zabij tego człowieka.

Kochać. Luksusy. Nie wiedziałam, co to takiego, ale chciałam to mieć. I postanowiłam, że to

dostanę. Błyskawicznie doskoczyłam do mężczyzny i złamałam mu kark.

Gdy trzecie ciało spoczęło u moich stóp, matriarchini się uśmiechnęła.

Opiekunowie zaprowadzili mnie do laboratorium, gdzie czekała jakaś dziewczyna. Ze względu na jej bezpieczeństwo skuto mi nogi i ręce żelaznymi obręczami pod napięciem. Nie mogłam oderwać wzroku od tej dziwnej istotki, małej i drżącej. Miała ciemne włosy i skórę oraz nos, którego nikt nigdy nie złamał.

Wiedziałam, czym jest to stworzenie. To była prawdziwa dziewczyna.

Wiedziałam to, bo jedną już kiedyś zabiłam.

Podeszła do mnie o jeden krok za blisko. Warknęłam. Wzdrygnęła się i odsunęła.

– Ona mnie nie cierpi – powiedziała drżącym głosem.

– Ależ skąd – odrzekł doktor, ponownie sprawdzając moje kajdany. – Takie zachowanie jest normalne na tym etapie rozwoju. Diaboliki wyglądają tak jak my, ale w rzeczywistości są innymi istotami niż ja i ty. To drapieżniki. Nie umieją odczuwać empatii ani życzliwości. Po prostu nie są do tego zdolne. Właśnie dlatego w pewnym wieku wymagają ucywilizowania. Podejdz, Sydonio.

Skinął na nią palcem. Dziewczyna podeszła do stojącego nieopodal monitora.

– Widzisz? – spytał.

Też widziałam obraz, ale zupełnie mnie nie interesował. Rozłupałam wystarczająco wiele czaszek, by rozpoznać ludzki mózg.

– Nazywamy to korą czołową. – Na chwilę zamilkł i w spojrzeniu, które rzucił dziewczynie, dostrzegłam odrobinę strachu. – Oczywiście nie prowadziłem tych badań osobiście, ale w moim fachu człowiek po prostu dowiaduje się różnych rzeczy, obserwując maszyny.

Sydonia zmarszczyła brwi, jakby nie zrozumiała jego słów.

– Z tego, co wiem – podjął szybko z rumieńcami na policzkach – maszyny powiększą tę część jej mózgu. Mocno powiększą. Nemezis stanie się mądrzejsza. Nauczy się myśleć i z tobą rozmawiać. Maszyny zapoczątkują też proces tworzenia więzi.

– I wtedy mnie polubi?

– Od dziś będzie twoją najlepszą przyjaciółką.

– I przestanie być taka zła? – Głos Sydonii wciąż był słaby i drżący.

– No cóż, diaboliki są agresywne, bo tak je zaprojektowano. Nemezis nie będzie jednak kierowała agresji w twoją stronę. Staniesz się jedyną osobą w całym wszechświecie, którą kiedykolwiek pokocha. A każdy, kto spróbuje cię skrzywdzić... No cóż, marnie skończy.

Sydonia trwożliwie się uśmiechnęła.

– A teraz, słoneczko, stań tak, żeby cię widziała. Kontakt wzrokowy jest niezbędny w procesie



tworzenia więzi.

Doktor ustawił Sydonię naprzeciwko mnie, pilnując, żeby znajdowała się poza moim zasięgiem. Unikając moich ostrych zębów, przymocował mi do czaszki stymulatory. Po chwili zabręczały i zaszumiały.

Poczułam łaskotanie, przed oczami zawirowały mi gwiazdy.

Moja nienawiść, potrzeba miażdżenia, rozrywania i niszczenia – wszystko to zaczęło ustępować, blednąć.

Rozległ się trzask, potem drugi.

Spojrzałam na dziewczynę i coś we mnie drgnęło – nigdy wcześniej niczego podobnego nie czułam.

Przez moją czaszkę przepływały fale impulsów elektrycznych. Zmieniały mnie, przeobrażały.

Nagle zapragnęłam pomagać tej dziewczynie. Chciałam ją chronić.

Po jakimś czasie trzaski ustały, a dla mnie w całym wszechświecie nie istniało już nic oprócz niej.

Przez kilka godzin, podczas których modyfikowano mi mózg, doktor przeprowadzał badania. Pozwalał Sydonii coraz bardziej się do mnie zbliżać. Obserwował, jak się jej przyglądam.

Wreszcie nadeszła pora.

Doktor odsunął się, teraz naprzeciwko mnie siedziała już tylko Sydonia. Dziewczyna wstała, trzęsąc się na całym ciele. Doktor na wszelki wypadek wymierzył we mnie pistolet energetyczny, po czym otworzył kajdany.

Wyprostowałam się i zrzuciłam obręcz. Dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze, aż pod chudziutką szyją odznaczył się obojczyk. Wiedziałam, że mogłabym skrócić tę szyję bez najmniejszego trudu. Jednak choć mogłam zrobić Sydonii krzywdę, choć mogłam się na nią rzucić tak jak na wszystkie swoje ofiary, wzdrygałam się na samą myśl o zranieniu tego delikatnego stworzenia.

Podeszłam, żeby móc się przyjrzeć tej nieskończenie cennej istocie, której życie znaczyło dla mnie teraz więcej niż moje własne. Była taka mała. Zastanawiało mnie uczucie, które mnie wypełniło i żarzyło się w mojej piersi niczym gorące węgielki. To cudowne ciepło, które przenikało mnie, kiedy na nią patrzyłam.

Gdy dotknęłam miękkiego policzka Sydonii, wzdrygnęła się. Spojrzałam na jej ciemne włosy, tak inne od moich, jasnych, prawie białych. Przysunęłam się, żeby obejrzeć tęczę. W jej olbrzymich oczach czaił się strach i chciałam, żeby zniknął. Dziewczyna nadal drżała, więc położyłam dłonie na jej kruchych ramionach i stanęłam zupełnie nieruchomo, mając nadzieję, że mój spokój ją ukoji.

Sydonia przestała drżeć. Strach ustąpił. Kąciki jej ust lekko się uniosły.

Z wysiłkiem rozciągnęłam usta, naśladując ten gest. Wydawało mi się to nienaturalne i dziwne, ale

zrobiłam to dla niej. Po raz pierwszy w życiu robiłam coś z myślą o kimś innym niż ja sama.

– Cześć, Nemezis – szepnęła. Głośno przełknęła ślinę. – Mam na imię Sydonia. – Zmarszczyła brwi. Przyłożyła dłoń do klatki piersiowej i powtórzyła: – Sy-do-nia.

Poklepałam się po piersi, naśladowując jej gest.

– Sydonia.

Roześmiała się.

– Nie. – Wzięła mnie za rękę i położyła ją na swojej klatce piersiowej. Czułam gorączkowe bicie jej serca. – Ja jestem Sydonia. Ale możesz mi mówić Donia.

– Donia – powtórzyłam i poklepałam ją po obojczyku, już rozumiejąc.

Donia uśmiechnęła się, a ja poczułam... ciepło, zadowolenie, dumę. Przeniosła spojrzenie z powrotem na doktora.

– Miał pan rację! Wcale mnie nie nienawidzi.

Doktor pokiwał głową.

– Teraz łączy was więź. Nemezis będzie żyła dla ciebie do końca swoich dni.

– Ja też ją lubię – oznajmiła Donia, uśmiechając się do mnie. – Chyba się zaprzyjaźnimy.

Doktor cicho się roześmiał.

– O tak, zaprzyjaźnicie się. Obiecuję ci, że Nemezis będzie najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałaś. Będzie darzyła cię miłością aż do dnia twojej śmierci.

W końcu znalazłam nazwę dla tego uczucia, dla tego dziwnego, lecz cudownego nowego doznania – właśnie to obiecała mi matriarchini Impirian.

To była miłość.

## ROZDZIAŁ 1

Pewnego razu Sydonia popełniła niebezpieczny błąd.

Stało się to, gdy rzeźbiła w olbrzymiej bryle kamienia. W ruchach i błyskach laserowego ostrza, jaśniejącego na tle ciemnego okna z widokiem na gwiazdy, było coś hipnotyzującego. Sposób, w jaki prowadziła ostrze, pozostawał dla mnie zagadką, lecz jakimś cudem zawsze tworzyła w kamieniu obraz, jakiego nie byłaby w stanie wyczarować moja wyobraźnia. Dziś był to wybuch supernowej, scena z historii Helionu, sugestywnie oddana w skale.

Jedno pociągnięcie ostrza odłupało zbyt wielki kawał kamienia u podstawy rzeźby. Natychmiast to zauważyłam i zerwałam się z miejsca, czując gwałtowny dreszcz niepokoju. Konstrukcja straciła stabilność, w każdej chwili mogła runąć na ziemię.

Donia uklękła, żeby ocenić efekt swojej pracy. Nie zauważyła zagrożenia.

Podeszłam po cichu. Wolałam jej nie ostrzegać – mogłaby się wystraszyć i gwałtownie drgnąć albo podskoczyć, raniąc się laserem. Lepiej było usunąć problem samodzielnie. Błyskawicznie znalazłam się po drugiej stronie pokoju. W chwili, w której dotarłam do Donii, rozległ się pierwszy trzask, posypały się drobinki kamienia i rzeźba zaczęła się przechylać.

Chwyciłam Donię i szybko odciągnęłam ją na bok. W uszach eksplodował nam potężny trzask, a stęchłe powietrze w pracowni wypełnił kamienny pył.

Wyrwałam Donii laser i wyłączyłam go, a ona wyswobodziła się z mojego uścisku i przetarła oczy.

– O nie! Tego się nie spodziewałam. – Gdy przyglądała się zniszczeniom, na jej twarzy malowało się rozczarowanie. – Wszystko popsułam, prawda?

– Mniejsza o rzeźbę – stwierdziłam. – Nic ci się nie stało?

Markotnie machnęła ręką.

– Nie do wiary, że to zrobiłam. Tak dobrze mi szło... – Kopnęła odłupaną bryłę, a potem westchnęła i spojrzała na mnie. – Podziękowałam ci? Nie podziękowałam. Dzięki, Nemezis.

Nie zależało mi na podziękowaniach. Liczyło się tylko bezpieczeństwo Donii. Byłam jej diaboliką. Jedynie ludzie pragnęli pochwał.

Diabolików nie można było zaliczyć do ludzi.

Oczywiście, wyglądaliśmy jak ludzie. Mieliśmy ludzkie DNA, ale byliśmy czymś innym: sztucznie zaprogramowanymi istotami zdolnymi do bezgranicznego okrucieństwa i pełnej lojalności wobec jednego człowieka. Mogliśmy dla niego zabić bez zastanowienia – i tylko dla niego. To właśnie sprawiało, że byliśmy rozchwytywani przez najznamienitsze rodziny imperium, pragnące, żebyśmy

służyli dożgonnie jako ochroniarze ich i ich dzieci, żebyśmy byli zmorą ich wrogów.

Ostatnio wyglądało jednak na to, że wykonujemy swoje zadanie aż za dobrze. Donia często podłączała się do senackiego kanału i obserwowała swojego ojca przy pracy. Niedawno senat rozpoczął debatę zatytułowaną *Zagrożenia ze strony diabolików*. Dyskutowano o tych z nas, którzy zabijali wrogów swoich panów z powodu błahych przewinień, a nawet, chcąc sprzyjać interesom dziecka, które ochraniał, mordowali innych członków rodziny. Niekiedy okazywało się, że sprawiamy więcej problemów, niż jest z nas pożytku.

Wiedziałam, że senat podjął jakąś decyzję w naszej sprawie, bo rano matriarchini dostarczyła córce pismo od samego cesarza. Donia tylko rzuciła na nie okiem i zajęła się rzeźbieniem.

Byłam z nią od blisko ośmiu lat. Właściwie razem dorastałyśmy. Wiedziałam już, co kryje się za tą małomównością i rozkojarzeniem – Donia się o mnie martwiła.

– Doniu, co było w piśmie od cesarza?

Dotknęła kawałka zniszczonej rzeźby.

– Nemezis... Zdelegalizowali diaboliki. Zakaz działa wstecz.

Działa wstecz. To oznaczało, że obejmuje wszystkie diaboliki. Mnie też.

– Cesarz oczekuje, że się mnie pozbędziesz.

Donia pokręciła głową.

– Nie zrobię tego, Nemezis.

Oczywiście, że nie zrobi. I zostanie za to ukarana. W moim głosie zabrzmiała okrutna nuta.

– Jeśli nie jesteś w stanie się mnie pozbyć, wezmę sprawy w swoje ręce – oświadczyłam twardo.

– Powiedziałam, że tego nie zrobię, Nemezis, i ty też tego nie zrobisz! – W jej oczach pojawił się błysk. Uniosła brodę. – Znajdę inny sposób.

Sydonia sprawiała wrażenie potulnej i nieśmiałej, ale to były tylko pozory. Już dawno zauważyłam, że w środku jest twarda jak stal.

Z pomocą przyszedł jej ojciec, senator von Impirian, który żywił ogromną urazę do cesarza Randewalda von Domitriana. Gdy Sydonia zaczęła błagać o moje życie, w oczach senatora pojawił się buntowniczy błysk.

– Cesarz żąda jej śmierci? Bądź spokojna, skarbie. Nie stracisz swojej diaboliki. Powiem mu, że ją uśmierciliśmy, i na tym sprawa się zakończy.

Senator był jednak w błędzie.

Jak większość wpływowych rodzin, Impirianowie woleli żyć w odosobnieniu i spotykać się z innymi wyłącznie w przestrzeni wirtualnej. Najbliższych zbędników – wolnych ludzi rozsianych po różnych planetach – dzieliło od senatora von Impiriana i jego rodziny wiele układów słonecznych. Sprawował nad nimi władzę ze strategicznej odległości. Rodzinna forteca krążyła wokół niezamieszkanego gazowego olbrzyma otoczonego wymarłymi księżycami.

Dlatego wszyscy byliśmy zaskoczeni, gdy kilka tygodni później z kosmicznych odmetów wynurzył się niezapowiedziany statek. Cesarz przysłał go pod pretekstem „przeprowadzenia oględzin” zwłok diaboliki, lecz nie wydelegował do tego zadania zwykłego inspektora.

Na pokładzie statku był inkwizytor.

Senator von Impirian nie docenił skali niechęci, jaką cesarz żywił do rodziny Impirianów. Moje istnienie dało władcy pretekst, by przysłać do ich fortecy swojego agenta. Inkwizytorzy byli szczególną odmianą kapłanów, wyszkoloną w zakresie tępienia najgorszych przejawów pogaństwa i egzekwowania religijnych edyktów Helionu, co nierzadko robili siłą.

Już samo pojawienie się inkwizytora powinno było przerazić senatora i skłonić go do posłuszeństwa, lecz ojciec Sydonii bynajmniej nie zamierzał podporządkowywać się woli cesarza.

Inkwizytor przybył obejrzeć ciało, więc mu je pokazano.

Tyle że to nie było moje ciało.

Jedna z serwiterek Impirianów cierpiała na chorobę słoneczną. Podobnie jak diaboliki, serwitorzy byli genetycznie zaprogramowani, żeby służyć. W przeciwieństwie do nas nie potrzebowali umiejętności podejmowania decyzji, więc ich w nią nie wyposażano. Senator zaprowadził mnie do łóżka chorej serwitorki i dał mi sztylet.

– Zrób to, co potrafisz najlepiej, diaboliko.

Byłam mu wdzięczna, że wcześniej odesłał Sydonię do jej komnat. Nie chciałam, żeby to widziała. Zatopiłam sztylet pod żebrami serwitorki. Nawet nie drgnęła, nie próbowała się szamotać. Spojrzała na mnie pozbawionymi wyrazu, pustymi oczami, a po chwili już nie żyła.

Dopiero wtedy pozwolono inkwizytorowi dobić do fortecy. Przeprowadził pobieżną inspekcję ciała, by zauważyć po chwili:

– Dziwne. Wygląda jakby... dopiero co umarła.

Stojący obok niego senator natychmiast się zjeżył.

– Diabolika od kilku tygodni umierała na chorobę słoneczną. Postanowiliśmy zakończyć jej cierpienia, akurat gdy pojawił się pan w naszym układzie.

– Wbrew zaleceniom zawartym w piśmie cesarza – stwierdził inkwizytor, gwałtownie odwracając się w jego stronę. – Utrzymawał pan, że śmierć nastąpiła wcześniej. Jeśli się przyjrzeć, zastanawiająca wydaje się też jej postura. Dziewczyna jest dość mała jak na diabolikę.

– Teraz nie podoba się panu jeszcze ciało?! – ryknął senator. – Mówię, że chorowała od tygodni.

Obserwowałam inkwizytora, stojąc w kącie. Miałam na sobie nową szatę serwitorki. Obszerne fałdy skrywały moje rosłe, umięśnione ciało. Postanowiłam, że jeśli wysłannik cesarza przejrzy podstęp, zabiję go. Miałam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Zatajenie śmierci inkwizytora mogłoby się okazać... wyzwaniem.

– Może gdyby pańska rodzina bardziej szanowała Żywy Kosmos – zauważył inkwizytor –

zdołalibyście uniknąć tego upiornego nieszczęścia w postaci choroby słonecznej.

Senator z wściekłością zaczerpnął powietrza, żeby odpowiedzieć, ale w tej chwili pospiesznie nadeszła matriarchini, która dotąd czaiła się w drzwiach. Wzięła męża pod rękę, by go powstrzymać.

– Ma pan absolutną rację, inkwizytorze! – powiedziała, uśmiechając się z wdziękiem. – Jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni za tę cenną uwagę.

Matriarchini nie podzielała skłonności męża do sprzeciwiania się cesarzowi. W młodości dotkliwie odczuła cesarski gniew. Jej rodzina naraziła się władcy i jedno z jej rodzeństwa zapłaciło za to wysoką cenę. Zdjęta strachem, robiła wszystko, co w jej mocy, żeby udobruchać gościa.

– Byłabym niewysłownie szczęśliwa, gdyby dzisiejszego wieczoru zechciał pan ocenić naszą służbę. Być może powie nam pan, co robimy źle. – Jej głos ociekał słodyczą. Dziwnie się tego słuchało, zwykle bywała zgryźliwa.

– Z chęcią, *grandeé* von Impirian – odrzekł inkwizytor łaskawszym tonem. Wyciągnął rękę, żeby przyłożyć jej dłoń do swojego policzka.

Odsunęła się.

– Pójdę wydać polecenia serwitorom. Ej, ty – skinęła głową w moją stronę – chodź ze mną.

Nie chciałam się oddalać od inkwizytora. Zależało mi, żeby widzieć każdy jego ruch, każde drgnienie twarzy, lecz matriarchini nie pozostawiła mi wyjścia; musiałam iść za nią, tak jak poszedłby serwitor. Wyszłyśmy z komnaty, znikając inkwizytorowi z oczu. Matriarchini przyspieszyła kroku, więc zrobiłam to samo. Szłyśmy korytarzem w stronę komnat senatora.

– Obłąd – mruknęła. – To obłąd, podejmować teraz tak wielkie ryzyko! Powinnaś leżeć martwa u stóp inkwizytora, a nie iść tu obok mnie!

Zmierzyłam ją wzrokiem. Z radością zginęłabym, żeby ochronić Donię, lecz gdybym miała wybierać między swoim życiem a życiem matriarchini, własne miałoby dla mnie większą wartość.

– Zamierza pani powiedzieć inkwizytorowi, kim jestem?

Mówiąc to, kalkulowałam w myślach, jakim ciosem mogłabym ją zabić. Jedno uderzenie w tył głowy... Lepiej byłoby nie ryzykować, że zacznie krzyczeć. Gdyby Donia coś usłyszała, mogłaby wyjść ze swoich komnat. Czułabym się podle, zabijając matkę na jej oczach.

Matriarchini miała instynkt przetrwania, którego brakowało jej mężowi i córce. Mimo że mówiłam łagodnym tonem, przez jej twarz przemknął cień przerażenia. Chwilę później nie było już jednak po nim śladu. Może więc tylko go sobie wyobraziłam?

– Oczywiście, że nie. Prawda pograżyłaby teraz nas wszystkich.

A więc mogła żyć dalej. Rozluźniłam mięśnie.

– Skoro już tu jesteś – dodała ponuro – postaraj się na coś przydać. Pomóż mi ukryć rzeczy mojego męża, zanim inkwizytor zacznie węszyć w komnatach.

To mogłam zrobić. Wpadłyśmy do pracowni senatora. Matriarchini podkasała suknię i zaczęła

zgarniać przedmioty porozrzucane w całym pomieszczeniu – te dowody snucia intryg przeciwko cesarzowi natychmiast pogrążyłyby całą rodzinę, gdyby padł na nie wzrok inkwizytora.

– Szybko – powiedziała, dając mi znak, żebym jej pomogła.

– Zaniosę je do spalarni...

– Nie. – W jej głosie zabrzmiała gorycz. – Jeśli je zniszczymy, mój mąż będzie miał pretekst, żeby zdobyć kolejne. Musimy je po prostu usunąć z widoku. – Włożyła palce do szczeliny w ścianie i obróciła je, a podłoga się rozsunęła, ukazując ukryte pomieszczenie.

Następnie usiadła w fotelu senatora, a ja zaczęłam znosić do kryjówki naręcza połamanych fragmentów czegoś, co wyglądało jak szczątki komputerów i elementy układów scalonych. Senator przesiadywał tu całymi dniami, naprawiając wszystko, co można było ocalić, i przegrywając informacje do własnych baz danych. Z zapalem czytał odzyskane materiały i dyskutował o nich z Sydonią. Rozmawiali o teoriach naukowych, o planach technologicznych. Były to bluźnierstwa, które obrażały Żywy Kosmos.

Upchnęłam komputer senatora razem z odpadami, a matriarchini jeszcze raz podeszła do szczeliny w ścianie i wsunęła w nią palce. Podłoga z powrotem się zamknęła. Przepchnęłam nieco biurko senatora, żeby zasłonić wejście do ukrytego pomieszczenia.

Gdy się wyprostowałam, zauważyłam, że matriarchini mnie obserwuje.

– Przed chwilą w korytarzu byłaś gotowa mnie zabić. – Patrzyła na mnie wyzywająco spod zmrużonych powiek.

Nie zaprzeczyłam.

– Wie pani, kim jestem.

– O tak, wiem. – Wykrzywiła usta. – Potworem. Wiem, co się skrywa za tymi twoimi zimnymi, bezdusznymi oczami. Właśnie dlatego zdelegalizowano diaboliki: chronią jednego, a dla pozostałych są zagrożeniem. Nigdy nie wolno ci zapominać, że Sydonia mnie potrzebuje. Jestem jej matką.

– A pani nie wolno zapominać, że jestem jej diaboliką. Mnie potrzebuje bardziej.

– Nie jesteś w stanie pojąć, kim jest dla dziecka matka.

Miała rację. Nie byłam w stanie tego pojąć. Nigdy nie miałam matki. Wiedziałam tylko, że przy mnie Sydonia jest bezpieczniejsza niż przy kimkolwiek innym we wszechświecie. Bezpieczniejsza niż przy członkach własnej rodziny.

Matriarchini nieprzyjemnie się roześmiała.

– Ech, ale po co w ogóle ci o tym mówię? Nie zrozumiesz, czym jest rodzina, tak jak pies nie ułoży wiersza. Liczy się to, że łączy nas wspólna sprawa. Sydonia jest dobra i naiwna. Poza tą fortecą, w imperium... Niewykluczone, że taka istota jak ty będzie mojej córce niezbędna do przetrwania. Ale nigdy, przenigdy, nie wspomnisz nikomu o tym, co dzisiaj zrobiliśmy.

– Obiecuję.

– A jeśli ktokolwiek się dowie, że oszczędziliśmy swoją diabolikę, osobiście zajmiesz się tym problemem.

Na samą myśl o tym poczułam gniew połączony z instynktem opiekuńczym.

– Bez wahania.

– Nawet jeśli – przeszyla mnie wzrokiem – będziesz musiała zacząć od zajęcia się sobą samą.

Nie uznałam za stosowne odpowiedzieć. To oczywiste, że oddałabym życie za Sydonię. Była dla mnie całym światem. Kochałam wyłącznie ją i tylko ona się dla mnie liczyła. Bez niej straciłabym sens istnienia.

Gdyby przyszło mi żyć bez Sydonii, śmierć byłaby wybawieniem.



## ROZDZIAŁ 2

Wieczorem wszyscy mieszkańcy fortecy – zarówno ludzie, jak i serwitorzy – zebrali się w heliosferze, pod przezroczystą kopułą, która wieńczyła szczyt budowli. Mimo błagań matriarchini senator nigdy nie zawracał sobie głowy obrzędami religijnymi, chyba że w domu byli goście. Dziś zjawił się w imię zachowania pozorów, lecz nie zadawał sobie trudu ukrywania przed inkwizytorem bezczelnego uśmiechu.

Inkwizytor wreszcie zakończył inspekcję fortecy. Nie znalazł niczego, o czym warto byłoby donieść cesarzowi. Mądry człowiek nie triumfowałby w takich okolicznościach, ale senator był głupcem.

Matriarchini przydzieliła inkwizytorowi honorowe miejsce tuż obok siebie, męża i Sydonii. Pogrążeni w nabożnej ciszy patrzyliśmy, jak nad horyzontem planety pod nami wznosi się gwiazda. Okna były krystalicznie czyste, załamywały światło pod idealnym kątem, by rozproszyć je w tych miejscach sali, gdzie ustawiono lustra. Na ułamek sekundy jasne promienie spotkały się w jednym punkcie: w ceremonialnym kielichu na środku komnaty, gdzie zapaliły wypełniający go olej. Patrzyliśmy na płonące naczynie, a gwiazda przesunęła się, emitując oślepiające światło. Zaczęło się błogosławieństwo.

– Zaprawdę – przemówił kapłan, unosząc kielich z płomieniem w środku – za sprawą gwiazdy naszych narodzin, Heliosa, Żywy Kosmos postanowił rozniecić życie na planecie Ziemia i dać początek naszym czcigodnym przodkom w tamtej starożytnej epoce, gdy gwiazdy były jedynie odległymi punktami na tle nieskończonej ciemności. W tamtych czasach świat spowity był zasłoną ignorancji, ludzkość oddawała cześć bóstwom wyobrażonym na własne podobieństwo, nie będąc w stanie dostrzec prawdziwej boskości w otaczającym ją wszechświecie...

Powiodłam spojrzeniem po komnacie, przenosząc wzrok z pogrążonej w skupieniu matriarchini na senatora. Jego twarz wyrażała słabo skrywane lekceważenie. Następnie spojrzałam na inkwizytora, który stał wpatrzony w plecy pana domu. A potem na Donię. Jej brązowe oczy utkwione były w kielichu, nad którym kapłan recytował właśnie historię powstania *homo sapiens*. Sydonia zawsze przejawiała niezwykłą fascynację opowieścią o układzie słonecznym i pochodzeniu człowieka oraz o Słońcu, Heliosie, które karmiło pierwsze istoty ludzkie.

Była głęboko wierząca. Próbowwała nawrócić mnie na wiarę helionicką, gdy tylko trafiłam do ich rodziny. Zaprowadziła mnie na nabożeństwo, zamierzając poprosić kapłana, by pobłogosławił mnie światłem gwiazd. Nie do końca pojmowałam koncepcję Żywego Kosmosu i dusz, ale miałam nadzieję, że uzyskam błogosławieństwo, którego chciała dla mnie Sydonia.

Kapłan odmówił. Poinformował Donię, że nie mam duszy, którą mógłby pobłogosławić.

– Diaboliki to wytwór ludzkości, a nie Żywego Kosmosu – wytłumaczył. – Nie ma w nich boskiego płomienia, który mógłby rozpalić kosmiczne światło. W geście szacunku dla twojej rodziny mogę się zgodzić, by to stworzenie było świadkiem błogosławieństwa, ale nie może w nim uczestniczyć.

Gdy kapłan mówił, jego twarz – podobnie jak twarz matriarchini – przybrała dziwny wyraz. Dopiero niedawno zaczęłam uczyć się czytać ludzką mimikę, ale już wtedy wiedziałam, co wyraża mina kapłana: bezbrzeżne obrzydzenie. Czuł odrazę na samą myśl, że łaska ich boskiego Kosmosu miałaby spłynąć na diabolikę.

Z jakiegoś powodu nawet teraz, słuchając słów duchownego, czułam ucisk w żołądku. Postanowiłam zatem skupić się na obserwowaniu inkwizytora, który miał przekazać cesarzowi szczegóły tej wizyty. Gdyby uznał, że Impirianowie są niedostatecznie pobożni, jego słowo mogłoby pogrzyżać senatora. Co gorsza, mogłoby pogrzyżać także Sydonię.

Gdyby cokolwiek jej się stało – cokolwiek – byłam gotowa odnaleźć tego człowieka i go zabić. Zapamiętałam jego dumne, chłodne rysy – na wszelki wypadek.

Monotonny głos kapłana rozbrzmiewał dotąd, aż najbliższa gwiazda litościwie zniknęła za horyzontem. Później światła heliosfery przygasły, płonął tylko ogień w kielichu. Kapłan przykrył go glinianą pokrywą, żeby zgasić płomień.

W ciemności zapadła głęboka cisza.

Wreszcie jeden z serwitorów włączył światło. Pierwsi wyszli z heliosfery ludzie – Impirianowie, inkwizytor, a potem kapłan. Ja podążyłam za nimi razem z serwitorami.

Senator poprowadził inkwizytora w stronę drzwi, nawet nie proponując noclegu w fortecy. Szłam za nimi w bezpiecznej odległości. Dzięki wyostrzonemu słuchowi, stojąc w korytarzu, słyszałam, jak się żegnają.

– Jak zatem brzmi werdykt? – zagrzmiał senator. – Czy jestem wystarczająco pobożny jak na gust cesarza? A może pan także woli mnie nazywać „Wielkim Heretykiem”?

– Cesarza obrażał pański sposób bycia – odrzekł inkwizytor – i nie sądzę, żeby odnotował w tej kwestii poprawę. Mówiąc o haniebnym przydomku, na jaki pan sobie zasłużył, wydaje się pan niemal dumny! No cóż, *grande*, herezja jest niebezpieczna, więc radzę, żebyś na siebie uważał.

– „Senatorze”. Zwracając się do mnie, powinien pan używać tego tytułu.

– Oczywiście, senatorze von Impirian. – Zabrzmiało to jak szyderstwo.

Tak wyglądało pożegnanie inkwizytora z senatorem.

Chwilę później znalazłam Donię przy oknie z widokiem na drzwi wejściowe. Nie chciała się stamtąd ruszyć, dopóki statek inkwizytora nie wystartował i nie zniknął w ciemności. Wtedy ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

– Co się stało? – spytałam, czując rosnące zaniepokojenie.

– Och, Nemezis, tak bardzo mi ulżyło! – Uniosła zapłakaną twarz i roześmiała się. – Jesteś bezpieczna! – Wzięła mnie w ramiona. – Och, nie rozumiesz? Może i inkwizytor jest wściekły na mojego ojca, ale tobie nic nie grozi. – Wtuliła głowę w moje ramię. – Nie mogłabym bez ciebie żyć.

Nie znosiłam, kiedy tak mówiła – jakby nie miała niczego poza mną, podczas gdy w rzeczywistości było na odwrót.

Donia wciąż płakała. Objęłam ją – ten gest nadal wydawał mi się nienaturalny i dziwny – i zamyśliłam się nad tajemnicą łez. Sama nie miałam kanalików łzowych i byłam zupełnie niezdolna do płaczu, ale widywałam łzy wystarczająco często, by wiedzieć, że wiążą się z bólem i strachem.

Wyglądało jednak na to, że mogą wyrażać także radość.

Donia była jedyną spadkobierczynią galaktycznego senatora, więc po przejściu ojca na emeryturę miała objąć jego stanowisko. Oznaczało to, że od najmłodszych lat musi rozwijać instynkt polityczny i uczyć się rozmawiać z innymi członkami grandecji, czyli klasy rządzącej imperium. Jej umiejętności społeczne miały być gwarancją korzystnych sojuszy i niesłabnących wpływów rodziny. Mogła je trenować wyłącznie na wirtualnych forach. Sama jeszcze nigdy ich nie widziałam, ale Donia wyjaśniła mi, że są osadzone w alternatywnej rzeczywistości i ludzie wchodzą tam w interakcje za pośrednictwem awatarów.

Dwa razy w miesiącu była zmuszona brać udział w oficjalnych zebraniach, gdzie spotykała innych młodych przedstawicieli grandecji z odległych układów gwiazdnych – takich jak ona dziedziców. Traktowała te spotkania jako smutną konieczność. Przygotowując się do nich, chodziła przygarbiona i biło od niej skrajne zniechęcenie.

Matriarchini jak zwykle nie zwracała uwagi na przygnębienie córki.

– Cesarz na pewno dostał już raport z wizyty inkwizytora – oznajmiła Donii. – Jeśli ten głupiec, twój ojciec, napisał nam nowych problemów...

– Matko, proszę, nie nazywaj go głupcem. Na swój sposób naprawdę jest wizjonerem.

– ...jeśli ich nam napisał, cesarz z pewnością wspomniał o tym swoim powiernikom. Bez wątplenia dotarło to także do uszu ich dzieci. Sydonio, musisz słuchać zarówno tego, co mówią, jak i tego, czego nie mówią. Nasze przetrwanie może zależeć od informacji, które zdobędziesz podczas wirtualnych rozmów.

Matriarchini tak bardzo ceniła te zebrania, że zawsze zajmowała miejsce obok Donii i ze słuchawkami na uszach logowała się na forum. Dzięki temu mogła obserwować interakcje córki i szeptać jej do ucha różne rady – czy raczej rozkazy.

Także tym razem zasiadły we dwie przy konsoli i włożyły słuchawki, zyskując dostęp do wirtualnego świata, który był poza zasięgiem mojego wzroku. Przysłuchiwałam się pytaniom

i odpowiedziom Donii. Jej głos brzmiał bardzo niepewnie. Czasami popełniała jakąś gafę, a wtedy matriarchini karała ją uszczyptnięciem.

Z trudem powstrzymywałam się, żeby nie podejść do niej i nie złamać jej ręki.

– Co ci mówiłam na temat konieczności unikania pewnych tematów? – syczała matriarchini. – Nie waż się jej pytać o mgławicę!

– Spytałam tylko, czy rzeczywiście wyglądała tak pięknie, jak słyszałam – zaprotestowała Donia.

– Nie obchodzi mnie, dlaczego o to spytałaś. Córka Wielkiego Heretyka nie powinna sobie pozwalać na pytania, które mogłyby zostać zinterpretowane jako objaw naukowej ciekawości. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – To awatar Salivara Domitriana. Zaraz wszyscy zaczną zabiegać o audiencję. Idź okazać mu szacunek, zanim go oblegną.

– Sydonio – odezwała się kilka minut później – dlaczego trzymasz się na uboczu? Otaczają cię nic nieznaczący ludzie! Przesuń się, zanim ktoś pomyśli, że twoje miejsce jest wśród nich!

W pewnej chwili Donia i matriarchini wyraźnie się zestresowały. Wyprostowałam się, spoglądając na ich plecy i zastanawiając się, kogo się tak wystraszyły. Ręka matriarchini gwałtownie wystrzeliła i zacisnęła się na ramieniu córki.

– Miej się na baczności w pobliżu tej małej Pasuski...

Pasuska.

Zmrużyłam oczy, patrząc, jak zdenerwowana Donia rozmawia z Elantrą Pasus. Dobrze wiedziałam, kim jest rodzina tej dziewczyny, bo poznanie wszystkich wrogów Impirianów – wrogów Sydonii – uważałam za swoją misję. Rok wcześniej widziałam relację na żywo z senatu, gdy senator von Pasus z radością zadenuncjował ojca Sydonii. Pasus i jego sojusznicy byli najbardziej zagorzałymi helionikami w senacie i dysponowali wystarczającą liczbą głosów, żeby oficjalnie potępić senatora von Impiriana za „herezję”. Reputacja Impirianów straszliwie na tym ucierpiała i matriarchini wciąż nie potrafiła wybaczyć tego mężowi.

W głębi serca także miałam żal do senatora von Impiriana, że naraził córkę na niebezpieczeństwo, wypowiadając się publicznie na temat spraw, o których nie należało wspominać. Zakwestionował słuszność zakazu kształcenia. Wyznawał dziwne ideały i był nedorzecznie oddany nauce. Między innymi dlatego zbierał stare bazy danych zawierające zapomnianą wiedzę – te, które razem z matriarchinią musiałyśmy pospiesznie ukryć przed inkwizytorem. Uważał, że ludzkość powinna wrócić do nauki, i nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak jego działalność może się odbić na rodzinie.

Był lekkomyślny.

A teraz przez niego Donia musiała rozmawiać z córką senatora von Pasusa, udając, że ich ojcowie wcale nie żywią do siebie urazy.

Po krótkiej wymianie zdań Donia pospiesznie przeprosiła i odeszła.

Ku mojemu zdziwieniu matriarchini poklepała ją po ramieniu.

– Dobra robota.

Rzadko tak ją chwaliła.

Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, zanim Donia mogła zdjąć słuchawki. Oczy miała podkrążone ze zmęczenia.

– Pomówmy o tym, jak ci poszło – powiedziała matriarchini, majestatycznie podnosząc się z miejsca. – Bardzo sprawnie unikałaś zakazanych tematów i zachowywałaś niezwykłą ostrożność: to ci się chwali. A co robiłaś źle?

Donia westchnęła.

– Na pewno zaraz mi powiesz.

– Sprawiałaś wrażenie potulnej – wytknęła jej matriarchini. – Zbyt skromnej. Kilka razy słyszałam nawet, jak się zająknęłaś. Jesteś przyszłą senatorką, nie możesz sobie pozwolić na słabość. Słabość to oznaka niższości, a rodzina Impirianów nie jest od nikogo gorsza. Pewnego dnia staniesz na jej czele i jeśli nie nauczysz się okazywać siły, zaprzepaścisz wszystko, co zdobyli dla ciebie przodkowie! Inni członkowie grandecji ślinią się na myśl o tym, że dzięki kretyńskim posunięciom twojego ojca będą mogli przejąć to, co do nas należy. Ci chciwcy z radością ujrzeliby upadek rodziny heretyka! Sydonio, twój ojciec postanowił doprowadzić tę rodzinę do ruiny. Nie bierz z niego przykładu.

Donia znowu westchnęła, a ja obserwowałam matriarchinię ze swojego miejsca w kącie, gdzie tkwiłam zapomniana. Chyba czasami potrafiłam docenić jej mądrość bardziej niż córka. Donia miała bardzo słaby instynkt samozachowawczy. Nigdy dotąd go nie potrzebowała, żyła pod kloszem. Pomysł, że wrogowie wyłażą z ciemności, wciąż był jej zupełnie obcy.

Ja byłam inna. Nie żyłam pod kloszem.

Wprawdzie mogłabym rozerwać matriarchinię na strzępy i połamać jej wszystkie kości, gdy policzkowała Donię albo ją szczypała, lecz jednocześnie dostrzegałam zimną, bezlitosną mądrość jej przestroóg. Z pewnością uważała, że surowość i brutalne traktowanie wyjdzie jej córce na dobre. Ojciec Donii naraził rodzinę na niebezpieczeństwo swoim aroganckim postępowaniem, a matriarchini miała instynkt przetrwania, który pozwalał jej to zauważyć. Chyba jako jedyna spośród Impirianów przejęła się zagrożeniem, jakie stwarzała wizyta inkwizytora.

Matriarchini wyciągnęła Donię z pokoju, żeby skrytykować ją w obecności senatora von Impiriana – bez wątplenia miała nadzieję, że w ten sposób pokaże mężowi, iż nie zdołał nauczyć córki rozumu. Zwykle szłam za nimi, lecz tym razem nadarzyła mi się niezwykła okazja.

Donia wciąż była zalogowana.

Tylko zerknę, pomyślałam, ruszając w stronę komputera. Możliwe, że była to jedyna szansa, żeby na własne oczy zobaczyć awatary młodych arystokratów... Aby oszacować skalę zagrożenia czyhającego na Donię za pomocą własnych, pierwszorzędných umiejętności oceny sytuacji. Nie zamierzałam z nikim rozmawiać.

Włożyłam słuchawki i przez chwilę zdezorientowana rozglądałam się wokoło. Znalazłam się w zupełnie nowym otoczeniu, awatar Donii stał na jednej z wielu szklanych platform, ze wszystkich stron otoczony pustą przestrzenią.

Poczułam ucisk w żołądku. Głośno przełknęłam ślinę, żeby przewyciężyć mdłości. Gdy wrażenie dziwności ustąpiło, zaczęłam zauważać inne awatary... Wokół stali przepięknie ubrani młodzi *grandesi imperium*. Śmiali się, zawieszeni w próżni. W prawdziwym życiu byliby już martwi. Jasne światło sztucznych gwiazd uwydatniało urodę komputerowych postaci.

Ani na chwilę nie zapominając, że posługuję się awatarem Donii, powoli weszłam po kryształowych schodach między platformami i skierowałam się tam, gdzie nakazywał mi umysł. Po drodze mijałam awatary, które zdawały się zupełnie mnie nie zauważać. Nie odzywałam się, mając nadzieję, że nie zwrócę na siebie niczyjej uwagi. Pomijając kilka osób, które powitały mnie, zaskoczone ponownym pojawieniem się Sydonii, chyba nikt nie zauważył nic dziwnego.

Do moich uszu docierały strzępy rozmów:

– ...niezwykle kusząca substancja...

– ...wewnętrzne światła trzeba umieszczać z wyczuciem, bo inaczej przestają być ozdobą i zaczynają wyglądać tandetnie...

–...taki prostacki awatar. Nie mam pojęcia, co ona sobie wyobraża...

Poczułam ulgę, słysząc, jak banalne tematy się tu porusza. Podśluchiwałam przez kilka minut, ale do moich uszu nie dotarło nic, co mogłoby świadczyć o szczególnej przebiegłości czy wyrachowaniu rozmówców. To były tylko dzieci. Rozpuszczone, nudne dzieci z wpływowych rodzin, upajające się swoim statusem.

Jeśli wśród tych młodych *grandesów* były jakieś podstępne żmije, to albo ukryły się tak sprytnie, że nie było widać ich zębów jadowych, albo jeszcze nie potrafiły z nich korzystać.

Nagle za moimi plecami rozległ się głos:

– Z jaką uwagą wszystko obserwujesz, *grandeé* Impirian.

Aż podskoczyłam przed monitorem. Byłam przekonana, że cały czas trzymam się na uboczu. W prawdziwym świecie nigdy bym nie pozwoliła, żeby ktoś tak się do mnie podkradł, ale moje wirtualne zmysły nie zdążyły się jeszcze w pełni wykształcić, dopiero raczkowały.

Odwróciłam się i ujrzałam awatara zupełnie niepodobnego do innych.

Naprawdę, zupełnie.

Ten młody mężczyzna był całkiem nagi.

Uśmiechnął się, widząc moje zaskoczenie, i leniwie pociągnął łyk wina z kielicha. Pewnie to samo pił teraz w prawdziwym życiu.

Jego awatar nie miał w sobie nic z czystej, lśniącej perfekcji pozostałych. Był chodzącą niedoskonałością: jego miedziane włosy tworzyły potarganą gęstwinę, oczy miały zdumiewający,

wręcz niepokojący bladoniebieski kolor, na twarzy widać było plamy powstałe naskutek działania słońca. Gdy na niego patrzyłam, przypomniało mi się słowo „piegi”. Nawet mięśnie miał niemiłosiernie wyrzeźbione; po chwili bacznej obserwacji zauważało się ich lekką asymetrię. Jego kosmetyki się nie spisały... albo zdobył tę muskulaturę dzięki prawdziwemu wysiłkowi fizycznemu.

„Nie – pomyślałam – to niemożliwe”. Nikt z tego pustogłowego grona nie chciałby się wysilać.

– Bardzo intensywnie mi się przyglądasz, *grandeé* – zauważył z rozbawieniem.

Miał rację, robiłam coś, z czego słynęły wszystkie diaboliki: mierzyłam go pełnym skupienia, drapieźnym spojrzeniem, zbyt nieruchomym, by mógł je uznać za ludzkie. W moich oczach próżno było szukać przejawów uczuć, chyba że je udawałam. Matriarchini twierdziła, że na widok tego mojego spojrzenia dostaje gęsiej skórki. Moja prawdziwa natura dawała o sobie znać, nawet kiedy byłam ukryta za awatarem Sydonii.

– Wybacz – wykrztusiłam z siebie obce słowo. Od diabolików nie wymagano przeprosin. – Na pewno zdajesz sobie sprawę, że trudno byłoby ci się nie przyglądać.

– Tak bardzo hipnotyzuje cię mój strój?

Byłam skołowana.

– Przecież niczego na sobie nie masz.

– Bzdura – odrzekł i wydawał się szczerze oburzony, jakbym go uraziła. – Technicy zapewnili mnie, że zaprogramowali ten awatar zgodnie z najnowszymi trendami.

Zawahałam się. I naprawdę mnie zamurowało – było to obce mi, na wskroś nieprzyjemne doznanie. Bo z pewnością mógł po prostu spojrzeć w dół i przekonać się, że jest goły. Czy to miał być dowcip? Czy on żartował? Z pewnością nie ja pierwsza powiedziałam mu, że jest nagi. Tak, to musiał być jakiś żart.

Chciałam udąć rozbawienie, ale nie byłam pewna, czy dam radę. Śmiech nie przychodził diabolikom łatwo. Zdecydowałam się zatem na neutralną uwagę.

– Udało ci się stworzyć niezwykły spektakl.

– Spektakl? – zapytał ostro, a po chwili dodał już łagodniej: – Co masz na myśli?

Jak odpowiedziałaby Sydonia? Miałam pustkę w głowie, więc zmusiłam się do uśmiechu, zastanawiając się, czy rzeczywiście źle zinterpretowałam jego zamiary.

– Ktoś, komu tak zależy na przyciąganiu wzroku, z pewnością lubi spektakle. – Nie wiedzieć czemu, nagle przypominałam sobie o odkryciu, jakiego dokonałam, walcząc i zabijając. Ekspozycja jednej strony ciała często ukrywa słabość tej drugiej. – A może próbujesz odwrócić uwagę od czegoś innego.

Po jego obliczu przemknął dziwny wyraz – zmrużył jasne oczy, a jego twarz stężała. Pod skórą mocno zarysowały się kości. Przez chwilę widziałam, jak będzie wyglądał jako dojrzały mężczyzna. Kogoś mi przypominał, ale nie byłam w stanie określić kogo.

– Moja *grandeé* Impirian – powiedział bardzo łagodnym tonem – masz niezwykle intrygujące spostrzeżenia na mój temat. – Nieznacznie pochylił się, zupełnie przy tym nie mrugając. – Pewna bliska ci osoba powinna uczyć się od ciebie taktyki.

Słyszając te słowa, natychmiast odzyskałam czujność i na usta zaczęły mi się cisnąć pytania. Co chciał przez to powiedzieć? Co znaczyła ta aluzja? Była ostrzeżeniem? Nie śmiałam jednak spytać. Donia by tego nie zrobiła, a jeśli się myliłam...

Nie miałam szans na dalszą rozmowę. W tej samej chwili podeszło do nas kilka awatarów. Padły na kolana przed nagim młodym mężczyzną, wyciągając ręce po jego dłonie, żeby móc przyłożyć je sobie do policzków. Do moich uszu dotarły ich przypochlebne słowa:

– Wasza Eminencjo, jak cudownie, że zaszczyciłeś nas wizytą!

– Wybrałeś dla swojego awatara cudowny strój.

– Wspaniałe ubranie!

Nagle uświadomiłam sobie, dlaczego wydawał mi się znajomy – był podobny do swojego wuja cesarza.

Miałam przed sobą nagiego i wcale niezawstydzonego Tyrusa Domitriana. Pierwszego następcę... Młodego człowieka, który pewnego dnia zasiądzie na tronie.

Nawet ja słyszałam o Tyrusie. Matriarchini i senator von Impirian chichotali przy stole, rozmawiając o jego najświeższych wyczynach. Przynosił wstyd cesarstwu, bo był zupełnie szalony. Z powodu tego szaleństwa prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że jest nagi – ale ze względu na jego status nikt nie śmiał mu tego wytknąć.

Nikt oprócz mnie.

Wycofałam się i dotarła do mnie okropna świadomość tego, co zrobiłam.

Jeszcze długo po wylogowaniu czułam przerażenie.

Myślałam, że uda mi się dowiedzieć czegoś więcej o młodych rozpuszczonych grandesach, żeby lepiej chronić Sydonię. Zamiast tego zwróciłam na nią uwagę niesławnego szaleńca – szaleńca mającego władzę i mogącego ją zniszczyć.



### ROZDZIAŁ 3

„Pewna bliska ci osoba powinna uczyć się od ciebie taktyki...”

Słowa Tyrusa Domitriana dźwięczały mi w uszach przez kolejne dni. Brzmiały prawie jak ostrzeżenie, a mimo to... mimo to nie byłam pewna, czy należy przywiązywać wagę do słów szaleńca.

Rodzinę Domitrianów nazywano „wzgardzoną przez Słońce”, bo wielu jej członków umarło młodo. Ale prawdziwy powód ich śmierci był tajemnicą poliszynela: cesarz i jego matka zabili większość jego rywali w wyścigu o tron. Z najbliższej rodziny władcy ocalał jedynie Tyrus. Może właśnie to doprowadziło go do szaleństwa: widział, jak jego najbliżsi giną z rąk własnych krewnych.

Kiedy tego wieczoru Sydonia wróciła z gabinetu ojca, powiedziałam jej o ostrzeżeniu, które usłyszałam od Tyrusa, ale ona zbyła to wzruszeniem ramion i stwierdziła:

– Tyrus to wariat. Nie można brać jego słów zbyt poważnie. I proszę, nie martw się więcej, czy zauważył coś dziwnego w twoim zachowaniu i to zapamięta... On chyba nie pamięta niczego, co dzieje się na tych forach. – Cierpko się uśmiechnęła. – Szkoda, że nie możesz zawsze mnie tam zastępować. Wtedy mogłabym darować sobie życie towarzyskie i poświęcić się wyłącznie studiowaniu gwiazd.

Była w jednym z tych dziwnych stanów oszołomienia, w które wpadała zawsze po tym, jak śleczyła z ojcem nad starymi bazami danych. Wracała od niego zamyślona i pełna optymizmu, odsłaniały się przed nią tajemnice wszechświata.

Pragnęłam, żeby pamiętała o słowach Tyrusa i zastanowiła się nad groźącym jej niebezpieczeństwem, ale kiedy poprosiła, żebym się z nią położyła, chcąc nie chcąc się poddałam. Rozciągnęłam się na materacu. Tej znajomej czynności towarzyszyło dziwne uczucie ciepła. Od pierwszych dni w fortecy Donia gościła się obok mnie tak, jak... jak mogłaby się gościć moja wyimaginowana siostra, i zaczynała mi opowiadać o różnych rzeczach. Jakbyśmy były dwojgiem ludzi, dwiema przyjaciółkami rozmawiającymi ze sobą jak równa z równą. Czasami snuła jakieś historie. Raz zaczęła mi pokazywać litery i oznajmiła, że nauczy mnie czytać. Zajęło jej to kilka tygodni.

Dziś opowiedziała mi, o czym czytała z ojcem w jego gabinecie.

– Wspominałam ci, że nasze ciała są zbudowane z rozmaitych substancji, które nazywa się „pierwiastkami”, prawda? Wiesz, Nemezis, okazuje się, że to jeszcze nie wszystko. Wiesz, skąd się biorą te pierwiastki?

Oparła głowę o moje ramię, a ja poczułam tę dziwną słabość, która dopadała mnie jedynie w jej obecności.

– Nie mam pojęcia. Powiedz.

– One biorą się z gwiazd! Pomyśl tylko. – Podniosła rękę, zachwycona tą myślą. – Każda nasza najmniejsza cząstka jest wynikiem procesu zwanego syntezą jądrową, który zachodzi tylko wewnątrz gwiazd. – Stłumiła ziewnięcie. – Już na samą myśl o tym czuję się dziwnie. Wszyscy jesteśmy gwiazdnym pyłem ukształtowanym w świadome istoty. Helionicy i dawni naukowcy w zasadzie są w tej kwestii zgodni, nawet jeśli nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

Zastanowiłam się nad jej słowami, analizując ich znaczenie. Jeśli to, co mówiła, było prawdą, to to łóżko, otaczające nas mury fortecy i wszystko inne pochodziło od tych światełek połyskujących za oknem.

Zaspana Donia uśmiechnęła się do mnie.

– Mówiłam ci, że jest w tobie ten sam boski płomień co we mnie. Od początku miałam rację, Nemezis.

Zasnęła obok mnie, a ja przez chwilę przyglądałam się, jak jej pierś unosi się i opada. Potem wyslizgnęłam się z łóżka i przeniosłam na swoje miejsce na osobnym posłaniu. Gdy raz po raz przypomiinałam sobie jej słowa, czułam w żołądku dziwny ucisk. Donia miała powściągliwość matki i ciekawość ojca, ale była miłsza niż oni oboje.

Pewnego dnia mogła stać się wielka. Mogła zrobić coś, czego nie udało się dokonać jej ojcu: zjednoczyć dwie frakcje w senacie i połączyć helioników ze zwolennikami powrotu do pracy naukowej... pod warunkiem że zdoła tego dożyć.

A zdoła.

Poczułam gwałtowną determinację.

Dopóki żyję i mogę ją obronić, Donia przetrwa.

Wiele razy słyszałam tę opowieść od Sydonii i kapłana. Stanowiła jeden z najważniejszych helionickich mitów. Wieki temu cała wiedza naukowa i technologiczna, jaką zgromadziła ludzkość, była przechowywana na dyskach olbrzymich superkomputerów, które trzymano na pięciu przeznaczonych do tego celu planetach. Ogromna supernowa zmiotła je wszystkie w jednej chwili. Dla wszystkich helioników było to ważne wydarzenie. Uważali, że Żywy Kosmos wyraża swoją wolę za pośrednictwem gwiazd. Interdykt – ich duchowy przywódca – ogłosił, że zniszczenie spowodowane przez tę supernową to boski akt.

Był to druzgocący cios dla cesarstwa. Ówczesny władca zjednoczył swoje imperium dla wspólnej sprawy i ogłosił helionicką krucjatę. Wierni sukcesywnie niszczyli inne składowiska wiedzy naukowej i technologicznej. Zakazano kształcenia w dziedzinie nauk ścisłych, uznając je za bluźnierstwo. Od tamtej pory nie stworzono żadnych nowych technologii. Ludzie dysponowali wyłącznie statkami kosmicznymi i maszynami zbudowanymi przez ich przodków przed uderzeniem supernowej. Statki

wciąż działały, bo naprawiały je maszyny, naprawiane z kolei przez inne maszyny. Wszystkie jednak powoli niszczały. Cała ta technologia spoczywała wyłącznie w rękach grandecji.

Zbędnicy, czyli ludzie, którzy mieszkali na planetach i podlegali zwierzchnictwu cesarza, musieli się zadowalać maszynami pożyczanymi od postawionych wyżej w hierarchii grandesów. Nauka była bluźnierstwem, więc nie mieli szansy zbudować własnych statków kosmicznych.

Podział na zbędników i grandecję był fundamentem trwałości imperium.

Nawołując członków senatu, żeby zakwestionowali zakaz kształcenia, senator von Impirian zagroził tej harmonii. Wizyta inkwizytora sygnalizowała, że cesarz jest coraz bardziej zniecierpliwiony jego poczynaniami.

Senator nie przejął się jednak tym ostrzeżeniem.

Pewnego wieczoru cesarz nawiązał z nim łączność. Odgłosy awantury, która się wtedy rozpętała, wyrwały mnie ze snu. Donia spała dalej, bo nie miała tak wrażliwego słuchu jak ja. Zsunęłam się z posłania i pobiegłam korytarzem. W atrium senatora zobaczyłam, jak matriarchini w koszuli nocnej okłada męża, a senator usiłuje uniknąć ciosów.

– Ty głupcze! Ty GŁUPCZE! – krzyczała matriarchini. – Myślałeś, że nikt się nie dowie? Twoje działania doprowadzą tę rodzinę do upadku!

Podeszłam i odciągnęłam matriarchinię od męża. Była krzepka, lecz jej siła nie mogła się równać z moją. Senator odsunął się na chwiejnych nogach, poprawiając tunikę.

– Kretyn! Drań! Już po nas! – krzyczała matriarchini, próbując uwolnić się z mojego uścisku.

– Moja droga – powiedział senator, rozkładając ręce – są sprawy ważniejsze od tego, czy ktoś przeżyje, czy umrze.

– A nasza rodzina? A nasza córka? Wszystko stracimy! – Odwróciła się i uwiesiła mojej ręki. – Zabierz mnie stąd. – Z wściekłością spojrzała mi w oczy. – Nie zniosę dłużej jego widoku!

Zmierzyłam wzrokiem wstrząśniętego senatora, a potem odciągnęłam jego żonę. Matriarchini cały czas się szamotała, trzymałam ją jednak i ruszyłam z nią w stronę jej komnat. Gdy dotarliśmy na miejsce, natychmiast opadła na fotel i wbiła palce w obicie.

– Już po nas... Wszyscy jesteśmy skończeni...

– Co się dzieje? – spytałam. – Niech mi pani natychmiast powie.

Nikt nie wydawał rozkazów matriarchini, ale jeśli życie Sydonii było w niebezpieczeństwie, musiałam jak najszybciej się o tym dowiedzieć.

– A jak myślisz? – odparła. – Mój mąż wykonał ruch przeciwko cesarzowi! Ten głupiec myślał, że jest sprytny. Cesarz nie chciał złagodzić restrykcji dotyczących kształcenia, więc ten kretyn, mój mąż, wybrał okreśną drogę i przesłał dane z tych starych głupich baz jakimś zbędnikom.

– Zbędnikom – powtórzyłam wstrząśnięta. Czyżby senator oszalał? – Chce, żeby skazano go na śmierć?

Matriarchini wykrzywiła usta.

– Temu imbecylowi wydaje się, że może zmusić cesarza do działania. Myśli, że jeśli spełnią się najgorsze obawy cesarza i zbędnicy zaczną budować własne statki kosmiczne, cesarz rozkaże grandecji, by poszła za ich przykładem. Myśli, że dzięki temu cesarz spojrzy na sytuację jego oczami.  
– Gorzko się roześmiała. – Oczywiście się przeliczył. Cesarz kazał zabić tych zbędników. Właśnie nas zawiadomił, że wie o udziale mojego męża w tym nieudanym przedsięwzięciu.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze.

– Senator staje się zagrożeniem dla całej rodziny. Niech mi pani pozwoli...

– W żadnym razie, nie zabijesz go. – Zerwała się z miejsca. – Nie rozumiesz, że jest już za późno? Trzymamy karki pod cesarskim toporem. To już przesądzone. I jak zwykle to ja muszę posprzątać bałagan, którego narobił mój mąż. – Zamknęła oczy i kilka razy zaczerpnęła tchu, żeby się uspokoić. – Pozostaje nam tylko czekać. Cokolwiek się stanie, będziemy chronić interesy mojej córki. Bez względu na koszty.

– Bez względu na koszty – powtórzyłam. Jeśli miałyby to oznaczać konieczność potajemnego zabrania Donii z fortecy, byłam gotowa to zrobić.

Matriarchini chwyciła mnie za nadgarstek.

– Ani słowa Sydonii o tym, co tu usłyszałaś. Zbliża się forum towarzyskie. Moja córka nie może mieć poczucia winy. Jeśli będzie sprawiała wrażenie zupełnie nieświadomej tego, co się dzieje, dotrze to do rodziców innych dzieci. Gdyby się dowiedziała, co zaszło, nie byłaby w stanie ich oszukać. Moja córka ma wiele umiejętności, ale kłamanie z pewnością do nich nie należy.

Powoli pokiwałam głową. Niewinność Donii była jej jedynym zabezpieczeniem. Nic nie mogło jej osłonić równie skutecznie jak niewiedza – nawet ja.

– Nic jej nie powiem – zapewniłam matriarchinię.

Donia naprawdę nie potrafiła kłamać.

Miała jednak szczęście, bo ja kłamałam jak z nut.

Gdy tego wieczoru wróciłam do jej komnaty, poruszyła się i potarła zaspane oczy.

– Nemezis, czy coś się stało?

– Nie – odpowiedziałam uspokajająco. – Nie mogłam spać. Poszłam poćwiczyć.

– Żebyś tylko – powiedziała, ziewając – nie naciągnęła sobie... mięśnia.

Wykrzywiłam usta w uśmiechu.

– Nigdy mi się to nie zdarza. Śpij dalej.

Znów pogrzyżyła się w niewinnym śnie.

Ja tej nocy nie zmrużyłam już oka.

Cesarz szybko wykonał następny ruch. Kazano mi się stawić w komnatach matriarchini.

Rzadko mnie do siebie wzywała, więc zaczęłam się denerwować. Gdy tam weszłam, matriarchini leżała na niskograwitacyjnym łóżku, a kosmetobot farbował jej siwe odrosty i wygładzał zmarszczki na twarzy. Matriarchini wyglądała jak dwudziestoparolatka. Miała słabość do tak zwanej sztucznej młodości. Jedynie oczy zdradzały jej prawdziwy wiek – żadna młoda osoba nie potrafiłaby na mnie spojrzeć tak jak ona w tej chwili.

– O, Nemezis. Właśnie poddałam się opiatowemu masażowi. Spróbuj, jeśli masz ochotę.

Jej propozycja mnie zaskoczyła. Zauważyłam słoik stojący obok jej łokcia. Opiaty miały postać balsamu, który wcierało się w skórę. Senator chętnie poddawał się temu zabiegowi, ale matriarchini korzystała z niego rzadko. Potępiała ten zwyczaj, nazywając go oznaką słabości. Sama nadużywała jedynie substancji wyostrajających umysł i wzmagających czujność.

– Na mnie nie zadziała.

Gwałtownie odsunęła rękę od kosmetobota, wykonując zniecierpliwiony gest.

– No jasne, wy, diaboliki, za szybko metabolizujecie takie substancje. Nigdy się nie dowiesz, jak to jest poczuć dreszcz wywołany dobrym odurzeniem.

– Ani jak to jest poczuć palący ból wywołany przez śmiertelną truciznę – przypomniałam jej.

Oparła policzek o zaciśniętą pięść i przyjrzała mi się. Pod wpływem narkotyku jej źrenice zrobiły się maleńkie, a w jej ruchy wkradła się nietypowa dla niej niedbałość. Czekałam w napięciu, aż wyjawi mi powód wezwania.

– Szkoda, że nie możesz tego poczuć – powiedziała w końcu, zanurzając palec w opiatowym balsamie i wcierając go w przegub dłoni – bo przypuszczam, że niedługo będziesz potrzebowała znieczulenia równie mocno jak ja.

– Dlaczego?

– Cesarz rozkazał nam posłać córkę do Chryzantemum.

Poczułam się, jakby ktoś walnął mnie pięścią w brzuch, i przez chwilę nie mogłam złapać oddechu. Słyszałam jedynie łomot własnego serca.

– Co? – szepnęłam. – Chce ją widzieć na swoim dworze?

– Och, właśnie tak to działa – odrzekła z goryczą. – Moi rodzice narazili się cesarzowi, więc skazał na śmierć mojego brata. Rzadko uderza bezpośrednio. To przez tę jego przeklętą matkę. *Grandeé* Cygna uważa, że cios w serce jest bardziej bolesny...

Zanim się obejrzałam, znalazłam się na drugim końcu pokoju. Zacisnęłam dłonie na ramionach matriarchini. Były mocniejsze niż ramiona Sydonii, ale je także mogłabym zmiażdżyć bez żadnego wysiłku.

– Sydonia nigdzie nie pojedzie – mówiłam cichym, zwierzęcym głosem, a serce ścięła mi zimna, mroczna złość. – Prędzej was zabiję, niż pozwolę, żebyście posłali ją na śmierć.

Spojrzała na mnie i zamrugała. O dziwo, wydawała się zupełnie nieporuszona moją pogroźką.

– Nemezis, nie mamy wyboru. On żąda, żeby stawiała się tam przed upływem trzech miesięcy. – Jej usta wykrzywiły się w wymuszonym uśmiechu i podniosła rękę, szczypiąc mnie w policzek długimi paznokciami. – Właśnie dlatego zamierzam cię posłać do Chryzantemum zamiast niej. Ty będziesz Sydonią Impirian.

Dopiero po chwili dotarły do mnie jej słowa, choć wciąż nie pojmowałam ich sensu.

– C-co?

– Ale masz minę! – parsknęła urywanym śmiechem, ale cały czas świdrowała mnie przenikliwym spojrzeniem, ani razu przy tym nie mrugając. – Czy muszę się powtarzać?

– Mnie? – Pokręciłam głową. Nie przepadałam za matriarchinią, ale zawsze myślałam, że jest inteligentna. Zdrowa na umyśle. – Naprawdę zamierza pani wysłać mnie jako Sydonię?

– Och, oczywiście będzie to wymagało pewnych modyfikacji. – Jej wzrok przesunął się po moim ciele. – Wszyscy znają jedynie awatara Sydonii, który przypomina ją w równie niewielkim stopniu co ty. Twoja karnacja, twoje mięśnie... To wszystko da się zmienić. A jeśli chodzi o zachowanie, wezwałam swoją marszałkinię etykiety, żeby nauczyła cię podstaw zachowania wśród arystokracji, które wpoila mi, gdy byłam jeszcze dziewczynką...

Zrobiłam krok do tyłu. Ta kobieta postradała zmysły.

– Marszałkini etykiety nie może dać mi człowieczeństwa. Wystarczy jeden rzut oka, żeby poznać, że się od was różnię. Sama pani tak mówiła, i to wiele razy.

Matriarchini przechyliła głowę i w jej oczach pojawił się złośliwy błysk.

– Owszem, mówiłam. To zimne, bezlitosne spojrzenie... zupełnie pozbawione empatii. Znak rozpoznawczy diabolików! Przypuszczam jednak, że będziesz pasowała do tego gniazda żmij lepiej, niż ci się wydaje. – Cicho się roześmiała. – Z pewnością lepiej niż Sydonia.

Wstała, szeleszcząc suknią i wciąż się uśmiechając.

– Cesarz chce, żebym posłała swoje niewinne jagniątko na rzeź. Niedoczekanie. Zamiast tego przyślę mu swoją anakondę.

## ROZDZIAŁ 4

Gdy wróciłam, Sydonia była w swojej pracowni, rysowała miskę z owocami. Mój wzrok wyłowił jej delikatną sylwetkę oświetloną leciutkim blaskiem gwiazd wpadającym przez okna. Spojrzałam na tę wątłą postać, w którą miałam się wcielić, i spróbowałam wyobrazić sobie siebie w tej roli.

To było zupełne, totalne szaleństwo. Jakby tygrys miał zagrać kotka. Nie, nie tygrys – coś bardziej potwornego i nienaturalnego.

Wróciłam myślami do stworzenia, którym kiedyś byłam – zanim się dowiedziałam, jak mam na imię, zanim mnie ucywilizowano.

Przypomniałam sobie nieustanny głód i strach. Przypomniałam sobie złość, którą poczułam, odkrywszy, że granice mojego świata są wyznaczone przez ściany kojca. Przypomniałam sobie, jak po raz pierwszy dopuścili mnie do innego stworzenia. Byłam taka głodna, że zabiłam je i zjadłam. W całości. Wiedziałam, że postąpiłam słusznie, bo potem zwiększyli mi racje żywnościowe.

Niewiele wtedy rozumiałam, ale potrafiłam zauważyć przyczynę i skutek. Gdy trzeba było wyeliminować słabsze diaboliki, dawano je tym silniejszym. Czasami po prostu podsuwali nam do zabicia coś małego i słabego. Chcieli się upewnić, że nie okazemy litości. Pamiętam dziewczynę, którą wepchnęli mi do zagrody. Drżała wciśnięta w kąt. Wściekłam się, kiedy spróbowała wypić moją wodę, zjeść moje jedzenie. Zabiłam ją jak wszystko inne.

Ta dziewczyna była jak Donia – równie mała i równie słaba.

Właśnie tak wyglądało wówczas moje życie. Śmierć i strach. Ciągłe się bałam. Bałam się każdej następnej sekundy, następnej minuty, następnej godziny. Nie wybiegałam dalej w przyszłość, bo wtedy nie było dla mnie przyszłości.

Moje życie nie miało kształtu ani celu, byłam pozbawiona godności. A potem pojawiła się Sydonia. Nie znałam współczucia, dopóki mnie z nią nie związano i nie nauczono kochać. Teraz już miałam przyszłość – to była jej przyszłość. To Donia była przyczyną wszystkiego, co było we mnie dobre i wartościowe.

Teraz musiałam stać się Sydonią. Wydawało mi się to niepojęte, niemożliwe. Czułam obrzydzenie na samą myśl, że taka istota jak ja mogłaby udawać kogoś tak cudownego jak ona – już sam ten pomysł był profanacją.

Odwróciła się od rysunku i lekko podskoczyła.

– Nemezis! Nie słyszałam, jak wchodzisz... Coś się stało? – Z zatroskaniem przyjrzała się mojej twarzy.

Tylko ona wyczuwała subtelne zmiany mojego nastroju. Połknęłam gulę, która nagle urosła mi

w gardle.

– Nie, nic się nie stało. Wszystko w porządku – powiedziałam.

Nie miałam duszy, a moje serce było bardzo małe, ale w całości należało do niej.

Cesarz chciał, żeby przysłano mu Sydonię, więc polecę do niego zamiast niej. Zupełnie mnie to nie przerażało, ani trochę się nie bałam. Cieszyłam się, że mogę to zrobić.

Udawanie Sydonii mogło ją ocalić, więc nie miałam innego wyjścia.

Zrobię to.

Marszałkini etykiety przybyła jeszcze przed upływem dwóch tygodni. Razem z Sydonią patrzyłyśmy, jak statek wślizguje się przez wrota fortecy. Sydonia nadal nie miała pojęcia, dlaczego marszałkinię etykiety wezwano do Chryzantemum, więc zinterpretowała tę wizytę po swojemu.

– Pewnie matka chce mnie przygotować do odwiedzin u jakiejś innej rodziny – mruknęła. – Nie ma powodu, żeby poddawała mnie teraz szkoleniu. Mam tylko nadzieję, że nie zamierza mnie wydać za mąż.

Po przybyciu Sutery nu Impirian Donia na znak protestu wycofała się do swoich komnat, ale nie poszłam za nią. Wezwała mnie matriarchini. Powinnam była przecież słuchać tej kobiety i uczyć się od niej.

Sutera nu Impirian była zbędniczką, nie należała do grandecji, jednak w przeciwieństwie do większości przedstawicieli swojej klasy deklarowała się jako żarliwa zwolenniczka cesarstwa oraz zaprzysięgła sojuszniczka rodziny Impirianów, której chętnie świadczyła swoje usługi. Zdobyła dzięki temu honorową część „nu” oraz rodzinne nazwisko.

Gdy się zjawiała, czekałam wraz z matriarchinią w przedsionku. Sutera na chwilę zatrzymała się w drzwiach i przyłożyła upierścienioną rękę do serca, by okazać matriarchini posłuszeństwo. Z miłością wpatrywała się w oczy dawnej wychowanki.

Od razu pomyślałam, że nie może być prawdziwą istotą ludzką.

Jej skóra nie miała gładkości i śniadego odcienia, który tak upodobali sobie matriarchini i senator. Charakteryzował ją nierówny koloryt, jakby kosmetoboty pominęły pewne miejsca podczas aplikowania melaniny. W dodatku wydawała się zniszczona, jakby za duża, była też pomarszczona i gdzieś tam naznaczona plamami.

Wygląd gościa zaskoczył chyba nawet matriarchinię, która przez chwilę jedynie mrugała, jakby wpadło jej coś do oczu. Potem wyciągnęła rękę.

– Witaj, moja droga Sutero.

Sutera nu Impirian posłusznie podeszła do matriarchini i wzięła ją za rękę. Zbliżyła je do swoich policzków i padła na kolana.

– Och, *grandeé* von Impirian, wyglądasz równie świeżo jak w dniu, w którym cię poznałam. A ja... tylko spójrz, jakie spustoszenia czyni w ludzkim organizmie planetarne życie.



– Bzdura – odrzekła matriarchini z uprzejmym śmiechem. – Sesja u moich kosmetobotów i terapia telomerowa powinny...

– Och, nie. Wiatr, brud, promieniowanie słoneczne. Na planetach żyjemy wzgardzeni przez Słońce. – Sutura podniosła się z podłogi i dodała: – Wszędzie te zapachy. I ta wilgoć! Och, moja *grandeé*, nie wyobrażasz sobie, jak to jest. Za mało wilgoci i twoja skóra pęka i krwawi, za dużo wilgoci i każdy oddech wymaga wysiłku. Podłe życie. Och, a w dodatku mieszkańcy planety rozmnażają się bez opamiętania, jest mnóstwo rodzin z dwojgiem albo nawet trojgiem dzieci... Nic dziwnego, że bez przerwy brakuje im zasobów! Mogłabym ci opowiedzieć takie historie, że...

Uśmiech matriarchini zniknął w jednej chwili i jej oblicze stało się surowe.

– Może lepiej nie. Chyba powinnaś odpocząć po długiej podróży, zanim znowu będziemy mogli porozmawiać.

W tych słowach zawierało się jasne ostrzeżenie: Sutura nu Impirian nie przybyła tu jak równa do równej i nie była gościem. Miała raczej świadczyć usługi. Choć matriarchini lubiła swoją dawną marszałkinię etykiety, męczyło ją słuchanie jej opowieści, nie mogła znieść tego, że kobieta bez przerwy mówi o sobie.

Sutura szybko się zreflektowała. Uniosła brodę, przybierając maskę dumnej profesjonalistki.

– Oczywiście, ale nie zdołam zasnąć, jeśli najpierw nie zobaczę Sydonii i nie dowiem się, nad czym musimy popracować. Czy mogłabyś ją zawołać... – Jej spojrzenie zatrzymało się na mnie i zamilkła.

Patrzyłam prosto na nią i matriarchini wydawała się rozbawiona, widząc, jak marszałkini etykiety próbuje zgadnąć, kim jestem. Nie wyglądałam na serwitorkę, ale zdecydowanie nie byłam też Sydonią Impirian.

– A cóż to za stworzenie? – spytała w końcu Sutura.

– To Nemezis – odparła matriarchini.

Marszałkini etykiety zmrużyła oczy, próbując skojarzyć imię z rodzajem istoty. Przyglądałam się jej uważnie, bo wcześniej matriarchini wspomniała, że zbędnicy wiedzą o istnieniu diabolików – byliśmy dla nich zagadkowymi, groźnymi stworzeniami rodem z mitu. Na pewno nie byli jednak zaznajomieni z konwencjami dotyczącymi nadawania nam imion ani z charakterystycznymi cechami naszego wyglądu, więc Sutura raczej nie powinna była zgadnąć, kim jestem.

– To ukochana pupilka mojej córki i jej najbliższa towarzyszka – przemówiła znowu matriarchini, wrywając Suterę z zamyślenia. – Sydonia jest... – Przez chwilę szukała odpowiedniego określenia. – To krnąbrne dziecko, ma wielką skłonność do dziwactw.

– Wybiję jej z głowy dziwactwa.

– Niestety nie. Nie jest podobna do mnie. Jest nieśmiała, lecz bardzo uparta. Nie, wykorzystasz Nemezis.

– Nemezis? – powtórzyła głucho Sutura.

– Będiesz uczyła Nemezis, tak jak uczysz Sydonię.

– Mam uczyć to coś? – spytała marszałkini etykiety, zachodząc w głowę, co to wszystko znaczy. –

Senator też sobie tego życzy?

– To, czego życzy sobie mój mąż, nie ma tu najmniejszego znaczenia. Pozostawił tę sprawę wyłącznie w mojej gestii. A ty doskonale wiesz, czego oczekuję. Wyszkol je obie.

Matriarchini spojrzała na mnie, świdrując mnie wzrokiem. Nasz sekret niebezpiecznie zawisł między nami. Sutura nu Impirian była lojalna wobec tej rodziny, co więcej, poślubiła pomniejszego namiestnika księżycy z sąsiedniego układu gwiazdnego. Nie stwarzała żadnego zagrożenia i można było mieć pewność, że zachowa w tajemnicy drobne sekrety w rodzaju przebywania dziwnej klasy humanoida w domu swojej pani...

Wysłanie mnie zamiast Sydonii w charakterze cesarskiego zakładnika było jednak sprawą zupełnie innego kalibru. Oznaczało umyślne sprzeciwienie się woli rodziny Domitrianów. Zdradę stanu.

Marszałkini etykiety nie mogła poznać prawdy.

– Nemezis i Sydonia zostaną poddane szkoleniu razem. Gdy Sydonia zobaczy, że Nemezis się uczy i doskonali, powściągnie swoje buntownicze zapędy i też będzie skłonna współpracować.

– Mam szkolić je obie. – Sutura wciąż mierzyła mnie wzrokiem. – Mogę to zrobić, ale...

– Jakież obiekcje? – spytała matriarchini.

– Nie wobec twojej propozycji, *grandeé*. – Sutura podeszła do mnie małymi kroczkami i ostrożnie trąciła moją rękę. Potem, ośmielona, zaczęła obmacywać ramię. – Ależ ona krzepka.

Spoglądałam z góry na tę dziwną małą istotę, która mną poniewierała. Jej obwisła skóra o nieregularnym kolorycie wprawiała mnie w równie wielkie zdumienie jak ją moje mięśnie i wzrost.

– Jest niebywale... wielka. Nie wyobrażam sobie, żeby zdołała nabrać wdzięku, którego będę od niej wymagać.

Matriarchini się roześmiała. Wzięła Suterę pod rękę i poprowadziła ją w stronę drzwi.

– Obserwowałaś kiedyś tygrysa? Prawdziwego, takiego jak te, które trzymają w Chryzantemum. Nie mówię o tych kotkowatych zwierzętach na krużgankach. Prawdziwe tygrysy to same mięśnie i ścięgna, mają szczęki tak mocne, że mogłyby przegryźć najsilniejszego z ludzi. A jednak gdy widzisz, jak się skradają, jak polują, sama ich siła sprawia, że mają więcej gracji niż najpiękniejsze spośród najdelikatniejszych stworzeń. Właśnie taka jest Nemezis.

Nazajutrz marszałkini etykiety zjawiła się w komnatach Donii. Była już po sesji z udziałem kosmetobotów, które przemieniły ją nie do poznania – z powiek zniknęły zmarszczki, w miejsce piwnych tęczywek pojawiły się niebieskie, a włosy stały się szkarłatnorude. Zmarszczki na twarzy też zostały wygładzone, lecz tak naprawdę nic nie było w stanie ukryć oznak zmęczenia. Pewnie właśnie

to miała na myśli matriarchini, gdy mówiła, że ktoś „wygląda staro”.

Sutera nu Impirian spodziewała się chyba najgorszego, bo na widok Sydonii, obdarzonej delikatną urodą i zupełnie niepodobnej do mnie, jej twarz się rozpromieniła.

– O Sydonio, to dla mnie wielki zaszczyt. Pamiętam, gdy to twoja mama wyruszyła w gwiazdną podróż...

– Wybieram się w jakąś podróż? – spytała ostro Donia. – Wiedziałam, że matka chce mnie gdzieś wysłać!

Zdumiona Sutera zamilkła.

– W końcu i tak będziesz musiała opuścić dom. Przecież nie możesz tu gnić do końca życia.

– Nie chcę nigdzie wyjeżdżać.

– Ale masz w imperium rolę do odegrania.

– To moi rodzice mają w imperium rolę do odegrania. Mnie polityka wcale nie interesuje.

Sutera zmarszczyła brwi i wyjęła wachlarz.

– Twoja matka ostrzegała, że jesteś dość... krnąbrna.

Wachlarz przykuł moją uwagę.

„To broń”, przebiegło mi przez głowę. Nie odrywałam od niego wzroku. Ten przedmiot nie mógł służyć innemu celowi. Wysoko urodzeni grandesi nie powinni byli okazywać słabości, otwarcie nosząc broń, więc, jak dowiedziałam się od Donii, ukrywano ją pod postacią niewinnych przedmiotów. Sutera przez całe życie uczyła się i nauczała zwyczajów grandecji, więc z pewnością przejęła także ten zwyczaj.

Co mogło być w środku? Ostrze? Bat?

– Myślę, że zaczniemy od twojego wyglądu – powiedziała marszałkini etykiety, odzyskując panowanie nad sobą. – Z pewnością znasz już podstawy stylu i automodyfikacji. Musisz podjąć decyzję w sprawie swoich cech charakterystycznych.

Ostatecznie to ja musiałam zdobyć całą tę wiedzę, więc wtrąciłam się, pytając:

– A co to takiego?

Sutera spojrzała na mnie ze złością. Wprawdzie musiała uczyć nas obie, ale najwyraźniej uznała, że kształcenie mnie to marnowanie jej czasu i talentu.

– W kręgach grandecji każdy aspekt wyglądu można modyfikować zgodnie z obowiązującą modą. Nikt nie zna twojego prawdziwego wieku, odcienia skóry, koloru włosów, kształtu ust, wagi, układu powiek czy innych cech. Dziecko pochodzące ze znamienitej rodziny ma środki pozwalające do woli zmieniać wygląd, lecz szybko odkrywa, że zbyt częste metamorfozy spotykają się z wielką dezaprobatą. Na przykład zawsze trzeba zachowywać płęć, z którą się identyfikujesz. Poddawanie się resekwencjonowaniu chromosomowemu pod wpływem chwili albo na jedną imprezę uważa się za oznakę rażącego braku ogłady. Ponadto, przez wzgląd na dobre maniery, kilka cech musi pozostawać

niezmiennych, żeby można było cię zidentyfikować. To cechy charakterystyczne: moimi są na przykład usta i podbródek. – Z gracją wskazała na swoją twarz, a jej aksamitne wargi rozciągnęły się w uśmiechu. – Nigdy ich nie zmieniam.

Przyjrzałam się jej ustom i podbródkowi, zastanawiając się, dlaczego aż tak się nimi szczyci.

– Sydonio Impirian, pomogę ci dokonać właściwego wyboru – powiedziała, a po chwili dodała: – Tobie oczywiście też, Nemezis dan Impirian.

– Ona nie jest „dan” – poprawiła ją nagle Donia. – Z pewnością zauważyłaś, że nie jest prawdziwą serwitorką.

– To niedorzeczne, moje dziecko – zaszczebotała Sutura. – Każdy, kto należy do twojej rodziny, ma przed nazwiskiem cząstkę „dan”, zarówno serwitorzy, jak i inne humanoidy.

Donia zacisnęła swoje drobne dłonie w pięści.

– Nemezis jest inna.

– Czyżby? – Sutura uniosła brwi. – Kupili ją twoi rodzice. Specjalnie dla ciebie. Pełni określoną funkcję. Pod tym względem niczym nie różni się od serwitora. Jest zatem Nemezis dan Impirian.

– Przestań z tym „dan”, bo inaczej powiem matce, że mam dość tego szkolenia – ostrzegła Donia głosem drżącym ze złości.

– Doniu... – próbowałam ją uspokoić. Nie było sensu tak się zaperzać w mojej obronie.

Jednak w tych sprawach nigdy nie dawała za wygraną. Uniosła brodę.

– Nemezis Impirian. Tak masz ją nazywać w mojej obecności.

Sutura roześmiała się lekceważąco.

– Och, więc teraz jest twoją bliską krewną?

– Nie o to...

– No cóż, skoro już mamy się bawić, to może po prostu nazywajmy ją Nemezis von Impirian i uznajmy za głowę twojej rodziny. Ma pani dla mnie jakieś polecenia, madame von Impirian? – Sutura pokłoniła mi się, zawierając w tym geście jawną drwinę.

– Dość tego – oznajmiła Donia. – Nie będę tego tolerowała.

Odwróciła się i wyszła.

Zdumiona Sutura zamrugnęła, odprowadzając ją spojrzeniem.

– Na gwiazdy – mruknęła po chwili. – Sprawa wygląda beznadziejnie.

Poszłam za Donią i już wtedy wiedziałam jedno: skoro marszałkini etykiety uznała spadkobierczynię Impirianów za przypadek beznadziejny, to lepiej, by nigdy się nie domyśliła, że tak naprawdę wezwano ją tu, by nauczyła manier diabolicznych.

## ROZDZIAŁ 5

Tego wieczoru obie z Donią nie mogłyśmy zasnąć. Donię wyraźnie zabolęła ostra reprimenda, którą otrzymała od matriarchini za swoje zachowanie, ja natomiast wciąż myślałam o tym, co Donia powiedziała na mój temat.

W końcu przerwałam milczenie:

– To prawda.

– Co?

– Jestem Nemezis dan Impirian.

– Wcale nie. – Donia odwróciła się w stronę okna.

Wpatrywałam się w jej wątle łopatki.

– Jestem stworzeniem należącym do twojej rodziny. Nie wiem, dlaczego temu zaprzeczasz.

– Jesteś Nemezis Impirian. – Sydonia usiadła i w blasku gwiazd jej oczy zalśniły wściekłością. –

Koniec, kropka.

– Tylko ktoś głupi spierałby się z marszałkinią etykiety z tak błahego powodu jak moje nazwisko. Przecież wiesz, kim jestem. Nie jestem człowiekiem. Jestem diaboliką. Zachowujesz się całkiem jak wtedy, kiedy próbowałaś mnie zabrać na błogosławieństwo. Nadal nie rozumiesz, że się od siebie różnimy?

– Ale Nemezis...

– Masz tego więcej nie robić! – ryknęłam na nią. Nagle wpadłam w furję. – Przestań dyndać mi przed nosem czymś, czego nie mogę mieć! Obie to wiemy. Nie mogę dostać błogosławieństwa i nie mogę się nazywać Nemezis Impirian. Nie ma sensu uczyć mnie czytać ani twierdzić, że tak jak ty pochodzę od gwiazd... To okrutne próbować wtłoczyć mnie w formę, do której nigdy nie będę pasowała.

– Okrutne? – powtórzyła Donia. Nagle do jej oczu napłynęły łzy. – Nie próbuję cię upokorzyć.

Upokorzenie. Skojarzyłam to słowo z tym okropnym doznaniem, które ogarniało mnie, ilekroć widziałam heliosferę i przypomiinałam sobie pierwsze spotkanie z kapłanem. To było upokorzenie mające źródło w mojej naturze, we mnie samej. Nie miało nic wspólnego z Sydonią i nie chciałam czuć go nigdy więcej.

– Nie jestem ci równa. Jestem twoją diaboliką i tyle. Nigdy więcej o tym nie zapominaj.

Jej wargi zadrżały.

– Dobrze – powiedziała po chwili. – Nemezis dan Impirian, skoro jesteś moją własnością, bądź mi posłuszna i przestań mówić, żebym mogła zasnąć. – Po tych słowach gwałtownie odwróciła się na

łóżku i schowała twarz w poduszce, żeby stłumić szloch.

Słuchałam, jak cicho płacze. Za oknem ciemna strona gazowego olbrzyma utworzyła wielką czarną czeluść. Donia była do mnie przywiązana. Wiedziałam, że poczuje się urażona, gdy oszustwo matriarchini wyjdzie na jaw. Zabroni mi stawić się w Chryzantemum zamiast niej. Będzie się bała o moje bezpieczeństwo. Wiedziałam, jaki ból sprawią jej moje działania.

To, co do mnie czuła, miało dla mnie jednak mniejsze znaczenie niż to, co ja czułam do niej.

Zastanawiałam się nad tą sprzecznością, wpatrując się w ciemność. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że w oddaniu może być coś głęboko egoistycznego. Ktoś taki jak ja nie powinien mieć ego ani własnych potrzeb. Wystarczyły mi jedynie trzy godziny snu na dobę, a mimo to leżałam na posłaniu obok łóżka Sydonii, dlatego że ona potrzebowała ośmiu godzin i czuła się bezpieczniej, wiedząc, że przy niej jestem.

W założeniu diaboliki zupełnie nie dbały o własny interes, gdy chodziło o ich pana lub panią.

Wyglądało jednak na to, że ja o niego dbam. Jak to możliwe, skoro nie byłam człowiekiem? Poczucie upokorzenia, egoizm – wszystko to było nienaturalne u takiego stworzenia jak ja. Nienaturalne i nie na miejscu.

Przewróciłam się na drugi bok. Wsłuchiwałam się w spokojny oddech Donii, próbując odpędzić niewygodne myśli.

Po chwili usłyszałam szuranie za drzwiami. Natychmiast wzmogłam czujność.

– Nemezis, chodź.

Szept był cichy, Sydonia nie usłyszałaby go, nawet gdyby nie spała. Zerwałam się z miejsca i podeszłam do drzwi, a potem wyszłam na korytarz.

Matriarchini czekała z rękami splecionymi na piersi.

– Chodź.

Odwróciła się, a ja poszłam za nią bezszelestnie, nie zadając żadnych pytań. Skierowałyśmy się w stronę jej skrzydła fortecy. Nigdy wcześniej nie widziałam tej części komnat matriarchini i byłam zaskoczona, gdy zdałam sobie sprawę, jak niewielką wartość mają zgromadzone tu przedmioty. Spojrzałam na pokraczną kamienną rzeźbę w kształcie ciastowatej ludzkiej sylwetki. Dlaczego ceniła coś takiego?

– Ta figurka pochodzi jeszcze z czasów przed powstaniem pierwszych rolniczych cywilizacji na Ziemi – oznajmiła matriarchini, widząc moje zainteresowanie. – Jest bezcenna.

– Jak to możliwe? Wygląda niezbyt imponująco. Donia wyrzeźbiłaby lepszą.

– Naprawdę nie masz żadnego pojęcia o sztuce. – Wydobyła żelazną skrzynkę i zsunęła z niej pokrywę. Ze środka wyleciał rój bzyzących metalowych robocików, mniejszych niż moje opuszki. Patrzyłam, jak po kolei wysuwają się z nich igły.

– Sutura miała rację – powiedziała matriarchini, przyglądając mi się. – Jesteś taka wielka, że nie

mogłabyś uchodzić za zwykłego człowieka. Będziemy musiały okroić ci mięśnie i przytrzeć kości. Właśnie na tym polega zadanie tych maszyn.

Wpatrywałam się w robociki fruujące jak owady w ogrodzie. Igły połyskiwały w świetle.

– Potrzeba ich aż tyle? – spytałam.

– Każdy wstrzyknie w określone miejsce twojego układu kostnego substancję, która uruchomi procesy degeneracyjne. Zależy nam na gwałtownym skurczeniu. Powiedziałam doktorowi Izarusowi i Impirianowi, że są dla mojego męża – że zrobił się niemodnie opasły i chcę go zmniejszyć do atrakcyjniejszych rozmiarów. Doktor mówi, że proces trzeba powtarzać przez wiele nocy. Na szczęście do twojego wyjazdu do Chryzantemum mamy aż trzy miesiące. Dobrze wykorzystamy ten czas. Co drugą noc, gdy Sydonia zaśnie, będziesz do mnie przychodzić na zastrzyki.

Wstrzymałam oddech – właściwie nie czułam strachu, ale moje serce zabiło szybciej. Adrenalina.

– To chyba bolesne.

– Podobno okropnie – odpowiedziała matriarchini. – Podałabym ci znieczulenie, ale obie wiemy, że na nic by się nie przydało.

Pomyślałam, że zrobię to dla Sydonii.

Zsunęłam ubranie i wyciągnęłam kończyny. Postanowiłam, że nie zobaczy nawet grymasu na mojej twarzy.

– W takim razie zaczynamy.

Przez kilka następnych nocy śniły mi się roje owadów, które kłuły mnie, dźgały i cięły żądłami. Po przebudzeniu czułam w rękach rwanie i świdrujący ból, a łydki i uda miałam lekko spuchnięte. Z trudem ukrywałam swoje cierpienia przed Donią. Byłam wycieńczona i ilekroć szłam do toalety, wiedziałam, że tracę kolejne molekuly mięśni.

Powtarzałam sobie, że robię to dla Sydonii, i obciągałam rękawy, żeby ukryć pokrywające skórę siniaki. Czułam ból przy każdym kroku i miałam wrażenie, że moje kości zmieniły się w olbrzymie drzazgi, ale starałam się nie dawać niczego po sobie poznać.

Możliwe, że tracąc siłę, zaczęłam bardziej przypominać normalną dziewczynę w wieku Donii, ale trudniej mi było wytrzymać kolejne sesje z marszałkinią etykiety. Sutera nu Impirian doszła do siebie po tym, jak Sydonia obraziła ją, wychodząc z pokoju, i zaczęła nas uczyć arystokratycznego chodu – sposobu, w jaki powinniśmy się poruszać podczas audiencji u cesarza. Zwykle żadne zadanie fizyczne nie sprawiało mi trudności, lecz powoli traciłam swoją nadludzką siłę. Opanowałam arystokratyczny krok wcześniej niż Donia, ale moja przewaga była niewielka.

Potem przeszliśmy do żmudnego poznawania substancji chemicznych. To sprawiało mi najwięcej trudności, bo nie czułam żadnych efektów i musiałam udawać doznania, które te środki najwyraźniej wywoływały u Sydonii.

– Pamiętajcie – powiedziała Sutura. Ona też miała rozszerzone źrenice i kołysała się pod wpływem oparów, które przed chwilą wciągnęła. – Odprężenie bez... czego?

– Rozmemłania – odrzekła niewyraźnie Donia.

– Śmiech bez...?

– Histerii.

– I zawsze, zawsze zachowujcie umiarkowanie. Przyjmujcie tylko substancje rekreacyjne, w żadnym razie neurotoksyczne – ciągnęła Sutura, wykonując obrót w takt chemicznego impulsu, za którym podążała. – Uzależnienie to najbardziej nieatrakcyjna z cech. Potrzeba medbotów, żeby naprawiły mózg, a tymczasem wszyscy będą plotkować o skandalicznym zachowaniu młodej Impirianki. A neurotoksyny? No cóż, jeśli po nie sięgniesz, nawet najlepsze medboty w galaktyce nie będą w stanie cię wyleczyć.

Działania niektórych narkotyków Donia nie znosiła dobrze. Te, które dodawały jej energii, wywoływały też niepokój i podenerwowanie. Po tych, które powodowały euforię, zaczynała bredzić. Raz musiałam zmusić Suterę nu Impirian, żeby zakończyła lekcję, bo chciałam położyć Donię spać.

Po kuracji redukującej mięśnie byłam zbyt słaba, żeby móc ją zanieść, więc poprowadziłam ją korytarzem, uwieszoną na moim ramieniu. Przez całą drogę leniwie się do mnie uśmiechała. Potem rozłożyła się na łóżku i z szerokim uśmiechem na twarzy szczebiotała bzdury w rodzaju:

– Jaśniejiesz od środka.

– Wcale nie – zapewniłam ją.

– Tak, Nemezis. Błyszczysz jak gwiazda. Piękna gwiazda. – Wyciągnęła rękę i urzeczona przesunęła palcami po moim ramieniu. – Jesteś supernową.

– W takim razie byłabym dla ciebie bardzo niebezpieczna – powiedziałam, zdejmując jej buty.

– Naprawdę masz w sobie boski płomień. – Do jej oczu napłynęły łzy, które po chwili zaczęły spływać po policzkach. Szczęście ustąpiło miejsca melancholii. – Szkoda, że w to nie wierzysz.

Westchnęłam. Ależ z niej była marzycielka.

– Doniu, śpij.

– Czasami kocham cię tak bardzo, że aż nie mogę tego znieść. Jesteś cudowna, a nawet o tym nie wiesz. – Oprócz powagi w jej głosie pobrzmiwało coś na kształt smutku. Położyłam jej rękę na ramieniu, ulegając impulsowi czułości, którego doświadczałam rzadko i tylko w stosunku do niej.

– Proszę, śpij – namawiałam ją łagodnie.

– Nemezis, jesteś naprawdę cudowna. Chciałabym, żebyś to dostrzegła. Chciałabym, żeby inni też o tym wiedzieli. Chciałabym, żebyś o tym wiedziała.

Ciągle upierała się przy tym dziwnym przekonaniu: że mam w sobie boski płomień. Pogłaskałam ją po ramieniu, zaniepokojona tym, jak bardzo spodobała mi się ta myśl. Jaki pożytek był z diabolików po śmierci? Donia nie będzie potrzebowała mojej ochrony, gdy odejdzie z tego świata.



Bez względu na to, dokąd podąży potem jej dusza, taka istota jak ja nie miała tam wstępu.

– Wygadujesz głupoty – powiedziałam. – Śpij już.

Donia zasnęła, a ja siedziałam, wsłuchując się w jej oddech i próbując pozbyć się dziwnego ciężaru na piersi. Złudzenia nie były mi do niczego potrzebne – a mimo to świadomość, że jedna osoba w tym wszechświecie wierzy w słodkie kłamstwa na mój temat działała na mnie dziwnie pokrzepiająco. Gdybym była mniej zdyscyplinowana, mogłabym nawet czerpać przyjemność z udawania, że się z nią zgadzam.

## ROZDZIAŁ 6

Po wypróbowaniu całej gamy substancji chemicznych zajęłyśmy się nauką tańców. Istniały rozmaite tańce na różne okazje w zależności od warunków grawitacyjnych. Ja zawsze prowadziłam, bo byłam większa i silniejsza od Donii, ale pozycja nie miała najmniejszego znaczenia. Doskonale nauczyłam się obu, przyglądając się, jak Sutura nu Impirian je demonstruje.

Pewnego dnia ćwiczyłyśmy jeden z bardziej skomplikowanych tańców dworskich o nazwie żaba i skorpion. Kobieta wykonywała szybkie, zamaszyste ruchy skorpiona, a mężczyzna dalekie skoki i cofnięcia się żaby. Po pierwszej części tańca skorpion był już właściwie tylko podtrzymywany przez żabę. Taniec odbywał się przy zerowej grawitacji, ale Impirianowie nie mieli specjalnej kopuły. Radziłyśmy sobie najlepiej, jak było można w niskograwitacyjnych komnatach fortecy, w których standardowa siła ciężenia zmniejszona była tylko do jednej trzeciej. Wyrzuciłam Donię w górę i gdy spadała, wyciągnęłam ręce, żeby ją złapać, ale mi się wyslizgnęła.

Nie było tragicznie. Zatoczyła się i złapała mnie za ramię, żeby odzyskać równowagę, co przy niskiej grawitacji przyszło jej z łatwością, ale ja przeżyłam paskudny wstrząs. Ręce drżały mi z wysiłku nawet podczas podrzucania jej przy tak słabym ciężeniu. Donia spojrzała mi w oczy i wiedziałam, że nie uszło to jej uwagi.

Jeśli wieczorem nie poddawałam się kuracji, szybko zapadałam w sen, bo moje ciało potrzebowało odpoczynku, żeby dojść do siebie. Tego dnia, kiedy już spałam, Sydonia potrząsnęła mnie za ramię. Natychmiast się obudziłam.

Nawet to było niezwykle. Zazwyczaj budziłam się błyskawicznie, wystarczył najcichszy dźwięk.

– Jesteś chora?

– Chora? – wymamrotałam.

– Ostatnio wydajesz się bardzo zmęczona. Nie chcę nic mówić, ale wiszą na tobie ubrania. Nemezis, ty marniejesz w oczach.

– Nic mi nie jest.

– Chyba powinniśmy wezwać doktora Izarusa.

– Muszę się tylko wyspać.

Mimo moich zapewnień, że wszystko jest w porządku, każdego dnia Donia przyglądała mi się z coraz większym niepokojem. Wreszcie matriarchini uznała, że osiągnęłam odpowiednie rozmiary. Nie miałam już krzepkiej sylwetki tygrysa – przypominałam teraz smuklejsze zwierzę, na przykład rysia. W końcu mogłam uchodzić za zwyczajną, choć niezwykle wysoką dziewczynę, ale z pewnością nie za diabolikę.

Gdy skończyły się zastrzyki, odczułam ulgę. Miałam teraz więcej siły, niż przypuszczałam. Wprawdzie nie mogłam bez wysiłku ćwiczyć w komnatach wysokograwitacyjnych, ale znowu byłam w stanie w nich chodzić. Nawet po redukcji mięśni byłam znacznie silniejsza od przeciętnego człowieka.

– Przez to będziesz miała utrudnione zadanie – zauważyła matriarchini, gdy stanęłam na rękach na oparciu kanapy. – Byłoby łatwiej, gdybyśmy bardziej cię osłabiły, teraz wciąż będziesz musiała udawać. Zapomnij o takich popisach.

– Chciała pani zobaczyć, co potrafię – przypomniałam jej, powoli unosząc jedną rękę i balansując na drugiej. Nie byłam tak silna jak wcześniej, ale moje ciało stało się lżejsze, co w pewnym stopniu kompensowało zmiany, które zaszły w mięśniach. – Miałam panią okłamać?

Patrzyła, jak opuszczam się nad kanapą, a potem unoszę z powrotem. Widziana do góry nogami wyglądała dziwnie i niemal staro.

– Koniec z ćwiczeniami, nawet na osobności. W Chryzantemum ściany mają oczy, a jeśli znowu nabierzesz masy, cała nasza kuracja pójdzie na marne.

Rzuciłam jej spojrzenie spomiędzy dyndających kosmyków. W ręce czułam wspaniałe mrowienie, ale jednak... drżała. Dawniej nigdy się to nie zdarzało, kiedy na niej stałam.

– Wiem o tym. Nie jestem głupia.

– Zaczynaj już teraz. Złóż stamtąd.

Opuściłam nogi i wylądowałam na podłodze. Bolało mnie ramię, więc je rozmasowywałam, nie odrywając oczu od matriarchini.

– Zaczynam już teraz.

Zdążyłam poznać, co to słabość, i jeśli miałam do wyboru ukrywać siłę albo naprawdę być słaba, zdecydowanie wolałam to pierwsze.

Marszałkini etykiety tak bardzo lubiła zabiegi kosmetyczne, że postanowiła podzielić się swoimi umiejętnościami w tym zakresie z nami obiema, nie tylko z Sydonią. Dzięki temu obie miałyśmy teraz rozjaśniające i cieniujące pigmenty pod skórą, a na głowach zmechanizowane rusztowania, które pozwoliły kosmetobotom ułożyć nasze włosy w wymyślne grzywy. Rano obudziłyśmy się z oklapniętymi fryzurami, ale wystarczył jeden rozkaz, a poszczególne części mechanizmu ścieśniały się i przegrupowywały, tworząc z naszych loków dowolną fryzurę, nawet najbardziej skomplikowaną. Po kolejnym rozkazie w naszych włosach pojawiały się pasemka lśniące jak złoto albo srebro lub cokolwiek innego, co akurat pasowało do naszego stroju. Do dyspozycji miałyśmy także światło, które sztucznie zmieniało kolor włosów bez potrzeby uciekania się do pomocy kosmetobotów.

Sydonia nie spała przez kilka nocy, majstrując przy ustawieniach rusztowań, zmieniając kolor włosów na niebieski, stawiając je wszystkie dęba lub sprawiając sobie ciasne loki, które raz po raz

nabierały puszystości po zaaplikowaniu jednego impulsu elektrycznego. Później zabawiała się manipulowaniem swoją fryzurą i uznała, że najbardziej podobam jej się w ciemnobrązowych włosach ułożonych w łagodne fale.

Wreszcie Sutera nu Impirian wyczerpała gromadzoną przez dziesięciolecia wiedzę na temat dworskiej etykiety. Podczas ostatniej lekcji zaprezentowała nas z dumą matriarchini i senatorowi.

– Mając na względzie twoje dobro, moja *grandeé*, proponuję, by cechą charakterystyczną twojej córki Sydonii były te jej piękne oczy. Powinnaś też przyciemnić jej skórę o dwa tony, żeby naprawdę podkreślić ich urodę. Może na śliczny złoty brąz? Och, i jeszcze ten długi, arystokratyczny nos... Coś wspaniałego. Bez względu na późniejsze modyfikacje zawsze powinna najpierw myśleć o tym, jak zwrócić uwagę na swoje oczy i nos.

– A Nemezis? – spytała matriarchini.

Sutera przez chwilę milczała, zaskoczona pytaniem. Spojrzała na mnie i uświadomiła sobie ze zdumieniem, że będziemy utrzymywać pozory do samego końca. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Hm, Nemezis może chyba wybierać dowolnie. Jest doskonale symetryczna, jak wszystkie humanoidy. Moim zdaniem nie można uznać za prawdziwe piękno czegoś, co stworzono w laboratorium, nie sądzisz, moja *grandeé*? – Spojrzała na matriarchinię, szukając u niej potwierdzenia.

Matriarchini patrzyła na nią w milczeniu, coraz bardziej zniecierpliwiona.

– No cóż – podjęła Sutera. – Projektując takie stworzenia jak ona, zawsze dokłada się starań, żeby ich wygląd nie raził, więc jedyne, do czego można mieć zastrzeżenia, to jej nos. Poprawiłabym go. Przynajmniej wyrównałabym tę szpetną górkę na grzbiecie.

Dotknęłam nosa, myśląc o tym, że zanim mnie ucywilizowano, wiele razy złamano mi go w bójkach.

– Wybrałabym jej oczy i kości policzkowe – wtrąciła matriarchini, przyglądając mi się. – Jak myślisz, Sutero?

– No... chyba tak. Jak powiedziałam, można wybrać cokolwiek. – Marszałkini etykiety roześmiała się i z zakłopotaniem dotknęła swoich włosów. – A może by tak zmienić jej karnację?

– Hmm, dobry pomysł – odrzekła matriarchini. – Nigdy nie podajemy humanoidom wspomagaczy melaniny, żeby odróżniały się wyglądem od rodziny, ale Nemezis przydałoby się trochę więcej pigmentu. Nie sądzisz? – spytała, zwracając się do senatora.

– Tak, tak – odezwał się po raz pierwszy. – Jak sobie życzysz.

– Wciąż nie mam pojęcia, jaką funkcję będzie pełniła Nemezis w Chryzantemum – powiedziała Sutera – ale cokolwiek zdecydujesz, moja *grandeé*, oczy to bezpieczny wybór, a wysokie kości policzkowe zawsze są w modzie.

To rzekłszy, przeszła do demonstrowania naszej wiedzy. Bombardowała nas pytaniami. Za

każdym razem udzielałam prawidłowej odpowiedzi. Donię peszyło i stresowało drapieżne spojrzenie matki i kilka razy się pomyliła. Gdy wyświetlano nam podobizny członków rodziny cesarskiej, Donia pomyliła Cygnę z Devineé Domitrian.

Ja odpowiadałam jednak bezbłędnie, bo przecież tylko to się liczyło.

– Doskonale – orzekła matriarchini i elegancko klasnęła w dłonie. – Brawo, Sutero. Są dobrze przygotowane.

– Bardzo dobrze przygotowane – przyznał senator.

Matriarchini świdrowała mnie wzrokiem, a na jej twarzy pojawił się okrutny uśmiech. Patrzyła na swoją anakondę.

Sutera rozpromieniła się, słysząc pochwały swojej pani, i podeszła do niej arystokratycznym krokiem. Uklękła u jej stóp i przyłożyła ręce do serca. Następnie ujęła dłonie matriarchini i senatora i dotknęła nimi swoich policzków.

– Tak się cieszę, mogąc służyć kolejnemu pokoleniu twojego rodu, moja *grandeé*. Mam nadzieję, że pewnego dnia, gdy Sydonia wróci z gwiazd, zobaczę także jej dziecko.

Matriarchini gorzko się zaśmiała.

– Tak, no cóż, mamy nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Dopiero gdy Sutera się oddaliła, Donia zwróciła się do rodziców.

– Dlaczego właściwie to robimy?

Senator i matriarchini wymienili spojrzenia.

– Wiem, że coś się dzieje – ciągnęła Donia, podnosząc głos. – Myślałam, że chcecie mnie wydać za mąż albo odesłać, ale... przed chwilą nie odpowiedziałam na kilka pytań. Nie odpowiedziałam na nie, matko, a ty mnie nie zganiałaś. Co tu się dzieje? – Do jej oczu napłynęły łzy. – O nie, ojczy, masz kłopoty? Przygotowujecie mnie, żebym zajęła twoje miejsce?

– Nie, nie – odrzekł senator. – Nic mi nie grozi, kochanie.

– Nie wierzę ci! Co się...

– Och – prychnęła matriarchini. – Powiedz jej prawdę.

Senator westchnął, a na jego twarzy ukazały się zmarszczki. Przestał się sztucznie odmładzać, odkąd wezwano Sydonię do Chryzantemum.

– No dobrze. Popadłem w niełaskę cesarza, ale nie grozi mi niebezpieczeństwo...

– Ono grozi tobie, Sydonio – dokończyła za niego matriarchini.

Donia wzdrygnęła się, a po jej minie było widać, że doznała szoku.

– M-mnie? – Rzuciła mi zaniepokojone spojrzenie.

Podeszłam do niej.

– Nie bój się.

– Matko, jestem w niebezpieczeństwie? – zawołała Donia.

– Wezwano cię do Chryzantemum, gdzie masz stanąć przed obliczem cesarza – wyjaśniła matriarchini. – Oczywiście chcą, żebyś odpowiedziała za kretynizm twojego ojca. Ale nigdzie nie pojedziesz.

Donia nie była głupia. Wszystko od razu ułożyło się jej w całość – zmiana mojego wyglądu, nasze wspólne szkolenie, a teraz... to.

– Nie – szepnęła.

Senator podszedł do córki i poklepał ją po wątlym ramieniu.

– Twoja matka ma plan, który uchroni cię przed cesarzem. Nie pošlemy cię tam. Skarbie, nigdy nie narazilibyśmy cię na takie niebezpieczeństwo. Zamiast ciebie poleci ona.

– Nie – powtórzyła Donia, energicznie kręcąc głową. Podbiegła i złapała mnie za rękę. – Nie – powiedziała po raz trzeci, patrząc na mnie.

– To konieczność – oznajmiła matriarchini. – Sydonio, nie rozumiesz, że właśnie dlatego kupiliśmy ci diabolikę? Zamówiliśmy Nemezis, żeby chronić swoją córkę. Swoją spadkobierczynię. A teraz Nemezis jest gotowa, żeby nam w tym pomóc.

– To prawda – zapewniłam Donię.

– Więc... więc Nemezis będzie zakładniczką cesarza? – spytała Donia, mocno ściskając moje rękę.

– Mamy nadzieję, że będzie tylko pod jego kuratelą. I że nie stanie jej się nic złego.

– A jeśli wezwał mnie po to, żeby mnie zabić? – zawołała Donia. Odwróciła się do mnie. – Co wtedy?

– Wtedy będziesz bezpieczna ze swoją rodziną – powiedziałam spokojnie.

– Sydonio – odezwał się senator – zrozum, Nemezis nie jest naszą spadkobierczynią. To nasza własność.

Przerażona Donia wodziła wzrokiem od swojej matki do mnie.

– Nie, nie! Nie pozwolę na to! Nawet jeśli na początku uda ci się ich oszukać, co będzie, jeśli ktoś odkryje, kim jesteś?

– Jak miałyby to odkryć? – odrzekłam, spoglądając na siebie. Nie przypominałam już diaboliki.

– Nawet nie przyjdzie im do głowy, kim ona jest – powiedziała matriarchini. – Nigdy nie wpadną na to, że ktoś mógłby mieć czelność zatrzymać żywą diabolikę, a tym bardziej posłać ją zamiast córki do centrum cesarstwa. Nemezis jest dość sprytna, żeby ich zwieść. To doskonali plan.

– Chyba że tam zginie! – krzyknęła Donia. Potrząsnęła mnie za ramię. – Nie możesz tam jechać. Zabraniam ci. Nie pozwolę ci tak ryzykować w moim imieniu! Matko... – Popatrzyła błagalnie na matriarchinię. Po jej policzkach płynęły łzy, ale zobaczyła zimne, twarde jak stal spojrzenie matki, a potem obojętność malującą się na twarzy ojca. – Nie! To wykluczone!

Odwróciła się na pięcie i wybiegła z komnaty.

Dałam jej czas, żeby przetrwała to, czego właśnie się dowiedziała, a potem ruszyłam na poszukiwania. Znalazłam ją w ogrodach fortecy, tuż obok terenu zajmowanego przez tygrysy. Wielkie koty zgromadziły się na skraju wybiegu, zabiegając o jej uwagę, ale Donia tylko tępo patrzyła przed siebie, jakby niczego nie widziała.

– Jak mogłaś? – spytała, gdy tylko mnie zobaczyła. – Jak mogłaś spiskować za moimi plecami? Jak mogłaś to przede mną ukrywać?

– Nie było to szczególnie trudne – odparłam szczerze. – Potrafię kłamać. To jeden z powodów, dla których nadaję się do wyjazdu do Chryzantemum bardziej niż ty.

– A jeśli zginiesz? Co ja wtedy zrobię?

– Jeśli tak, zginę zamiast ciebie. A ty, czego wszyscy chcemy, będziesz żyła.

– Nienawidzę cię. Tak bardzo cię nienawidzę! – Rzuciła się na mnie, bezsilnie okładając mnie pięściami. Jej ciosy odbijały się od mojego ramienia, a ja patrzyłam na nią, lekko zaskoczona gwałtownością jej reakcji. Zaczęłam się martwić, że zrobi sobie krzywdę.

W zaroślach dało się słyszeć szelest – to zaniepokojone hałasem zwierzęta rzuciły się do ucieczki.

Po chwili Donia odskoczyła ode mnie z krzykiem i zapłakana pobiegła do fortecy. W drzwiach zderzyła się z Suterą nu Impirian, która odbywała ostatni spacer przed powrotem na swoją planetę.

Donia padła jej w ramiona, becząc. Sutura odruchowo pogłaskała ją po plecach, ale po chwili się odsunęła.

– Nie, nie, nie mogę na to patrzeć. Co ci mówiłam na temat niestosownego okazywania emocji? Gdy będziesz na cesarskim dworze...

– Nie będę na dworze! – krzyknęła Donia. – Matka mnie tam nie pośle. Pośle Nemezis. To dlatego szkoliliś nas obie.

Wstrzymałam oddech.

– Co? – powiedziała Sutura.

Podeszłam, rzucając Donii ostrzegawcze spojrzenie, ale była zbyt zrozpaczona, by uświadomić sobie, co wyjawia Suterze.

– Rodzice są tacy sami jak ty. Uważają Nemezis za swoją własność. Chcą, żeby mnie udawała, ryzykując życie, jakby nie miało żadnej wartości!

– To zdrada stanu – przeraziła się Sutura.

Te słowa zabrzmiały w moim umyśle jak dzwony pogrzebowe, tylko że te dzwony nie były dla mnie. Sydonia przekroczyła granicę, mówiąc o wszystkim Suterze nu Impirian, i teraz musiałam wziąć sprawę w swoje ręce.

– Doniu.

Mój głos, niski i złowieszczy, nieco ją otrzeźwił. Stała teraz, trzęsąc się na całym ciele, i chudą ręką wycierała łzy z twarzy.

– Doniu, jeszcze o tym porozmawiamy. Ale najpierw, Suteru, muszę ci coś wyjaśnić. – Podeszłam do marszałkini, której nie przyszło do głowy, żeby stawić opór, gdy wyprowadzałam ją z pomieszczenia. – Widzisz, to bardzo skomplikowane...

Donia przez dłuższą chwilę stała jak wryta, lecz chyba nagle domyśliła się, co zamierzam.

– Nemezis... Nie!

Spojrzałam na nią. Nie chciałam tego robić na jej oczach, ale skoro się uparła, pozwoliłam jej patrzeć.

Sutera spoglądała na mnie zaskoczona i zupełnie nieświadoma, co ją czeka. W oczach miała pytanie. Nie zdążyła go zadać.

Skręciłam jej kark.



## ROZDZIAŁ 7

Powietrze przeciął krzyk Sydonii. Sutura upadła na ziemię, a ja odsunęłam się od ciała. Donia podbiegła do marszałkini etykiety i zaczęła nią potrząsać.

– Suterero! Suterero!

– A czego się spodziewałaś? – spytałam cicho.

Sydonia spojrzała na mnie i na jej twarzy zobaczyłam przerażenie, jakiego nie widziałam od dnia, w którym mnie ucywilizowano. Jakby aż do tej chwili nie rozumiała – jakby nie do końca rozumiała – kim jestem.

– Dlaczego? – jęknęła. – Przecież ona nam pomagała.

– Dlatego że powiedziałaś jej coś, czego nie powinna była wiedzieć. Doniosłaby na nas, a wtedy nie mogłabym cię uratować. – Zrobiłam krok w stronę Donii, która wciąż siedziała na ziemi. Odsunęła się, patrząc na mnie z bezbrzeżnym przerażeniem.

Uświadomiłam sobie, że właśnie tego teraz od niej potrzebuję. Nie jej uwielbienia, nie sympatii. Chciałam, żeby mnie zrozumiała. Żeby wreszcie spojrzała na mnie tak jak jej matka, tak jak kapłan – żeby zobaczyła, kim naprawdę jestem. Ścisnęło mnie w gardle na myśl o odrazie, jaką ujrzę na jej twarzy, gdy wreszcie spadną jej klapki z oczu, ale musiałam to zrobić dla jej dobra.

– Nie rozumiesz, Sydonio? – powiedziałam. – Nie jestem twoją przyjaciółką. Przyjaciele są sobie równi. My nie. Nie jestem jednym z tych tygrysów zaprojektowanych genetycznie, żeby były milutkie i odsłaniały przed tobą brzuszki. Nie jestem tu po to, żeby dotrzymywać ci towarzystwa. Jestem morderczynią, mam dla ciebie zabijać, a w razie potrzeby umrzeć dla ciebie. Jestem twoim narzędziem, twoją bronią. Twoją własnością.

– Wcale nie. – Drżały jej usta. – Jesteśmy kimś więcej.

– Być może dla ciebie. Ale nie dla mnie. Nie mogę poczuć tego, co chciałabyś, żebym czuła. – Uklękłam, żeby spojrzeć jej w oczy i przekazać brutalną prawdę. – Dobrze wiesz, kim jestem. Wiesz, że zabiłam jedną z waszych serwiterek. Myślałaś, że zrobiłam to z litości? Zrobiłabym to, nawet gdyby była w pełni sił.

Pokręciła głową, ale nie mogła oderwać ode mnie oczu. Walczyła ze sobą, nie chciała mi uwierzyć – teraz jednak nie była w stanie zaprzeczyć moim słowom.

– Obserwuję cię czasem w heliosferze – powiedziałam, patrząc w głąb niej i wyobrażając sobie te ceremonie, podczas których kapłan mówił o Heliosie i Bożej woli. – Rozmyślasz o wszechświecie. Zastanawiasz się, co cię stworzyło, w jakim celu, jakie znaczenie może mieć twoje życie... Ja nie zadaję takich pytań, bo znam odpowiedzi. Nie jestem dzieckiem twojego Żywego Kosmosu i nie ma

we mnie żadnego boskiego płomienia. Pozwól mi pojechać i zrobić to, do czego zostałam stworzona. Nie walcz z tym.

Donia wstała, wpatrując się we mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy. Wyglądała starzej niż kiedykolwiek dotąd, jakby miała więcej niż osiemnaście lat, jakbym właśnie odebrała jej coś najcenniejszego na świecie.

– Wiem, że zmuszono cię, żebyś mnie pokochała – powiedziała, zaciskając pięści – ale... ale sam fakt, że ktoś wymusił na tobie te uczucia, nie znaczy, że są nieważne albo że ty jesteś mniej ludzka. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Nemezis, i kocham cię. Moje uczucia nie są bezwartościowe tylko dlatego, że obdarzyłam nimi ciebie. Może to, że kocham cię taką, jaka jesteś, oznacza, że moje uczucia są warte więcej, bo mnie nikt do nich nie zmusił, po prostu tak czuję. Postanowiłam cię pokochać. Postanowiłam przejmować się tym, co cię spotka, i nie możesz mi tego odebrać.

– Przebolejesz tę stratę.

– Nie, nie przeboleję. – Pokręciła głową. W jej wytrzeszczonych oczach malowała się rozpacz. – Znaczysz dla mnie więcej, niż kiedykolwiek pojmiesz, więc pozwól, że coś ci teraz powiem: jeśli tam zginiesz, pójdę za tobą.

– Nie rozumiem.

– Jeśli pojedziesz do Chryzantemum i cię zabiją, rzucę się ze śluzy powietrznej. Przysięgam.

Wezbrała we mnie złość.

– Nie wygłupiaj się.

Parsknęła krótkim, obłąkańczym śmiechem.

– Nie obchodzi cię, co czuję, obchodzi cię wyłącznie moje bezpieczeństwo i ja to rozumiem. No więc mówię ci, co się stanie: nie będę bezpieczna, jeśli ty nie będziesz bezpieczna. Albo przetrwasz, albo zginę.

Zerwałam się na nogi, zastanawiając się, dlaczego mówi coś tak głupiego, tak irracjonalnego. Patrzyła na mnie z szaloną, zwycięską miną, jakby w jakimś sensie mnie pokonała, więc syknęłam:

– Cofnij te słowa.

– Nie.

Chwyciłam ją za te jej wątłe ramiona, które z taką łatwością mogłabym pogruchotać, i potrząsnęłam nią tak mocno, że głowa odskoczyła jej do tyłu. Ale z jej twarzy nie znikął wyraz szaleństwa, nawet gdy ryknęłam:

– Odwołaj to!

– Nie!

Utkwiła we mnie spojrzenie, w którym triumf mieszał się z beznadziejnym oddaniem, i po chwili poczułam przypływ bezradnej wściekłości, bo wiedziałam, że nie jestem w stanie wyrwać z niej tych słów. Mogłam ją złamać w pół, mogłam rozdeptać na pył każdą kość w jej ciele, a i tak nie

zdołałabym przewyciężyć tej determinacji, tego szaleństwa.

Wtedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że Sydonia Impirian – potulna, strachliwa, nieśmiała i łagodna – może być nieustraszona.

Puściłam ją, a ona lekko zatoczyła się do tyłu, ale na jej twarzy nadal malowały się ten rozwścieczający upór i determinacja.

– W porządku – powiedziałam.

Wyprostowała się, patrząc na mnie z nadzieją.

– W porządku – powtórzyłam. – Wrócę żywa. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ocalić nie tylko twoje życie, ale i własne. Zrobię to albo zniszczę cesarstwo, próbując.

Zapanowała cisza. Poczułam, że coś się między nami zmienia, być może na zawsze. Złudzenia zniknęły, prawda została obnażona, jakbym ja zobaczyła ją, a ona mnie, i chyba w pewnym sensie po raz pierwszy byłyśmy sobie równe. Zawsze byłam od niej silniejsza, a ona zawsze była ode mnie ważniejsza, lecz teraz w końcu znalazłyśmy się na tym samym poziomie. Moje życie miało teraz taką samą wartość jak jej – dlatego że jej życie zależało od mojego.

Sydonia z godnością przyglądała ubranie. Spojrzała na Suterę i jej twarz stężała. Potem odwróciła wzrok, jakby nie mogła dłużej znieść tego widoku.

– Wybierz swój nos – powiedziała. – Niech twoją cechą charakterystyczną będzie nos. Nie poprawiaj go. Jest wyjątkowy.

Dotknęłam blizny na grzbiecie nosa, osobliwej pamiątki po czasach, w których regularnie doświadczałam przemocy.

– Jak wyjaśnię, że *grandeé* Sydonia Impirian ma tak pokiereszowany nos?

Uśmiechnęła się smutno.

– Przecież potrafisz kłamać, Nemezis. Wymyśl coś.

## ROZDZIAŁ 8

Statkiem, który przyleciał, żeby zabrać mnie do Chryzantemum, kierowali zbędnicy. Po zacumowaniu wylegli z niego bezładną masą, a ich chaotyczne głosy zdominowały przestrzeń.

– ...a więc to jest posiadłość Impirianów...

– ...zawsze byłem ciekaw, jak wygląda...

Nagle poczułam, że ktoś ciągnie mnie za rękę – to była Donia. Kiedy spojrzała mi w oczy, poczułam dziwną pustkę. Mogłyśmy się już nigdy więcej nie zobaczyć.

Po raz ostatni byłam sobą. Wiedziałam, że w chwili, w której pokażę się tym zbędnikom, będę już Sydonią Impirian.

– Gdybym mogła wybrać z całego wszechświata kogoś, kto ma być mną – szepnęła Donia drżącym głosem – to byłabyś to ty, Nemezis.

W ostatnich dniach z zaangażowaniem pomagała zrobić ze mnie lepszą *grandeé*, okazując jeszcze większy entuzjazm niż jej matka. Razem wybrałyśmy dla mnie nowy kolor włosów – ciemny brąz – i nowy, śniady odcień skóry. Donia wybrała ciemne łukowate brwi i długie czarne rzęsy, które wszczepiono mi nad nowymi, zielonymi oczami. Bez końca doradzała mi, jak być lepszą spadkobierczynią Impirianów. Całymi nocami przekazywała mi wydobyte z zakamarków pamięci mało znaczące szczegóły na temat tych młodych grandesów, z którymi wchodziła w interakcje na forach galaktycznych, na wypadek gdybym spotkała ich w Chryzantemum.

I oczywiście nie poprawiłam sobie nosa.

Donia ujęła moją twarz w dłonie.

– Wyglądasz oszałamiająco. – W jej oczach mignął niepokój. – Proszę, wróć.

Położyłam dłonie na jej dłoniach. Na dłoniach jedynej osoby we wszechświecie, która nadawała sens mojemu istnieniu.

– Wróć.

Gdy rozległy się głosy, natychmiast odsunęłyśmy się od siebie. Zjawiła się matriarchini, krocząc dostojnie na czele orszaku serwitorów. Żegnała mnie tylko ona, senator zdążył już rzucić mi zdawkowe „do widzenia”.

Wzięła mnie pod rękę.

– No, chodź, Sydonio.

Już wcześniej zaczęła mnie tak nazywać, żebym się przyzwyczaiła. Nie byłam tak nieostrożna, jak myślała, i źle się czułam, gdy zwracała się do mnie w ten sposób w obecności Donii.

Idąc za matriarchinią, obejrzałam się przez ramię.

– Pamiętaj, co ci mówiłam o zbędnicach – szepnęła mi do ucha.

– Pamiętam.

Nie wszyscy zbędnicy byli tacy jak Sutera nu Impirian (jej śmierć przypisaliśmy nieszczęśliwemu wypadkowi w zagrodzie dla zwierząt, a ciało wystrzeliliśmy na najbliższą gwiazdę, bo matriarchini wiedziały, że Sutera chciała być pochowana zgodnie z helionickim zwyczajem). Nie przypominali też doktora Izarusu nan Impiriana, lekarza rodzinnego. I marszałkini etykiety, i doktor wierzyli w system władzy cesarskiej, należeli do niego i zdobyli w nim miejsce. Wiernie służyli Impirianom i dowiedli swojej lojalności, za co otrzymali części „nu” i „nan” zarezerwowane dla mężczyzn i kobiet służących rodzinie.

Pozostali zbędnicy dostawali wynagrodzenie za swoje usługi. Nie byli lojalni rodzinie Impirianów, lecz pieniądзом, które otrzymywali za swoją służbę.

Nazywano ich „pracownikami”.

Tych zatrudniono po to, by zawieźli mnie na cesarski dwór.

– Nemezis, grandecja ma pod kontrolą całą najpotężniejszą technologię – wyjaśniła mi matriarchini tydzień wcześniej. – Dysponujemy statkami kosmicznymi i bronią, więc sprawujemy władzę nad poszczególnymi układami gwiazdnymi. Tworzymy imperium.

Wiedziałam, że na większości zamieszkanym planet nie ma optymalnych warunków dla ludzi. Tylko nieliczne z nich były samowystarczalne, a większość pozostawała zależna od zasobów z kosmosu całkowicie kontrolowanego przez grandecję. Zbędnicy byli zatem zmuszeni służyć grandecji, żeby przetrwać.

Gdy matriarchini i ja wyłoniłyśmy się z korytarza, pracownicy zamilkli. Stali w rozproszonych grupkach, zwróceni do siebie, lecz co rusz na nas popatrywali. Byłyśmy dla nich niczym przedstawicielki obcego gatunku. Zresztą podobnie jak oni dla mnie.

U wszystkich oprócz kilku najmłodszych dało się zauważyć – tak jak u Sutery nu Impirian – mnóstwo defektów będących skutkiem planetarnych warunków życiowych i przebywania na niefiltrowanym słońcu. Mieli plamy na skórze, zmarszczki, nadmiar ciała albo taki jego niedobór, że było widać kości pod skórą. Wszyscy mieli tonsury – wygolone miejsca pośrodku głowy otoczone resztą włosów jak koroną. Dziwnie to wyglądało, zwłaszcza u kobiet z dłuższymi włosami, które często zaplatały je i owijały wygolone miejsca warkoczem.

Tonsura była obowiązkowa u tych zbędników, którzy chcieli znaleźć zatrudnienie u jednej z arystokratycznych rodzin w kosmosie. Sygnalizowała, że jej posiadacz przeszedł na wiarę helionicką albo przynajmniej udawał, że to zrobił. Następnie, jeśli przyjęto ich na pracowników, tatuowano im na łysinie symbol rodziny i od tej pory musieli nosić go na widoku, dopóki nie zwolniono ich z pracy.

Coś w sposobie, w jaki patrzyli na mnie i matriarchinię, uświadomiło mi, że nie są nam przychylni. Z pewnością mieli żal do grandecji, która zmonopolizowała technologię, zmuszając ich do

przyjęcia niechcianej religii i do służby w imię przetrwania. Przypomniałam sobie, że wszystkich tych zbędników starannie prześwietlono pod kątem skłonności do buntu, więc nie powinni byli stanowić zagrożenia. Buntownicy zwani partyzantami byli przecież tymi mieszkańcami planet, którzy uważali, że lepiej im będzie z dala od cesarstwa. Sprzeciwiali się narzucanemu przez grandecję zakazowi wiedzy. Partyzantkę uznawano za największą zdradę stanu, a ktoś o takich skłonnościach nigdy nie mógłby się znaleźć w pobliżu spadkobierczyni Impirianów.

Zbędnicy nie kłaniali się i nie klękali. Stali prosto i gapili się na nas, gdy matriarchini mierzyła ich wzrokiem. Niektórzy niespokojnie spoglądali na serwitorów niosących moje rzeczy. Wszyscy wiedzieli, że większość zbędników nie lubi serwitorów.

Matriarchini zaszczyciła ich cierpkim uśmiechem i przywitała:

– Dobrze was widzieć. Pokażcie mi swoje symbole. – Po chwili dodała: – Proszę.

Zapewne nie było jej łatwo wypowiedzieć to słowo. W fortecy nigdy nie musiała go używać.

Zbędnicy pochylili głowy, żeby pokazać tatuaże przedstawiające symbol rodziny cesarskiej – słońce wschodzące nad planetą. Zauważyłam, że zaciskają przy tym pięści i zęby. Niektórzy popatrywali na siebie, gdy matriarchini kolejno sprawdzała ich symbole, i poczułam, jak po kręgosłupie przebiega mi dreszcz. Wyraźnie wyczuwało się urazę.

Wcześniej byłam zdziwiona, zastanawiałam się, dlaczego matriarchini zawracała sobie głowę zatrudnieniem zbędników w charakterze mojej eskorty. Wydawało mi się, że mogą sprawiać problemy. Żywe istoty ludzkie nie były przecież do niczego potrzebne – można było wykorzystać maszyny sterujące statkiem, zajmujące się nawigacją, a nawet te służące do ich naprawy. Przecież maszyny wykorzystywano do toczenia wojen, do wynajdowania nowych leków, do opracowywania terapii. Właśnie dlatego ludzie nie potrzebowali wiedzieć, w jaki sposób działają ani jak są zbudowane. Ten system był samowystarczalny. Matriarchini wyjaśniła:

– Nemezis, korzystamy z pracowników, dlatego że zbędnicy są drodzy i niebezpieczni. Władza nad maszyną to coś pewnego. Władza nad serwitorami jest naturalna, jeśli jesteś wystarczająco bogata, żeby ich sobie kupić. Ale władza nad wolą zbędników – ludzi, którzy służą dlatego, że płacisz za ich lojalność, i prawdopodobnie robią to wbrew swoim przekonaniom i osobistym sympatiom – to najbardziej niebezpieczna i nieprzewidywalna władza ze wszystkich. To, że mamy orszak pracowników eskortujący cię do Chryzantemum, świadczy o sile naszej rodziny. Gdyby nie eskortowali cię pracownicy, mieszkańcy dworu mogliby zacząć plotkować, że nas na nich nie stać, albo co gorsza, że nie umiemy nad nimi zapanować. Zwolnisz ich ze służby zaraz po spotkaniu z cesarzem.

Gdy matriarchini skończyła inspekcję, oznajmiła:

– Dziękuję, pracownicy. Jestem pewna, że będziecie dobrze służyli mojej córce. – Odwróciła się do mnie i wyciągnęła ręce. – Bądź bezpieczna, córko. Obyś znalazła właściwą drogę

w hiperprzestrzeni. Postaraj się nie zginąć.

Wzięłam ją za rękę, uklękłam i przyłożyłam jej knykcie do swoich policzków.

– Postaram się. – Po chwili dodałam jeszcze jedno słowo, brzmiące w moich ustach bardzo dziwnie i obco: – Matko.

Na ułamek sekundy spojrzaliśmy sobie w oczy. Nasz spisek stał się faktem. Potem się od siebie odsunęliśmy. Pracownicy rozstąpili się, żeby przyjąć mnie na pokład swojego pożyczonego statku. Wyznaczeni serwitorzy z mojego orszaku ruszyli za mną, taszcząc skrzynie pełne ubrań i innych przedmiotów niezbędnych Sydonii Impirian podczas jej podróży do Chryzantemum.

Gdyby nie mój czuły słuch, prawdopodobnie nie usłyszałabym kilku uwag, które wymienili szeptem zbędnicy, gdy zamknęły się śluzy powietrzne. Myśleli, że nie słyszę:

– Bezduszne pożegnanie – powiedział ktoś. – Chyba nie będzie za bardzo tęskniła za córką.

– Mówię ci, arystokraci są zimnokrwieści. Nie mają uczuć jak normalni ludzie. Za wiele modyfikacji genetycznych na przestrzeni wieków.

Nie zdradziłam się, że to słyszałam, ale o mało się nie uśmiechnęłam – ten impuls mnie zaskoczył, bo przecież diaboliki nie były wyposażone w poczucie humoru. W rzeczywistości zbędnicy nie mieli pojęcia, jak bardzo jestem bezduszna i genetycznie zmodyfikowana.

Miałam tylko dwa cele: sprawić, żeby ludzie wzięli mnie za Sydonię, i oczywiście postarać się przy tym nie zginąć.

## ROZDZIAŁ 9

Podróż spędziłam w swoich komnatach z serwitorami, powtarzając wszystko, czego nauczyłam się o cesarskim dworze. Wyobrażałam sobie, jak Donia niespokojnie krąży po domu, czekając, aż mój statek opuści hiperprzestrzeń i znowu będę mogła wysłać jej wiadomość.

Zmusiłam się do leżenia w łóżku przez osiem godzin, tak jak leżałaby Donia. Zmusiłam się do jedzenia tyle, ile potrzebowała jeść Donia. Walczyłam z impulsem nakazującym mi się ruszać, zaprzęgać mięśnie do pracy.

Łatwo było się ćwiczyć w wyrzekaniu się ruchu, gdy byłam osłabiona reduktorami mięśni. Teraz miałam wrażenie, że rozsadzi mnie niespożytkowana energia. Nie śmiałam jednak jej ulec, bo wtedy zaprzepaściłabym cały wysiłek włożony w skurczenie się.

Sydonia zawsze mi powtarzała, że ogrom kosmosu wykracza poza granice ludzkiego pojmowania, ale zrozumiałam to dopiero teraz. Przemierzaliśmy hiperprzestrzeń z oszałamiającą prędkością, a mimo to podróż trwała wiele tygodni. Pokonaliśmy zaledwie skrawek galaktyki. Za oknem majaczyła mroczna pustka bez gwiazd.

W hiperprzestrzeni zdarzały się problemy. Czasem mogłam obserwować, jak jakiś statek kosmiczny po prostu się rozpada. Zdarzało się to rzadko, ale wyglądało naprawdę przerażająco. Cesarz zawsze uznawał to za tragedię i ogłaszał żałobę w całej galaktyce. Jednak coraz częściej zatajano takie wypadki. Władca wolał je wyciszyć, przemilczeć. Senator von Impirian uważał, że dochodzi do nich dlatego, że statki kosmiczne są coraz starsze.

Wskutek katastrof nie tylko ginęli ludzie na pokładach statków, ale również cierpiała sama przestrzeń kosmiczna. W rozerwanym punkcie wszechświata tworzyła się strefa śmierci pochłaniająca wszystkie statki kosmiczne i ciała niebieskie, które znalazły się w jej pobliżu. Nazywano ją „złośliwą przestrzenią”.

Złośliwe przestrzenie wydawały mi się jeszcze bardziej niebezpieczne, gdy wpatrywałam się w nieskończoną czerń, wiedząc, że w każdej chwili coś może pójść nie tak i spotka nas podobny los.

Odetchnęłam z ulgą, gdy w końcu wypadliśmy z hiperprzestrzeni. Nastąpiło to nagle: ciemność zwyczajnie zniknęła i przez okna wlało się światło, a my znaleźliśmy się w sześciosłonecznym układzie gwiazdnym, stanowiącym kres naszej podróży.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszło kilku pracowników.

– *Grandeé* Impirian, dotarliśmy do Chryzantemum. Mamy pozwolenie na wjazd.

– To dobrze. – Po chwili, przypominając sobie, że zbędni cenią zupełnie zbędne uprzejmości, dodałam: – Dziękuję.



Pracownicy spojrzeli po sobie, po czym mężczyzna stojący z przodu odważył się zadać pytanie:

– Czy moglibyśmy popatrzeć przez pani okno?

Miałam dostęp do jednego z nielicznych portów obserwacyjnych na statku. Odsunęłam się więc, żeby zbędniccy mogli stanąć obok i patrzeć, jak zbliżamy się do Chryzantemum.

– Proszę bardzo.

Statkiem gwałtownie zatrzęsło, gdy zaczęła na niego działać grawitacja. Okno wypełniło się oślepiającym blaskiem trzech par gwiazd binarnych krążących wokół tego samego ośrodka grawitacji.

Wkrótce z białego światła zaczęła się wyłaniać ciemna masa, a statek, trzęsąc się, przelatywał między szpalerami maszyn obronnych unoszących się w przestrzeni. Przypominały zęby, które tylko czekają, żeby się w nas wbić.

– Boże, naprawdę tu jesteśmy – mruknęła któraś z pracowniczek. – Zobaczymy to.

Pozostali pokiwali głowami w nabożnym milczeniu. Statek cały czas lekko się trząsł. W układzie sześciu gwiazd występowały tak chaotyczne siły grawitacyjne, że istniał tylko jeden wąski kanał przestrzeni dość bezpieczny dla nadlatujących statków. Jeden z pracowników wyjaśnił drugiemu, że gdyby jakaś wielka armada postanowiła przypuścić atak, musiałaby wlatywać tu gęsiego, bo inaczej zostałaby rozerwana na kawałki, zanim zdążyłaby się zbliżyć.

– A kto miałby atakować Chryzantemum? – spytałam.

Spojrzeli na mnie zdziwieni, bo wcześniej nie odzywałam się do nich z własnej inicjatywy. Po chwili sama domyśliłam się odpowiedzi: inne rodziny należące do grandecji.

Na przykład Impirianowie.

Taki system obronny sprawiał, że sytuacja, w której ktoś dostałby się tutaj i ściął głowę imperium, zabijając Domitrianów, wydawała się niemożliwa.

Pracownicy wiedzieli, że lepiej nie mówić tego na głos. Speszony mężczyzna tylko się roześmiał i wskazał na widok za oknem.

– No cóż, z tego, co widzę, nikt się nie odważy.

Drżący statek mijał tysiące paneli energetycznych i stałych stanowisk obronnych. Potem naszym oczom ukazał się pierwszy wysięgnik. Kilkoro pracowników mruknęło z uznaniem na widok największej budowli w cesarstwie.

Chryzantemum miało kształt kwiatu, od którego wzięło swoją nazwę. Wzniesiono je z tysięcy statków połączonych na samym środku, gdzie majaczyła największa heliosfera w cesarstwie. Centralny sektor stworzono z mniejszych, lekko zakrzywionych wysięgników otaczających wielką przestrzeń mieszkalną. Był to statek o nazwie Valor Novus, który pełnił funkcję siedziby rodziny królewskiej oraz goszczących u niej wysokich urzędników. Mieściły się tam także izby senatu i gabinety wojenne. Dłuższe wysięgniki były elementami statków łącznikowych, wychodziły z centralnego statku kosmicznego i wybiegały wiele kilometrów w przestrzeń.

Samo Chryzantemum było dość masywne, by wytwarzać siłę grawitacyjną bez sztucznego wspomagania. Każda sekcja mogła oddzielić się od całości, całe cesarskie centrum mogło zostać rozebrane na dwa tysiące odrębnych statków.

Jeszcze nigdy do tego nie doszło. Nie było takiej potrzeby. Bo który z wrogów miałby wystarczającą moc, by zmusić cesarza do ucieczki?

W głowie dźwięczały mi informacje z pospiesznie czytanych podręczników historii i z lekcji, na które chodziłam przez ostatnie kilka miesięcy. Siłą rzeczy cały czas zastanawiałam się, co tu robię: byłam diaboliką gotową wmaszerować w sam środek cesarstwa, w którym już samo moje istnienie skazywało mnie na śmierć. Zamierzałam podawać się za córkę wielkiego heretyckiego senatora przed trybunałem złożonym z polityków chcących go zniszczyć. Miałam oszukać umysły zdolne rządzić takim miejscem, a gdyby mi się nie udało, Sydonia spełniłaby swoją groźbę i umarła wkrótce po mnie.

Dawno nie czułam tego łaskotania w żołądku.

Od razu wiedziałam, co ono oznacza: to był strach.

„Nie tup, suń z wdziękiem jak łabędź...”

Słowa Sutery nu Impirian przypomniały mi się w chwili, gdy najsilniejszy z moich serwitorów usiłował przytrzymać w górze odświętną szatę, którą musiałam mieć na sobie w obecności cesarza. Obok drzwi czekali pracownicy mający mnie odeskortować, więc nie ośmielałam się wyręczać serwitorów.

Odświętny strój był misterną kreacją utkaną z metalu. Bezlitośnie zaciskał się wokół talii i zawierał wystarczająco dużo złota, by ważyć dwukrotnie więcej niż noszący go człowiek. Pod spód należało włożyć halkę z egzozkieletu – cienkich metalowych obręczy opinających kończyny i kręgosłup i służących za zmechanizowany szkielet, który ułatwiał dźwiganie tych ciężarów.

Mogłabym się obejść bez niej, bo byłam niezwykle silna, lecz także w tym wypadku musiałam udawać słabość. Kazałam zatem serwitorom przytrzymać suknię i wczułam się w rolę arystokratki, która pozwala, by serwitorzy asystowali jej przy wkładaniu odświętnej szaty. Na skórze poczułam chłodny dotyk metalu.

Gdy już miałam na sobie tę wymyślną kreację, zażądałam pilota do rusztowania we włosach. W mgnieniu oka zmieniłam swoje loki w misternie zaplecione warkoczyki i czekałam, aż inny serwitor naniże na pasma drogocenne klejnoty.

Oceńłam efekt w lustrze. Nie poznawałam spoglądającej na mnie dziewczyny, wysokiej i szczupłej, odzianej w odświętną suknię, z ciemnymi włosami zaplecionymi w warkoczyki i ozdobionymi klejnotami. Jej skóra miała jednolity brązowy odcień i była ładnie rozświetlona w miejscach, w których Sutura nu Impirian zastosowała pigment.

Z Nemezis dan Impirian pozostał tylko nos.

Dotknęłam go, żeby sobie przypomnieć, że wciąż jestem sobą, świadoma, że przy drzwiach pracownicy przestępują z nogi na nogę, chcąc mieć to już za sobą.

– Jestem gotowa – powiedziałam, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

W przemarszu z doku Valor Novus do komnaty audiencyjnej miała mi towarzyszyć eskorta złożona z sześciu pracowników i ośmiu serwitorów. Jako przyszła senatorka von Impirian byłam wystarczająco ważna, by cesarz przyjął mnie osobiście – nawet jeśli popadłam w niełaskę.

Oczywiście mógł mnie natychmiast skazać na śmierć... Nie wiedziałam jeszcze, co mnie czeka.

## ROZDZIAŁ 10

Nawet w egzozkielecie trudno było sunąć z łabędzią gracją – w końcu miałam na sobie setki kilogramów metalu. Sutura podkreślała jednak, że powinnam mieć przy tym pogodną, błogą minę. Pogodna i błoga mina była dla mnie czymś równie nienaturalnym co poczucie humoru.

Pilnowałam się, żeby idąc w otoczeniu eskorty, patrzeć prosto przed siebie, ale instynkt kazał mi się bacznie przyglądać wszystkiemu i wszystkim w Valor Novus. Ten statek znajdował się w centralnym punkcie Chryzantemum, był największy ze wszystkich i łączył się bezpośrednio z olbrzymią heliosferą. W pewnym momencie nie zdołałam się powstrzymać i spojrzałam w górę. To, co zobaczyłam, sprawiło, że gwałtownie się zatrzymałam.

Otwarte niebo.

Komnata była tak wielka, że górne okna i sufit ginęły za niebieską powłoką sztucznej atmosfery. Gdzieś wysoko świeciła para binarnych słońc i przez jedną niepokojącą chwilę czułam się tak, jakbym jakimś cudem wylądowała na planecie, a nie na statku kosmicznym. Nigdy dotąd nie byłam w pomieszczeniu, w którym nie widać sufitu. Nie miałam pojęcia, jak powinnam się zachować w tej otwartej, bezkresnej przestrzeni. Moja odświętna szata wydała mi się jeszcze ciaśniejsza i sztywniejsza.

Pracownicy spoglądali na mnie pytająco, więc z wysiłkiem zignorowałam otchłań, która tworzyła nade mną iluzję nieba, i zmusiłam się do dalszego marszu. Po chwili otworzyły się przede mną ogromne drzwi i wpuszczono mnie do komnaty audiencyjnej cesarza.

Wszelki niepokój, jaki czułam, ustąpił, gdy mój wzrok przywykł do oświetlenia i ujrzałam tłum ludzi. Rozstąpili się, robiąc mi przejście. Za ogromnymi oknami rozpościerał się widok na cztery gwiazdy. Od razu się zorientowałam, która ze znamienitych osobistości przebywających w komnacie to cesarz Randewald von Domitrian, bowiem wszystkie oczy, które akurat nie obserwowały mnie, były zwrócone w jego stronę – także oczy jego matki Cygny Domitrian, stojącej po prawej stronie.

Ruszyłam przed siebie arystokratycznym krokiem.

Moi pracownicy też odsunęli się na bok, robiąc mi miejsce, żebym mogła podejść do cesarza. Trzy kroki, klęknięcie. Tak jak nas uczyła Sutura nu Impirian, wznosiłam oczy za każdym razem, gdy przykładam dłonie do serca i spoglądałam na potężnego mężczyznę z długimi jasnymi włosami opadającymi mu na ramiona niczym opończa.

Droga do tronu cesarza wydawała się nie mieć końca. Otaczało mnie morze dźwięków – zewsząd dobiegały szepty i pomruki. Czułam na sobie wzrok grandesów. Wiedziałam, że później będę miała czas, żeby przyjrzeć się im wszystkim, więc teraz skupiałam się tylko na mężczyźnie, od którego

zależał mój los.

Wreszcie uklękłam przed cesarzem. Przyglądał mi się uważnie. Miał głęboko osadzone czarne oczy i twarz regularnie poddawaną zabiegom odmładzającym. Gdyby nie to zimne, cyniczne spojrzenie, wyglądałby na najwyżej dwadzieścia lat. Jego sylwetka była potężna i zwalista, a skóra na dłoniach miękka i delikatna. Gdy podniósł ręce, ujęłam je, żeby przyłożyć sobie jego knykcie do policzków.

Cesarz niespodziewanie wyrwał swoje dłonie z moich i chwycił mnie za włosy.

Obudził się we mnie gwałtowny, wściekły instynkt walki, ale zdołałam się opanować, powtarzając sobie, że chodzi o Sydonię, a nie o mnie. Pozostałam bierna jak szmaciana lalka, gdy szarpnął moją głowę do tyłu i spojrzał mi w oczy.

– Ach, więc to jest Sydonia Impirian – odezwał się cesarz głosem tak donośnym, żeby usłyszał go każdy w komnacie. – Co słyhać u twojego ojca?

Zadał to pytanie lekkim, łagodnym tonem. Tylko jego bezlitosny gest – ręka zatopiona w moich włosach i boleśnie wyginająca do tyłu szyję – nie pozostawiał wątpliwości, że bynajmniej nie jest łagodny ani nieszkodliwy.

– Mój ojciec ma się dobrze, Wasza Najwyższa Czcigodność. – Wytrzymałam jego spojrzenie, mając nadzieję, że nie zauważy w moich oczach zimna. – Był niezwykle zaszczycony, że zechciałeś zaprosić mnie na swój dwór.

Cesarz wykrzywił usta, nadając swej pozbawionej wieku twarzy gorzki wyraz.

– To nie żaden zaszczyt, dziewczyno. Twój ojciec dopuścił się poważnych herezji.

W komnacie za moimi plecami rozległ się śmiech. Odpowiedź cesarza zbiła mnie z tropu. Myślałam, że prawdziwy powód mojej wizyty będzie tajemnicą poliszynela. Właśnie na to liczyła matriarchini.

Pomyliła się.

– Ja... – Zastanawiałam się, co mogłaby powiedzieć Sydonia. Miałam pustkę w głowie. – Mam nadzieję – zdołałam wykrztusić – że w przeciwieństwie do mojego ojca niczym nie uraziłam Waszej Najwyższej Czcigodności.

– To się jeszcze okaże. Twoje życie będzie gwarancją braku kolejnych wykroczeń. – Cesarz gwałtownie wypuścił z dłoni moje włosy.

Zatem nie wezwał mnie tu na śmierć. Odetchnęłam z ulgą.

Cesarz przyjrzał się mojemu orszakowi.

– Powiedz mi, *grandeé* Impirian, którego z tych serwitorów lubisz najbardziej?

Zamrugałam. Którego z serwitorów lubię najbardziej? Nigdy nie myślałam o nich jak o odrębnych jednostkach. Oni tylko wykonywali rozkazy. Nie byli zdolni do indywidualnych działań.

– No, mów – ponaglił mnie cesarz, uśmiechając się kwaśno. Wziął mnie pod rękę i pomógł mi

wstać z podłogi. – Każdy ma jakiegoś pupila. Za mną są moi: Ryzyko, Ból i Wrogość.

Po raz pierwszy oderwałam wzrok od cesarza i przyjrzałam się dwóm mężczyznom i kobiecie, którzy stali za jego tronem jak straż. Wszyscy spoglądali prosto na mnie, ich nieruchome spojrzenie sprawiało, że skojarzyli mi się z czujnymi drapieżnikami, pod skórą rysowały się mięśnie, a każdy centymetr ciała emanował siłą.

Doznałam nieprzyjemnego wstrząsu.

To były diaboliki. Cała trójka.

Cesarz zamierzał mnie nimi nastraszyć i mu się udało, ale z powodów, których się nie domyślał. Dopadł mnie paranoiczny strach, że wyczuwają, kim jestem, tak samo jak ja już po jednym spojrzeniu odgadłam, kim są oni. Mieli w sobie coś zwierzęcego, jak lwy czekające w gotowości, i wydawało mi się, że musieli dostrzec to samo we mnie. Jeden z mężczyzn miał ciemne włosy i duże brązowe oczy, drugi czarne włosy i jasnoniebieskie oczy. Kobieta przypominała mnie w mojej naturalnej postaci, była jakby pozbawiona koloru i bladooka. Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy miały podobny kod genetyczny. Prawdopodobnie stworzył nas ten sam hodowca.

Szybko przeniosłam wzrok na cesarza, gwałtownie biło mi serce. Czy od razu domyślili się, kim jestem?

– Mam słabość do nich wszystkich – powiedział cesarz, świdrując mnie wzrokiem. – Nie byłbym w stanie pozbyć się swoich diabolików, więc jako cesarz postanowiłem zrobić dla siebie wyjątek. W końcu moje życie jest cenniejsze niż życie przeciętnego człowieka.

– Oczywiście, Wasza Wspaniałość.

– Pytałem, którego serwitora lubisz najbardziej. No więc który to?

Nie mógł wiedzieć, kim jestem. Nie mógł. Inaczej jego diaboliki od razu by mnie zabiły. Ja bym tak zrobiła, gdyby do Donii zbliżyła się cudza diabolika. Bez zastanowienia wskazałam jedną z serwiterek.

– Doskonale – powiedział cesarz. Skinął na nią palcem i serwitorka posłusznie do niego podeszła. Serwitorzy wykonywali wszystkie rozkazy. – Powiedz mi, *grandeé* Impirian, jak ona ma na imię?

Przez jedną niepokojącą chwilę miałam pustkę w głowie. Później na szczęście sobie przypomniałam.

– Skóra – powiedziałam. – Nazywa się Skóra dan Impirian.

– Skóra. To mi podsuwa pewien pomysł. Daj jej to – powiedział, podsuwając mi sztylet.

Zdezorientowana wzięłam sztylet od cesarza i podałam go serwitorce. Zauważyłam, że cały dwór umilkł, a w powietrzu czuć było dziwne napięcie.

Cesarz położył rękę na moim ramieniu i szepnął mi do ucha:

– Powiedz jej, żeby zdjęła z siebie skórę. Zaczynając od rąk.

Spojrzałam na niego, nie rozumiejąc, czego ode mnie żąda. Mógł przecież sam kazać jej to zrobić.

Cesarz spojrział na mnie. Na jego sztucznie młodej twarzy nie było cienia litości. Wciąż się uśmiechał.

– Zrób to.

A więc chciał, żebym to ja była odpowiedzialna za to, co się stanie. Nie ma sprawy.

– Skóro, zetnij sobie skórę z rąk – rozkazałam jej.

Skóra usłuchała. Zaczęła jęczeć z bólu. Potem cesarz zmienił instrukcje i kazał jej przejść do nóg, a ja powtórzyłam jego polecenie. Skóra dziewczyny odchodziła krwawymi płatami, a gdy odcinała ją kawałek po kawałku, łzy płynęły jej po twarzy.

Cesarz cały czas mi się przyglądał.

Nagle uświadomiłam sobie, że powinnam jakoś zareagować. Okrucieństwo mnie nie raziło, bo byłam tym, kim byłam, ale Donia z pewnością by się przejęła. Każdy normalny człowiek by się przejął. Czułam jednak, że okazanie strachu tylko rozechociłoby cesarza – i być może skłoniłoby go do powtórzenia tego spektaklu dla własnej przyjemności.

Co zrobiłaby Sydonia?

Słuchałam, jak Skóra krzyczy, zdzierając z siebie własną skórę, ale nadal była posłuszna. Głosy dworzan zginęły w jej zawodzeniu. Zastanawiałam się, jak powinnam zareagować. Wielu grandesów wyglądało, jakby ich zemdliło. Inni dyskretnie odwracali wzrok. Jeszcze inni patrzyli na Skórę niewidzącymi oczami. A nielicznym pozostałym chyba podobał się ten widok.

Sydonia nie stałaby tu ze stoickim spokojem.

Nawrzeszczałaby na cesarza i stanęła w obronie Skóry. Nie zniosłaby takiego traktowania bezbronnego stworzenia. Oczywiście właśnie dlatego przysłano tu mnie, a nie ją.

Co jeszcze mogłaby zrobić Sydonia? Co jeszcze?

Mogłaby się rozpłakać.

Ja nie umiałam płakać. Nie byłam do tego zdolna.

Mogłam zrobić tylko jedno.

Przewróciłam oczami i moje ciało osunęło się jak obezwładnione przerażeniem. Odświętny strój był tak ciężki, że gdy uderzył o podłogę, rozległ się donośny huk. Ległam zupełnie zwiotczając, oddychając powoli. Musiałam wyglądać jak uosobienie słabości. Całkiem sprytnie znalazłam się poza zasięgiem okrucieństwa cesarza i odebrałam mu trochę siły rażenia. Liczyłam, że to zadziała.

Na ułamek sekundy zapadło milczenie, a potem rozległ się śmiech.

– Czyżbyśmy wykończyli Impiriankę? – zapiął zachwycony cesarz. – Na to wygląda. Gdzie są jej pracownicy? No, podejdźcie tu, nie bójcie się. – Mówił tak, jakby się z nimi droczył. – Nie, nie zamierzam obdrzeć was ze skóry. Spektakl skończony.

Cesarz, teraz już w doskonałym humorze, polecił im zabrać mnie do moich nowych komnat.

Nie otwierałam oczu, udając nieprzytomną i oszołomioną. W egzoszkielecie i odświętnej szacie

ważyłam zbyt dużo, żeby mogli mnie przenieść, więc pracownicy rozebrali mnie z najcięższych części stroju. Gdy się tym zajmowali, płacz Skóry nie ustawał. Nie mogłam się powstrzymać i lekko uniosłam powiekę, żeby spojrzeć w stronę serwitorki. Zdenerwowana uświadomiłam sobie, że cesarz zamierza najzwyczajniej zostawić ją w tym stanie.

Leżała skulona na podłodze, nie mogąc utrzymać się na nogach. Jej suknia nasiąkła krwią. Inni serwitorzy przechodzili obok niej, jakby w ogóle nie istniała. Ze zdziwieniem pomyślałam, że stworzenie pozbawione wolnej woli staje się zupełnie bezradne. Nie umieli nawet podjąć decyzji, żeby się bronić. Najbardziej prymitywny owad ma tę umiejętność, a oni jej nie mieli.

– Czy ten piekielny hałas nigdy nie ucichnie? – spytał donośnie jakiś młody mężczyzna, podchodząc, żeby przyjrzeć się Skórze.

Natychmiast go poznałam.

Był wysoki, barczysty i miał krótkie miedziane włosy. O statusie Tyrusa Domitriana świadczył jedynie pozłacany strój. Podobnie jak jego awatarowi, daleko mu było do doskonałości – miał piegi i dołeczek w podbródku. Różnica polegała na tym, że oczy prawdziwego Tyrusa wręcz płonęły szaleństwem. Cały emanował jakąś gorączkową energią; wydawał się niemal zachwycony sceną rozgrywającą się na jego oczach.

– Nie masz cienia godności. Natychmiast przestań jęczeć – powiedział Tyrus do Skóry, jakby serwitorka była w stanie go usłyszeć. – Nieładnie się tak zachowywać w towarzystwie.

Skóra za bardzo cierpiała, żeby móc wykonać polecenie, więc młody mężczyzna przewrócił jasnyniebieskimi oczami, wyjął z kieszeni wąską, cylindryczną broń i wystrzelił jej w pierś smugą światła. Znieruchomiała. Od razu się domyśliłam, że umarła.

– Tyrusie! – zbeształ go cesarz. – Co ci mówiłem o zabijaniu ludzi?

– Tak, tak, wuju, mam najpierw pytać cię o zgodę – mruknął Tyrus, kłaniając się. – Na swoją obronę mogę powiedzieć, że działała mi na nerwy.

– Ech, ty – odrzekł czule cesarz. – I tak była martwa. Musiałeś to przyspieszać?

Tyrus odchylił głowę. Jego bladoniebieskie, okolone jasnymi rzęsami oczy załśniły, a na ustach wykwitł uśmiech szaleńca.

Przypomniałam sobie wszystko, co wiedziałam o Tyrusie Domitrianie. Po tym jak poznałam awatara tego wariata, wywody Sutery nu Impirian na jego temat szczególnie mnie interesowały. Był wielkim pośmiewiskiem imperium. Najbezpieczniejsze posunięcie Randewalda von Domitriana polegało na mianowaniu obłąkanego siostrzeńca następcą tronu. W związku z tym nawet najzacieklejsi wrogowie Randewalda nie ośmieliliby się go zabić, bo jego następcy bali się jeszcze bardziej.

Nie zdając sobie z tego sprawy, jeszcze szerzej otworzyłam oczy. Zreflektowałam się, dopiero gdy napotkałam spojrzenie dziewczyny stojącej na drugim końcu komnaty. Patrzyła na mnie z cyniczną



miną. Chyba tylko ona zwracała na mnie uwagę. Starannie ułożone czarne loki spływały jej na ramiona. Wpatrywała się we mnie z zaciekawieniem.

Zamknęłam oczy, niezadowolona, że mnie przyłapała. Gdy wynoszono mnie z komnaty, cesarz wrócił do swoich obowiązków. Wszyscy zapomnieli o zmaltretowanej serwitorce.

Ci ludzie byli naprawdę okrutni.

Jeśli jednak stanowili jakiegokolwiek zagrożenie dla Sydonii, już wkrótce mieli się przekonać, że ja jestem jeszcze okrutniejsza.

## ROZDZIAŁ 11

Goszczących u cesarza grandesów kwaterowano w luksusowych willach pod jedną z kopuł Valor Novus – tak ogromną, że nie widać było sufitu. Gdy tylko pracownicy wynieśli mnie z tłumu arystokratów, udałam, że otrząsam się z omdlenia, bo chciałam zobaczyć, gdzie dokładnie się znajduję.

Krużganki ze zwierzętami i ogrody w fortecy Impirianów zawsze robiły na mnie wielkie wrażenie. Tu, w Chryzantemum, pokryte trawą łagodne wzgórza ciągnęły się aż po horyzont.

Znowu ogarnęło mnie niepokojące uczucie, jakbyśmy w rzeczywistości stali na powierzchni planety, choć wiedziałam, że to tylko część statku pod przezroczystą kopułą. Pracownicy szli zgodnie z otrzymanymi wskazówkami i w końcu dotarliśmy do willi przygotowanej dla rodziny Impirianów.

Gdy znaleźliśmy się w jej luksusowym wnętrzu, odetchnęłam po raz pierwszy, odkąd weszłam do komnaty audiencyjnej.

– *Grandeé* Impirian, dobrze się czujesz? – spytał jeden z pracowników.

Spojrzałam na niego.

– Tak. Wykonaliście swoje obowiązki. Odeskortowaliście mnie do Chryzantemum i godnie reprezentowaliście rodzinę Impirianów. Dziękuję. Pora, żebyście ruszali w drogę.

Po twarzach pracowników przemknęło zdziwienie, ale nie udzieliłam żadnych dodatkowych wyjaśnień. Serwitorzy nie umieli rozumować. Nie zauważyliby, że coś jest ze mną nie tak. Pracownicy w końcu by to jednak spostrzegli, lepiej więc było ich odesłać, skoro wypełnili swoje oficjalne obowiązki. Zostali zauważeni, a ja wystąpiłam w roli ich pani.

Przynajmniej dzięki temu mogli uniknąć losu, jaki spotkał Skórę.

W fortecy Impirianów mieliśmy szesnaście godzin światła dziennego, gdy oświetlenie działało z pełną mocą, i osiem godzin światła wieczornego, gdy było przygaszone. Cykl dnia i nocy na Valor Novus wyznaczały gwiazdy. Był nieregularny, bo każda z części Chryzantemum zwracała się w stronę innego ze słońc, wszystkie wille były jednak wyposażone w ekrany pozwalające zasłonić okna i stworzyć namiastkę nocy. Na moje polecenie serwitorzy zaciągnęli je, żebym mogła się wyspać przed czekającymi mnie nazajutrz ceremoniami w heliosferze – w okresie, gdy z Valor Novus widać było wszystkie sześć słońc, zawsze odprawiano je trzy razy w tygodniu.

Sen okazał się luksusem nawet dla kogoś takiego jak ja, kto nie potrzebował go dużo. Pierwszy gość zjawił się w mojej willi przy akompaniamencie donośnej zapowiedzi przekazanej przez interkom:

– Neveni Sagnau do Sydonii Impirian.

Neveni Sagnau? Narzuciłam na siebie półformalną szatę, próbując przypomnieć sobie, czego się dowiedziałam o tym nazwisku podczas szkolenia. Nie należało do żadnej z senatorskich rodzin i nie przypominałam sobie, żeby Donia kiedykolwiek wspominała o Neveni po wizytach na forach towarzyskich.

Gdy wyszłam na spotkanie gościa, zobaczyłam niską dziewczynę z lśniąco czarnymi włosami i wygładzonymi powiekami, podobnymi do tych, które sprawiła sobie podążająca za najnowszymi trendami Sutura nu Impirian. Z rysami marszałkini etykiety nie współgrały jednak tak dobrze. Prawdopodobnie były zatem jedną z cech recesywnych, tak jak rude włosy i wydłużone małżowiny uszne, tak rzadko spotykane u ludzi, lecz wielce pożądane. Na kołnierzyku Neveni spoczywał naszyjnik z wisiorkiem w kształcie sierpa księżycy. Był to kawałek zakrzywionego metalu o krawędzi ostrej jak brzytwa, ozdobiony paciorkami z korala maskującymi śmiertelne przeznaczenie tego prowizorycznego sztyletu. Ktoś inny mógłby dać się nabrać. Ja nie.

– *Grandeé* Impirian, mam nadzieję, że dobrze się czujesz. – Neveni uklękła, a ja wyciągnęłam rękę. Przyłożyła je sobie do policzków. Dzięki temu wiedziałam, że ma niższy status niż Sydonia. – Widziałam, jak zemdliałaś. Sama też często miewam zawroty głowy. Pomyślałam, że przyniosę ci nalewkę. – Wstała i zaczęła gorączkowo szukać czegoś w kieszeni tuniki, a następnie wydobyła z niej metalową fiolkę, nie odrywając ode mnie wytrzeszczonych, skupionych oczu. – Wystarczy dodać trzy krople do napoju.

Wyglądała na desperacko spragnioną rozmowy ze mną, natychmiast nabrałam więc wobec niej podejrzeń. Była zbyt uprzejma.

– Dziękuję.

– Przykro mi z powodu twojej serwitorki. To był niegodziwy sposób na... – Zamilkła, zanim dopuściła się skrytykowania cesarza. Po chwili zaczęła od nowa: – Gdy tu przyjechałam, cesarz też był bardzo niezadowolony z poczynań mojej rodziny. Widzisz więc, rozumiem, co musiałaś czuć, patrząc na to wszystko.

– Naprawdę?

Ściszyła głos do szeptu, przysuwając się do mnie.

– Jesteśmy tu z tego samego powodu – powiedziała cicho. – Wiele nas łączy.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że twojego ojca i moją matkę łączy wspólna sprawa. – Zaróżowiły jej się policzki. – Nie znają się, ale moja matka ściągnęła na siebie gniew cesarza, gdy próbowała zreformować nasz system kształcenia. Chciała, żebyśmy się uczyli matematyki, fizyki i...

Poczułam napięcie. Właśnie tego rodzaju ludzi powinnam była unikać, ale nie wiedziałam, czy mogę wzgardzić tą dziewczyną, skoro pochodzi z ważnej rodziny.

– Wybacz. Nie słyszałam o twojej rodzinie.

Zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

– Nie jesteśmy rodziną senatorską. Moja matka nadzoruje kolonię na obszarze Pasmusów.

Wreszcie zrozumiałam.

– Jest namiestniczką?

– Tak. – Do jej głosu zakradła się urażona nuta.

A więc miałam przed sobą zwykłego zbędniaka, przedstawicielkę rodziny wyniesionej ponad masy za sprawą wyborów, a nie pradażnych, dziedziczonych przywilejów. Oznaczało to także, że odpowiada przed lokalną arystokracją, czyli rodziną Pasmusów. Nic dziwnego, że się tu znalazła. Senator von Pasmus uważał się za pierwszego obrońcę wiary helionickiej. Nigdy by nie pozwolił, żeby jakiś pospolity zbędniak dopuszczał się na jego terenie tak otwartych bluźnierstw.

Ta dziewczyna mogła jeszcze bardziej splamić reputację Impirianów. Nie chciałam mieć z nią nic wspólnego.

– Dziękuję za nalewkę – powiedziałam, oddając jej fiolkę. – Wątpię jednak, żebyśmy miały ze sobą tak dużo wspólnego, jak ci się wydaje.

Mówiłam oschłym tonem. Przez chwilę przyglądała się mojej twarzy, a potem jej oblicze stężało.

– Skoro tak uważasz.

Wiedziała, że odrzucam jej propozycję przymierza. Ale ja po prostu nie dostrzegłam żadnych korzyści, jakie mógłby mi przynieść sojusz z Neveni. Tylko narażała mnie na niebezpieczeństwo. Donia nigdy nie odtrąciłaby przyjaźnie wyciągniętej ręki, ale ja, dla dobra Donii, mogłam to zrobić z łatwością.

– A teraz przepraszam – powiedziałam, odwracając się od swojego gościa. – Mam za sobą długą podróż.

– Oczywiście, moja *grandeé*. Odpoczywaj. – Zawahała się. – Jeśli zmienisz zdanie...

Pokręciłam głową i bardzo szorstko zapewniłam:

– Nie zmienię.

Nazajutrz cały dwór przybył do Wielkiej Heliosfery na ceremonię. Rodzina cesarska – cesarz Randewald, jego matka Cygna, szalony siostrzeniec Tyrus, bratanica Devineé i jej mąż Salivar – zajęli honorowe miejsca na środku, wokół kapłana.

Dwa miejsca w bezpośrednim sąsiedztwie cesarza pozostały puste, ale nie na długo. Wkrótce usiadły na nich diaboliki. Ze względu na swoje obowiązki znalazły się w najważniejszym kręgu heliosfery. Rozpoznałam Wrogość i ciemnowłosego, czujnego Bóla. Nie zauważyłam Rzyyka, ale bez wątplenia był gdzieś w pobliżu.

Przez dłuższą chwilę przyglądałam się Wrogości, wodząc wzrokiem po jej twarzy – niemal identycznej z moją – oraz po jasnych włosach i oczach, jakie jeszcze niedawno sama widziałam w lustrze. Gdyby kuracja matriarchini była mniej skuteczna i gdybym wyprostowała sobie nos, miałabym poważne powody do niepokoju. Jeszcze miesiąc temu wyglądałyśmy jak bliźniaczki jednojajowe.

Wyczuła moje badawcze spojrzenie i gwałtownie skierowała wzrok w moją stronę. Szybko się odwróciłam. Zająłam miejsce w drugim rzędzie, razem z senatorami i ich rodzinami. Za mną zasiedli przedstawiciele grandecji o niższym statusie, a jeszcze dalej najważniejsi zbędnicy, tacy jak Neveni Sagnau. Szybko odwróciłam od niej wzrok, nie chcąc, żeby znowu się mną zainteresowała.

Wszyscy nasi serwitorzy zajęli miejsca w najdalszych sekcjach, tuż za pracownikami. Na głowach tych drugich widniały wytatuowane symbole oznaczające przynależność do różnych rodzin. Wszyscy mieli na sobie odświętne szaty, a w ich metalicznej powierzchni odbijał się oślepiający blask gwiazd. Nie byłam pewna, na co patrzeć.

Wtedy poczułam na sobie spojrzenia, usłyszałam głosy raz po raz szepczące o spadkobierczyni Impirianów, która zemdląca na dworze. Moje uszy z łatwością wyławiały strzępy rozmów.

– ...znacznie wyższa, niż myślałam...

– ...szkoda, że nie poprawiła sobie nosa...

– ...cesarz na pewno jeszcze z nią nie skończył. Spodziewam się dalszego ciągu...

Wysoko uniosłam brodę. Donia czułaby się fatalnie pod ostrzałem tyłu wścibskich spojrzeń, ale ja zupełnie się tymi ludźmi nie przejmowałam. Dopóki ograniczali się do szeptania o mnie i nie padały żadne pogroźki, mogłam ich podsłuchiwać bez mrugnięcia okiem.

Kapłan zaczął błogosławieństwo, a do środka wpadła odrobina światła. Rozbłysło tysiąc punktów na ścianach, i zajaśniał krąg świętych kielichów. Zaskoczyło mnie ciepło, które towarzyszyło temu zjawisku. Poczułam, jak pod odświętną szatą spływa po mnie pot. Wytarłam go i poczułam na sobie czyjeś baczne spojrzenie.

Uniosłam wzrok i ujrzałam wpatrzony w siebie oczy Salivara Domitriana, który pochylił się, by szepnąć coś żonie. Devineé też na mnie popatrzyła. Obydwoje korzystali z dobrodziejstw fałszywej młodości. Mieli co najmniej po pięćdziesiąt lat, ale wyglądali nie starzej od Donii. Wiedziałam, że Donia czasami rozmawia z Salivarem na forach towarzyskich, ale tylko dlatego, że zmusza ją matka. Powiedziała mi, że Salivar i jego żona słyną z perwersyjnych skłonności.

Obydwoje powoli rozciągnęli usta w uśmiechu i natychmiast skojarzyli mi się z parą przyczapajonych żmij gotowych rzucić się do ataku.

Obserwowali mnie przez całą ceremonię. Zerkałam na nich dyskretnie, ciągle udając, że słucham kapłana. Nie było to łatwe, bo oblewał mnie pot, poza tym starałam się nie zwracać na siebie uwagi ciągle będących w pobliżu diabolików, a do tego rozpraszało mnie zachowanie szalonego siostrzeńca

cesarza.

Tyrus Domitrian w pełni zasługiwał na swoją reputację. Podczas ceremonii często wybuchał niestosownym śmiechem i opuszczał swoje miejsce, żeby przyglądać się serwitorom, jakby się zastanawiał, którego jeszcze zabić. Gdyby nie szaleństwo, uznano by go za większego bluźniercę niż senator von Impirian. W pewnym momencie trzeci diabolik, Ryzyko, wyłonił się z tłumu i wziął go pod rękę, a Tyrus przewrócił oczami, po czym pozwolił wyprowadzić się na zewnątrz. Wszyscy zgromadzeni udawali, że nie widzą tych oznak braku szacunku ze strony następcy tronu – nawet jego wuj cesarz.

Po nabożeństwie grandesi wylegli do komnaty audiencyjnej, by zakosztować odurzających oparów. Serwitorzy krążyli z fiolkami inhalatorów pobudzających zmysły. Też jedną wzięłam i ostentacyjnie wciągnęłam głęboko w płuca. Właśnie wtedy podszli do mnie Devineé i Salivar Domitrianowie. Oboje uśmiechali się przebiegle.

– Moja droga Sydonio Impirian – odezwała się Devineé, przyglądając mi się. – Na żywo wyglądasz zupełnie inaczej.

Jako bratanica cesarza Devineé była druga w kolejce do tronu, więc ona i jej mąż mieli wyższy status ode mnie. Ukłękłam przed nimi i kolejno podali mi dłonie, żebym mogła przyłożyć je sobie do policzków.

– Wstań, moja droga – powiedziała Devineé, wciąż z tym samym uśmiechem. – Mój stryj był dla ciebie wczoraj niezwykle nieprzyjemny.

Spojrzałam na nią nieufnie, podnosząc się z kolan.

– Wasza Eminencjo, to wina mojego ojca, który wywołał niezadowolenie cesarza. Ja nie podzielam jego dziwnych przekonań.

Wymienili spojrzenia.

– Och, jesteśmy pewni, że nie, nasza kochana Sydonio – zamruczała Devineé. – To ciągłe gadanie o herezji jest okropnie męczące, nie uważasz? Po co zajmować się prymitywnymi mechanizmami politycznymi, kiedy w życiu jest tyle większych przyjemności. Wpadnij dziś do nas na kąpiel solną.

– Och, to niezrównany luksus – przemówił Salivar, po czym zaciągnął się substancją z fiolki. – Spodoba ci się.

Obydwoje z jakiegoś powodu budzili we mnie niepokój, ale jednocześnie należeli do tego rodzaju ludzi, w których towarzystwie matriarchini chciałyby widzieć Sydonię. Gdyby udało mi się zaprzyjaźnić z członkami rodziny cesarskiej albo zaprezentować się jako głupiutka dziewczyna mająca zbyt pusto w głowie i za bardzo dbająca o „luksusy”, żeby interesować się wiedzą naukową, mogłabym wiele zdziałać dla oczyszczenia Sydonii z podejrzeń o heretyckie skłonności.

– Przyjdę z radością – powiedziałam. – Mnie też męczą te polityczne bzdury.

Devineé uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Wypuściła przez nos chmurę dymu.

– Przysłemy po ciebie serwitorów.

Skinęłam w podziękowaniu. Poszli dalej. Następną osobą, jaką poznałam, była dziewczyna z czarnymi lokami, która poprzedniego dnia przyłapała mnie na udawaniu omdlenia. Spojrzała mi w oczy i na jej ustach pojawił się niebezpieczny uśmiech. Zaczęła iść w moim kierunku, lawirując w tłumie.

– No, no, Sydonia Impirian, jak miło wreszcie spotkać cię osobiście!

Wyciągnęła ręce, a ja ujęłam je w swoje. Nie należała do rodziny cesarskiej, więc na pewno nie była ważniejsza ode mnie. Żadna z nas nie uklękła. Przywitałyśmy się tak, jak zwyczajowo witają się kobiety o równym statusie – na krótką chwilę mocno złapałyśmy się za dłonie.

– Awatary bywają takie mylące – powiedziałam, nie wiedząc, co robić. – Przypomnij mi, proszę, kim jesteś.

– Och, Sydonio, nie udawaj, bo się obrażę. Przecież zawsze mam te same oczy i fryzurę – odrzekła dziewczyna, pokazując na swoje lodowate szaroniebieskie oczy i kręcone czarne włosy. – To moje cechy charakterystyczne. Część z nas wybiera awatary, które są do nas podobne. To oczywiście ja, Elantra.

– Elantra Patus – natychmiast ją sobie przypomniałam i poczułam, że moje mięśnie się napinają. Musiałam być bardzo ostrożna w towarzystwie tej dziewczyny. Dziwnie było zobaczyć na żywo kogoś z budzącej postrach rodziny Patusów.

Była o wiele niższa ode mnie. Gdybym chciała, z łatwością mogłabym ją zabić.

– Naprawdę miło cię poznać – powiedziałam, naśladując mruczenie Devineé. Skupiłam wzrok na karku Elantry, który mogłabym złamać bez najmniejszego wysiłku, i zatęskniłam za rozwiązaniami, do jakich stworzono diaboliki: o ile prościej byłoby wyeliminować wszystkich wrogów Sydonii za pomocą brutalnej siły.

Zamiast tego musiałam zgrywać wytworną spadkobierczynię i poznawać kolejne nudne osoby. Elantrze towarzyszyli Credenza Fordyce i Gladdic Aton, potomkowie senatorów, którzy spotykali się z Sydonią na forach towarzyskich. Ich rodziny cieszyły się względami, więc wszystkie przebywały w Chryzantemum w charakterze gości, a nie zakładników, do których *de facto* należałam. Pracownicy stojący za Elantrą mieli wytatuowany na głowach symbol rodziny Patusów: supernową. Całkiem stosownie jak na rodzinę uważającą się za pierwszych obrońców wiary.

– Na żywo jesteś o wiele wyższa – zauważyła Elantra, mierząc mnie wzrokiem. – Twój awatar niezbyt dobrze cię reprezentował, prawda? Chociaż z drugiej strony mam wrażenie, że niektórzy spełniają za ich pośrednictwem swoje życzenia... Twój awatar nie odzwierciedlał tego śmiałego wyboru nosa! Zrobiłaś to specjalnie, czy przydarzyło ci się w czasie podróży?

Oprócz tego, że Elantra pochodziła z rodziny Patusów, szybko okazała się bardzo wkurzająca.

– Miałam mały wypadek. – Dotknęłam wybruszenia na grzbiecie nosa i przypomniałam sobie, że

Donia radziła, bym się go nie pozbywałam. Dla niej mogłam go nosić z dumą. – Efekt mi się spodobał, więc go zachowałam.

– Cóż za osobliwy wybór. Ale twoja rodzina słynie z takich... osobliwych sposobów rozumowania, prawda? – odezwała się Credenza Fordyce. Przyglądała mi się w skupieniu. Jej oczy błyszczały, a na twarzy malowało się przemożne pragnienie, żebym udzieliła niewłaściwej odpowiedzi.

– Podobała ci się ceremonia w Wielkiej Heliosferze? Wyglądałaś na trochę... rozkojarzoną – drażniła Elantra, starając się wydobyć ze mnie cokolwiek, co można by uznać za herezję. Nie robiła tego zbyt subtelnie.

– To była długa ceremonia – wtrącił Gladdic, odzywając się w moim imieniu. Z sympatią spojrział mi w oczy.

Był chudym chłopakiem o skórze koloru orzecha włoskiego i oczach sztucznej jasnozielonej barwy. Złoto wplecione w jego włosy dodawało mu delikatności, wyglądał, jakby zawsze dobrze o niego dbano. Wyraźnie nie podzielał pragnienia swoich towarzyszek, żebym powiedziała coś niewłaściwego. Musiałam to zapamiętać.

– Trwało nie dłużej niż zwykle – odparła Elantra. – A może... może w twojej fortecy ceremonie prowadzi się inaczej, Sydonio?

Znowu chciała, żebym popełniła błąd i przyznała, że rzadko w nich uczestniczę. Spryciara. Była jak żmija.

Ale nie miała pojęcia, że jestem większą żmiją od niej.

– Och, *grandeé* Pasmus, masz całkowitą rację. Rzeczywiście byłam rozkojarzona podczas ceremonii – odrzekłam wesoło. – Przebywanie w Chryzantemum jest bardzo ekscytujące. Nie mogę się doczekać, kiedy zakosztuję tych wszystkich... – Jak to ujęła Devineé? – większych przyjemności.

Obie dziewczyny się uśmiechnęły, a w oczach Elantry pojawił się złośliwy błysk.

– Tak, wiem, że wybierasz się na solne kąpiele do Salivara i Devineé.

Zamrugałam. Wyglądało na to, że wieści szybko się rozchodzą.

– Chyba powinnaś... – zaczął Gladdic.

– ...skorzystać z tej okazji – ucięła Elantra, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie.

Wystraszony Gladdic zamilkł. Zacisnął usta, tak że zmieniły się w wąską kreskę, i przemilczał to, co chciał powiedzieć.

– Baw się dobrze – dodała Elantra. – Jestem przekonana, że w towarzystwie Domitrianów zapomnisz o tej dramatycznej scenie, która rozegrała się na oczach nas wszystkich. Nic dziwnego, że tak cię to przytłoczyło! – Jeszcze raz z rozbawieniem spojrzała mi w oczy, jakby rzucała w ten sposób ukryte oskarżenie: „Ty oszustko!”. – Muszę powiedzieć, Sydonio, że jesteś zupełnie inna, niż się spodziewałam.

Uśmiechnęłam się bez wysiłku. Gdyby tylko znała prawdę! Gdybym tylko mogła jej pokazać, jak



bardzo odbiegam od jej wyobrażenia, chwytając ją za gardło i patrząc, jak ten jej uśmiezek blednie...

– Nie mogę powiedzieć tego samego o tobie – odparłam gładko. – Jesteś dokładnie taka, jak sobie wyobrażałam.

Nie dając jej chwili na zastanowienie, odwróciłam się i odeszłam.

Byłam pewna, że poświęciłam wystarczająco dużo czasu na towarzyskie spotkania po ceremonii. Szykowałam się do wyjścia, ale przed drzwiami czekała na mnie Neveni Sagnau.

– Masz chwilkę?

Poczułam zdenerwowanie. Nie chciałam, żeby mnie z nią widywano.

– Nie mam.

Wyciągnęła rękę, żeby mnie zatrzymać.

– Proszę, posłuchaj – powiedziała nagłym tonem. – Przed chwilą widziałam, jak rozmawiasz z Devineé Domitrian i jej mężem.

– Nie lubię, kiedy się mnie szpieguje. Zabieraj rękę.

– Ale Devineé i Salivar to... – Rozejrzała się, uświadamiając sobie, że ktoś może nas usłyszeć, po czym dodała szeptem: – Nie pij u nich wina. Mówię to dla twojego dobra.

Potem puściła moją rękę i szybko odeszła.

Zaskoczona patrzyłam w ślad za nią. Mogłam się jedynie domyślać, że Neveni mówiła o truciźnie, ale Devineé i Salivar Domitrianowie nie mieli przecież powodu, żeby zabijać zakładniczkę z rodziny Impirianów.

A nawet gdyby spróbowali... No cóż, szybko by odkryli, że popełnili fatalny błąd.

## ROZDZIAŁ 12

Kąpiele solne Devineé i Salivara Domitrianów odbywały się na statku Tigris, w miejscu, gdzie łączył się on z Valor Novus. Cały należał do Devineé.

Komnata, do której weszłam, była tak olbrzymia, że sufit niknął w oddali, w związku z czym miało się wrażenie przebywania na powierzchni planety. Dowiedziałam się, że coś takiego nosi nazwę „niebiańska kopuła”. Patrzyłam na zwisające z góry rośliny i poczułam na skórze gęstą wilgoć. Musiałam do tego przywyknąć. Wyglądało na to, że większość ludzi lubi, gdy nie widać sufitu.

– Ach, Sydonia! – zawołała Devineé. Razem z mężem już wylegiwała się w solnej kąpieli. – Dołącz do nas.

– Woda wydaje się przyjemna – powiedziałam, zdejmując ubranie. Oddałam je serwitorce, która do mnie podeszła, po czym wślizgnęłam się w ciepłe objęcia wody. Wodziłam wzrokiem po drzewach, których bujne gałęzie pochylały się wokół nas, i po przejrzystych, zielonkawoniebieskich sadzawkach, w których wirowały stworzenia wydzielające światło, wpuszczone tam dla ozdoby.

Domitrianowie śledzili każdy mój ruch i choć Sydonię bardzo by to krępowało, coś wewnątrz mnie buntowało się przeciwko udawaniu takich emocji. Gospodarze w żaden sposób nie starali się umilić mi wizyty, więc chyba chcieli, żebym czuła się niezręcznie. Ale ja bynajmniej nie zamierzałam podporządkowywać się ich woli.

– Aleś ty urocza – szepnął Salivar.

– Tak, masz wspaniałe ciało – powiedziała Devineé.

– Wiem – odparłam.

Obydwoje się roześmiali.

– I pomyśleć – powiedział Salivar, przeciągając samogłoski – że od miesiąca spodziewaliśmy się kąpieli z nieśmiałą i niewinną Impirianką. A tu proszę, spójrz, kochanie, ona nawet się nie rumieni.

– Ale jest niewinna – powiedziała Devineé z pewną satysfakcją. – Co do tego nie mam wątpliwości. – Wymienili spojrzenia, których nie potrafiłam zinterpretować.

Ciekawie było usłyszeć, że czekali na przybycie Sydonii. Nie rozumiałam, co takiego ważnego jest w tych solnych kąpielach, że tak bardzo chcą mnie nimi uraczyć. Mogłam jedynie wziąć udział w ich grze.

Woda była gęsta i mulista, unosiłam się na plecach na jej powierzchni. Powietrze było jednak tak wilgotne, że nawet pozostając nad wodą, czułam się lepka i mokra. Nade mną rozpościerało się sztuczne niebo – doskonale błękitne, bez jednej chmurki. Celowo utkwiałam w nim wzrok, próbując przyzwycząić się do otwartej przestrzeni.

Devineé przyglądała mi się z uśmiechem.

– I jak ci się podoba na cesarskim dworze, *grandeé* Impirian?

– Tłoczno tu, Wasza Eminencjo – odpowiedziałam szczerze.

– W waszym sektorze galaktyki jesteście dość odizolowani, prawda? Och, jakie to wszystko musi być dla ciebie dziwne.

Znalazłam na skraju basenu miejsce, w którym mogłam swobodnie unosić się na powierzchni wody. Devineé i Salivar przyglądali mi się wygłodniałym wzrokiem jak kot bawiący się z myszą, którą za chwilę pożre.

– Muszę się przyzwyczać – przyznałam ostrożnie. – To wasz statek?

– Och, Tigris to nasza siedziba, ale możesz tu zaglądać – odrzekła Devineé.

– Kiedy tylko chcesz – dodał z uśmiechem Salivar.

– Sama wpadłam na pomysł kąpieli solnych. Byłam kiedyś w kolonii, gdzie morze jest tak nasycone solą, że ludzie wylegają się na powierzchni jak na trawie, i powiedziałam...

– Powiedziała: „Salivarze, po prostu musimy to mieć” – dokończył Salivar.

Devineé piskliwie się roześmiała.

– Tak było. A wtedy on spytał: „Chciałabyś porzucić podróże w przestrzeni na rzecz planetarnego życia?”. A ja na to: „O nie, tylko nie gwiazdy, wykluczone”.

– No więc sprawiliśmy sobie to. – Salivar wykonał szeroki gest. Tym samym ruchem wydobył dzban z gąszczu soczyste zielonych roślin.

Mój wzrok się wyostrzył. Byłam ciekawa, co planują. Neveni Sagnau ostrzegła mnie przed ich winem. Najwidoczniej było czymś zaprawione.

– O tak, to był doskonały pomysł – dodał Salivar, nalewając wino do kieliszka i podając go żonie.

Unosząc naczynie do ust, Devineé uśmiechała się do mnie z błyskiem w oku, ale – co nie uszło mojej uwadze – nie przełknęła.

Salivar nalał kieliszek także dla mnie i podał mi go. Przyjrzałam się ciemnoczerwonemu płynowi, zastanawiając się, co może w nim być.

Z pewnością nie zamierzali mnie otruć, ale bez wątplenia chcieli mnie czymś odurzyć. Sutura nu Impirian mówiła, że część mieszkańców dworu lubi bawić się kosztem przybyszów nieprzyzwyczajonych do intoksykantów. Wrzucają do drinka coś pobudzającego albo halucynogennego, żeby nowa osoba zrobiła z siebie durnia. Był to łatwy sposób na ożywienie imprezy albo urozmaicenie leniwie płynących godzin.

Musiałam szybko zidentyfikować tę substancję, żeby wiedzieć, jaką mam udąć reakcję.

– Wystarczy kieliszek wina i solna kąpiel pod tym błękitnym niebem, by zniknęły wszystkie twoje kłopoty – dodała Devineé. Znowu uniosła naczynie i znowu nie wzięła do ust ani kropli.

Ostrożnie im się przyglądałam.

– Bez wątpienia – powiedziałam i upiłam łyk.

Pod wpływem wilgoci i gorąca lekko kręciło mi się w głowie, ale bez względu na to, czym zaprawili wino, ta substancja przepłynęła przez mój organizm, nie wywierając na niego żadnego wpływu. Upiłam więcej, próbując rozpoznać lekko cytrusowy posmak i z czymś go skojarzyć. Pod okiem Sutery spróbowałyśmy z Sydonią szerokiej gamy substancji odurzających, więc z pewnością już jej kosztowałam. Moi gospodarze kontynuowali nedorzeczną pogawędkę.

– ...świadczą tu znacznie bardziej wyrafinowane usługi niż gdziekolwiek indziej w cesarstwie...

– Zwiedzałaś kiedyś planety, moja droga? Och, warto spróbować. Tak wielu ludzi gardzi życiem na planetach. Narzekają na grawitację, mówią, że to dobre dla zbędników, ale ja nauczyłam się to doceniać.

– ...szkoda, że nie mogą nam towarzyszyć twoi rodzice, ale i tak cieszymy się, że możemy poznać młodą Sydonię Impirian...

Uniosłam do ust opróżniony do połowy kieliszek i Salivar ze śmiechem wyciągnął rękę, żeby wyjąć mi go z dłoni.

– Wypiłaś to szybciej, niż się spodziewaliśmy. Już wystarczy!

– Tak, dodaliśmy ci do wina małe co nieco – powiedziała Devineé – ale nie chcemy, żebyś zapadła w śpiączkę.

Nadal nie miałam pojęcia, co to za substancja, ale już wiedziałam, jak zareagować. Wskoczyłam z solnej kąpieli, udając przerażenie.

– Otruliście mnie?

– To nie żadna trucizna – zaszcebiotała Devineé. – To coś, co pomoże ci się odprężyć. Staraj się nie wykonywać tylu gwałtownych ruchów. Może ci się mocno zakręcić w głowie.

Zawroty głowy. Ospalność. Właśnie takie reakcje powinnam była udawać. Przymknęłam powieki i zakołysałam się na nogach. Nie chcąc, żeby zauważyli, że symuluję, zrobiłam to, co zrobiłaby Sydonia.

– Dlaczego? – wymamrotałam.

– Nie bój się, Sydonio. Nie zrobimy nic, co mogłabyś jutro pamiętać. – Uśmiech Devineé zrobił się jeszcze szerszy i bardziej drapieżny. – Nikt tego nie pamięta.

– Może nawet będziesz się dobrze bawiła – zauważył Salivar, przyglądając mi się z wyczekiwaniem.

– Bo my z pewnością będziemy – zamruczała Devineé. Przyjrzała mi się i westchnęła z rozkoszą. – Prawdziwa młodość. Nigdy nie mam jej dość. Salivarze, przyprowadź ją tu, zanim upadnie.

Zastanawiałam się, co robić. Tymczasem Salivar ruszył w moją stronę, rozpryskując słońą wodę. Po tym narkotyku miałam stracić pamięć, więc nie był substancją rekreacyjną.

Powoli zaczęłam rozumieć.

Pomyślałam o ostrzeżeniu ze strony Neveni i o subtelnej drwinie Elantry. Widocznie Salivar i Devineé mieli w zwyczaju robić takie rzeczy, gdy na dworze pojawiał się ktoś młody, bezbronny i samotny. Obydwoje należeli do najbardziej wpływowych ludzi w galaktyce, a mimo to uciekali się do odurzania swoich ofiar. Uchodziło im to na sucho, bo byli Domitrianami. Nikt nie mógł odrzucić ich zaproszenia na kąpiel, bo byłaby to obraza. Nikt nie mógł odmówić wypicia ich wina.

Wykorzystali swoją pozycję, żeby doprowadzić do tej sytuacji, i choć ja akurat byłam odporna na substancję, którą mnie poczęstowali, inni nie mieli tyle szczęścia.

Matriarchini doradziła mi to i owo w sprawie seksu na cesarskim dworze. Uważano go tu za rodzaj transakcji między ludźmi władzy lub sposób wywierania wpływu, nic więcej nie znaczył. Tutaj nie mogłam jednak niczego zyskać i choć stawianie oporu wydawało się niemądre, wszystko we mnie buntowało się na myśl o pozwoleniu im na tak śmiałe poczynanie sobie ze mną.

Po chwili jednak, gdy Salivar wynurzył się z wody i sięgnął w moją stronę, powiedział coś, co kazało mi spojrzeć na tę sytuację w zupełnie inny sposób.

– Ale przyjemnie będzie zbałamucić spadkobierczynię Impirianów. To jak na razie nasz najwspanialszy wyczyn.

Nagle serce zamarło mi w piersi. Nie zaplanowali tego z myślą o mnie.

Zaplanowali to z myślą o Donii.

Zapłonęła we mnie wściekłość, jakiej jeszcze nie znałam. Odepchnęłam od siebie ręce Salivara i wrzuciłam go do wody. Mignęła mi zszokowana twarz Devineé, po czym skoczyłam za nim, zelektryzowana oślepiającą furią. Chwyciłam Devineé i w jednej chwili trzymałam oboje za gardło. Nie zdążyli nawet krzyknąć z zaskoczenia czy strachu. Wepchnęłam ich głowy pod wodę.

Zacząli się rzucać, drapać mnie, ale byłam niewzruszona. Myślałam o tym, co mogłoby się stać, gdybym to nie była ja, lecz Donia. Mocniej ścisnęłam ich gardła, a oni bezradnie próbowali stawiać mi opór. Potrafiłam myśleć tylko o tym, że ci ludzie chcieli zgwałcić spadkobierczynię Impirianów, moją spadkobierczynię Impirianów. Wystarczyłoby wzmocnić uścisk, a złamałabym im karki, zmiażdżyłabym je. Z pewnością na to zasługiwali.

Nagle rozjaśniło mi się w głowie i uświadomiłam sobie, co zrobiłam. Wyciągnęłam ich oboje z wody i odepchnęłam od siebie.

Kaszlali i krztusili się, trzymając się za gardła, a mnie na chwilę ogarnęło przerażenie – zastanawiałam się, co powinnam teraz zrobić. Nie mogłam pozwolić, żeby przeżyli i opowiedzieli komukolwiek o mojej nadprzyrodzonej sile, ale popełnienie podwójnego morderstwa już pierwszego dnia na cesarskim dworze wydawało się niewskazane.

Devineé doszła do siebie pierwsza i wygramoliła się z wody. Krztusiła się i płakała.

– Kim ty... kim ty jesteś? Co z ciebie za potwór?

Zaczęła wymachiwać ręką, przewracając zostawiony kieliszek z winem, i już wiedziałam. Wiedziałam, jak sobie poradzić z tymi dwiema obmierzłymi istotami.

– Wracaj tu. – Mój głos brzmiał cicho, okrutnie.

Pisnęła, a ja z pluskiem wyszłam z wody i podeszłam do niej. Zanim zdążyła uciec, chwyciłam ją za włosy i walnęłam jej głową o podłogę. Znieruchomiała. Salivar uderzył mnie od tyłu, próbując ją ratować, ale z łatwością założyłam mu nelsona i sprowadziłam do parteru.

Wolną ręką nalałam wino do kieliszka.

– Po tym winie zapomina się, co się działo? – wychrypiałam. – Zbyt duża dawka powoduje śpiączkę, tak, Salivarze?

– Zaczekaj, zaczekaj – jęknął.

– Nie masz prawa się odzywać – warknęłam mu do ucha. – Módl się do swojego Żywego Kosmosu, żebyś to przeżył.

Zaczęłam wmuszać w niego wino. Krztusił się i prychał, ale przytrzymałam go za nos i tak długo wlewałam wino do gardła, aż bezwładnie spoczął na podłodze, otumaniony i nieprzytomny.

Devineé się ocknęła. Wykręciłam jej ramię za plecami, a potem napoiłam ją resztą wina.

Gdy już byłam pewna, że zrobiłam wszystko, co mogłam, zostawiłam ich obojwoje na podłodze. Wstałam i ubrałam się, a potem wykręciłam włosy, by pozbyć się wody. W głowie kłębiły mi się myśli: jak to ukryć, jak zataić to, co zrobiłam. Przecież wszyscy wiedzieli, że tu dzisiaj będę! Co powinnam teraz zrobić? Nie wiedziałam nawet...

Usłyszałam szelest w zaroślach. Zastygłam bez ruchu, gdy wyskoczyła z nich Neveni Sagnau – trzymała w dłoni swój zakrzywiony wisior.

Nagle z całą mocą dotarło do mnie, że pojawiła się kolejna komplikacja. Wino już się skończyło. Nie mogłam jej odurzyć. Pomyślałam, że trzeba będzie ją utopić.

– Sydonio! – zawołała, patrząc z przerażeniem na Domitrianów. Odurzona do nieprzytomności para leżała na podłodze. – Co... co tu się stało?

– Długo tu jesteś? – spytałam. – Przyszłaś sama?

– Oczywiście... oczywiście, że sama. Przed chwilą... przed chwilą przemknęłam obok serwitorów... – wskazała za siebie.

A więc nie widziała. To dobrze. Nie zdawała sobie sprawy, że należy się mnie bać.

– Podejź – przemówiłam bardzo miękkim i groźnym głosem. – Powiem ci, co się stało.

Oszołomiona wpatrywała się w tych dwoje. Ruszyłam w jej stronę, gotowa skrócić jej kark. Wtedy jednak Neveni mnie zaskoczyła. Obnażyła zęby w okrutnym uśmiechu i kopnęła Salivara w bok. Zatrzymałam się, próbując zrozumieć, co się dzieje. Neveni znowu go kopnęła, a potem dała kopniaka także Devineé. Chwiejnym krokiem odsunęła się od Domitrianów. Jej oczy błyszczały od niewylanych łez. Powstrzymywała je i jednocześnie się śmiała.

– Nie wiem, co im zrobiłaś, i wcale mnie to nie obchodzi. Umrą? Powiedz mi, że umrą!

– Nie wiem – odparłam, kompletnie zdumiona jej reakcją. Znowu zaczęłam się wpatrywać w ostrze w jej dłoni i uświadomiłam sobie, że zjawiała się tu gotowa mi... pomóc?

– Jeśli umrą, to zasłużenie. Robili to wiele razy – powiedziała twardo, wymachując ostrzem. – Nie jesteś pierwsza. Ja też nie byłam. Nawet nie pamiętam swojej pierwszej spędzonej tu nocy, ale widziałam, jak zapraszają innych, i wiem, co mnie tutaj spotkało. Tym razem nie miałam zamiaru stać z boku i pozwolić, żeby to się powtórzyło!

– Naprawdę przysłałaś, żeby ich powstrzymać? – Zwyczajnie nie mogłam tego pojąć.

– Nie wiedziałam, co zrobić – wyznała, wciąż trzymając w drżącej dłoni zakrzywione ostrze. – Chyba bym ich zadźgała albo tylko pocięła twarz Devineé, ale... ale nie mogłam pozwolić, żeby znowu to zrobili. – Z jej oczu popłynęły łzy, gwałtowne i pełne złości, i wtedy uświadomiłam sobie, że ta dziewczyna przybyła na pomoc spadkobierczyni Impirianów. Donii.

Nie mogłabym skrzywdzić kogoś, kto był gotów zrobić dla Donii coś takiego.

– Dziękuję. Naprawdę ci dziękuję. – Nie przywykłam do wypowiedzania takich słów, ale mówiłam szczerze.

– Będziemy musiały zatrzeć ślady... tego, co się tutaj stało – powiedziała Neveni, wykonując nieokreślony gest. – Sydonio, nie będę zadawała żadnych pytań. Naprawdę. Ale słuchaj, wiem, jak uzyskać dostęp do systemu zabezpieczeń. Sprawdziłam to, zanim tu przyszłam, żeby mieć pewność, że dostanę się do środka. – Uśmiechnęła się ponuro. – Wymażę zapis ostatniego dnia. A potem możemy razem wymyślić jakąś bajeczkę.

Oślupiała pokiwałam głową. „Razem”.

I tak po prostu zaakceptowałam Neveni Sagnau jako swoją sojuszniczkę. Nie takich sprzymierzeńców chciałam tu zdobywać, znajomość z Neveni w żaden sposób nie poprawiała reputacji Impirianów-heretyków... Ale czasami zamiast upragnionych rozwiązań los oferuje nam jedynie takie, które musimy przyjmować z braku lepszej alternatywy.

Postanowiłam, że na razie jej nie zabiję. Miałam tylko nadzieję, że nie będę tego kiedyś żałowała.

## ROZDZIAŁ 13

Donia już wystarczająco się o mnie martwiła, więc gdy rozmawiałam z nią w subprzestrzeni, przekazując najnowsze wieści z Chryzantemum, nie wspominałam o epizodzie z Salivarem i Devineé. Ani o późniejszym przesłuchaniu, któremu mnie poddano.

Domitrianów znaleziono następnego dnia, nieprzytomnych i nagich. Cesarz szybko odkrył, że miałam spędzić z nimi wieczór. Widocznie to, co Devineé i Salivar wyrabiali z młodymi ludźmi przebywającymi na dworze bez rodziny i przyjaciół, było tajemnicą poliszynela. Gdy siedziałam w swojej willi naprzeciwko Wrogości, w mojej głowie rozbrzmiewało szyderstwo Elantry. Z pewnością wiedziała, co mnie czeka tamtego wieczoru. Cieszyło ją to.

Miałam nadzieję, że pewnego dnia jej za to podziękuję. Ale jeszcze nie teraz.

Wydawało mi się, że pochyłona nade mną Wrogość wypełnia całą willę. Neveni drżała obok mnie, ale wiedziałam z własnego doświadczenia, że prawie każdy reaguje w ten sposób, gdy diaboliki przypierają go do muru i przepytują – nawet jeśli jest niewinny.

Dobrze odgrywała swoją rolę.

– Spotkałam Sydonię przed Tigrisem. Wydawała się zupełnie zdezorientowana i oszołomiona.

Kiwałam głową, nie ośmielając się odwrócić oczu od Wrogości.

– Naprawdę nie pamiętam, co się wydarzyło. Ich Eminencje byli bardzo mili, zaprosili mnie na kąpiel, a potem... – Wykonałam ręką nieokreślony gest. – Nadal potwornie boli mnie głowa. Nic nie pamiętam.

– Zaprowadziłam ją do jej komnaty, żeby się wyspała, i zostałam przy niej, w razie gdyby poważnie się rozchorowała. A jak się czują Ich Eminencje? – Neveni pochyliła się i na jej twarzy odmalowało się udawane zatroskanie. – Tak bardzo się martwimy.

Diabolika wysłuchiwała jej w zupełnym milczeniu, ani razu nie mrugając. W zasadzie nigdy dotąd nie przebywałam w towarzystwie kogoś takiego jak ja. Z zaskoczeniem uświadomiłam sobie, jakie to dziwne, że w ogóle udaje mi się uchodzić za człowieka. Każdy ruch, każdy oddech tego stworzenia zdradzał jego nieludzką naturę, świadczył o tym, że jest zabójczynią, drapieżnikiem, i że powinnam mieć się przed nią na baczności. Z pewnością zrobiła wszystko to, co ja, żeby zająć tak wysoko, żeby dotrzeć do punktu, w którym uznano ją za godną ucywilizowania. Zmusiłam się do zamrugania, żeby nie zauważyła mojego nieruchomego spojrzenia.

Po chwili powiedziała:

– Medboty nie są w stanie wybudzić ich ze śpiączki. Wszystko wskazuje na to, że przyjęli bardzo silną neurotoksynę o nazwie „oddech skorpiona”, i to w ogromnej ilości. To dziwne, *grandeé*



Impirian, że byłaś razem z nimi, a mimo to udało ci się uniknąć podobnego losu.

– Miałam niezwykle szczęście – przyznałam z powagą.

Spojrzenie diaboliki popęzło między nami, a potem skupiło się na mojej twarzy. Przez jedną straszliwą chwilę zastanawiałam się, czy dostrzeżga łączące nas podobieństwo... czy zauważyła we mnie coś diabolicznego, tak jak ja w niej, czy też moja wąła postać skutecznie wywiodła ją w pole mimo tego, co podpowiadała jej intuicja.

Wrogość gwałtownie wyciągnęła rękę i chwyciła mnie za podbródek. Zastygłam w bezruchu, a ona przechyliła moją twarz do światła.

„Mrugaj – przypomniałam sobie, wytrzymując jej spojrzenie. – Nie gap się. Zachowuj się jak człowiek”. Przełknęłam ślinę i poruszyłam się niespokojnie, tak jak mogłaby się poruszyć Sydonia. Wrogość przyglądała mi się w skupieniu przez dłuższą chwilę. Neveni nerwowo się roześmiała.

– Co się stało? – spytała. – Zauważyłaś coś na twarzy Sydonii?

– Nie kłamiesz? – spytała Wrogość groźnym tonem.

Moje serce zabiło szybciej. Wiedziałam, że to wyczuje. Ale każdy by się przestraszył, gdyby diabolika złapała go w ten sposób.

– Nie – odpowiedziałam spokojnie. – A teraz natychmiast mnie puść. – Mówiłam miękkim głosem, jak Donia, ale jego ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Dla tej diaboliki byłam córką senatora. Musiała mi się podporządkować.

Wrogość nie miała innego wyjścia, jak tylko odsunąć rękę. Spojrzała na mnie po raz ostatni, a potem wyszła bez słowa. Wcale jednak nie odetchnęłam z ulgą.

– Co to miało znaczyć? – mruknęła Neveni, wskazując swój podbródek.

Pokręciłam głową, ale nie odpowiedziałam. Wrogość coś podejrzewała. Czułam to. Nie potrafiłam jednak odgadnąć, jak wiele się domyśla.

– Diaboliki są takie przerażające – stwierdziła Neveni.

Uśmiechnęłam się do niej. Tak, chyba tak.

Dzień Konsekracji Umiłowanych Zmarłych był jednym z najważniejszych świąt w imperium, więc oczywiście senator von Impirian nie obchodził tego święta, chyba że akurat miał towarzystwo. Gdy pozwalał na ceremonię, Impirianowie stosowali tę samą procedurę co wszystkie potężne rodziny w cesarstwie: zamawiali egzalta – istotę zaprojektowaną i hodowaną specjalnie z myślą o tej okazji. Przez tydzień hołubili to stworzenie, traktując je z największą czułością, a potem pakowali je do statku kosmicznego i wystrzelili ku koronie gwiazdy, gdzie ginęło w płomieniach. Mieli nadzieję, że obdarowanie Kosmosu stworzeniem niewinnym i czystym wymaże wszystkie grzechy i złe uczynki popełnione przez ich umiłowanych zmarłych przed życiem po śmierci.

Cesarz zawsze świętował Dzień Konsekracji i w poprzedzającym go tygodniu truchtał wokół

egzalta – maleńkiej, bezwłosej istoty, mężczyzny lub kobiety, pozbawionej rzęs i koloru oraz zdolności poznawczych w zakresie oszustw, nieczystości, przemocy i innych paskudnych impulsów kalających prawdziwych ludzi. Egzalt zajmował honorowe miejsce na wszystkich ucztach i ważnych imprezach, rozpieszczany jak nikt inny na świecie.

Oczywiście dopóki nie nadszedł Dzień Konsekracji.

– No, chodź – namawiała mnie Neveni w świąteczny poranek. – To impreza dla grandecji wyższego szczebla, ale jeśli weźmiesz mnie ze sobą, też będę mogła tam pójść.

Zatajenie mojej zbrodni przeciwko Domitrianom i wspólny udział w przesłuchaniu zbliżyły nas do siebie. Spędzałyśmy dni w swoim towarzystwie.

Neveni nie była taka jak Donia – nieśmiała, urocza i spragniona intelektualnych wyzwań. Była niespokojna, niecierpliwa i żądna nowych wrażeń, a mnie, w przeciwieństwie do niej, nie można było zabronić wstępu do większości miejsc w Chryzantemum. Otwierałam przed nią drzwi, a później ona przejmowała inicjatywę.

Poza tym gdziekolwiek szłyśmy, miała zadziwiającą zdolność gromadzenia strzępków informacji i pogłosek. Kiedyś matriarchini powiedziała, że informacje są walutą, a Neveni dostarczała mi ich na pęczki. Najnowsze wieści przekazała mi, gdy szłyśmy do heliosfery na ceremonię konsekracji.

– Tyrus Domitrian zdążył już popsuć całe święto. Cesarz jest wściekły.

– Naprawdę? – powiedziałam, rozproszona przyklejającymi się do skóry włosami.

Tak jak reszta uczestników ułożyłyśmy z kosmyków aureole w kształcie gwiazd i ozdobiłyśmy je złotymi refleksami. Miałyśmy na sobie suknie ze złotym połyskiem, stosownie do okazji. Na twarzach mijanych osób oplakujących zmarłych członków rodziny widniały zrobione za pomocą szablonu łzy, symbolizujące smutek odczuwany po śmierci najbliższych.

Neveni skwapliwie pokiwała głową, psując sobie fryzurę. W przeciwieństwie do mnie nie miała rusztowań służących do stylizacji.

– Rok temu rodzina Pesusów podarowała cesarzowi egzalta o imieniu Jedność. Wykarmionego w sposób naturalny, bez wspomaganie wzrostu. Właściwie był to egzalt płci męskiej, który dojrzewał w normalnym ludzkim tempie.

Uniosłam brwi.

– To musiało drogo kosztować.

Nawet diaboliki poddawano w pierwszych latach życia procesowi przyspieszania wzrostu. Z ekonomicznego punktu widzenia karmienie i dbanie o humanoida, zanim mógł się na cokolwiek przydać, nie miało większego sensu.

– Senatora von Pasusa na to stać – powiedziała Neveni. – A cesarz wiedział, że potrzebuje egzalta pierwszej jakości, bo wielu członków rodziny cesarskiej umarło w młodym wieku. Wszyscy mówią, że Domitrianowie są wzgardzeni przez Słońce. – Lekko przewróciła oczami, bo każdy wiedział, że tak

naprawdę cesarz nie ma powodów, żeby przyczyny tych zgonów upatrywać w działaniu sił nadprzyrodzonych. Była mu ona doskonale znana.

– W tym roku – ciągnęła Neveni – bardzo ucieszył się z Jedności. Był przekonany, że Żywy Kosmos zacznie mu sprzyjać. Ale Tyrus wszystko popsuł. Skalał niewinność egzalta.

– Uprawiał z nim seks?

Nie byłam wierząca, ale postępek pierwszego następcy nawet mnie wprawił w osłupienie.

Neveni znowu skwapliwie pokiwała głową.

– Przyznał się dopiero wczoraj, kiedy namaszczano Jedność świętymi olejami. Teraz nie można złożyć go w ofierze, bo jest nieczysty. No i cesarz się wściekł.

– Nic dziwnego.

Tyrus Domitrian był naprawdę szalony. Jak na ironię, jego rozwiązłość uchroniła egzalta przed potwornym losem.

Weszliśmy z Neveni do Wielkiej Heliosfery. Wędrowni serwitorzy mijali nas, niosąc tace zastawione napojami, przekąskami i narkotykami. Były tam torebki z proszkiem, fiołki i inhalatory, dozowniki z różnymi substancjami odurzającymi, które dodawało się do napojów, jakieś maści do wcierania bezpośrednio w skórę. Sutura nu Impirian pokazała nam, jak się z nimi wszystkimi obchodzić, i zmusiła do ćwiczeń. Ostentacyjnie sięgnęłam po maść i wtarłam ją w skórę, bo wiedziałam, że nie wyrze na mnie żadnego wpływu i że wzgardzenie chemiczną rozrywką podczas jednego z najważniejszych cesarskich świąt mogłoby wywołać zdziwienie.

Cesarz kazał przykuć Tyrusa do największego okna i tymczasowo usunąć ekran chroniący przed promieniami UV, żeby pierwszy następca wycierpiał cały dzień w prażącym słońcu. Poza tym zakazano mu korzystać z jakichkolwiek atrakcji festiwalu.

Gdy zobaczyłyśmy Tyrusa, jego skóra zdążyła już nabrać jaskrawoczerwonego koloru, ale wydawał się zupełnie niewzruszony tą publiczną hańbą. Wnioskując po uśmiechu na jego twarzy, powiedziałabym nawet, że bawią go zgorszone spojrzenia przechodzących obok ludzi.

– ...nic na to nie poradzę, babciu – mówił, przeciągając samogłoski, gdy się do niego zbliżyłyśmy.

Do moich uszu docierały strzępy rozmów. Spojrzałam na Neveni, ale akurat była zajęta ukradkowym pozbywaniem się fiołki z substancją odurzającą i jednoczesnym udawaniem, że skrapia nią sobie nadgarstek. Po jej doświadczeniach z Domitrianami wydawało się zupełnie naturalne, że nienawidzi wszystkiego, co pozbawia ją kontroli nad sobą.

Z powrotem skupiłam się na podsłuchiwanie.

– Nie masz pojęcia, jak na mnie działa połączenie braku włosów z niewinnością – powiedział Tyrus. – Oczekiwanie ode mnie takiej powściągliwości przypomina pokazywanie głodującemu człowiekowi najsmakowitszych rarytasów i żądanie, żeby powstrzymał się od jedzenia. To nieludzkie.

– Przynosisz wstyd cesarstwu! – besztła go matriarchini rodziny Domitrianów, *grandeé* Cygna. –

Nawet się nie umalowałaś. – Sama ozdobiła twarz elegancką gamą łez.

– Ten tusz strasznie podrażnia mi skórę.

Tyrus miał oklapnięte powieki i cały czas się uśmiechał. Miał krótko ostrzyżone miedziane włosy, a jego błękitne oczy były jasne i jakby zawstydzone. Nigdy nie uznał za stosowne pozbyć się bardzo długiego nosa i niemodnego dołeczka w brodzie. Neveni powiedziała mi, że nie zmienia żadnego elementu swojego wyglądu, nawet na specjalne okazje. Jak wielu szaleńców nie przejmował się aparycją. Sądząc po ilości piegów, wielokrotnie ściągał na siebie gniew wuja i był karany przykuciem do okna. Zastanawiające było to, że ich nie usunął.

– W ogóle nie masz szacunku dla swojej zmarłej matki? – spytała ostro Cygna. – Dla rodzeństwa? Dzień Konsekracji to święto naszych zmarłych!

W głosie Tyrusa zaszła subtelna zmiana – częściowo zniknęła pobrzmiewająca w nim beztroska.

– Ależ babciu, śmierć rodziców to dla mnie tak wielka tragedia, że żadne ceremonie nie są w stanie jej upamiętnić... Ty i mój drogi wuj z pewnością się z tym zgodzicie.

Wszyscy wiedzieli, że matka cesarza przyłożyła rękę do wymordowania pozostałych pretendentów do tronu, w tym własnych mniej lubianych dzieci. Cesarz Randewald wynagrodził to matce, mianując obłąkanego siostrzeńca pierwszym następcą, bo chciał mieć pewność, że Cygna nigdy nie zwróci się przeciwko niemu.

Tymczasem ten obłąkany siostrzeniec właśnie rzucił niebezpieczne oskarżenie, chyba nie zdając sobie z tego sprawy. Nie mogłam się oprzeć pokusie i spojrzałam w ich stronę, żeby zobaczyć reakcję Cygny.

Matriarchini rodu Domitrianów spłonęła rumieńcem. Zmrużyła oczy i spojrzała na Tyrusa.

– Sugerujesz coś, drogi wnuku? Bo mówisz o kimś z mojej krwi i moich kości.

– Niczego nie sugeruję. Mówię tylko, że nikt mi nie wyjaśnił, dlaczego powinienem znowu ich opłakiwać. Spójrz, jak ostentacyjnie demonstrujesz własny smutek: zdaje się, że opłakujesz ich wystarczająco za nas oboje. – Po chwili w jego głosie znowu pobrzmiewała wesołość. – Zresztą czymże jest śmierć kilku członków rodziny? Moi rodzice byliby zaszczytzeni, wiedząc, że ich potomek to chodząca doskonałość.

Z twarzy matriarchini zniknęła podejrzliwość, ustępując miejsca poirytowaniu.

– O Heliosie, dopomóż mi. Tyrusie, jesteś szalonym głupcem i hańbą tej rodziny! Biada cesarstwu, jeśli zasiądziesz kiedyś na tronie. Przysięgam na Kosmos, że gdy nastanie ten wzgardzony przez Słońce dzień, sama wystrzelę się w gwiazdy! – To rzekłszy, Cygna pospiesznie odeszła, zostawiając wnuka przykutego do okna.

Tyrus napotkał moje spojrzenie i szybko odwróciłam wzrok. Nie mógł wiedzieć, że wszystko słyszałam. Tylko diaboliki były w stanie podsłuchiwać rozmowy z takiej odległości.

Neveni pozbyła się narkotyku i trąciła mnie łokciem, żebyśmy poszły dalej. Zrobiłam to

z przyjemnością. Było już jednak za późno.

– Ej, ty! – zabrzmiał głos Tyrusa. – Impirianka! Chodź mnie zabawić. Rozkazuję ci.

Wymieniłam spojrzenie z Neveni, po czym ruszyliśmy w stronę Tyrusa Domitriana. Przystanęliśmy przed nim, chcąc przyklęknąć.

– Nie, nie – zniecierpliwił się, wodząc od jednej z nas do drugiej rozbieganym wzrokiem. – Nic z tych rzeczy, kiedy jestem w takim stanie. Nie róbmy z tego jeszcze większej farsy, niż jest. Ciebie widywałem już wiele razy, moja *grandeé*. Ale ty – zwrócił się do Neveni – kim właściwie jesteś? Nie znam cię.

– Nie jestem z grandecji. – Neveni wyprostowała się. – Jestem córką namiestniczki Luminy, Wasza Eminencjo.

– Terytorium Pasusów. – Na dłuższą chwilę zamknął oczy. – A, no tak. Chodzi o tę kobietę, która chciała budować biblioteki i kształcić naukowców.

Neveni zeszywniała.

– Tak, Wasza Eminencjo.

Zerknęłam na nią, zastanawiając się, jak się zachowa w rozmowie z Domitrianem.

– Co sądzisz o działaniach twojej matki? Tylko szczerze – powiedział Tyrus.

Prośba była śmieszna. Bez względu na to, czy następca cesarza był szaleńcem, czy nie, szczerść mogła Neveni drogo kosztować. Moja towarzyszka spojrzała na Tyrusa w sposób, który dawał to do zrozumienia, lecz odrzekła bardzo ostrożnie:

– Wasza Eminencja nie może oczekiwać, że wypowiem się przeciwko własnej matce.

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie – ciągnęła, nabierając odwagi – moja matka jest oddana Luminie. Nie chciała okazać braku szacunku twojemu... naszemu świętemu Kosmosowi ani rodzinie Pasusów. Chciała jedynie poprawić warunki życia na swojej planecie.

– Na planetach żyje się podle – przyznał współczująco Tyrus.

– Och nie, wcale nie – zaprzeczyła Neveni.

– Nie? Nie ma tam huraganów, trzęsień ziemi i chorób?

– Pogoda jest bardzo zmienna, ale formy życia cechuje duża różnorodność. Istnieją rozmaite zwierzęta i rośliny, które rosną bez wspomagania, a Lumina ma dwa księżyce, które wyznaczają rytm przyływów i odpływów. To wszystko jest bardzo nieprzewidywalne, Wasza Eminencjo, ale dzięki temu żyje się tam o wiele ciekawiej niż w przestrzeni kosmicznej.

– Mówisz jak partyzantka szaleńczo zakochana w swojej planecie.

Neveni zbladła i ja także poczułam napięcie. Powiedział to ze swobodnym zaciekawieniem, ale jednocześnie rzucił poważne oskarżenie i wydawał się tego zupełnie nieświadomy, choć Neveni aż się wzdrygnęła.

Skupił się na oglądaniu swoich paznokci.

– Ale oczywiście nie jesteś żadną partyzantką. To byłoby szaleństwo. Zwłaszcza tutaj, w Chryzantemum. Gdybym cię o to oskarżył, oznaczałoby to straszliwą nadinterpretację twoich słów.

Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, pomyślałabym, że podsuwa jej zawołowaną radę, by wypowiadała się z większą ostrożnością.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo – przytaknęła pospiesznie Neveni. – Byłaby to straszliwa nadinterpretacja. Zdecydowanie nie jestem partyzantką.

Tyrus oparł się o okno, unosząc ręce najdalej, jak pozwalały łańcuchy, żeby spleść palce za głowę.

– Mówią do mnie gwiazdy, a twój głos je zagłusza. Bądź przez chwilę cicho, żebym mógł je zrozumieć. Obie bądźcie cicho. Zwłaszcza ty, *grandeé* Impirian. Bez przerwy głędzisz.

Zdumiałam się. Prawie w ogóle się nie odzywałam. Obie zamilkłyśmy.

– Gwiazdy mówią... mówią, że jestem dziś wyjątkowo przystojny – oznajmił Tyrus. – Jak miło z ich strony. Uważasz, że jestem przystojny, *grandeé* Impirian?

Pytanie było niedorzeczne. Na dworze pełnym ludzi, którzy modyfikowali swój wygląd, by stał się perfekcyjny, Tyrus wyróżniał się niedoskonałością jak zwyczajny zbędnik. Przez dłuższą chwilę nie byłam pewna, co odpowiedzieć, żeby go nie urazić.

– Gwiazdy z pewnością by cię nie okłamały, Wasza Eminencjo.

– Chyba masz rację – odrzekł Tyrus. – Przysięgam, że gdy tylko uwolnię się z tych łańcuchów, zaprezentuję swoje piękne oblicze wielbicielom na całym świecie...

Po jasności umysłu następcy tronu nie pozostał nawet ślad. Zaczął przyjmować dziwaczne pozy, eksponując mięśnie i twarz, i z wdziękiem odbierał komplementy od wymagowanej publiczności. Razem z Neveni powoli się oddaliłyśmy, żeby dalej mógł gadać do siebie, zachwycając się swoimi zaletami. Jaskrawe światło sześciu słońc wpadało przez okno, wciąż paląc mu skórę.

Nagle w tłumie zapanowało poruszenie – cesarz wzniósł się na swoim antygrawitacyjnym fotelu i spektakl zaczął się na dobre. Pod sufitem rozbłysły światła, ściany Wielkiej Heliosfery rozsunęły się, ukazując nie pustą przestrzeń, lecz scenę – podobizny dawno zmarłych członków rodziny cesarskiej i obrazy z ważnych bitew w historii imperium. Były tam także zdjęcia statków, które przepadły w złośliwej przestrzeni kosmicznej. Ludzi zmarłych w taki sposób otaczano w cesarstwie największą czcią.

Zauważyłam cesarskie trio diabolików. Ryzyko i Ból stali po bokach cesarza, a Wrogość...

Wrogość trzymała się z boku i patrzyła prosto na mnie.

Szybko odwróciłam wzrok.

– To było dość krępujące – powiedziała nieświadoma tego Neveni, gdy ruszyłyśmy w stronę zastawionego stołu. – Plotki wcale nie są przesadzone. On jest naprawdę szalony.

Przez Tyrusa nie można było złożyć ofiary, ale podano przygotowane wcześniej jedzenie.

Patrzyłam, jak Neveni sięga w stronę półmiska z prawdziwą pieczoną kaczką i w mojej głowie odbiły się echem dumne słowa, które wypowiedziała na temat swojej planety.

Musiałam ją o to spytać:

– Jesteś partyzantką?

Nie obchodziło mnie, czy Neveni chce, aby jej planeta wyzwoliła się spod władzy imperium, lecz to, czy jest wystarczająco rozważna, by zachować swoje przekonania w tajemnicy. Gdyby przyznała, że jest partyzantką, musiałyby szybko umrzeć. Nie mogłabym ufać idiotce posiadającej niebezpieczną wiedzę na temat tego, co zrobiłam Devineé i Salivarowi.

Neveni jednak tylko spojrzała na mnie z ukosa i odpowiedziała pytaniem:

– Co tak naprawdę wydarzyło się u Domitrianów?

Moje serce gwałtownie podskoczyło i pospiesznie się rozejrzałam. Czy w pobliżu był ktoś, kto mógł to usłyszeć? Nie, Neveni nie była taka głupia, żeby mówić otwarcie w obecności innych.

– Nie zadawajmy sobie pytań, jeśli nie chcemy poznać odpowiedzi – zaproponowała lekkim tonem.

Już jej jednak nie słuchałam. To prawda, w pobliżu nie było ludzi mogących nas usłyszeć, ale w tłumie zauważyłam Wrogość. Wciąż mnie obserwowała i teraz stała już bliżej – na tyle blisko, żeby mogła usłyszeć Neveni, gdyby tylko chciała.

Stała... w takiej samej odległości jak ja od Tyrusa, gdy podsłuchałam jego rozmowę z Cygną. Ruszyła w moją stronę i już wiedziałam, że słyszała każdą sylabę, która padła z ust Neveni.

A ja nie miałam żadnej zgrabnej wymówki. Nie tym razem.

## ROZDZIAŁ 14

Przeprosiłam Neveni i skierowałam się w stronę drzwi. Marzyłam o kilku minutach spokoju, żeby przeanalizować dostępne możliwości. Wrogość już wiedziała, że bajeczka, którą wymyśliłyśmy z Neveni, to kłamstwo. Z pewnością zamierzała zażądać wyjaśnień. Prawdopodobnie się domyśliła, że ponoszę odpowiedzialność za to, co spotkało Domitrianów – że to wyłącznie moja wina.

Czy ktokolwiek jej uwierzy?

Chemiczne rozrywki zaczęły działać na wszystkich. Mijałam grandesów w różnym wieku bezwładnie siedzących na podłodze, bełkoczących i opartych o poręcze foteli albo o okna; część była pochłonięta rozmową, część wpatrywała się w swoje ręce, jakby miała przed sobą coś naprawdę fascynującego. W tłumie krążyli lekarze nu Domitrian i nan Domitrian, pomagając tym, którzy przedawkowali albo doświadczyli niepożądanych skutków działania narkotyku.

Wbrew temu, co powtarzała nam Sutura nu Impirian, widziałam wiele rozmemłanych osób. I jeszcze więcej w hysterii. Nawet Credenza Fordyce leżała rozwalona na podłodze z szeroko rozchyłonymi nogami i krzywo uśmiechała się do mijających ją grandesów. Elantra stała nad nią, śmiejąc się i chwiejąc na nogach, i nakazywała jej wstać.

Minęłam je bez słowa i poczułam ulgę, gdy wyszłam z tłumu w chłodne objęcia korytarza. Po chwili rozległy się za mną czyjeś kroki i już wiedziałam, że nie udało mi się uciec.

– Już wychodzisz, *grandeé* Impirian?

Odwróciłam się powoli i stanęłam twarzą w twarz z Wrogością. Okrążyła mnie w ten swój zwierzęcy sposób, a ja zastygłam bez ruchu i z głowy uleciały mi wszystkie zasady dotyczące zachowań prawdziwych ludzi.

Moja bliźniaczka. Mój cień. To całkiem sensowne, że to właśnie ona mnie przejrzała.

Nie byłam w stanie skupić się na niczym oprócz drapieznika, którego miałam przed sobą.

– A co cię to obchodzi?

Mój głos zabrzmiał zbyt ostro, zbyt groźnie – zbyt podobnie do mojego prawdziwego głosu.

Wrogość nie odpowiedziała, patrzyła na mnie tylko.

– Jestem bardzo zmęczona. – Stłumiłam swoje prawdziwe uczucia i udałam uśmiech, starając się, żeby zabrzmiało to szczerze. – Wspaniała ceremonia. Szkoda, że bez egzalta.

Chciałam ją wyminąć, ale zagrodziła mi drogę. Była bardzo szybka i poruszała się zupełnie bezszelestnie. Przed redukcją mięśni też to potrafiłam. Mogłabym jej dorównać pod każdym względem, mogłabym stanąć naprzeciw tej istoty i walczyć z nią na poważnie.

Ale teraz... nie dałabym rady diabolice. Jeśli jednak domyśliła się, kim jestem, musiałam ją zabić,



zanim zdąży o tym komuś powiedzieć. Nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać.

Wrogość przysunęła się do mnie i przyglądała mi się uważnie. Jej oczy były blade, nieprzeniknione. W porównaniu ze mną była ogromna.

– Czego chcesz? – odważyłam się spytać po dłuższym milczeniu.

– *Grandeé* Impirian, wiem, że kłamiesz w sprawie Domitrianów.

Zaprzecz. To najlepsze, co możesz zrobić.

– Już ci mówiłam...

– Tak powiedziała ta mała Sagnau. Słyszałam. Twoja wersja to było kłamstwo.

– Moja wersja? Nie ma żadnej „mojej” wersji. Mówiłam ci, nie pamiętam, co się stało! – Miałam nadzieję, że zachowuję się jak wystraszona histeryczka. Tak naprawdę zastanawiałam się, czy starczy mi sił, żeby ją zabić. Potrzebowałabym elementu zaskoczenia.

Po jej twarzy przemknął cień, w którym dostrzegłam coś zwierzęcego. Przechyliła głowę.

– Masz w sobie coś bardzo dziwnego, ale nie potrafię określić, co to jest. Jeszcze.

A więc nie odkryła, że jestem taka jak ona. Poszła za głosem instynktu i przydybała mnie tutaj, ale nawet teraz, widząc mnie z tak małej odległości, nie potrafiła stwierdzić z całkowitą pewnością, że nie jestem człowiekiem. Co więcej, najwyraźniej wątpiła, czy naprawdę usłyszała to, co usłyszała, bo w przeciwnym razie już wykręcałyby mi ręce, próbując wydusić ze mnie przyznanie się do winy. Bo niby jak spadkobierczynie Impirianów mogłaby doprowadzić do kalectwa dwoje Domitrianów już na samym początku pobytu na cesarskim dworze?

Ta świadomość dodała mi odwagi.

– Nie mam czasu na takie bzdury, ty nieludzka istoto. Odsuń się i pozwól mi przejść.

Nie poruszyła się.

– Powiedziałam: odsuń się! – powtórzyłam, czując przypływ adrenaliny. Miałam ochotę ją odepchnąć. Uderzyć. Musiałam jednak stłumić wszystkie szalejące we mnie agresywne impulsy.

Ale po chwili...

Po chwili rozległ się głos:

– Wszystko w porządku?

Słyszając to pytanie, tak spontaniczne i ludzkie, natychmiast przerwałyśmy tę dziwną rozmowę. Spojrzałam na Gladdica Atona, młodego arystokratę, którego poznałam pierwszego dnia.

Wrogość pochyliła głowę.

– Tak, *grande* Aton.

– Tak – powiedziałam, odwracając się od Wrogości.

Gladdic spojrział na mnie uważnie. W jego jasnozielonych oczach dostrzegłam głęboko ukryte emocje, których nie potrafiłam rozszyfrować.

– *Grandeé* Impirian, czy mógłbym cię odprowadzić do twojej willi?

Potaknęłam, pozwoliłam mu podejść i wzięłam go pod rękę.

– Wyprowadź mnie stąd – poprosiłam.

Nie spojrzałam więcej na Wrogość, ale czułam, że jej oczy wypalają mi dziurę w plecach, choć z każdym krokiem coraz bardziej oddalałam się od jej śmiercionośnego zainteresowania. Na razie.

Minęła dłuższa chwila, zanim Gladdic zebrał się na odwagę i powiedział:

– Obawiam się, że sprawiłem ci przykrość.

Spojrzałam na niego.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, kiedy powiedziałem ci na forum towarzyskim, że powinniśmy trzymać się od siebie z daleka, nie chodziło mi o... o ciebie.

– A o co?

– Mój ojciec to bliski sprzymierzeniec senatora von Pasusa – wyjaśnił. – Mnie nie obchodzą przekonania twojego ojca, ale mój nie uznaje w tej kwestii kompromisów. Nie mogę tak po prostu swobodnie się z tobą spotykać, chociaż bardzo bym chciał! Czuję się okropnie, że cię uraziłem.

– Dlaczego miałabym czuć się urażona? – spytałam powoli.

– Dlatego... – Zamrugął, prostolinijny jak dziecko. – Dlatego że nigdy ze sobą nie rozmawiamy. Nawet na osobności. Pomyślałem, że milej ci będzie poznać mnie osobiście. – Spuścił wzrok i jego policzki lekko się zaróżowiły. – Byłaś dla mnie taka oschła. Wiem, zasłużyłem na to, ale sprawia mi to wielki ból.

Gapiłam się na niego bez słowa, ale po chwili się zreflektowałam i otrząsnęłam. A więc kiedy spotykali się na galaktycznych forach, Donia traktowała go zupełnie inaczej niż ja w Chryzantemum.

– Nie jestem na ciebie zła. I wcale mnie nie uraziłeś. Ja po prostu... – szukałam jakiegoś wyjaśnienia – nie chcę ściągać nowych kłopotów na ciebie ani na siebie. – To akurat była prawda.

Głośno przełknął ślinę. Powoli szliśmy ścieżką w stronę olbrzymiej niebiańskiej kopuły, pod którą mieściły się nasze wille.

– Myślałem o tym i chyba nikomu nie stałaby się krzywda, gdybyśmy na przykład od czasu do czasu spotkali się przy okazji... jakichś imprez publicznych. Jak sądzisz?

Gdy dotarliśmy do mojej willi, odwróciłam się i spojrzałam w jego szczerze oczy, w których malowała się rozpaczliwa prośba.

W końcu zrozumiałam: Gladdic podkochiwał się w Donii. A ona najwyraźniej nie zrobiła nic, żeby go zniechęcić.

Wysunęłam rękę spod jego ramienia, czując, że Donia o czymś mi nie wspomniała.

– Masz rację, chyba nikomu nie stanie się krzywda, jeśli zaczniemy się częściej spotykać.

Pomyślałam, że Donia będzie musiała mi się z tego wytłumaczyć.

– Spotkałaś Gladdica?

W głosie Donii nie było słycać żadnych emocji, żadnego podekscytowania. Być może dlatego, że pożyczła awatara matki, żeby rozmawiać ze mną na galaktycznych forach, a komuś przemawiającemu oschłym, cynicznym głosem matriarchini trudno byłoby wyrazić podekscytowanie czymkolwiek.

Gdy jednak zaczęłam się w nią wpatrywać, używając awatara Donii, wyczułam, że chodzi tu o coś więcej.

– Nie lubisz go?

– Lubię – powiedziała pospiesznie. Splotła ręce na piersi.

Przekazywałam jej wszystko, co mogłam jej powiedzieć o Chryzantemum. Musiałyśmy rozmawiać bardzo ostrożnie, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał. Udawałyśmy matkę i córkę i korzystałyśmy z prywatnego wirtualnego forum.

– Chyba bardzo mnie... lubi – powiedziałam Donii. – A ja nie miałam o tym pojęcia. – Właśnie to najbardziej mnie zaskoczyło, bo Donia nigdy nie miała przede mną tajemnic.

– Bo naprawdę nie ma o czym opowiadać. Słuchaj – wzruszyła ramionami – zawsze wiedziałam, że pewnego dnia będę... że będziesz musiała wyjść za mąż i zawrzeć sojusz z inną wpływową rodziną.

– Tak.

– Gladdic Aton jest miły, inteligentny, cierpliwy. – Westchnęła. – To partia równie dobra jak każda inna.

– Ale mnie na nim nie zależy – podsumowałam. – Więc nie muszę być dla niego uprzejma.

– Nie! Bądź miła.

– No więc jednak mi na nim zależy?

– Nie, Nem... Sydonio. Jako potencjalny, hm, małżonek, byłby dla ciebie lepszy niż ktokolwiek inny. Ale to wcale nie znaczy, że chciałabym mieć takiego męża. W zasadzie to w ogóle nie chciałabym mieć męża, ale Gladdica lubię bardziej niż kogokolwiek innego. Rozumiesz?

– Nie – odpowiedziałam szczerze.

– Po prostu pamiętaj, że muszę... że musisz wyjść za kogoś za mąż, więc równie dobrze może to być Gladdic. – Zamknęła oczy. – Jego rodzice to żarliwi helionicy. Jego rodzina jest poza wszelkimi podejrzeniami. Jeśli bym... jeśli byś się z nim zaprzyjaźniła, byłabyś o wiele bezpieczniejsza. Dlatego powinnaś – spojrzała na mnie uważnie – podtrzymywać jego zainteresowanie tym małżeństwem. – Ściszyła głos. – Proszę, zrób to. Dla mnie.

Zmarszczyłam brwi. A więc Donia nie kochała tego chłopaka, lecz zamierzała za niego wyjść

i najwyraźniej zainteresowała go tym pomysłem. Chciała, żebym dalej go zachęcała, mimo że nic do niego nie czuła.

– Jak daleko mam się posunąć w tej „uprzejmości”? – spytałam.

– Po prostu z nim rozmawiaj. Bądź czuła, jeśli możesz.

– Mam z nim uprawiać seks?

– Nie! – zawołała. – Nie rób tego.

– Jesteś pewna? Dla mnie to bez różnicy...

– Powiedziałam NIE, Nemezis! Nie chcę, żeby cię dotykał!

Jej słowa były tak gwałtowne, że wytrąciły mnie z równowagi. Obie milczałyśmy przez dłuższą chwilę, rozglądając się, jakbyśmy się bały, że ktoś podsłuchuje. W złości użyła mojego imienia. Nic jednak nie świadczyło o tym, by ktoś przysłuchiwał się naszej rozmowie, a poza tym było już za późno, żeby to cofnąć.

– Nie będę – powiedziałam łagodnym głosem. – Niczego takiego nie zrobię.

Zaczerpnęła powietrza i wypuściła je z drzeniem.

– Po prostu... – odezwała się wreszcie – on lubi rozmawiać. Bądź dobrą słuchaczką. Tak naprawdę właśnie tego mu potrzeba. Bądź tak miła, jak tylko potrafisz. Ale na tym koniec. Koniec. Zrozumiałaś?

– Zrozumiałam.

Po wylogowaniu wpatrywałam się w swoje odbicie na powierzchni konsoli. Nadal miałam ciemnobrązowe włosy, które podobały się Donii, wciąż miałam też swój nos. Sydonia bardzo negatywnie zareagowała na samą sugestię, że mogłabym przespać się z Gladdikiem. Po chwili zrozumiałam: była zazdrosna. Okropnie zazdrosna. Gladdic obchodził ją o wiele bardziej, niż była skłonna przyznać.

Mimo to nadal byłam zdziwiona, że mi o nim nie wspomniała. Potrafiłam jednak czytać między wierszami. Skoro chciała za niego wyjść, postanowiłam zrobić, co w mojej mocy, żeby sprawdzić, czy jest odpowiednim kandydatem. Gdyby okazał się dość dobry – tak dobry, jak sądziła – byłam gotowa zrobić wszystko, żeby poprawić relacje między rodzinami Impirianów i Atonów. A gdybym przy okazji odsunęła od Sydonii podejrzenia o heretyckie skłonności, tym lepiej. Tyle mogłam dla niej zrobić.

## ROZDZIAŁ 15

Wrogość zaczęła mnie śledzić. Najwyraźniej cesarzowi wystarczała obecność dwóch diabolików, więc miała mnóstwo okazji, żeby szpiegować mnie w Chryzantemum, wypatrując kolejnych podejrzanych zachowań.

Robiła to sprytnie – trzymała się na tyle daleko, że zwykły człowiek nigdy nie zauważyłby jej obecności. Zachowywała się jak diabolika podczas standardowego patrolu w Chryzantemum, a nie jak myśliwy ścigający ofiarę. Tylko najbardziej paranoiczny umysł mógłby nas ze sobą skojarzyć. To, że zawsze była w pobliżu, wyglądało na czysty zbieg okoliczności.

Ale nie dla mnie.

Zaczęłam bardzo uważać na każdy swój ruch, każdy oddech, zastanawiając się, jak wielką część swojego prawdziwego ja zdążyłam już przed nią zdradzić. Jedyne, co zdołałam wymyślić, to jak najlepiej odgrywać rolę *grandeé*, zajmować się różnymi głupstwami i liczyć na to, że straci mną zainteresowanie.

Przeszłam długie szkolenie u Sutery nu Impirian i u matriarchini, ale tak naprawdę nie miałam instynktu społecznego. Nie czułam potrzeby rozrywki ani zawierania przyjaźni, lecz żeby wtopić się w otoczenie, musiałam się zachowywać w określony sposób – musiałam udawać, że bawi mnie dworskie życie. Uznałam, że im częściej będę to robiła, tym szybciej Wrogość dojdzie do wniosku, że jej podejrzania były bezpodstawne.

W tym zakresie miałam z Neveni największy pożytek.

Łaknęła nowych doświadczeń. Byłyśmy już we wszystkich ogrodach na Valor Novus i pewnego dnia wypuściłyśmy się na Berneval. Był to najdłuższy, pięciokilometrowy wysięgnik wystający z Chryzantemum. Korzystali z niego nieliczni ludzie i ogromna liczba zautomatyzowanych maszyn wypełniających swoje zadania. Nie było tam nic specjalnego do zobaczenia, ale Neveni uparła się, żebyśmy tam poszły, bo droga kończyła się murem pokrytym imionami tych, którzy odważyli się zapuścić aż tak daleko.

Zobaczyłam imiona i symbole większości mieszkających tu młodych arystokratów i domyśliłam się, że to swego rodzaju dworski ryt przejścia. Były tam kwazar Atonów, supernowa Pasusów, zaćmienie słońca Fordyce'ów, sześć gwiazd cesarskiej gałęzi Domitrianów, a nawet czarna dziura, symbol niecesarskiej gałęzi tej rodziny – krewnych ze strony *grandeé* Cygny. Dopisałyśmy swoje imiona i wyryłam impiriańskie słońce wschodzące nad planetą.

Neveni z buntowniczą miną zdjęła naszyjnik i wyryła ostrzem bliźniacze księżycy Luminy.

– Jeśli grandecji to się nie spodoba – powiedziała – to nie powinna była mnie tu sprowadzać.

Innego dnia wieczorem poszliśmy z Gladdikiem na walki bestii. Niektórzy grandesi trwonili pieniądze, wystawiając genetycznie zaprogramowane stworzenia do walk na arenie na dnie Tigrisa. Przeważnie ginęły już przy pierwszym starciu. Ci, którzy postawili na pokonanych, tracili pieniądze, ale przy okazji mieli wielką uciechę z rozlewu krwi.

Była to jedna z tych nieszkodliwych publicznych imprez, o których wspomniał Gladdic, mówiąc, że moglibyśmy spędzać tam wspólnie czas bez narażania się na krytykę. Większość wieczoru – nawet gdy walczyła jego własna bestia – upłynęła mu na pochwytywaniu mojego spojrzenia i uśmiechaniu się do mnie. Zmuszałam się do rozciągania ust i odwzajemniania się tym samym, choć nie byłam pewna, czy kiedykolwiek zdołałam oddać w ten sposób łagodność i ciepło Sydonii.

Bestia Gladdica wygrała walkę, więc przeprosił mnie i pobiegł zajrzeć do swojego zawodnika. Neveni skorzystała z okazji.

– Bardzo chciałabym wziąć w tym kiedyś udział – powiedziała. Głos miała zachrypnięty od kibicowania niedźwiedzio-tygrysiej hybrydzie, na którą postawiła dwie walki wcześniej. – Powinniśmy zamówić własną bestię.

Spojrzałam na nią sceptycznie.

– I masz nadzieję, że za to zapłacę?

– Zgódź się, Sydonio. Nie chciałabyś spróbować? Tylko raz.

Słyszając ten pomysł, poczułam nieprzyjemny skurcz w żołądku, choć nie byłam w stanie określić dlaczego. Nie żeby zniechęcał mnie widok tak wielkiej brutalności. Kupowanie różnych stworzeń wydawało się bardzo w stylu grandecji, a ja powinnam była stwarzać jak najnormalniejsze wrażenie. Dałam zatem Neveni pieniądze, ale zadanie zamówienia bestii pozostawiłam jej.

Bestia była gotowa w tydzień. Stworzono ją zgodnie z kodem genetycznym, który zamówiła moja towarzyszka, i dzięki zastosowaniu przyspieszacza wzrostu szybko osiągnęła docelowe rozmiary. Gdy tylko mogła już stanąć do pierwszej walki na arenie, Neveni zaprowadziła mnie do zagrody, żebyśmy wspólnie obejrzały nasz nabytek. Zaprosiłam Gladdica.

Neveni szła przodem, kierując się do podziemi pod areną. W powietrzu unosił się obezwładniający odór.

Gladdic mruknął i wyjął z rękawa słoiczek z olejkiem eterycznym. Umieścił po jednej kropli pod każdą z dziurek w nosie i zaproponował nam to samo. Neveni skorzystała.

Ja przecząco pokręciłam głową. Przesłodzone zapachy przeszkadzały mi o wiele bardziej niż smród zwierząt.

Gdy szliśmy w stronę zagród, Neveni paplała o swojej nowej bestii, a Gladdic zadawał jej pytania, czerpiąc z własnego doświadczenia w zakresie kupowania zawodników do walki. Wyłączyłam się i zaczęłam uważnie nasłuchiwać, aż w końcu rozpoznałam znajomy płynny krok – znów śledziła mnie Wrogość. Zastanawiałam się, czy nie zaczyna jej to już nudzić.

Wchodząc do zagród, wciąż o niej myślałam, lecz gdy tylko ogarnęłam wzrokiem całą scenę, gwałtownie się zatrzymałam, tknięta nagłym impulsem.

Przez dłuższą chwilę nie byłam w stanie się ruszyć. Śledziłam wzrokiem kręgi jaskrawego fluorescencyjnego światła zatrzymującego się na niewidzialnych ścianach. Warczenie i inne dźwięki wydawane przez zamknięte w zagrodzie stworzenia łączyły się z nagłym szumem w mojej głowie. Ogarnęło mnie przedziwne uczucie, jakbym nagle cofnęła się w czasie.

Wyciągnęłam rękę w stronę najbliższego świetlnego kręgu, przesuając dłoń nad rozżarzone pole siłowe oddzielające mnie od hybrydy tygrysa. Widziałam to stworzenie, ale ono mogłoby mnie zobaczyć, tylko gdybym postanowiła nadać polu przezroczystość. Wiedziałam o tym, nie musiałam pytać.

Kiedyś sama byłam takim stworzeniem.

Stałam pogrążona we wspomnieniach. Te zagrody były zbudowane tak samo jak tamte, w których spędziłam pierwsze lata życia. Przypomniałam sobie, jak obok przechodzili ludzie, którzy właśnie tak się na mnie gapili. A teraz sama byłam po drugiej stronie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że stoję wpatrzona w jedną z zagród, dopóki nie poczułam, jak ktoś dotyka mojego ramienia.

Instynktownie chwyciłam Gladdica za gardło, ale nie ścisnęłam. W samą porę odzyskałam rozum. Spojrzałam mu w oczy, pospiesznie łapiąc oddech, i cofnęłam rękę.

– Przestraszyłeś mnie.

Na jego twarzy odmalowało się zakłopotanie. Wiedziałam, że zrobiłam coś wyjątkowo nieludzkiego.

– Gdzie ta nasza bestia? – spytałam, żeby odwrócić jego uwagę, i zmusiłam się do uśmiechu.

– Pani Sagnau powiedziała, że kawałek dalej.

Poszłam za Gladdikiem, czując się tak, jakbym brnęła przez bagno – ja, Nemezis dan Impirian, stojąca w cudzej skórze tu, na widoku, gdzie lada chwila z pewnością ktoś pozna, że jestem uzurpatorką.

Dotarliśmy do zagrody, w której czekała bestia Neveni. Inne zwierzęta, warcząc, krążyły niespokojnie po swoim odgrodzonym terenie. To należące do Neveni siedziało na zadzie i unosząc nogę, pochylało łeb zajęte toaletą.

– Och, litości – powiedziała Neveni, rozglądając się z rozpaczą.

Gladdic stłumił śmiech.

– Chyba jest mu przyjemnie.

– Hej, przestań! – zawołała Neveni i uderzyła dłonią w pole siłowe.

Krzyknęła z bólu, gdy kopnięta prądem ręka raptownie odskoczyła. – O nie, a jeśli zaczniesz to robić na arenie? To będzie katastrofa.

– Przynajmniej miło spędzi ostatnie chwile życia – zażartował Gladdic.

Odwrociłam się i gapiłam przez ramię na umięśnioną kobietę, która właśnie weszła między zagrody – na śledzącą mnie diabolikę. Rozglądała się i widziałam po jej twarzy, że także do niej powróciły wspomnienia.

Poczułam dziwny ucisk w piersi.

Po raz pierwszy spoglądałam na Wrogość i widziałam nie komplikację i przeciwniczkę, nie kogoś, kto mógłby mnie zabić albo kogo wkrótce sama będę musiała uśmiercić. Ujrzałam osobę... nie, ujrzałam stworzenie dokładnie takie jak ja. Kogoś mającego taką samą przeszłość, takie same doświadczenia – kogoś, kto w innych okolicznościach mógłby zrozumieć tę stronę mnie, która pozostawała niepojęta nawet dla Sydonii. Doskonale wiedziałam, co teraz czuje i myśli, bo czułam i myślałam to samo.

Wtedy nasze spojrzenia się spotkały i szybko odwróciłam wzrok.

Byłyśmy z Wrogością podobne jak dwie krople wody, a ona nie mogła się o tym dowiedzieć. Nigdy. Bobby mnie za to zabiła.

Neveni była spięta, gdy czekałyśmy przy ringu na kolej jej bestii. Jeszcze zanim ją zobaczyła, dała jej na imię Morderca, co z pewnością wywołałoby śmiech, gdyby po wejściu na arenę to stworzenie wolało dalej się wylizywać, zamiast walczyć.

– To okropne – lamentowała Neveni, kiedy już usiadłyśmy. – Połączyłam lwa i niedźwiedzia. Widzieliście tam cokolwiek, co przypominałoby lwa albo niedźwiedzia? A może wzięłam tylko psa?

– Było większe niż większość psów – powiedział Gladdic. – Miało trochę sierści wokół szyi.

Patrzyliśmy, jak bestia Neveni trafia do zagrody tuż obok areny, gotowa do udziału w następnej walce.

– Zrobimy z siebie pośmiewisko – marudziła.

– Ja tylko sfinansowałam zakup – odparłam. – Nie zamawiałam jej. To nie ja zrobię z siebie pośmiewisko.

Przerażenie na jej twarzy uświadomiło mi, że powiedziałam nie to, co trzeba.

– Jeśli naprawdę się boisz, że czeka ją potworna klęska – dodałam łagodniejszym głosem – to może powinniśmy się teraz wycofać.

– Ależ Sydonio, to byłaby przesada.

Elantra Pasmus podeszła i usiadła po drugiej stronie Gladdica. Za nią przybył cały orszak pracowników i serwitorów – między innymi Jedność, egzalt zbałamucony przez Tyrusa Domitriana.

Obie z Neveni stężyłyśmy. Ciemna skóra Gladdica zrobiła się o ton bledsza.

– Cześć, Elantra.



– Cześć, Gladdic – przywitała się, patrząc na niego pytająco. A ja nagle sobie przypomniałam, że Gladdic nie chciał się narażać rodzinie Pasusów. Mogłabym przysiąc, że w oczach Elantry zauważyłam milczącą pogroźkę, lecz po chwili Pasuska zwróciła się do Neveni. – Większość ludzi jest zażenowana pierwszym występem swojej bestii na arenie.

– Tak? – Neveni trzymała ręce ciasno splecione na piersi. Miała równie dobre powody jak ja, żeby czuć podenerwowanie w towarzystwie Elantry. Znalazła się tu tylko dlatego, że jej matka ściągnęła na siebie gniew senatora von Pasusa.

– Oczywiście – powiedziała Elantra. – Następnym razem musisz po prostu zrobić lepsze rozeznanie i upewnić się, że zamawiasz u dobrego hodowcy. Ci tańsi osłabiają odmiany zbyt dużą domieszką psa. Niech zgadnę: nie zapewnili ci nawet zwierzęcia na rozgrzewkę?

– Zwierzęcia na rozgrzewkę? – powtórzyła nieufnie Neveni.

– Przynęty – powiedziałam cicho. Przynęta pomagała zwierzęciu w nauce zabijania.

Przynęta albo diabolik.

Elentra się roześmiała.

– Głuptasie, nie możesz tak po prostu wrzucić go na ring i oczekiwać, że domyśli się, co ma robić. Dobry hodowca na pewno by ci o tym powiedział. Powinni zapewniać też drugie, słabsze zwierzę. Twoje je zabija, poznaje smak krwi i wtedy jest gotowe do prawdziwej walki. Twój piesek zostanie rozerwany, jeśli najpierw go nie rozgrzejesz. – Przechyliła głowę, potrząsając burzą kręconych włosów, i niewinnie się uśmiechnęła. – Mogę dostarczyć ci takie zwierzę. Przypadkiem mam dziś nadwyżkę.

Neveni nadal była spięta, ale zmusiła się do cierpkiego uśmiechu.

– To chyba lepsze, niż posłać go na pewną śmierć.

– Mam się spotkać z pierwszym następcą w jego loży, więc może pójdziesz tam z moimi ludźmi? Niedługo dołączę – zaproponowała Elantra, po czym zwróciła się do Gladdica: – A ty zamierzasz siedzieć obok mnie, prawda?

Gladdic niespokojnie się poruszył.

– Tak, tak, oczywiście.

Spojrzałam na niego, zdziwiona, jak łatwo można go zastraszyć. Twierdził, że zależy mu na Sydonii, ale nie śmiał narażać się Elantrze odmową. Gwałtownie stracił w moich oczach.

Słyszając, jak chętnie jej uległ, Elantra uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– W takim razie idź razem z nią – poleciła głosem słodkim jak miód. Nie była to sugestia, lecz wyraźny rozkaz.

Gladdic nawet na mnie nie spojrzał. Odwrócił się, gotowy towarzyszyć Neveni.

Oboje odeszli razem z serwitorami Elantry i jej skalanym egzaltem. Uświadomiłam sobie, że to demonstracja władzy. Neveni wyglądała teraz jak członkini orszaku Elantry. Gladdic, który

początkowo miał mi towarzyszyć podczas walki, zwyczajnie porzucił mnie na jej rozkaz. Pasuska wkraczała na scenę i wydzierała Impiriance kawałek terytorium.

Nadał mnie kusiło, żeby zrobić jej krzywdę, ale takie zachowanie byłoby nie na miejscu, więc uznałam, że najlepiej będzie udać ignorantkę.

– Jakie to uprzejme z twojej strony, Elantro – powiedziałam, uśmiechając się. – Stworzenie Neveni na pewno na tym zyska.

– Och, czuję wielką odpowiedzialność za zbędników mieszkających na naszym obszarze. – Elantra perliście się roześmiała. – Choć oczywiście, Sydonio, nie mam ci za złe, jeśli naprawdę cenisz tę ich przedstawicielkę jako... przyjaciółkę. – Ostatnie słowo wypowiedziała z pewnym niesmakiem. – Natychmiast odeślę ją z powrotem.

– To przemiłe z twojej strony – rzuciłam beztrąsko, czekając, aż wyjawi, dlaczego się przy mnie zatrzymała.

– Jesteście ze sobą bardzo blisko – zauważyła Elantra, wodząc wzrokiem między mną a lożą pierwszego następcy, gdzie Neveni, Gladdic i inni uklękli, by powitać Tyrusa Domitriana. – W Chryzantemum rzadko się zdarza, żeby dwie obce osoby zdobyły swoje zaufanie tak szybko jak wy po... och, to się stało chyba po tym niefortunnym zdarzeniu z Salivarem i Devineé, prawda?

– Była bardzo miła, że mi pomogła – powiedziałam beznamiętnym tonem. – Tamten wieczór wciąż pozostaje dla mnie zagadką.

– Och tak. – W jej oczach pojawił się złowrogi błysk. – Miejmy nadzieję, że uda się ją wkrótce rozwikłać... żebyś mogła odzyskać spokój umysłu. Bo przecież Devineé i Salivar właśnie się obudzili.

Poczułam nieprzyjemne ukłucie w sercu.

– Naprawdę?

– Tak. Bardzo ciekawie będzie usłyszeć, co mają do powiedzenia, prawda?

Nie dając mi czasu na zastanowienie się nad ukrytą w tych słowach pogrózką, Elantra wstała i wyszła z mojej sekcji. Po chwili pojawiła się w loży pierwszego następcy, gdzie czekali na nią Neveni i Gladdic. Patrzyłam, jak przykłada knykcie Tyrusa do swoich policzków. Najwyraźniej chciała mu okazać uprzejmość, mimo że popsuł prezent, którym jej rodzina obdarzyła cesarza.

A więc Salivar i Devineé się obudzili. To wcale nie znaczyło, że powinnam się martwić. Neveni pamiętała bardzo niewiele z wieczoru, gdy zaatakowali ją po znacznie mniejszej dawce oddechu skorpiona. Chyba wlałam im do gardeł dość wina, żeby wymazać z ich pamięci całe miesiące.

Ta myśl podziałała na mnie uspokajająco.

Wokół rozległo się donośne warczenie. Poniżej, na arenie, spuszczone ze smyczy Mordercę. Potruchtął na środek, machając ogonem i kładąc uszy po sobie. Jego nozdrza drgały, gdy łowił w powietrzu zapachy. Wstałam, żeby lepiej widzieć, i poczułam nieokreślone napięcie. Nagle zauważyłam, jak Elantra daje znak komuś znajdującemu się blisko niej.

Jej pracownicy wzięli zaskoczonego egzalta i wrzucili na arenę. Tłum wydał zduszony okrzyk i nawet Tyrus Domitrian – ten, który skalał niewinną istotę – rzucił się naprzód, jakby chciał złapać chłopca, ale nie zdążył. Egzalt bezwładnie spadł na kamieniste podłoże. Jego łysa głowa lśniła w słońcu. Przykucnął, oszołomiony. Potem wstał i się rozejrzał. Z jego oczu biła bezgraniczna niewinność.

A więc to on był przynętą, którą Elantra chciała nakarmić Mordercę.

Poczułam, że zaciskam spoczone pięści i zrozumiałam, co się zaraz stanie. Egzalt został wyhodowany na bezbronną istotę niezdolną do czynienia i rozumienia zła. Nie miał instynktu ucieczki ani samoobrony, mógł jedynie zostać rozerwany na strzępy. Jednak w przeciwieństwie do serwitorów był w stanie przeczuć zbliżającą się śmierć. Musiał mieć taką zdolność, ponieważ egzaltci powinni byli doceniać swój los, gdy składano ich w ofierze.

Znowu spojrzałam na Elantrę, która z uśmiechem pozbywała się egzalta, przyczyny tak wielkich niedogodności. Neveni stała z dłońmi przyciśniętymi do ust, a Gladdic pochylił głowę, żeby nie patrzeć na rzeź. U boku Elantry zobaczyłam pierwszego następcę.

Tyrus z przerażeniem wpatrywał się w chłopca.

Przyglądałam mu się przez dłuższą chwilę i w głowie zaświtała mi dziwna myśl: on nie chciał, żeby egzalt zginął. Dziwne, że w ogóle go to obchodziło.

Gdy znowu spojrzałam na arenę, Morderca chodził wokół bezradnego egzalta, ale nie atakował. Obwąchał go i obojętnie się odwrócił.

Zobaczyłam, jak Elantra wykonuje gest w stronę porządkowego na ringu. Szepnęła coś do Neveni.

Porządkowy uniósł broń i strzelił do bestii. Mordercę otoczyły na chwilę kolce pod napięciem i zwierzę zaczęło pisać i skowyczeć, zmuszone do szalonego biegu w kółko.

Nagle poczułam, że nie mogę oddychać.

Porazili bestię jeszcze raz. I znowu.

Nie widziałam areny, jedynie tę bezradną dziewczynę, którą wrzucili mi kiedyś do kojca w zagrodzie. Tę małą, która drżała w kącie, a potem w przyływie desperacji sięgnęła po moje jedzenie. Przegoniłam ją, wrzasnęłam jej w twarz, a ona trzęsła się i płakała z przerażenia. Ale jej nie uderzyłam. Nie dotknęłam. Długo jej się przyglądałam, próbując zrozumieć, kim jest to maleńkie, bezradne stworzenie. A teraz nie mogłam oddychać, bo myślałam o niej, patrząc, jak męczy bestię na arenie.

Stworzenie na ringu zaskomlało, znów rażone prądem, po czym zaczęło zajadle szczekać i warczeć na oprawców, których nie mogło dosięgnąć, piniąc się z coraz większej wściekłości, którą wkrótce miało wyładować na czymś innym – na kimś innym – a mnie ścisnęło w żołądku, bo potrafiłam myśleć tylko o karach, które sama dostawałam, o rażeniu prądem, które ustawało dopiero, gdy traciłam wzrok, gdy nie mogłam się powstrzymać, gdy nie byłam w stanie zrobić niczego innego, jak

tylko zaatakować, uderzyć, rozerwać, zranić i zabić... a potem ona leżała martwa, martwa u moich stóp – pierwsza istota ludzka, którą zabiłam...

Morderca puścił się pędem w stronę egzalta i nie przypominał już psa – patrzyliśmy na śmiercionośną górę mięśni, na urodzonego mordercę. Egzalt jęknął i zasłonił twarz rękami, tak jak tamta dziewczyna, gdy wreszcie na nią skoczyłam. Kiedy zdała sobie sprawę, że zamierzam ją zabić, że jestem przerażającą, potworną istotą, która nie ma litości, rozumu, która nie okaże jej łaski. Gdy przypominałam sobie ten dzień, coś we mnie wstąpiło. Skoczyłam przez mur prosto na arenę.

Wylądowałam na kamieniach, świadoma ciszy, jaka zapadła wokół. Słyszałam pojękiwanie zdezorientowanego egzalta i przeraźliwe warczenie zaślinionego Mordercy. Obydwoje, egzalt i bestia, spojrzeli na mnie – na nowo przybyłą, która zakłóciła naturalny bieg rzeczy, a wtedy z nagłym grzmiotem przerażenia wrócił mi rozum.

Właśnie zrobiłam coś, na co Sydonia nigdy by się nie odważyła. Coś, czego nigdy nie śmiałyby zrobić. Wskoczyłam na arenę na oczach tłumu. To było szaleństwo. Obłąd.

Wściekła bestia okrążyła mnie – nowe potencjalne zagrożenie – i do głowy przyszła mi inna okropna myśl.

Gdybym zaczęła walczyć, ujawniłabym się przed tymi wszystkimi ludźmi. Przed ukrytą gdzieś w tłumie Wrogością, której wystarczyłby jeden rzut oka, żeby poznać siłę i ruchy diaboliki.

Wiedziałam jednak, że jeśli nie zacznę walczyć, bestia mnie zabije.

## ROZDZIAŁ 16

Wstrzymałam oddech i podniosłam głowę, żeby spojrzeć na wpatrzony we mnie tłum. Dam radę. Dam radę! Ograniczę się do tego, do czego byłaby zdolna Donia, a mimo to pokonam to stworzenie. Nie będę się poruszała jak diabolika. Nie będę walczyła jak diabolika. A i tak wygram.

W moją stronę wyciągały się dziesiątki rąk. Widzowie bardzo chcieli zdobyć przychylność spadkobierczyni Impirianów, ratując ją od śmierci. Zobaczyłam, że Gladdic też wyciąga rękę – robił to nawet Tyrus. Elantra trzymała się z tyłu, obserwując mnie z okrutnym zaciekawieniem.

Neveni zerwała wisior z szyi.

– Sydonia! – Rzuciła go na arenę, gdzie wylądował z cichym brzękiem.

Mimo że tłum był zdjęty przerażeniem, na widowni dały się słyszeć pomruki oburzenia. Neveni właśnie złamała tabu, otwarcie przyznając, że jej naszyjnik jest bronią.

Ruszyłam w jego stronę, ale Morderca zagroził mi drogę. Jego nozdrza drgały, a warczenie nabrało złowrogiej głębi. Mimo że Neveni pragnęła mi pomóc, jej gest poszedł na marne.

Powoli zaczęłam się odsuwać od przyczajonej bestii. Zainteresowała się mną: oto na arenie pojawiła się istota większa i bardziej niebezpieczna niż struchlały ze strachu egzalt. Morderca ział nienawiścią. Sięgnęłam w dół i gniewnie wydarłam kilka pasów materiału od swojej sukni. Skoro to zwierzę było w przeważającej mierze psem, to najprawdopodobniej atakowało, rzucając się na pierwszą rzecz, jaka znalazła się w jego zasięgu. Nie odrywając od niego wzroku, owinęłam lewą rękę ochronnym materiałem. Potem pochyliłam się i podniosłam kamień.

– Chodź do mnie, zwierzaku – szepnęłam.

Warczenie Mordercy z każdą sekundą stawało się bardziej niedźwiedzie. Musiałam to jak najszybciej zakończyć. Gwałtownie odsunęłam się w bok.

Zwierzę – kłęb mięśni i paszcza wypełniona rzędami błyszczących, ostrych zębów – z donośnym rykiem skoczyło w moją stronę. Pokonało odległość szybciej, niż mógłby to zrobić zwykły pies, a ja wysunęłam lewą rękę, szykując się na moment, w którym napastnik zatopi zęby w mojej skórze. Wielkie szczęki zacisnęły się na moim ciele. Pociągnęłam Mordercę ku sobie, ślepa na ból, czując, że uścisk się wzmacnia. Błyskawicznie uniosłam wolną rękę i trzasnęłam kamieniem o czaszkę zwierzęcia.

Z łatwością rozwalilibym mu łeb, gdybym użyła całej swojej siły, ale byłam przecież Sydonią, więc zdecydowałam się na trzy lżejsze ciosy. Zwierzę bezwładnie padło na ziemię. Chwiejnie zrobiłam krok do tyłu i odwinęłam materiał. Zęby przebiły mi skórę, ale zostawiły na niej tylko leciutkie krwawe ślady.

Wzięłam głęboki oddech i odrzuciłam kamień. Na trybunach panowała martwa cisza. Gdy

podniosłam głowę, ujrzałam setki zszokowanych, wpatrzonych we mnie oczu. W głowie miałam pustkę. Wiedziałam, że będę musiała wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłam. Jak mogłabym się usprawiedliwić? Jak miałabym ubrać w słowa impuls, który popchnął mnie do tej interwencji, zmusił, żeby przerwać tę walkę, skoro sama go nie rozumiałam? Donia nigdy by tego nie zrobiła.

Zaraz.

Nagle rozjaśniło mi się w głowie.

Właśnie że tak, zrobiłaby to! Tyle że nie wskoczyłaby na arenę tak jak ja – zadziałałaby wcześniej. Zrobiłaby coś już w chwili, gdy Elantra kazała wrzucić egzalta na arenę. Albo może już gdy Neveni poprosiła o sfinansowanie zakupu własnej bestii.

– Ludzie, nie macie wstydu? – krzyknęłam w stronę widowni. Podeszłam do egzalta, skulonego i wystraszonego, i zamknęłam go w opiekuńczym uścisku. Ostentacyjnie pogłaskałam Jedność po drżących plecach, tak jak zrobiłaby to Donia. – Co się z wami dzieje? Jak można czerpać przyjemność z patrzenia na masakrę tej bezbronnej istoty? Czyżbyśmy byli dzikusami?

Powietrze wypełniły szepty i pomruki.

Napotkałam spojrzenie Elantry, która wpatrywała się we mnie z nienawiścią. Na jej twarzy malowała się czysta pogarda i wiedziałam, że interpretuje moje działanie jako akt wymierzony przeciwko niej, przeciwko rodzinie Pasmusów.

Wtedy ku mojemu najgłębszemu przerażeniu Tyrus Domitrian podniósł rękę, żeby wszystkich uciszyć. Hałas w tłumie ustał, a pierwszy następca spojrzał na mnie ze swojego miejsca, dla odmiany trzeźwo i przytomnie.

– *Grandeé* Impirian, zapewniłaś nam wszystkim niespodziewany spektakl. Nieprawdaż? – Rozejrzał się i w tłumie rozległ się śmiech. Tyrus spojrzał mi w oczy. – Myślę, że w nagrodę za twą odwagę możemy oddać ci tego egzalta pod opiekę.

Szybko wypuściłam chłopca. Nie chciałam go.

– Nie.

– Nie? – Tyrus gwałtownie uniósł brwi.

– Chcę tę bestię, Wasza Eminencjo. Mordercę. Zapłaciłam za niego. Chcę go z powrotem. Nie będzie więcej brał udziału w waszych... w waszych okrutnych rozrywkach.

Dopiero w tym momencie zrozumiałam, co mną kieruje, zrozumiałam, co popchnęło mnie do tego, żeby rzucić się między myśliwego a jego ofiarę. Nie chodziło mi o egzalta, choć grając rolę Sydonii, kłamałam jak z nut. Nie, chodziło mi o bestię, która miała zabić egzalta, stworzoną w tym samym celu co ja – żeby mordować bez litości, nawet gdy tego nie chce.

Nie zamierzałam do tego dopuścić. Nie po raz kolejny.

Chciałam, żeby Morderca był mój.

Drżałam od nadmiaru adrenaliny. Wreszcie wyniesiono mnie z areny i zaprowadzono między zagrody, gdzie miałam czekać na powrót Mordercy.

Mysłałam, że od razu przybiegnie do mnie Neveni, lecz pierwszy zjawił się Gladdic. Ciemne włosy ozdobione złotymi nitkami miał w nieładzie. Mysłałam, że będzie przejęty, zmartwiony, on jednak spytał:

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Słucham?

Zrobił krok w moją stronę, ale bliżej nie podszedł.

– Sydonio, zachowałam się skandalicznie! Nie wyświadczasz Impirianom przysługi tak irracjonalnym postępowaniem. Po czymś takim ojciec na pewno nie pozwoli mi się z tobą spotykać!

Wezbrała we mnie złość. Podciągnęłam rękaw, żeby pokazać zadrapania na ręce stojącym obok medbotom i nagle przypomniałam sobie, jak potulnie Gladdic podporządkował się Elantrze, wymykając się chyłkiem, żeby jej towarzyszyć.

Co więcej, mojego pierwszego dnia w Chryzantemum Elantra zrobiła aluzję do solnych kąpeli i Gladdic zaczął coś mówić, ale szybko zamilkł. Uświadomiłam sobie teraz, że był gotów mnie ostrzec przed tym, co mogło mnie tam spotkać, ale Elantra go uciszyła. A on pozwolił jej się uciszyć.

– Więc żeby uniknąć skandalu i zachować reputację – odparłam chłodno – powinnam była pozwolić, żeby torturowano to stworzenie i żeby rozerwało egzalta na strzępy?

– Przecież to nie są ludzie – odparł Gladdic.

Przyjrzałam mu się chłodno i zobaczyłam go w nowym świetle. Nie zwracałam uwagi na pozory – na jego wątłą, delikatną posturę – lecz na jego wnętrze.

Ten żalosny słabeusz nie był godzien Sydonii.

– Gladdic, zostaw mnie w spokoju.

– Sydonio...

Miałam ochotę go uderzyć. Zamiast tego odwróciłam się do niego plecami.

– Powiedziałam: zostaw mnie. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Był tchórzem, więc się nie spierał, nie protestował. Słuchałam, jak cichnie odgłos jego kroków. Uświadomiłam sobie, że cała drzę ze złości. Gdy za moimi plecami rozległy się kroki, pomyślałam, że wrócił, bo chciał mieć ostatnie słowo. Gwałtownie się odwróciłam, gotowa na niego warknąć, ale serce nagle zamarło mi w piersi.

To była Wrogość.

Przyglądała mi się w jaskrawym fluorescencyjnym świetle pól siłowych. Medboty nadal opatrywały mi poturbowane ramię. Odepchnęłam je, spodziewając się, że za chwilę diabolika dopadnie mnie i zabije.

Widziała mnie w akcji. Widziała wszystko, co zrobiłam.

Na arenie starałam się poruszać jak Donia, próbowałam zataić swoją siłę i prędkość. Sądząc jednak po tym, jak patrzyła na mnie Wrogość – jakby niczego poza mną nie widziała – ze zgrozą stwierdziłam, że chyba jednak mi się nie udało.

Ale Wrogość wcale do mnie nie podeszła. Przyglądała mi się tylko jak jakiemuś osobliwemu dziwactwu.

– Wierzysz w to, co mu powiedziałaś?

– Czy wierzę... w co? – spytałam nieufnie.

– W to, co przed chwilą powiedziałaś temu chłopcu. Uważasz, że postąpiłaś słusznie, ratując to stworzenie?

Jej pytanie zbiło mnie z tropu.

– Nie mogłam na to pozwolić – wykrztusiłam tylko. – To, co miało się wydarzyć na tej arenie, było... – Nie potrafiłam wyjaśnić tego dziwnego impulsu, który zmusił mnie do interwencji. Mogłam jedynie powiedzieć: – To było złe.

Wrogość rozejrzała się, spoglądając na zagrody, które tak bardzo przypominały te, w jakich obie dorastałyśmy. Które obie znałyśmy z tej drugiej strony.

– Chyba źle cię oceniłam, *grandeé* Impirian. Jestem tym, kim jestem, więc nie potrafię współczuć. – Spojrzała na mnie chłodno. – Umiem jednak dostrzec wartość tego uczucia. Wydałaś mi się dziwna już w chwili, gdy cię poznałam, i chyba właśnie odkryłam dlaczego. Zwyczajnie nie rozumiałam kogoś tak... dobrego.

Wydawała się zadowolona, że rozwikłała tajemnicę Sydonii Impirian. Zniknęła mi z oczu. Medboty podfrunęły z powrotem, żeby dalej opatrywać mi rękę, a ja stałam w osłupieniu. Powoli do mnie docierało, że zdobyłam jej przychyłność dzięki temu, co powiedziałam Gladdicowi. Stając w obronie istoty bez znaczenia, stworzenia takiego jak Wrogość, jak ja sama, zrobiłam coś tak bardzo w stylu Donii, że rozwiałam wszelkie podejrzenia diaboliki.

Od tego dnia już mnie nie śledziła.

Moje działania wywołały ciche oburzenie w całym Chryzantemum. Grandesi o łagodniejszym usposobieniu, którzy w głębi ducha nie znosili walk zwierząt, podchodzili do mnie i szeptali: „Wykazałaś się wielką odwagą, *grandeé* Impirian”.

Inni mnie unikali. Gdy się zbliżałam, odwracali się i ściszczyli głos, żebym nie słyszała, o czym mówią. Byłam przecież tą, która na oczach wszystkich potępiła popularną rozrywkę.

Nie przejmowałam się tym aż do pewnego wieczoru, gdy po ceremonii w Wielkiej Heliosferze grandecja zebrała się w sali audiencyjnej, by powdychać odurzające opary. Poczułam na karku czyjeś ciężkie spojrzenie i odwróciłam się w samą porę, żeby uchwycić wzrok cesarza, nad którym pochylała się *grandeé* Cygna, szepcząc mu coś do ucha.



Dopiero wtedy się rozejrzałam i popatrzyłam na otaczających mnie arystokratów – na tych, którzy wyrazili poparcie dla moich działań na arenie. Później spojrzełam w stronę tych, którzy mnie unikali. Z ich ust buchały kłęby dymu, raz po raz spoglądali w stronę mojej grupy. Doznałam szoku.

Podzielili się dokładnie tak samo jak zwolennicy senatora von Pasusa i senatora von Impiriana w senacie. Tymi, którzy pochwalali moje działania i trzymali się blisko mnie, byli Amadorowie, Rothesayowie i Wallstromowie – zwolennicy przywrócenia badań naukowych.

Do tych, którzy gardzili moim gestem i otwarcie przechwalali się, zwłaszcza w mojej obecności, nowymi bestiami, które dla siebie zamawiali, jakby chcieli coś zamanifestować – należeli Fordyce'owie, Atonowie, Lockalaite'owie i pozostali stronnicy Pasusów. Najżarliwsi helionicy.

To nie mógł być przypadek. Rodziny, które nie śmiały otwarcie wyrazić dezaprobaty względem działań cesarza, robiły to pośrednio, stając przeciwko swoim wrogom w kwestii walk zwierząt. I zaczynały się skupiać wokół mnie. Wokół spadkobierczyni rodu Impirianów, w której ogniskowało się ich niezadowolenie.

Natychmiast przeprosiłam i uciekłam, bo osiągnęłam efekt dokładnie odwrotny do zamierzonego. Miałam unikać zainteresowania, a nie je wywoływać!

Mimo to, gdy tylko dotarłam do drzwi, jeszcze raz zerknęłam w stronę cesarza. Siedział w swoim punkcie obserwacyjnym i z rękami zaciśniętymi na poręczach przyglądał się z lodowatą miną frakcji Impirianów.

Nie znał litości, a teraz miał swoich wrogów jak na dłoni.

## ROZDZIAŁ 17

Zacząłam częściej wycofywać się do swojej willi, mając nadzieję, że wkrótce o mnie zapomną. Gdy ludzie, którzy niedawno wyrazili swoje poparcie dla moich działań na arenie, próbowali mnie odwiedzić, zabraniałam serwitorom ich wpuszczać. Przed wszystkimi oprócz Neveni udawałam chorą.

Na szczęście większość czasu zajmował mi Morderca.

Początkowo był wrogo nastawiony, gotowy rozerwać mnie na strzępy, ilekroć się zbliżałam. Zabroniłam serwitorom się nim zajmować i umieściłam go w osobnym pomieszczeniu. Później, upewniwszy się, że w pokoju nie ma kamer, bezwstydnie wykorzystałam swoją przewagę siłową, żeby nauczyć go posłuszeństwa. Gdy się na mnie rzucił, przygwaździłam go do podłogi i zmuszałam do odsłonięcia brzucha. Gdy kłapał zębami, próbując mnie ugryźć, trzymałam go za kark tak długo, aż przestawał.

Na początku nie byłam pewna, czy uda mi się obłaskawić potwora wyhodowanego do mordowania przeciwników na arenie. Morderca był krzyżówką różnych zwierząt i traktowanie go jak psa oznaczało lekceważenie lwiej i niedźwiedziej części jego natury. Stopniowo nauczył się jednak posłuszeństwa. Nawet odkrył przede mną swoje psotne oblicze. Gdy wieczorem wracałam do komnaty, wesoło biegał wokół mnie, dopóki go nie pogłaskałam. Potem ciągnął mnie za nogawki, zapraszając do zabawy. Zauważyłam, że jeśli przebiegnę palcami po podłodze, naśladowując odgłos wydawany przez jakieś małe zwierzę, będzie je ochoczo pogryzał i gonił.

Jego jedynymi problemami po ucywilizowaniu były – podobnie jak w moim wypadku – energia, którą musiał jakoś spożytkować, oraz ograniczona przestrzeń, którą musiał się zadowolić. Najdłuższy wysięgnik był jedną z nielicznych tras, po których mogliśmy spacerować z dala od wścibskich spojrzeń.

Pewnego razu podczas spaceru po Bernevalu dołączyła do nas Neveni. Podskakiwała ze strachu, ilekroć Morderca za bardzo się do nas zbliżył.

– Na pewno chcesz go zatrzymać?

– Coraz łatwiej nad nim zapanować. Szybko się uczy. Aha, mam coś dla ciebie. – Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam jej wisior. – Dziękuję. Wiem, że naraziłaś się na hańbę, pokazując go publicznie. Nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś.

Nieśmiało dotknęła naszyjnika.

– Nie obchodzi mnie, co myślą inni. Sami też noszą broń. To hipokryci, zachowują się, jakbym robiła coś złego. Zwłaszcza po tym... – Zadrżał jej głos. – Po tym, co spotkało mnie ze strony Salivara i Devineé.

Milczałam, bo nie byłam pewna, jak ją pocieszyć, więc uznałam, że lepiej nie próbować.

– A gdzie masz swoją? – spytała Neveni z chytrym uśmiechem. – Na pewno nosisz jakąś broń. Jestem o tym przekonana. Nikomu nie powiem.

Nie zwracałam sobie głowy noszeniem broni. Sama byłam bronią. Czułam jednak potrzebę udzielenia jej jakiejś odpowiedzi, więc wymyśliłam ją na poczekaniu.

– W bucie. W podeszwie mam ukryte ostrze.

– Dlaczego nie użyłaś go przeciwko Mordercy?

– Bo... nie jestem taka odważna jak ty w obliczu publicznej krytyki.

Neveni roześmiała się i dźgnęła mnie palcem w ramię.

– I to mówi dziewczyna, która wskoczyła na arenę, żeby ratować egzalta. – Nagle urwała. – Nie dam rady dalej iść na tych obcasach. Idźcie beze mnie.

Pożegnałam się z nią. Po tym, co dla mnie zrobiła, czułam do niej sympatię. Zaimponowała mi i niemal jej ufałam – w stopniu, w jakim mogłam ufać komuś innemu niż Sydonia.

Gdy poszliśmy z Mordercą dalej, brakowało mi towarzystwa Neveni, za to mogłam poruszać się szybciej, a ponieważ Wrogość już mnie nie śledziła, postanowiłam sobie na to pozwolić. Przyspieszyłam. Morderca się ożywił, bo też miał ochotę pobiegać. Nie zostaliśmy stworzeni, żeby wlec się noga za nogą.

Puściłam się sprintem. Szybciej, niż zdarzyło mi się od czasu redukcji masy mięśniowej, i ku mojej bezgranicznej przyjemności Morderca, podobnie jak ja rozpierany energią, dotrzymywał mi kroku. Dotarliśmy na miejsce o wiele za szybko. Rozkosznie świszczało mi w płucach, przestałam czuć tę okropną sztywność w mięśniach.

Konieczność podtrzymywania słabości fizycznej dawała mi się we znaki. Węsząc, pies energicznie krążył wokół moich stóp. Pozwoliłam mu odpocząć, a sama zaczęłam studiować symbole i imiona na murze. Przybyło ich od naszej pierwszej wizyty. Teraz było tam widać nazwiska rodzin z całego imperium.

Leniwie wodziłam wzrokiem po symbolach – lecz nagle coś przyciągnęło moją uwagę.

Bellweatherowie. Wallstromowie. Amadorowie. Rothesayowie. Nazwiska tych samych osób, które ostatnio zbierały się wokół mnie. Ich przybycie na cesarski dwór nie wzbudziło tak wielkiego zainteresowania jak moje, córki Wielkiego Heretyka, więc nie zwróciłam na nich uwagi. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wielu z nich przyleciało ostatnio do Chryzantemum.

Zostali wezwani tak samo jak Sydonia.

Wciąż przyglądałam się nowym nazwiskom na murze i w końcu doszedł do głosu mój instynkt przetrwania. Na Valor Novus było tak wiele twarzy, że nowe ginęły w tłumie. Jednak symbole wyryte na murze mówiły same za siebie.

Rozkaz cesarza wydany Impirianom nie był wyjątkiem – nie tylko Sydonia musiała przybyć na

cesarski dwór jako dziecko reprezentujące rodzica. Po prostu otrzymała zaproszenie jako pierwsza. Cesarz gromadził spadkobierców w swojej fortecy.

Ale dlaczego? W jakim celu?

Kiedy się nad tym zastanawiałam, Morderca zaczął się niecierpliwić. Wydawał dziwne odgłosy, więc się do niego odwróciłam. Skoczył na mnie i zaczął mnie lizać po policzku.

Zaskoczył mnie i z moich ust wydobyło się dziwne bulgotanie. Dopiero po chwili poczułam, że się uśmiecham, i zrozumiałam, co to za dźwięk.

Śmiałam się!

Odsunęłam się od psa i pociągnęłam go za smycz, żeby zrównał ze mną krok. Wewnątrz cała jednak drżałam. Wodziłam palcami po ustach, z których wydobył się ten nieplanowany, niezamierzony śmiech.

Co się ze mną działo?

– Moja mat... hmm. Martwię się.

Sydonia znowu używała awatara matriarchini, przez co jej słowa, wypowiedziane piskliwym, niepewnym głosem, zabrzmiały jeszcze dziwniej.

– O mnie? – spytałam jak echo.

Zawahała się.

– Mniej więcej.

Oczywiście matriarchini nie martwiła się o mnie. Musiała mieć na cesarskim dworze jakichś informatorów. Na pewno usłyszała o mojej interwencji na arenie i o skandalu, jaki wywołałam.

– Wszystko w porządku. Przekaż to komu trzeba. Wykonałam pochopny ruch, którego nie powtórzę. I zapewniam cię, że w ogóle się teraz nie wychyłam. Ludzie szybko tu zapominają. Niedługo zapomną też o mnie. Tylko że...

– Tylko że co?

– Wątpię, żebym jeszcze spotkała się z Gladdikiem. Przykro mi. – Nie był jej wart. Pomyślałam, że kiedyś jej to wyjaśnię.

Ku mojemu zdziwieniu Donia zareagowała, jakby nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Lepiej opowiedz mi o sobie. Martwię się.

Chciałam ją zapewnić, że wszystko jest w porządku, uspokoić ją, ale patrzyła na mnie w taki sposób – choć przecież były to oczy matriarchini – że poczułam ucisk w piersi.

Jeśli ktokolwiek mógł odpowiedzieć na moje pytanie, to tylko ona.

– U mnie wszystko w porządku. Po prostu chodzi o to, że... – Moje myśli popłynęły ku Mordercy, przypominałam sobie, jak polizał mnie po twarzy. I to, co potem zrobiłam. – Czuję się trochę

nieswojo. Nie przywykłam do tego. Coś mnie rozśmieszyło.

– Słucham? – Donia wydała z siebie zduszony okrzyk.

– Hybryda psa skoczyła na mnie. Myślałam, że chce mnie ugryźć, ale okazała mi czułość. Polizała mnie i bardzo domagała się uwagi. No i po prostu się stało. Roześmiałam się. A wcale nie miałam takiego zamiaru.

– Nem... uch, Sydonio, nie ma się czego bać.

Od razu przeszłam do defensywy.

– Wcale się nie boję.

Jej wargi drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Wiem. Ty niczego się nie boisz. Nie zamierzałam tego sugerować. Chciałam po prostu powiedzieć, że śmiech nie jest czymś, czym należałoby się przejmować.

– Nie rozumiesz. To nie w moim stylu. Może to znak, że coś jest ze mną nie w porządku.

– Pamiętasz... – Głośno wypuściła powietrze, najwyraźniej zdając sobie sprawę z ryzyka, z jakim wiązało się poruszanie pewnych tematów na niezabezpieczonej platformie. – Pamiętasz, jak dostałaś swoją diabolikę Nemezis i jak powiększono jej niektóre obszary mózgu? Zrobiono to, żeby mogła cię pokochać. – Zadrżał jej głos. – Ale nie da się zbudować części mózgu dla jednej osoby. Jeśli powstanie, to po prostu jest. Założę się, że gdyby Nemezis dostała szansę, mogłaby pokochać też inne istoty. Założę się, że mogłaby też nauczyć się śmiać.

– To niedorzeczne. Przecież rozmawiamy o diabolice.

– Albo o dziewczynie – odparła cicho Donia. – O dziewczynie, która dorastając, była traktowana jak potwór, więc właśnie tak o sobie myśli, o dziewczynie, która nigdy nie pozwalała sobie na uczucia, bo myślała, że nie powinna...

– Bzdury. Wygadujesz głupoty.

Wbrew sobie zaczęłam jednak myśleć o Wrogości, której instynkt diaboliki podpowiadał, że powinna mnie śledzić, prześladować, odkryć moje tajemnice. O Wrogości, która zapomniała o swoich podejrzeniach, gdy tylko zauważyła, że traktuję stworzenia takie jak ona w ludzki sposób. Jakby marzyła o zrozumieniu, potrzebowała go.

Czy naprawdę mogliśmy być czymś więcej, niż kiedykolwiek mi się wydawało?

Donia chyba myślała, że tak.

– Nie rozumiesz, dlaczego Nemezis nigdy się nie śmiała? Nigdy nie pozwalano jej się śmiać, nigdy nie dawano jej ku temu powodu. Nie wiem, jak było w zagrodach, ale to musiało być przerażające, traumatyczne doświadczenie. A ja traktowałam ją niewiele lepiej.

Oczywiście tym razem „ja” odnosiło się do jej matki.

– A potem, gdy dostała pod opiekę, hmm, ciebie, Nemezis odgrywała tę rolę z tak wielkim zaangażowaniem, że nie mogła sobie pozwolić na coś takiego jak śmiech. Gdyby miała okazję pobyć

sobą z dala od wszystkiego i wsłuchać się we własne uczucia, nie musiałyby się tego obawiać. Śmiech to coś pięknego.

Narastało we mnie zdenerwowanie.

– Gdyby wszystko, co mówisz, było prawdą, gdyby... gdyby Nemezis była zdolna do takich uczuć, jedyną różnicą między diaboliką a człowiekiem byłaby siła fizyczna.

– I może jest. Może nie różnimy się od nich tak bardzo, jak ci się wydaje. – Donia zacisnęła usta. – Zawsze tak myślałam. Zawsze tak mówiłam.

Zamknęłam oczy. Wróciłam myślami do tamtej dziewczynki w mojej zagrodzie. Do miny niczego niepodejrzewającej Sutery, zanim się na nią rzuciłam. Moje myśli popłynęły w stronę tych, którym w ciągu tych lat odebrałam życie.

Robiąc to, stałam się dobrą diaboliką.

Bycie dobrą diaboliką oznaczało bycie okropną osobą.

Gdybym była człowiekiem, to, czego się dopuszczałam, byłoby przejawem grzechu, degeneracji, zła. Jako diabolika zasługiwałam na uznanie, ale jako istota ludzka budziłam odrazę.

– Ta rozmowa jest bez sensu. Nie mogę jej dłużej ciągnąć. Muszę już kończyć – powiedziałam.

– Ale...

– Kończ tę rozmowę! – Przerwałam połączenie z Sydonią. Byłam wstrząśnięta. Spojrzałam na drzemiącego w kącie Mordercę. Postanowiłam, że jutro wystawię go do walki na arenie, żeby się go pozbyć. Gdy jednak po chwili podniósł łeb, zainteresowany tym, że mu się przyglądam, i popatrzył na mnie, kładąc uszy po sobie, przeszło mnie obezwładniające uczucie i już wiedziałam, że nie byłabym w stanie tego zrobić.

Co się ze mną działo? Jediną istotą, do której kiedykolwiek coś czułam, była Donia. Tylko ona się liczyła, a przez tę głupią, genetycznie zaprogramowaną hybrydę zaczynałam zachowywać się jak nieznównoważona idiotka.

Zapomniałam nawet powiedzieć Donii, że na dworze cesarza gromadzą się spadkobiercy, a przecież właśnie po to się z nią skontaktowałam.

Uznałam, że nic się nie stanie, jeśli zaczekam do następnego razu.

## ROZDZIAŁ 18

Wielka Świątynia znajdowała się na Valor Novus, bezpośrednio pod Wielką Heliosferą. Rzadko z niej korzystano – tylko wtedy, gdy senatorowie i inni przedstawiciele rządu zjeżdżali z całego cesarstwa na konwokację. Konwokacje były ważnymi wydarzeniami, zwykle towarzyszyły intronizacji nowego cesarza. Odbywały się zaledwie raz na parę pokoleń. Spotykali się na nich nie tylko senatorzy, lecz także przedstawiciele niższych szczebli klas rządzących: namiestnicy, gubernatorzy i posiadacze dziedzicznych tytułów z rodzin o zbyt dużym historycznym znaczeniu, by nie cieszyć się uznaniem, lecz zbyt ubogich, by posiadać własne terytoria.

Dlatego byłam w szoku, gdy dostałam wiadomość, że następnego dnia odbędzie się konwokacja. Nakazano mi wziąć w niej udział w charakterze zastępczyni senatora von Impirian.

Wysłuchałam wiadomości jeszcze raz, starając się ją zrozumieć. Wtedy w interkomie rozległa się wiadomość:

– Neveni Sagnau do Sydonii Impirian.

Odwróciłam się i zobaczyłam wchodzącą Neveni. Miała potargane włosy, jakby przed chwilą wygramoliła się z łóżka. Była równie zaskoczona jak ja.

– Też słyszałaś o konwokacji czy może ktoś zrobił mi kawał?

– Ciebie też wezwano?

– W charakterze zastępczyni matki. – Z przerażeniem wytrzeszczyła oczy. – Nie mam pojęcia, czym zajmuje się moja mama. Co to znaczy, że mam być jej zastępczynią?

– Idziemy tam zamiast nich. – Już gdy to mówiłam, wydawało mi się to dziwne. Przecież senator von Impirian mógł wziąć udział w konwokacji na forach galaktycznych. Nie było potrzeby, żebym go zastępowała. Działo się tu coś dziwnego.

– Będą tam tysiące ludzi – powiedziała Neveni, bardziej do siebie niż do mnie – Na pewno nie będziemy musiały nic robić, tylko słuchać.

– Racja.

– Ale... czego?

Pokręciłam głową. Rozumiałam równie niewiele co ona.

– Próbowałam się skontaktować z mamą, ale nie mogłam się połączyć. – Opadła na fotel. – Sydonio, to naprawdę dziwne. Nie mogą informować o czymś takim z jednodniowym wyprzedzeniem. Czy cesarz oczekuje, że wszyscy zdążą przylecieć?

Przeszyło mnie zimno. Wróciłam myślami do symboli wyrytych na murze – ich pojawienie się świadczyło o tym, że ostatnio do Chryzantemum przybyło mnóstwo arystokracji.

Uświadomiłam sobie, że cesarz już od jakiegoś czasu gromadził tu uczestników konwokacji. Najwyraźniej zaplanował to, jeszcze zanim wezwał Sydonię.

Tylko po co?

Podobnie jak Neveni wysłałam do rodziny wiadomość. Próbowałam się skontaktować z fortecą Impirianów, licząc na jakieś instrukcje, wskazówki. Na cokolwiek.

Jednak ja też nie dostałam odpowiedzi.

Udział w konwokacji wymagał czegoś więcej niż tylko tradycyjnego odświętnego stroju – należało przywdziać lustrzane szaty. Dzięki nim, kiedy wszyscy przedstawiciele imperium zebrali się w Wielkiej Świątyni, gdzie grawitację specjalnie zaprojektowano tak, by każdy centymetr kwadratowy podłogi, sufitu i ścian zajmowali ludzie, nasz ubiór powielał obraz widocznego w samym środku cesarza siedzącego na unoszącym się tronie.

Większość niższej arystokracji musiała zebrać i pożyczać pieniądze na te wyjątkowe stroje. Kupiłam go Neveni. Wiedziałam, że matriarchini nie będzie zadowolona z tego wydatku i da mi to odczuć, gdy tylko się ze mną skontaktuje.

Na sali zebrali się reprezentanci sześćdziesięciu ważnych rodzin grandecji, spośród których wywodzili się najbardziej wpływowi senatorowie i właściciele najważniejszych obszarów w cesarstwie. Jako przedstawicielce rodu Impirianów przydzielono mi miejsce w wewnętrznym kręgu chybotałej platformy otaczającej cesarski tron. Gdy znalazłam swój fotel, schody za moimi plecami cofnęły się w stronę podłogi. Odważyłam się rozejrzeć wokół.

Rozmach, z jakim zorganizowano konwokację, zaparł mi dech w piersiach. Na platformie kłębili się ludzie w specjalnych strojach mieniących się kolorami sekcji, w których mieli zasiadać. Gdzieś tam była Neveni. Wypatrzyłam senatora von Pasusa. Po raz pierwszy widziałam wielkiego przeciwnika Impirianów na żywo.

Przyjrzałam mu się. Mój wyostrzony wzrok umożliwiał to mimo dzielącej nas odległości. Miał długie, siwe włosy, jego twarz zdradzała podeszły wiek. Najwyraźniej nie lubił się sztucznie odmładzać. Może chciał wyglądać dostojniej. Uświadomiłam sobie, że w przeciwieństwie do wielu innych obecnych tu senatorów został zawiadomiony z wystarczająco dużym wyprzedzeniem, żeby przybyć osobiście ze swojego układu gwiazdowego.

Przesunęłam wzrokiem po innych przedstawicielach ważnych rodzin. Na uroczystość przybyli także senatorzy von Fordyce i Aton, lecz inne rodziny reprezentowali jedynie spadkobiercy i przedstawiciele. Nasze szaty konwokacyjne zaprojektowano tak, żeby pokazywały symbole rodowe, więc z łatwością wyłowiłam wzrokiem spadkobierców Amadorów i Chomderleyów. Wszyscy byli młodzi, wszyscy się wiercili i wyglądali na zaniepokojonych.

Zdałam sobie sprawę z wyraźnej różnicy. Wszyscy senatorowie z frakcji helioników przybyli



osobiście. Ci z frakcji senatora von Impiriana byli natomiast nieobecni – reprezentowało ich młodsze pokolenie, czyli spadkobiercy.

Raz po raz zaciskałam pięści, czując, że dzieje się coś bardzo złego. Mogłam jednak tylko czekać.

Nagle zagrzmiała odświętna muzyka i pojawiła się wielka procesja członków rodziny cesarskiej. Zajęła miejsca w kręgu tuż przed nami.

Wreszcie przybył cesarz z obstawą trzech diab0lików.

Oraz w towarzystwie tysięcy ochronobotów.

Wstrzymałam oddech i patrzyłam, jak robociki wzbijają się w powietrze i z bzyzieniem zajmują stanowiska w całym pomieszczeniu. Nie strzelały, ustawiały się jedynie naprzeciw poszczególnych sektorów sali – po jednym przed każdym miejscem zajmowanym przez wpływową rodzinę. Były jak milcząca pogróżka. Patrzyłam teraz prosto w celownik małego, zaokrąglonego urządzenia unoszącego się zaledwie kilka metrów ode mnie. Byłam w stanie dostrzec maleńką lufę lasera wystającą ze środka i gotową przeciąć mnie na pół.

Gdy jednak spojrzałam na senatora von Pasusa, odkryłam, że naprzeciwko niego nie unosi się żaden ochronobot. Helionikom znowu się upiekło.

Poczułam, jak po kręgosłupie przebiega mi dreszcz. Mogłam zerwać się z miejsca i roztrzaskać pilnującego mnie robota, ale wiedziałam, że jeden z pozostałych mógłby z łatwością się obrócić i zabić mnie już w następnej chwili. Musiałam po prostu posłusznie siedzieć, cokolwiek by się nie działo. Byłam w pułapce.

Cesarz rozłożył ręce i obrazy na widocznych w oddali szatach zmieniły się, pokazując teraz w zbliżeniu twarz władcy: miał dziś brzoskwiniową cerę, jasne włosy przeplatane złotem i ułożone w aureolę, a jego oczy dumnie błyszczały, gdy wodził wzrokiem po poddanych. Uniósł podbródek i wszyscy przyłożyliśmy ręce do serc w geście pozdrowienia. Patrzyłam jak zahipnotyzowana na falujący tłum.

Po chwili cesarz przemówił:

– Ukochani poddani! Dziękuję, że przybyliście ze wszystkich obszarów naszego wielkiego imperium. Gromadzimy się tu dzisiaj, żeby świętować zwycięstwo nad naszymi wrogami, obecnymi i dawnymi. Toczony przez nas bitwy leżą u podstaw aktualnej potęgi ludzkości i galaktycznej dominacji...

Rozejrzałam się. Dumne oblicze cesarza spoglądało na mnie ze wszystkich stron. Inni reprezentanci również się rozglądali, próbując zrozumieć, co się dzieje. Bo cesarz z pewnością nie zawracałby sobie głowy zwoływaniem konwokacji bez ważnego powodu.

Szybko się dowiedzieliśmy, dlaczego nas wezwał.

– Niestety, mimo że w cesarstwie panuje dobrobyt, a pod rządami rodu Domitrianów już od wieków rośniemy w siłę, znaleźliśmy się w niebezpiecznym punkcie. Szkodliwa ideologia toczy nas

jak rak. Mówię oczywiście o dążeniach do wskrzeszenia nauki, o której najlepiej zapomnieć.

Wstrzymałam oddech. To dlatego nas tu zebrał.

– Wyznawcy tej nowej niebezpiecznej ideologii to nie tylko historycy przekonani, że złośliwa przestrzeń stanowi wielkie zagrożenie, które pewnego dnia z pewnością pochłonie całe imperium. To nie tylko partyzanci – zbędnicy przekonani, że byliby potężniejsi, gdyby odtrącili naszą łaskawą dłoń. Zdrajcy i bluźniercy są także wśród osób piastujących najważniejsze stanowiska w naszym świętym imperium.

Nie odrywałam od niego wzroku – nie od powiększonej twarzy wpatrującej się we mnie z elektronicznych ubrań, lecz od małej postaci na tronie otoczonej tłumem. Potrafiłam myśleć tylko o podziale, do którego doszło w Chryzantemum po mojej brawurowej akcji na arenie. W centrum tych wszystkich wydarzeń znajdowała się rodzina Impirianów. Była nieoficjalnym przywódcą „toczonej rakiem” frakcji, której tak bardzo nienawidził cesarz.

– Niektórzy senatorowie i namiestnicy ubzdurali sobie, że to oni, a nie ja, powinni podejmować decyzje dotyczące cesarstwa. Szerzą wśród zbędników herezje, których ci nie powinni znać. Ujawniają święte tajemnice Żywego Kosmosu, i to mimo moich wyraźnych rozkazów. Wielu z was wie, kim są ci zdrajcy. Wielu z was to ich narybek.

Moje dłonie zacisnęły się w pięści, serce zaczęło walić. Spojrzałam prosto na unoszącą się przede mną maszynę gotową do strzału, zastanawiając się, czy za chwilę zginę.

Cesarz zamilkł i w sali zapanowała pełna napięcia cisza. Z każdą mijającą chwilą coraz trudniej było sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby ją przerwać, i chyba właśnie o taki efekt chodziło cesarzowi. Jego sztucznie młoda twarz rozciągnęła się w jeszcze szerszym uśmiechu.

– Właśnie dlatego wezwałem was na tę bardzo szczególną konwokację. Bo widzicie, ci nieliczni, którzy szerzą te bluźnierstwa, nie zostali zaproszeni. Szanuję świętość wielkich rodzin i wyłowiłem spośród przedstawicieli grandecji najbardziej odpowiednich spadkobierców – tych, którzy reprezentują starą krew, a zarazem są posłuszni prawowitym przywódcom – i wszystkich ich tu wezwałem.

Wpatrywałam się w niego przepełniona niepokojem.

– Dziś zebraliśmy się tu tylko w jednym celu: część z was okazała się godna władzy, jaką sprawują wasze rodziny, lecz wasi krewni niestety na nią nie zasługują. Od dziś przejmujecie ich tytuły i obowiązki. Ci z was, którzy przybyli tu w zastępstwie, zostają teraz wyniesieni do rangi przywódców rodziny.

Gapiłam się na niego z rozdziawionymi ustami. Nie mógł tak po prostu powiedzieć, że senator von Impirian przestaje być senatorem i odtąd ma go zastąpić Sydonia! To nie działało w ten sposób. Nawet cesarz nie mógł posunąć się do takiej samowoli.

Gdyby nie te ochronoboty z wymierzonymi w nas laserami, ktoś z pewnością już by zaprotestował.

– Chcąc zapewnić sprawne przekazanie tytułów – ciągnął cesarz z lodowatym uśmiechem – wyeliminowałem innych pretendentów, którzy mogliby zakwestionować wasze prawa.

Zamarłam.

Nie rozumiałam. Nie potrafiłam zrozumieć.

Wokół mnie rozległy się głosy – do ludzi dotarł sens jego słów. Siedziałam zdjeta niedowierzaniem, a w mojej głowie była tylko jedna myśl: że to przecież nie tak, że z pewnością się przesłyszałam.

– Zwołałem zatem tę dzisiejszą konwokację, żebyście mogli na siebie spojrzeć – podjął cesarz. – Na nowych i starych spadkobierców tego wielkiego imperium. I oczywiście żebyśmy mogli oddać hołd tym zbłąkanym duszom, których nie ma już między nami i które nie mogą zakłócić tego doniosłego zgromadzenia. – Z wdziękiem machnął ręką.

Po chwili na połyskliwym ubraniu grandecji niższego szczebla zajmującej miejsca w zewnętrznym kręgu zaczęły migać obrazy. Olbrzymią stację kosmiczną rozsadził gwałtowny wybuch płomieni. Flotę statków pochłonęło zautomatyzowane pole minowe. Eksplozja zmiotła jakąś planetę.

Wciąż nie rozumiałam, na co patrzę, dopóki na wyświetlaczu nie ukazała się forteca Impirianów oznaczona wczorajszą datą.

O nie...

Eksplodowała!

Widząc to, zerwałam się na nogi i o mało nie spadłam z platformy.

– Nie!

„Nie, nie, nie”. To słowo odbijało się echem w mojej głowie. Nie, to nie mogło dziać się naprawdę.

Wszystko rozgrywało się jednak na moich oczach z okrutną wyrazistością: forteca runęła, a jej szczątki krążyły nad gazowym olbrzymem, którego widywałam każdego dnia, odkąd zamieszkałam z Sydonią.

Patrzyłam, jak rozpada się mój dom – dom Sydonii.

– Nie – wychrypiałam.

Przypomniałam sobie, że ostatnio nie udało mi się skontaktować z matriarchinią, bo nikt w fortecy nie odbierał moich połączeń.

Ukazywały się kolejne obrazy zagłady starych i nowych rodzin – potężnych, lecz unicestwionych za sprawą podstępu. Wkrótce na wszystkich ekranach znów pojawiła się dumna twarz cesarza. Jego przenikliwe spojrzenie zdawało się zatapiać w moim sercu niczym ostrze. Rozległy się krzyki i płacz. Jedni kulili się ze smutku. Innymi wstrząsał szloch. Niektórzy siedzieli z kamiennymi twarzami. Jeszcze inni, na przykład senator von Patus, rozglądali się z zadowoleniem. Oni i ich bliscy uniknęli masakry dzięki przychylności cesarza.

Do głowy przychodziły mi tylko dwie myśli: „To nie może być prawda” i „Coś takiego nie mogło się wydarzyć”...

– Niektórzy z was stracili całe rodziny – oznajmił cesarz, gdy znikły ostatnie obrazy – i zapewniam was, że one same sprowadziły na siebie ten los. Ci, którzy przybyli tu w zastępstwie swoich krewnych, wyjdą stąd jako ważne osobistości. I na zawsze zapamiętają kłamliwe bluźnierstwa, które doprowadziły ich rodziny do zguby. Ufam, że będziecie dożgonnie wdzięczni cesarzowi, który was wybrał, byście piastowali wysokie stanowiska. Jeśli nie, to, no cóż, zawsze możemy urządzić następny taki pokaz, może z innymi ludźmi na widowni i z wami na ekranie.

Czułam się tak, jakby świat wokół mnie miał się za chwilę rozpaść – bo przecież to nie była prawda, to musiał być jakiś koszmar, z którego za chwilę się obudzę.

Cesarz zakończył przemówienie zapowiedzią gali zorganizowanej dla uczczenia nagłego awansu tak wielu młodych arystokratów. Ledwo rozumiałam, co mówi. Wciąż się nie budziłam.

Poczułam, że jeśli wkrótce ten koszmar się nie skończy, będę musiała uwierzyć, że cesarz zabił Impirianów.

Będę musiała uwierzyć, że naprawdę to zrobił.

Zabił ich wszystkich.

Sydonię też.

## ROZDZIAŁ 19

To niemożliwe. Niemożliwe. Siedziałam w swojej willi, wysyłając kolejne wiadomości, na które wciąż nie było odpowiedzi. Nie zwracałam uwagi na serwitorów; chciałam tylko jednego – obudzić się z tego okropnego koszmaru.

Gdy po raz kolejny usiłowałam nawiązać połączenie, wszedł Gladdic. Nie usłyszałam interkomu.

– Sydonio, bardzo mi przykro. – Po jego twarzy płynęły łzy.

Spojrzałam na niego jak na obcego człowieka. Wysłałam kolejną wiadomość. Tym razem na pewno odpowiedzą.

– Nie miałem pojęcia, że do tego dojdzie. Moi rodzice wiedzieli o tym wcześniej, ale nic mi nie powiedzieli – ciągnął Gladdic. – Ostrzegłbym cię. Przysięgam. Proszę, uwierz mi. Jestem z tobą.

– Cicho. To jakaś gra. To się nie dzieje naprawdę – warknęłam do niego. – Przeszkadzasz mi. – Wciąż nie było odpowiedzi na moje wiadomości. Wysłałam kolejną.

– Posłuchaj. Jestem spadkobiercą senatora – powiedział Gladdic, podchodząc i przyglądając mi się badawczo. – Pewnego dnia będę w stanie sam podejmować decyzje, a wtedy zyskasz sprzymierzeńca w rodzinie Atonów. Nie jesteś sama...

– Nie obchodzi mnie rodzina Atonów. Wygadujesz bzdury. Wystarczy mi sojusznik w osobie senatora von Impiriana.

– Twój ojciec nie żyje. Teraz ty jesteś senatorką von Impirian. Przykro mi.

– Powiedziałam: cicho!

Działał mi na nerwy, stojąc i sugerując, że to, co widziałam, było prawdą, i że gdy ja przebywałam w Chryzantemum, cesarz naprawdę zniszczył rodzinę Impirianów. W tym Sydonię! A przecież przyleciałam tu, żeby ją chronić, żeby poświęcić się zamiast niej! Tymczasem to wszystko poszło na marne. Gdyby Sydonia zginęła, ja też nie mogłabym żyć. Byłoby to po prostu niemożliwe. Poczulałabym, że umarła. Wiedziałabym. Wszechświat nie mógł tak po prostu istnieć, skoro zginęła jedyna osoba, która nadawała mu sens.

– Proszę, uspokój się, jesteś zdenerwowana. – Gladdic położył mi rękę na ramieniu, próbując odciągnąć mnie od panelu. – Powinnaś odpocząć. Możemy porozmawiać o...

– Zabierz rękę.

Moje słowa zabrzmiały ostro i nagle spojrzałam na tę kreaturę, czując, że kończy mi się cierpliwość. Nie miałam najmniejszej ochoty dłużej go słuchać.

Jeśli to była prawda, jeśli Sydonia nie żyła – nie potrafiłam nawet o tym myśleć – Gladdic nie był mi do niczego potrzebny. Nie musiałam być dla niego miła. A jeśli cesarz wszystkich oszukał, to jak

ten gnojek śmiał oferować mi swoje wsparcie, jak śmiał próbować odsunąć mnie od panelu.

– Sydonio... – pociągnął mnie za ramię.

Puściły mi nerwy.

Zerwałam się na nogi i walnęłam go pięścią w twarz. Trzask nosa łamiącego się pod moim ciosem przepełnił mnie takim zadowoleniem, że gdy krzyknął, przysunęłam się jeszcze bliżej, złapałam go za włosy i powlekłam w stronę drzwi.

– Co robisz? Co robisz? Przestań! – krzyczał Gladdic, wyrrywając się.

Wyrzuciłam go z willi.

Trzymał się za zakrwawioną twarz, patrząc na mnie z przerażeniem.

– Jeśli jeszcze raz tu przyjdiesz, zabiję cię. – Po tych słowach zamknęłam drzwi.

Wysłałam Impirianom kolejną wiadomość.

Wciąż nikt nie odpowiadał.

Nie spałam od pięciu dni i prawda zaczynała do mnie docierać niczym trucizna wypalająca wnętrzności. Serwitorzy łazili wokół jak bezmyślne automaty, którymi zresztą byli, zajmując się prostymi domowymi zadaniami: dostarczaniem mi świeżych ubrań i podtrzymywaniem pozorów. Rozkazałam im wyprowadzać Mordercę na spacer. Mimo całego szkolenia i dyscypliny, jaką mu wpoilałam, potrzeba było kilku serwitorów, żeby wyciągnąć go z willi i przyprowadzić z powrotem.

Poza tym w mojej głowie panował chaos.

Stałam na środku komnaty i rozglądałam się oszołomiona. Na dywanie wciąż widniały ciemne plamy krwi Gladdica. Nie mogłam przestać się w nie wpatrywać.

Wszystko wydawało się nierzeczywiste, inne. Złe.

Wyszłam z willi i stanęłam pod wielką niebieską kopułą. Cztery słońca dawały światło z góry i spoglądałam na nie, aż zaczęły mnie szczypać oczy. Nie wiedziałam, dokąd iść ani co robić.

– Sydonio.

Byłam gotowa zabić kolejną osobę, która mnie zaczepiła, nie zważając na to, kim jest, lecz nagle dotarło do mnie, że patrzę na Neveni. Miała przekrwione oczy.

– Zostałam namiestniczką Luminy – szepnęła.

Wpatrywałam się w nią bez słowa.

Zadrżała jej dolna warga.

– Zadzwoiłam do domu. Mama nie żyje. Cesarz przysłał żołnierzy, którzy ją zabili, tak po prostu. Mianował mnie namiestniczką na jej miejsce, ale zakazał powrotu do Luminy. Spytałam, czy mogę wrócić, bo... bo nie byłam pewna, co robić. Ale muszę tu zostać. Kto to widział, żeby namiestnik rządził planetą na odległość? Namiestnicy to nie senatorowie. Pracują w terenie, którym zarządzają.

I... i jak mam wyjaśnić zbędnikom, którzy wybrali moją matkę, że zajmuję jej miejsce? Przecież mam dopiero siedemnaście lat. To jakiś żart. Ten urząd nie podlega dziedziczeniu. – Zamrugła, patrząc na mnie. – A ty jesteś senatorką von Impirian. – Wybuchnęła histerycznym śmiechem. Patrzyłam na nią bez słowa. – Senatorka Sydonia von Impirian!

Wtedy straciłam wszelkie złudzenia: to nie był żaden koszmar czy halucynacje. Cesarz naprawdę to zrobił. Zabił Sydonię. Zabił matriarchinię i senatora, a teraz zamierzał ich zastąpić dziewczyną, którą miał u siebie – mną. Chciał, żebym została senatorką.

– Co my zrobimy? – szepnęła Neveni. – Mój Boże, co my zrobimy?

Zamknęłam oczy, na skórze czułam żar słońc. Byłam teraz diaboliką bez pani. Pozbawioną sensu istnienia. To, że przybyłam tu ratować Sydonię, a zamiast tego skazałam ją na śmierć, zakrawało na wielki kosmiczny żart. To ona miała zastępować senatora! Miała żyć! Tymczasem zamiast niej przeżyłam ja.

Ale nie na długo.

Miałam dość. Koniec ze sztucznymi uśmiechami, sztuczną uprzejmością, koniec z udawaniem, że jestem miękka i słaba. Porzucę wszelkie pozory i zanim cesarz mnie unieszkodliwi, dokonam takiej zemsty i tak wielkiego zniszczenia, jak tylko zdołam.

– Zabiję cesarza.

Dopiero zduszony okrzyk Neveni uświadomił mi, że powiedziałam to głośno. Gwałtownie otworzyłam oczy i zobaczyłam, że rozgląda się przerażona.

– Nie możesz tak mówić. To zdrada stanu! Aresztują cię!

Chwyciłam ją i przyciągnęłam do siebie.

– Jeśli komukolwiek powtórzysz moje słowa – szepnęłam, tak mocno ściskając jej ramiona, że z pewnością poczuła ból – zmiażdżę ci czaszkę. Rozumiesz?

Neveni otworzyła usta. Szybko pokiwała głową.

– Nie powiem. Nikomu nie powiem.

Uświadomiłam sobie, że powinnam ją zabić, tak jak zabiłam Suterę nu Impirian. To byłoby takie proste: szybkie skręcenie karku. Przecież w każdej chwili mogła ostrzec cesarza.

Coś jednak powstrzymało moją rękę.

Odepchnęłam Neveni i odeszłam, a w sercu czułam pustkę, która – wiedziałam o tym – miała we mnie pozostać do ostatniego tchu.

Gdy tylko podjęłam decyzję, że zabiję cesarza, opuściło mnie przerażające poczucie dezorientacji – miałam teraz przed sobą wyraźną, prostą drogę.

Postanowiłam zrobić to natychmiast. Wiedziałam, że zaraz potem jego diaboliki rzucają się na mnie

i zginę. Pozostało mi zaledwie kilka godzin życia, nawet nie dni, i byłam z tym pogodzona.

Układając plan, od razu wiedziałam, jak to zrobić. Mogłam wykorzystać element zaskoczenia, a poza tym wystarczająco dobrze orientowałam się w rozkładzie pomieszczeń, by wykonać tę ponurą misję.

Obserwowałam Randewalda dość uważnie, żeby poznać jego codzienne zwyczaje. Po spotkaniu z doradcami lubił przez kilka godzin zażywać odpoczynku i wąskim korytarzem udawał się w stronę komnaty przeznaczonej do relaksu. Właśnie wtedy zamierzałam do niego podejść. Tuż przed drzwiami. Wykrzywiłabym się, jakbym płakała. Padłabym na kolana jak przerażona dziewczyna i trzęsłyby mi się ramiona, jakbym szlochała. Błagałabym go jak bezradna spadkobierczyni Impirianów – jak potulna i nieśmiała Sydonia – żeby wysłuchał słów, które ledwie mogłabym wykrztusić przez łzy.

Cesarz, pewny, że zniszczył Impirianów i że ma przed sobą uległą, słabą dziewczynę, odprawiłby diaboliki i zgodził się mnie wysłuchać, gotów rozkoszować się każdą chwilą, w której przez łzy błagałabym go... o co? Na co by liczył? Na znak, że się go boję, czy może na znak, że rozpaczliwie potrzebuję jego łaski?

To nie miało znaczenia. Potrafiłam myśleć tylko o tamtym dniu na dworze, gdy kazał Skórze tak straszliwie się okaleczyć, i o tym, z jakim zaciekawieniem przyglądał się wtedy mojej twarzy. Był człowiekiem czerpiącym przyjemność z cierpienia i przerażenia innych, być może w szczególności młodych dziewczyn. Tak czy inaczej, skusiłabym go obietnicą tego, co lubił najbardziej.

A później bym go dopadła. Wbiłabym w niego sztylet. Gdyby był wystarczająco blisko, a jego diaboliki wystarczająco daleko, zadałabym mu cios gwarantujący kilkuminutową agonię. Gdybym nie miała takiego luksusu, zadowolilibym się wbiciem ostrza w aortę.

Kiedy skradałam się korytarzem, właśnie trwało posiedzenie rady. Zawsze myślałam, że ostatnie godziny życia upływające w oczekiwaniu na śmierć miną mi jak z bicza strzelił, gdy będę spijała każdą ostatnią minutę istnienia, lecz teraz czas zdawał się dłużyć w nieskończoność.

Zastanawiałam się, czy Sydonia kiedykolwiek uzyskała odpowiedzi na nurtujące ją pytania o znaczenie życia i sens istnienia – jeśli nie po drugiej stronie, to podczas jakiegoś chemicznego wybuchu w mózgu chwilę przed zgonem. Mówiła mi, że niektórzy ludzie ponoć widzą przed śmiercią światło oferujące odpowiedzi na wszystkie tajemnice kosmosu. Miałam nadzieję, że też je ujrzała. Zastanawiałam się, czy się bała. Zastanawiałam się, czy...

Ta myśl była obojętna.

Zastanawiałam się, czy pomyślała o mnie, czy miała chwilę, żeby się zastanowić, dlaczego mnie przy niej nie ma i nie mogę jej ochronić.

Nagle drzwi się rozsunęły i ze środka wyszła Wrogość, rozglądając się po korytarzu. W półmroku poruszała się jak wspaniały tygrys.



Jej wzrok zatrzymał się na mnie.

– Senatorko von Impirian, co ty tutaj robisz?

Wpatrywałyśmy się w siebie. Nie miałam niczego na swoje usprawiedliwienie.

Zawsze wydawałam jej się podejrzana. Za chwilę miałam potwierdzić słuszność jej intuicji. Byłam jej wrogiem. A za moment jedna z nas miała położyć kres życiu drugiej.

## ROZDZIAŁ 20

– Muszę tu zaczekać – powiedziałam. – Muszę porozmawiać z twoim panem.

Wrogość zmrużyła oczy.

– Nie. Masz opuścić to miejsce. Natychmiast.

Mogłam ją zabić i mimo to wykonać swój plan. Gdyby Wrogość nie wróciła do sali, cesarz wyszedłby i podniósł alarm. Udałabym wystraszoną, histeryzowałabym, a on spytałby, gdzie jest Wrogość. Wybąkałabym jakieś usprawiedliwienie i po chwili jego też zabiła.

– Słyszałaś? Kazałam ci stąd wyjść, senatorko von Impirian – powtórzyła Wrogość, podchodząc do mnie. Mięśnie lekko jej drżały, a jej spojrzenie zdawało się jeszcze bardziej lodowate i nieprzeniknione niż zazwyczaj. – Wyjdź natychmiast albo sama cię usunę.

Zamierzałam zabić jej pana. Gdy dzisiejszy dzień dobiegnie końca, nawet gdy już będę miała roztrzaskaną czaszkę i skórę zdartą z kości i gdy Wrogość obróci w proch to, co ze mnie zostanie, jej pan będzie martwy. Tak jak Sydonia.

Śmierć nie zawsze jest okrucieństwem. Wolałabym umrzeć tysiąc razy, niż żyć dłużej od Sydonii. Dlatego byłam gotowa wyświadczyć Wrogości przysługę i zabić ją już teraz.

Pochyliłam głowę, zmuszając ramiona do drżenia, wydając z siebie łkanie i chowając twarz w dłoni. Drugą zacisnęłam na sztylcie schowanym w fałdach szaty.

– Powiedziałam, żebyś stąd wyszła! – Wrogość wyciągnęła rękę w moją stronę.

I wtedy zatopiłam sztylet w jej boku.

Zabrakło mi ułamka sekundy, żeby przeciąć aortę. W ostatniej chwili wykonała ruch – była diaboliką w pełni sił, w przeciwieństwie do mnie miała potężną masę mięśniową. Wszelki ślad spokoju natychmiast zniknął z jej twarzy i rzuciła mną z całą swoją siłą. Poleciałam prosto na ścianę.

Trzasnęłam głową w mur i zobaczyłam nagłą eksplozję gwiazd, ale ból mnie nie powstrzymał. Zwinnie przeturlałam się na nogi i odwróciłam się do Wrogości. Przyglądała się krwi wypływającej jej z tułowia.

Zacisnęła lewą rękę w pięść, którą zatamowała krwawienie. Potem spojrzała na mnie.

– A więc miałam rację. Jest w tobie coś więcej.

– Tak – powiedziałam. – Miałaś rację.

Skoczyła na mnie. Zrobiłam unik i jeszcze raz zamachnęłam się sztyletem.

Ostrze poszarpało jej policzek, ale chwilę później chwyciła mnie za rękę i wykręciła mi ją za plecami, naciągając ścięgna. Odruchowo krzyknęłam, wypuszczając nóż z drętwiejącej dłoni. Potem zmiażdżyłam jej stopę obcasem. Ryknęła z bólu. Odwróciłam się i rąbnęłam ją pięścią w twarz.

Zadawałam cios za ciosem, a potem odepchnęłam ją od siebie kopniakiem.

Zatoczyła się, wciąż trzymając się za krwawiący bok.

– Jesteś za szybka – powiedziała, nie mogąc złapać tchu. – Nie jesteś człowiekiem!

– Dobrze wiesz, czym jestem.

Ruszyła na mnie, a ja wymierzyłam jej cios w bok – przewidziała go jednak i w ostatniej chwili się obróciła, waląc mnie łokciem w twarz. Mój nos eksplodował bólem, straciłam równowagę. Świat obrócił się do góry nogami, poleciałam do tyłu. Wierzgnęłam dość mocno, żeby znowu stanąć na nogach, ale Wrogość była już przy mnie. Grzmociła mnie pięścią po twarzy – czaszka pękała mi z bólu, a krew zalewała mi oczy, zupełnie mnie oślepiając. Moje nogi nie były jednak skrepowane, więc mocno kopnęłam Wrogość w kolana. Jedna z rzepiek przemieściła się z paskudnym trzaskiem. Padając na ziemię, wykorzystwała całą siłę rozpędu przeciwko mnie. Pierwszy dosięgnął mnie jej łokieć. Uderzyła z całym impetem, gruchocząc mi żebra. Wyraźnie czułam skutki utraty mięśni.

Była ciężka, cięższa, niż przypuszczałam, i przygwoździła mnie swoim ciężarem do ziemi, po czym zaczęła okładać wściekle pięściami. Ból w żebrach przyprawił mnie o mdłości, a potem świat zmienił się w oślepiającą bezkształtną plamę, wirował i się chygotał, a gdy znalazłam się na brzuchu i próbowałam się podźwignąć, okazało się to niemożliwe. Moje ręce odmówiły posłuszeństwa.

Potem zobaczyłam przed sobą buty. Wrogość dokuśtykała do mnie, chwyciła mnie za kark i podniosła, ale nie byłam w stanie utrzymać się na nogach.

– Jakie to fascynujące – powiedziała, wpatrując się we mnie. – Jesteś diaboliką, która przeszła bardzo skuteczną modyfikację ciała. Do kogo należysz?

Ugryzłam ją w ramię. Próbowałam wydrapać jej oczy, ale nie panowałam już nad rękami. Wrogość potrząsnęła mną, krzycząc:

– Kto jest twoim panem?

– Sydonia Impirian! – krzyknęłam w odpowiedzi. – Była moją panią.

Te słowa zadźwięczały w powietrzu między nami i poczułam, jakbym się kurczyła, więdła. Na zakrwawionej twarzy diaboliki dostrzegłam emocje. To nie mogło być współczucie. Nie zostałyśmy do niego stworzone. A jednak...

– Rozumiem.

Puściła mnie i bezwładnie opadłam na podłogę. Leżałam, a ona schyliła się po mój sztylet. W głowie kołatała mi się myśl, że nie zdołałam zabić cesarza, ale oślepiona bólem i rozpaczą nie byłam w stanie poczuć złości.

Nie taką zemstę planowałam.

Oto nadszedł koniec ziejącej pustki, w którą zamieniło się życie bez Donii.

Wrogość też o tym wiedziała.

Podeszła do mnie chwiejnym krokiem. Widziałam ją jak przez mgłę. Uniosła nade mną nóż.

W ostrzu odbiło się światło. Wiedziałam, że już za chwilę będę martwa, i byłam na to gotowa. Czułam wdzięczność.

– Wrogość!

W wąskim korytarzu zabrzmiał czyjś głos, a chwilę później rozległy się pospieszne kroki.

– Wrogość, co robisz z senatorką von Impirian?

– Wasza Eminencjo, to nie jest Sydonia Impirian – odrzekła Wrogość, nie poruszając się. – To diabolika, która zamierzała zaatakować cesarza.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, Wasza Eminencjo. Ona musi umrzeć. – Na chwilę zapadła cisza, a potem Wrogość zapytała ostrym tonem: – Co to ma...

Zanim dokończyła, ugodził ją strzał z broni energetycznej.

Na chwilę poraziło mnie oślepiające światło i nie byłam pewna, czy to, co widzę, dzieje się naprawdę.

Wrogość nie była taka jak Skóra, nie wystarczył jeden strzał w pierś, żeby skoła. Zatoczyła się do tyłu i nawet mimo ziejącej rany w boku i obrażeń, których doznała w trakcie walki ze mną, natychmiast odzyskała równowagę i gniewnie ryknęła.

Natarła na napastnika, a on wystrzelił jeszcze raz. Płynący nieprzerwanym strumieniem ogień stopniowo trawił diabolikę, choć wciąż z nim walczyła, choć zmuszała nogi do ruchu. Potem krwawy krater w jej ciele przestał wrzeć, odsłaniając szkielet i narządy wewnętrzne, i Wrogość osunęła się na podłogę.

Zapadła gęsta cisza, a potem poczułam, że ktoś mnie podnosi.

– Chodź.

Moim oczom ukazała się twarz Tyrusa Domitriana.

Myślałam tylko o jednym. Poruszyłam zdrętwiałymi palcami i wyrwałam mu broń, a potem podźwignęłam się na czworaka.

Tyrus wpatrywał się we mnie zdziwiony.

– Co ty wyprawiasz?

Wrogość nie żyła. Ja jeszcze nie umarłam. Wciąż mogłam się poruszać, więc postanowiłam dokończyć to, co zaczęłam. Nie mogłam się podnieść, więc popęzłam w stronę drzwi. Nie mogłam czekać, aż cesarz do mnie przyjdzie. Prawdopodobnie wcześniej bym się wykrwawiła. Postanowiłam, że sama do niego pójde. Oczy zaczęła mi zasnuwać ciemna mgła.

– Nawet nie możesz wstać. Chyba nie myślisz, że zabijesz mojego wuja, będąc w takim stanie.

– Odsuń... się... albo... ci krzywdę... – Miałam wrażenie, że słowa ze mnie wyciekają. Ciemność gwałtownie narastała, a potem znowu znalazłam się na podłodze.

## ROZDZIAŁ 21

Znowu byłam w kąpielni solnej. Unosiłam się na wodzie i dryfowałam, dryfowałam... Wszystko mnie bolało. Podobny ból musiała czuć Donia, gdy niespodziewanie poraził ją prąd podczas korzystania z konsoli, a ja nie mogłam nic na to poradzić. Byłyśmy wtedy małe.

– Donia. Donia!

– To twoja pani?

Pytanie, które rozbrzmiało gdzieś w górze, skłoniło mnie do otwarcia oczu i tuż obok ujrzałam znajomą twarz. Przez chwilę czułam podtrzymujące mnie ręce, czyjaś klatkę piersiową przy moim policzku. Widziałam piegi na grzbiecie nosa, blade rzęsy wokół niebieskich oczu unoszących się nade mną we mgle.

To była Donia! Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Znajdowała się na wybiegu dla zwierząt. Za bardzo zbliżyła się do tygrysów. Wiedziałam, że są oswojone, a ich groźna natura została obłaskawiona za pomocą inżynierii genetycznej, ale prymitywny ludzki instynkt, który posiadają nawet diaboliki, podpowiadał mi, że te muskularne zwierzęta mogą zabić ją jednym ciosem.

– Nie podchodź do nich – powiedziałam. – Są niebezpieczne.

– Majaczysz – oznajmił jakiś głos. Należał do Tyrusa Domitriana, który położył mnie na łóżku i teraz klęczał przede mną, przykładając mi do czoła mokrą ściereczkę. Nie byłam w stanie się podnieść. Czułam bolesne klucie w żebrach. Przepływały przeze mnie fale gorąca i zimna.

– Jesteś poważnie ranna. Możesz umrzeć. Ale właśnie tego chciałaś, prawda? – Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

Gdy znowu się ocknęłam, fruwały nade mną bzyczące medboty, a na skórze czułam ciepłe ukłucia prądu. Szczękałam zębami, w mojej głowie kłębiły się myśli o Donii, o łzach w jej oczach, gdy zabroniłam jej nazywać mnie inaczej niż Nemezis dan Impirian. Zawsze chciała ode mnie czegoś więcej, czegoś, czego nie rozumiałam i czego nie będę już miała szansy zrozumieć.

Subtelności właściwe myśleniu, uczuciom i działaniu ludzi – prawdziwych ludzi – były dla mnie czymś niepojętym. Może była to wina tego, że hodowano mnie jak najgorszego rodzaju potwora – może właśnie to mnie wypaczyło, nawet jeśli nie była to kwestia samej mojej natury...

Na przemian wymiotowałam i wstrząsały mną suche torsje, krew pryskała na podłogę przy łóżku. Wciąż fruwały nade mną medboty. Tyrus Domitrian stał w drzwiach z rękami splecionymi na piersi i obserwował mnie w chłodnym skupieniu. Zupełnie nie przypominał człowieka, który śmiał się jak szaleniec i mamrotał pod nosem. Nie potrafiłam pogodzić ze sobą tych dwóch obrazów.

– Sydonia Impirian była twoją panią? – spytał.

Uświadomiłam sobie, że minęło wiele godzin. Znowu przykładął mi do czoła ściereczkę.

Leżałam w skotłowanej pościeli, starając się zrozumieć, gdzie właściwie jestem.

– Dobrze się spisali, zmieniając twój wygląd. Domyślałem się, że coś jest z tobą nie tak, ale nigdy bym nie przypuszczał, że... – Cierpko się uśmiechnął. – Senator von Impirian był wizjonerem, a Impirianowie słynęli z mądrości. To prawdziwa strata dla imperium.

Wtedy sobie przypominałam – jego słowa były jak cios, po którym nie można złapać tchu. Dotarło do mnie, gdzie jestem i co się dzieje – na powrót zrozumiałam, że Sydonia zginęła, odzierając moje istnienie z wszelkiego sensu, i że nie zdołałam zabić jej mordercy. Zamiast tego leżałam tu żywa i gdybym umiała płakać, rozpłakałabym się. Żaden diabolik nie potrafi jednak ronić łez. Nie znajdując innego ujścia dla tej potwornej pustki i dla tego smutku, krzyknęłam.

Z mojego gardła wydobywał się przeraźliwy, zwierzęcy skowyt.

Później poczułam ogień palący mi gardło, ale fale gorąca i zimna ustąpiły miejsca trudnej do określenia uldze. Do komnaty wrócił Tyrus.

– Wykrzyczałaś się? – spytał z rezerwą. – Nawet jeśli nie, to nie krępuj się. Krzyki dobiegające z mojej komnaty tylko umocnią moją kiepską reputację.

Spojrzałam na niego spod zaropiałych powiek, wciąż obolała, ale kiedy podniosłam się odrobinę, odkryłam, że nie jest to już ten rozrywający, nieznośny ból co wcześniej. Medboty naprawiły wszystkie najgorsze obrażenia.

Tyrus stał bez ruchu i patrzył, jak się podnoszę. Zobaczyłam sińce na swoich ramionach – zapewne skrępowano mnie pasami.

– Nie umrzesz – oznajmił. – Ale było blisko. Wrogość na pewno... Co ty robisz?

Zakołysałam się, stając na nogach, a potem z całej siły odepchnęłam go na bok. Nie byłam jednak w formie i Tyrus nie stracił równowagi. Czulałam, jakby wszystkie moje mięśnie krzyczały z wyczerpania, wyczerpane z sił.

Gdy weszłam do sąsiedniej komnaty, drzwi przede mną zamknęły się na zamek i kilku serwitorów o beznamiętnych twarzach zagrodziło mi drogę. Byłam w takim stanie, że mogłam nie dać im rady.

– Dokąd zamierzasz pójść? Znowu chcesz spróbować zabić mojego wuja? – odezwał się Tyrus za moimi plecami. – Nawet jeśli jakimś cudem poradziłabyś sobie z Bólem, to z pewnością nie dasz rady Rzyku. A nawet jeśli, nawet jeśli mimo tak wielkich obrażeń ich pokonasz, choć nie zdołałaś poradzić sobie z jednym diabolikiem, cesarz ma wokół siebie całą świtę arystokratów, że nie wspomnę o ochronobotach i...

– Czego chcesz? – warknęłam, odwracając się do niego gwałtownie.

– Masz na imię Nemezis, prawda?

Zmrużyłam oczy.

– Sprawdziłem rejestr zgonów po wielkiej czystce wśród diabolików. Sydonia Impirian miała

u siebie zarejestrowaną niejaką Nemezis. Domyślam się, że to ty.

– Jakie to ma teraz znaczenie?

– Takie, że nie znoszę marnotrawstwa. – Tyrus usadowił się w fotelu, obserwując mnie z chłodnym, spokojnym namysłem, który zupełnie nie pasował do jego twarzy. Tej, którą tak często widziałam rozświetloną jakimś szalonym ożywieniem. – Sam nigdy nie miałem diabolików. Wuj dopilnował, żeby nie trafiły pod opiekę żadnego z pozostałych członków rodziny cesarskiej. Diaboliki mają skłonność do wchodzenia w drogę potencjalnym zabójcom, a mój wuj zabija członków rodziny bez większych oporów.

Milczałam. Nie interesowało mnie, co ma mi do powiedzenia, chyba że chciałby wyjawić, dlaczego mnie uratował, i powiedzieć, kiedy będę mogła stąd wyjść.

– Przykro mi z powodu twojej pani – powiedział, przyglądając mi się. – Możesz jednak potraktować to jak szansę.

– Szansę? – wykrztusiłam.

– Nemezis, dążymy do tego samego. Ty chcesz śmierci mojego wuja, a ja chcę zostać cesarzem – co oczywiście będzie wymagało śmierci mojego wuja oraz sporej liczby innych zabiegów. Nie zdołasz osiągnąć celu na własną rękę, podobnie jak ja. Może pomogliśmy sobie nawzajem?

– Gównu mnie obchodzą twój wuj i polityka. Mam gdzieś, czy kiedykolwiek zostaniesz cesarzem. On zabił Donię i zabiję go za to albo umrę, starając się to zrobić. Wypuść mnie stąd.

– Obawiam się, że nie mogę.

Podeszłam do niego z groźną miną.

– To nie była prośba!

Tyrus pstryknął palcami.

Rozgrzane do czerwoności wibrujące wici popęły mi po szyi w stronę skroni i już po chwili leżałam na podłodze, nie mogąc złapać tchu.

– Bardzo mi przykro – powiedział pełnym rezerwy i wcale nieprzepraszającym tonem. – Wolałbym jednak, żebyś nie skręciła mi teraz karku. Będę je uruchamiał, jeśli tylko się do mnie zbliżysz.

Gwałtownie podniosłam rękę do szyi, z której popłynął ten dziwny impuls.

– Masz pod skórą elektrody. To chyba jedyny sposób, żeby kontrolować diabolika. Chcę, żebyś mnie wysłuchała.

Spojrzałam na niego, gotując się ze złości.

– Wyrwę ci serce z piersi!

– Może kiedyś. Ale nie dzisiaj. – Podeszedł do drzwi, a potem wykonał gest w stronę framugi. – Nie będziesz mogła przekroczyć tego progu. Chcę, żebyś przemyślała moją prośbę, zanim podejmiesz decyzję.

– Już ją podjęłam! – krzyknęłam, ale on wyszedł razem z serwitorami, zostawiając mnie w komnacie.

Rzuciłam się do drzwi, lecz oślepiający impuls elektryczny znowu powalił mnie na kolana, tak że nie mogłam złapać tchu, a serce tłukło mi się w piersi.

Nie miałam już niczego na tym świecie. Chciałam jedynie, żeby ten ból ustąpił. Nie zamierzałam zmienić zdania, bez względu na to, jak długo Tyrus będzie mnie tu więził.



## ROZDZIAŁ 22

Mijały godziny. Serwitorzy zjawiali się bezszelestnie, przynosząc jedzenie i napoje. Miałam ochotę rzucić im je w twarz. Powstrzymywała mnie jedynie pewność, że nawet by się nie skrzywili. W gnębieniu bezmyślnych, bezbronnych istot nie było nic przyjemnego.

Znowu zaczęłam przyglądać się drzwiom, zastanawiając się, jakiego musiałabym nabrać rozpędu, żeby przeskoczyć na drugą stronę, zanim unieszkodliwiłaby mnie energia elektryczna.

Właśnie wtedy wrócił Tyrus Domitrian.

– Zdenerwowana?

Spojrzałam na niego bez słowa, wyobrażając sobie, jaką satysfakcję przyniosłoby mi roztrzaskanie mu czaszki.

– Chcę dać ci czas na zastanowienie. Przejdźmy się.

– Dokąd?

Odsunął się, żebym mogła wyjść z komnaty.

– To mój statek.

Aleksandria, tak jak Tigris Salivara i Devineé, była bezpośrednio połączona z częścią Chryzantemum zwaną Valor Novus. Różnica polegała na tym, że szalonemu spadkobiercy nikt nie składał wizyt. Na statku nie było prawie nikogo, jeśli pominąć maszyny i serwitorów.

Gdy zbliżyłam się do pierwszego następcy, ten uznał chyba, że lepiej jednak zachować dystans, i siedł, trzymając się kilka kroków przede mną. Co chwilę zerkał w moją stronę.

– Musisz wiedzieć, że zadałem sobie dużo trudu, żeby usunąć ślady twojego DNA z miejsca śmierci Wrogości, ale nie udało mi się zataić morderstwa. Cała grandecja jest teraz pod intensywną obserwacją, zwłaszcza ci jej przedstawiciele, którym niedawno zamordowano rodziny. Wszystkim skonfiskowano tajną broń. Najbardziej szanowani ludzie zostali publicznie upokorzeni, gdy przeszukiwały ich diaboliki mojego wuja. Ryzyko i Ból znaleźli kolczyki służące za zatrute strzały, sznurowadła z drutu kolczastego, neurotoksyny ukryte w najprzeróżniejszych kosmetykach... My, grandesi, jesteśmy o wiele brutalniejsi, niż mogłoby się wydawać.

Nic mnie to nie obchodziło. Nie miałam zamiaru długo zabawić na cesarskim dworze. Postanowiłam, że gdy tylko się stąd wydostanę, wrócę do swojego niezrealizowanego planu. Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym podbiegła do Tyrusa i skrzyła mu kark, zanim zdążyłby włączyć prąd.

– Mogłabyś mnie zabić – powiedział, jakby czytał w moich myślach – ale elektrody poraziłyby twoje serce i spowodowały jego zatrzymanie. Chyba nie warto umierać tylko po to, żeby mnie zabić.

Co by powiedziała Sydonia?

Gdy usłyszałam, jak wymawia jej imię, zalała mnie fala złości. Nie miał prawa o niej wspominać.

– Przepraszam, że zamknąłem cię tu jak zwierzę, ale chciałem omówić sprawę na spokojnie. Diaboliki są tak zaprojektowane, że umieją myśleć i rozumować. Chcę przemówić do twojego rozumu, ale nie zamierzam narażać się na śmierć. Przekonasz się, że rzadko lekceważę swoich wrogów.

– A co z przyjaciółmi? Ludzie na pewno wiedzą, że tu jestem. Jak im wyjaśnisz, że trzymasz Sydonię Impirian na Aleksandrii od... od jak dawna?

– Od pięciu dni. I to bardzo proste, Nemezis. Pewnie zakładają, że wariat z rodziny cesarskiej cię porwał. Być może później wymyślimy jakieś inne wyjaśnienie... Ale nikt nie będzie wchodził w drogę pierwszemu następcy, bez względu na to, co wyrabia.

Zmrużyłam oczy.

– Nie jesteś szalony. Teraz to widzę.

Zawahał się.

– Nie, nie jestem. – Odwrócił się ode mnie, gdy przechodziliśmy obok ogromnych okien wychodzących na Berneval. – Większość mojej rodziny umiera młodo, zazwyczaj z rąk krewnych. Jeszcze będąc dzieckiem, uznałem, że moją jedyną nadzieją na przetrwanie jest udawanie słabości, więc zacząłem udawać szaleńca.

– A ludzie od razu w to wierzyli.

– Łatwo przełknąć lekkostrawne kłamstwo. Domitrianowie nie są powszechnie kochaną dynastią. Nie mówi się o tym, ale wszyscy wiedzą, że mój wuj przetrzebił skarbiec cesarski i bez opamiętania spełniał swoje zachcianki, a teraz chce opodatkować zbędników, żeby uzupełnić braki. Zasłania się wiarą, chcąc usprawiedliwić ucisk zbędników, tak jak wcześniej mój dziadek, jego matka i jej ojciec. My, Domitrianowie, jesteśmy toksyną od wieków zatruwającą to imperium.

Chcąc nie chcąc, poczułam zaniepokojenie.

– Naprawdę przez pół życia udajesz wariata?

– Wystraszone dziecko jest zdolne do przeróżnych wyczynów, żeby przetrwać. Gdybym tego nie zrobił, bez wątpienia też już bym nie żył, a tak jestem następcą tronu. Początkowo wymagało to większego wysiłku, zwłaszcza gdy okazało się, że medboty nie potrafią mnie wyleczyć, ale ostatnio wystarczy, żebym od czasu do czasu wykonał publicznie jakiś dziwaczny gest, i wszyscy mi wierzą. Właśnie tak wyjaśnię uprowadzenie Sydonii Impirian na pięć dni.

Analizowałam w myślach sytuacje, w których go dotąd widywałam. Jego brak szacunku podczas ceremonii w Wielkiej Heliosferze.

– Skóra – przypomniałam sobie.

– Serwitorka i tak umarłaby okropną śmiercią. Uznałem, że zabicie jej będzie aktem litości. A jeśli

umocniło to moją reputację, to korzyść była podwójna.

– A egzalt?

Po jego twarzy przemknęła odraza.

– Nie jestem żadnym gwałcicielem. Składanie ofiar w Dniu Konsekracji to tak barbarzyński zwyczaj, że wymyśliłem kłamstwo, w które chętnie uwierzono. Oczywiście Pasuska o mało wszystkiego nie popsuła, ale wtedy do akcji wkroczyłaś ty. A skoro o tym mowa... – Gwałtownie się do mnie odwrócił. – Co się stało z moją kuzynką i jej mężem?

Nie było sensu kłamać.

– Napoiłam ich winem, którym mnie częstowali.

Lekko drgnęły mu usta.

– Stosowna kara.

Weszliśmy do komnaty z podłogą wykonaną z przejrzystego szkła. Pod nami majaczyła wielka niebiańska kopuła. Zdezorientowana gapiłam się w dół na błękitne niebo, na którym chyba właśnie stałam. Ściany pomieszczenia pod nami – rzędy regałów – niknęły w przestworzach, a pośrodku świeciło słońce.

– Wiesz, co to jest? – spytał Tyrus, patrząc w dół. – Na tych regałach w polu statycznym?

– Nie.

– To cenne artefakty zwane książkami. Stare, pozszywane skarbnice wiedzy, które można ze sobą nosić.

– To jakiś rodzaj... tekstów naukowych? – spytałam, myśląc o zakazanych materiałach senatora von Impiriana.

– Niektóre tak – odpowiedział z lekkim uśmiechem. – Kiedy uderzyła supernowa, przepadły elektroniczne bazy danych. Te, których nie zmiotła, usunięto za pomocą jednego przycisku. Ale moje zawierają wiedzę w formie fizycznej. Wiele z nich zabrano z Ziemi, gdy powstały pierwsze kolonie, i z czasem zupełnie wyszły z użytku. Nikt nie zawracał sobie głowy ich niszczeniem, więc zacząłem je gromadzić. To jedno z moich... dziwactw. Nikt nie unosi brwi, kiedy wariat okazuje zainteresowanie takimi rzeczami.

Pomyślałam o matriarchini i jej „bezcennych” starociach, prawdopodobnie unicestwionych razem z nią. O dziwo, choć nie łączyły mnie z tą kobietą żadne więzi, na myśl o jej śmierci poczułam bolesne ukłucie.

– Nemezis, wiesz coś na temat historii człowieka?

– Skąd miałabym wiedzieć?

– To także twoja historia. Twoje DNA ma źródła na Ziemi.

Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób, ale nadal nie rozumiałam, dlaczego miałoby mnie to interesować. Patrzyłam na niego beznamiętnie i czekałam.

Większość ludzi wytrącało to z równowagi. Matriarchini mówiła, że mam spojrzenie drapieżnika. Żaden człowiek nie wpatrywałby się w rozmówcę tak uporczywie, bez jednego mrugnięcia. Długo ćwiczyłam, żeby pozbyć się tego nawyku, ale tutaj nie musiałam udawać.

Tyrus też mi się przyglądał – nie badawczo, lecz z namysłem. Oto miałam przed sobą młodego mężczyznę, który udawał szaleństwo i mimo nieustannej groźby śmierci podstępem zajął drugą najbardziej wpływową pozycję w cesarstwie.

Nagle zaczęłam podejrzewać, że nigdy się mnie nie przestraszy.

– Historia człowieka – podjął – wciąż powiela ten sam schemat. Imperia powstają, a potem pogrążają się w zepsuciu i upadają. Bez końca to samo. Przed wiekami istoty ludzkie robiły gwałtowne postępy technologiczne. Nastąpił podbój kosmosu, opuściliśmy Ziemię i przemierzaliśmy galaktykę. A potem stało się to co zwykle: zgnuśniliśmy. Mieliśmy technologię, ale przestaliśmy się uczyć, jak jej używać. Pozwoliliśmy, żeby myślały za nas maszyny. Supernowa i rozkwit wiary helionickiej jedynie pogłębiły już istniejący problem. Nasi przodkowie poszukiwali wiedzy, ale my gloryfikujemy ignorancję. Gdybyś przeczesła całe imperium, nie znalazłabyś ani jednej osoby zdolnej naprawić maszyny zbudowane dla nas przez poprzednie pokolenia.

– Dlaczego uważasz, że ludzie powinni posiadać takie umiejętności? – spytałam. Przecież wszystkim zajmują się maszyny.

– Dlatego że to nie może trwać wiecznie – odparł Tyrus. – Nasza technologia się starzeje. Z każdym rokiem psuje się coraz więcej maszyn i nie sposób przywrócić ich do użytku. Kiedy stare statki ulegają awarii, rozrywają przestrzeń. Potrzebujemy rewolucji naukowej, ale ona nie następuje, bo grandecja z moją rodziną na czele wie, że każda rewolucja intelektualna nieuchronnie prowadzi do rewolucji politycznej.

Słowa Tyrusa były echem tego, w co wierzył senator von Impirian. Właśnie za te przekonania on i jego rodzina... zginęli.

Na samą myśl o tym poczułam ból.

Nie mogłam tego dłużej słuchać.

– Wasza Eminencjo, nic mnie to nie obchodzi – odparłam ostro. – Diaboliki nie są filozofami.

– Chcę tylko, żebyś zrozumiała, do czego dążę: chcę zostać cesarzem nie dla siebie, ale w imię lepszej przyszłości. Chcę, żeby ludzie byli istotami myślącymi, planującymi i dążącymi do czegoś więcej, a nie takimi jak teraz: leniwym, niemrawym gatunkiem powoli zaprzepaszczającym osiągnięcia przodków i ignorującym zagrożenia, które mnożą się wokół nas. Ale bez ciebie nie mogę zostać cesarzem.

– Niby jak miałabym ci pomóc?

Odwrócił się do mnie, patrząc na niebo pod nami i na regały z książkami znikające w błękitnych odmętach.

– Przetrwałem tak długo, ponieważ udaję szaleńca. Cesarz mianował mnie pierwszym następcą, bo jest przekonany, że jego wrogowie będą chcieli za wszelką cenę uniknąć mojej sukcesji. Muszę zacząć pokazywać siłę, żeby przekonać ludzi, że byłbym dobrym cesarzem, ale gdy tylko uda mi się zdobyć poparcie, stanę się zagrożeniem dla wuja i moje dni będą policzone. – Podszedł do mnie. – Jeśli wuj postanowi się mnie pozbyć, nie będę w stanie go powstrzymać. Tak to zaplanuje, żebym nie mógł się obronić. Będzie się starał mnie zaskoczyć w chwili nieuwagi. – Wziął mnie za rękę i mocno ścisnął. – I właśnie dlatego jesteś mi potrzebna. Jesteś diaboliką ukrytą w najbardziej eksponowanym miejscu. To czyni z ciebie najlepszą obronę, jaka istnieje. Możesz dopilnować, żebym przeżył. Zostań moją diaboliką, Nemezis.

– To nie działa w ten sposób. Jestem związana z Sydonią.

– Więc wybierz mnie. Sydonia Impirian nie żyje. Możesz sama decydować.

Pokręciłam głową.

– Niby jak miałabym ci towarzyszyć w tych wszystkich chwilach? Jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówisz, cesarz nigdy nie zezwoli ci na posiadanie ochroniarza. No więc jak wyjaśnisz moją obecność u twojego boku?

– Zostaniesz moją żoną.

## ROZDZIAŁ 23

Gdybym była kimś innym, prawdopodobnie bym się roześmiała. A tak tylko w milczeniu i z niedowierzaniem wpatrywałam się w pełną determinacji twarz Tyrusa.

– Chyba rzeczywiście jesteś szalony.

Próbowałam mu się wyrwać, ale jego dłoń mocno zacisnęła się na mojej ręce.

– A co zamierzasz zrobić? Zginąć na marne w kolejnej próbie zamachu? Razem możemy zmienić bieg historii.

– Nie mam zamiaru zmieniać biegu historii – odparłam. – Istniałam tylko w jednym celu. Teraz wszechświat nie ma mi nic do zaoferowania.

– Racja – powiedział cicho Tyrus. – Żyło ci się łatwiej, kiedy byłaś związana z Sydonią Impirian, prawda?

– Łatwiej? – powtórzyłam jak echo.

– Tak. Łatwiej. Wiedziałaś, jaki sens ma twoje istnienie. A teraz nie wiesz. Teraz musisz się zmagać z tymi samymi pytaniami co wszyscy inni. Pytasz siebie: co dalej? Co mam teraz zrobić? Świadomość, że decyzje, które podejmiesz, ukształtują twój los, jest przerażająca.

Wygadywał bzdury. Podejmowanie takich decyzji nie należało do diaboliki.

– Zabierz rękę, Wasza Eminencjo.

– Musi być jakiś sposób, żeby cię przekonać. – Wodził wzrokiem po mojej twarzy. – Nie przywrócę życia zmarłym, ale gdy już zostanę cesarzem, będę mógł ci obiecać wszystko, czego zapagniesz.

– Powiedziałam: zabierz rękę. – Moje słowa były zwykłą uprzejmością. Za chwilę zamierzałam mu tę rękę złamać.

Puścił mnie.

– Nie mogę cię do niczego zmusić, Nemezis – stwierdził. – I nie będę próbował. Proszę tylko, żebyś zanim doprowadzisz się do zguby, zastanowiła się nad znaczeniem, jakie chciałabyś nadać swojemu życiu. Nie wierzę, że diabolika żyje i umiera wyłącznie jako dodatek do prawdziwego człowieka. Wszystkim nam jest pisane wrócić do tej samej nicości. Ale możesz wybrać, co się stanie między chwilą obecną a tą ostatnią godziną. Nikt inny nie ma takiej możliwości. Nawet ja.

Milczałam. Ruszył w stronę drzwi.

– Bez trudu trafisz z Aleksandrii na Valor Novus.

– A elektrody?

– Były tymczasowym rozwiązaniem. Nemezis, chcę, żebyśmy od tej pory kierowali się zaufaniem.

Elektrody rozpuszczą się, gdy tylko znajdziesz się w bezpiecznej odległości ode mnie. Z pewnością rozumiesz potrzebę stosowania środków bezpieczeństwa.

– Są... tymczasowe?

– Oczywiście. – Tyrus przystanął w drzwiach i jego twarz na chwilę przybrała bezbronny wyraz. – Daj znać, jeśli zmienisz zdanie. Gala jest za trzy dni i chciałbym cię na niej przedstawić jako swoją partnerkę.

– Gala? Chcesz, żeby diabolika towarzyszyła ci podczas gali zorganizowanej dla uczczenia śmierci jej pani?

Smutno się uśmiechnął.

– Albo podczas gali zorganizowanej dla uczczenia pierwszego kroku na drodze do wyrównania rachunków. Będącej podwaliną przyszłości innej niż ta, jakiej pragnie cesarz. Nie ma prawdziwszej zemsty. Zastanów się nad tym.

Dotknęłam szyi, odprowadzając Tyrusa wzrokiem.

Rzeczywiście bez trudu dotarłam z Aleksandrii na Valor Novus. Gdy weszłam do zatłoczonego pawilonu, powitały mnie zdumione spojrzenia. Wiedziałam, że wszyscy się zastanawiają, co Sydonia Impirian robiła na statku Tyrusa Domitriana.

Zignorowałam zgromadzonych i ruszyłam w stronę swojej willi. Świat wydawał mi się martwy i przytłaczający. Porzuciłam pomysł jak najszybszego zamordowania cesarza, a poza tym straciłam swój jedyny cel – chronienie Sydonii.

Spojrzałam na mijających mnie arystokratów z wymyślnymi fryzurami, wystrojonych w najróżniejsze szaty, popisujących się nową karnacją albo kształtem nosa – słowem zabijających czas w podupadającym imperium. Nagle do głowy przyszła mi dziwna myśl: ci wszyscy ludzie szeptali o skandalicznym zachowaniu Tyrusa Domitriana, ale tylko ja znałam prawdę – tylko ja wiedziałam, że ma chłodny, analityczny umysł i wcale nie jest szaleńcem. Tyrus był najsprytniejszy z nich wszystkich. Może właśnie dlatego najlepiej nadawał się na władcę.

Ale kim ja byłam, żeby to rozstrzygać?

Poprosił, żebym za niego wyszła. Poraziła mnie niedorzeczność tego pomysłu. Diabolika miałyby wyjść za mąż!

Szaleństwo.

Nie mogłam uznać jego sprawy za własną. Filozofia i wiara w ideały były dla takich ludzi jak senator von Impirian, jak Tyrus, a nie dla stworzeń w rodzaju diabolików. Nie mieściło mi się w głowie, że mogłabym decydować o swoim losie. Moja droga została wytyczona, na długo zanim wyhodowano mnie w laboratorium.

Postanowiłam działać zgodnie z wcześniejszym planem. Zabić cesarza i ponieść konsekwencje.

Los Tyrusa Domitriana nie był moim zmartwieniem.

Przeszłam pod skąpaną w słońcu niebiańską kopułą do swojej willi, z której wyszli troskliwi serwitorzy gotowi przyjąć rozkazy.

– Gdzie jest Morderca? – spytałam, nagle sobie o nim przypominając. Natychmiast poczułam przypływ nieznanego mi dotąd poczucia winy: przecież przed wyruszeniem w zabójczą misję nie zadbałam o jego los. Nawet o nim nie pomyślałam. Serwitorzy nie dostali rozkazu, żeby go karmić, żeby się nim zajmować, a sami by na to nie wpadli.

Jeden z serwitorów podał mi jakiś liścik. Otworzyłam go pospiesznie i przeczytałam wiadomość:

*Sydonio,*

*słyszałam pogłoski, że jesteś na statku Tyrusa Domitriana. Umieściłam Mordercę w zagrodzie. Modłę się, żeby nic Ci się nie stało, i mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy!*

*Twoja przyjaciółka Neveni*

Opadłam na jedną z pluszowych kanap i raz po raz czytałam wiadomość od nowa. Próbowałam zrozumieć tę dziewczynę, która robiła dla mnie tak wiele, mimo że groziłam jej śmiercią.

„Twoja przyjaciółka Neveni”. A to ci dopiero!

Miętoliłam kartkę, aż zaczęła rozłazić mi się w palcach, i myślałam o tym, jaki dziwny potrafi być wszechświat.

Cieszyłam się, że nie zabiłam Neveni.

Musiałam znowu wykonać ruch przeciwko cesarzowi, ale najpierw potrzebowałam snu – więcej niż kiedykolwiek dotąd.

Znów śniłam o Sydonii.

Sześć godzin później wciąż byłam jeszcze trochę obolała, ale przede wszystkim czułam żelazną determinację. Nadal trawiła mnie wielka, ziejąca pustka i wiedziałam, że już zawsze tak będzie.

Tym razem nie pozwoliłam jednak, żeby usidlił mnie smutek. Po śmierci Wrogości cesarz z pewnością był wyczulony na potencjalne zagrożenie. Oznaczało to, że tym razem muszę starannie przemyśleć swój plan.

Tak czy inaczej miałam go zabić, a potem sama zginąć.

Poszłam do zagród, myśląc o Mordercy. Zamierzałam go uśpić – dla jego dobra. Bez względu na to, czy miało to nastąpić jutro czy za tydzień, wkrótce czekała mnie śmierć i nie miałby się kto nim zająć. Prawdopodobnie znowu trafiłby na arenę i natychmiast by zginął. Lepiej, żebym sama się tym zajęła.

Powitał mnie opiekun zwierząt z łysą głową z wytatuowanym symbolem Domitrianów.



– Senatorko von Impirian, domyślam się, że przyszedłaś po swoją bestię?

– Po mojego psa. To pies.

– Oczywiście. Proszę za mną. – Odwrócił się i poprowadził mnie korytarzem między rzędami kojców.

Szłam za nim, przyglądając się pozostałym zwierzętom. Jedne miały naderwane uszy, w ciałach innych ziały otwarte rany po niedawnych walkach. Właściciele byli zbyt skąpi, żeby zapłacić za medboty. Jeszcze inne były w idealnym stanie, bo trafiły w lepsze ręce. Wreszcie przeszłam obok stworzenia robiącego największe wrażenie – obok bestii cesarza. Kosztowała fortunę. Randewald najprawdopodobniej bez końca zamawiał tę samą konfigurację genetyczną, za każdym razem wprowadzając kilka zmian, aż udało mu się uzyskać upragniony efekt. Nazwał swą hybrydę mantykora, mimo że tak naprawdę było to połączenie byka, tygrysa, niedźwiedzia i kilku gatunków gadów. Przyszło mi do głowy, żeby go zabić na złość cesarzowi, kiedy nagle zauważyłam, że bestia zмага się z jakąś kością.

Zatrzymałam się i patrzyłam.

Opiekun zorientował się, że przystanęłam, i zawrócił.

– Senatorko von Impirian, proszę tędy.

Nie potrafiłam jednak oderwać wzroku od mantykory, która łamała i miażdżyła tę... kość udową. Ludzką kość udową. Grubą i mocną. A widziałam wystarczająco wiele otwartych złamań, by wiedzieć, że ten egzemplarz nie jest tak kruchy jak zwyczajna kość człowieka.

– Senatorko von Impirian...

– Kto to jest? – Mój głos był ledwie szeptem.

Powietrze wypełniło się warczeniem i mlaskaniem mantykory. Bestia machnęła potężnym ogonem.

– Kogo on zjada? – spytałam ostro, odwracając się do opiekuna, gotowa rozerwać go na strzępy, bo już wiedziałam, już wiedziałam...

Opiekun zamrugał, wpatrując się we mnie z zakłopotaniem.

– A, proszę się nie martwić, to nie jest człowiek.

Zaczęłam się trząść z wściekłości i przerażenia. Czułam ucisk w żołądku. Wiedziałam. Wiedziałam!

– Cesarz chce, żeby jego mantykora jak najczęściej jadła świeże mięso...

– Kto to jest?

– Jego diabolika, jak sądzę. – Widząc moje spojrzenie, szybko dodał: – Była już martwa.

– Zejdź mi z oczu.

– Ale...

– Zejdź mi z oczu, zanim cię rozszarpie! – krzyknęłam, a wtedy uciekł.

Przylgnęłam do pola siłowego, napawając się horrorem, który rozgrywał się przed moimi oczami. Mankyora zauważyła moje zainteresowanie i spojrzała na mnie złowrogo. Miałam ochotę przebić się przez pole siłowe i zetrzeć ją na miazgę, ale wiedziałam, że to straszliwe stworzenie z łatwością mogłoby mnie zabić. Wzrok zaszedł mi mgłą i ujrzałam Wrogość w ostatnich chwilach jej życia, po walce, którą stoczyła, po tym wspaniałym ostatnim ataku, do którego ruszyła rozrywana bronią Tyrusa. Wrogość, która doceniała współczucie. Która tak jak ja pochodziła z zagrody.

Oddała życie dla Randewalda von Domitriana. Do ostatniego tchu, do ostatniego drgnienia mięśni broniła swojego pana przed wrogami, a on w nagrodę nakarmił jej ciałem mantykorę.

Świeże mięso.

Miałam ochotę krzyżeć. W moim gardle wzbierał dławiący wrzask, ogarnęła mnie wściekłość, gdy sobie uświadomiłam, jaki los mi przeznaczono. Zdałam sobie sprawę, jak niewiele jestem warta i że wszystko, co czuję, to jedynie dodatek do prawdziwej ludzkiej istoty. Nie, przecież byłam czymś więcej. I Wrogość też była czymś więcej.

Bardzo długo uważałam za oczywistość, że nie jestem prawdziwym człowiekiem, i nigdy bym tego nie zakwestionowała, gdyby nie ból, który właśnie czułam. Bo czy nieludzkie stworzenie mogłoby doświadczyć cierpienia, jakiego doświadczałam, odkąd Sydonia... odkąd Sydonia... odkąd ona...

Osunęłam się na ziemię i z ust wydarło mi się bezgłośnie łkanie. Byłam tak bliska płaczu, jak to tylko możliwe – bo ten, kto rozkazał pierwszej maszynie stworzyć diabolika, zabronił jej wyposażać nas w kanaliki łzowe. Postanowił stworzyć mniej ludzką wersję samego siebie, a jednak nie odebrał mi zdolności odczuwania bólu, a tylko możliwość jego wyrażenia.

Pole siłowe łaskotało mnie w palce. Patrząc, jak mantykora rozrywa szczątki Wrogości, czułam, że mogłabym wtargnąć do kojca i zabić tę bestię, żeby coś podobnego nie spotkało także mnie. Nie zamierzałam tak po prostu zniknąć w pustce, jakbym nigdy nie istniała. Nie zamierzałam pogodzić się z tym, że jestem kimś gorszym od ludzi tylko dlatego, że tak mnie zaprojektowali.

Czułam, doświadczałam wściekłości i bólu, i nie mogli mi tego odebrać. Sydonia zginęła i wiedziałam, że nigdy się z tym nie pogodzę, ale postanowiłam, że to nie będzie mój koniec – o nie. Stanę na nogi i będę istniała jako diabolika Nemezis, pokieruję własnym losem na przekór im wszystkim.

Będę diaboliką, która zmieni przyszłość. Nie tylko dla siebie, ale i dla wszystkich prawdziwych ludzi. I w ten sposób dokonam najprawdziwszej zemsty: sprawię, że moje życie będzie coś znaczyło.

Gdy znowu zjawiłam się na Aleksandrii, Tyrus przyjął mnie nad swoją biblioteką z widokiem na błękitne niebo pod stopami. Świecące w górze słońca rzucały na sufit wielkie cienie. Mój wydłużony

cień dołączył do Tyrusowego i po chwili oba zlały się w jedną bezkształtną plamę, w jedną siłę górującą nad wszechświatem.

– Zmieniłaś zdanie? – spytał następca tronu, biorąc mnie za rękę.

Nie uklęknęłam ani nie zbliżyłam jego knykci do swoich policzków, pogwałcając tym samym zasady protokołu, i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Nie będę twoją diaboliką. Ale będę twoją cesarzową.

## ROZDZIAŁ 24

Pierwsze posiedzenie senatu, w którym wzięłam udział, odbyło się rano w dniu gali. W przeciwieństwie do Sydonii nie przygotowywałam się do tego zadania od urodzenia, więc jedyną osobą, z którą mogłam się skonsultować, był Tyrus Domitrian. Wysłałam do niego serwitora z tajnym liścikiem, pytając, czego będzie się tam ode mnie oczekiwać.

Wkrótce otrzymałam odpowiedź:

- *Siedź, gdziekolwiek ci się podoba, byleby w drugim kręgu od środka.*
- *Zjawiaj się na więcej niż piętnaście minut, ale nie na więcej niż trzydzieści.*
- *Nie ma potrzeby, byś wygłaszała opinie.*
- *Domyśl się, na jakim wyniku głosowania zależy mojemu wujowi, i postępuj zgodnie z jego oczekiwaniami. Na tym etapie to niezbędne.*
- *Nie ma się czego bać.*

Podarłam liścik na drobne kawałeczki, lekko urażona ostatnim zapewnieniem.

Forum Mniejsze było niepozorną salą. Nieliczni senatorowie przybywali osobiście – większość przysyłała doradców, żeby śledzili obrady za pośrednictwem forów galaktycznych. Gdy musieli wygłosić przemówienie, pojawiali się pod postacią awatara. Ci z nas, którzy byli teraz więźniami cesarza w Chryzantemum, nie mogli się jednak wymigać.

Siedziałam zatem w milczeniu i słuchałam przemówień, przeważnie dotyczących spraw, które w ogóle mnie nie interesowały: rolnictwa, ceny towarów, kontraktów na transport galaktyczny...

Po jakimś czasie poruszono prawdziwy problem: kwestię rezolucji skazującej na przymusowe usunięcie namiestników wszystkich kolonii zbędników, które wdrożyły reformę kształcenia bez pozwolenia cesarza.

Rezolucja była wymierzona w takie miejsca jak Lumina, rodzinna planeta Neveni, i przeciwko takim ludziom jak jej zamordowana matka.

Doskonale wiedziałam, na jaki głos liczy cesarz. Zagłosowałam za przyjęciem rezolucji, podobnie jak wszyscy pozostali senatorowie. Wyglądało to tak, jakbyśmy się stali żarliwymi helionikami. Żaden z nowych senatorów nie chciał podzielić losu poprzednika. Rezolucję przyjęto jednogłośnie.

Gdy senatorzy wylegli do przedsionka, gdzie czekali na nich ważni mieszkańcy imperium – zamożni, lecz niepiastujący wysokich urzędów – kątem oka zauważyłam niespodziewanego gościa, którego przybycie wywołało poruszenie obok drzwi.

Był to Tyrus.

Na widok następcy tronu ludzie wokół mnie zaczęli mamrotać. Poczułam, że niektórzy popatrują to na mnie, to na Tyrusa, bo szybko rozeszła się wieść o dziwnych sprawkach łączących następcę tronu z nową senatorką von Impirian.

Zamierzaliśmy im pokazać, co to za sprawy. Tyrus podszedł do mnie i wziął mnie za rękę.

– Kochanie, czy pozwolisz, że przyślę do ciebie służących, żeby pomogli ci się ubrać na wieczór?

Czułam na sobie wzrok wszystkich zgromadzonych.

– Będę zaszczycona, Wasza Eminencjo.

Tyrus przysunął moje knykcie do swoich policzków, nie odrywając ode mnie wzroku, i przycisnął chłodne usta do miejsca na moim przegubie.

– Będę odliczał minuty.

Potem wyszedł i nagle zostałam sama w zatłoczonym pomieszczeniu, bombardowana ze wszystkich stron ciekawskimi spojrzeniami.

Odwróciłam się i wyszłam. Ruszyłam w stronę komnat dla zbędników goszczących na dworze. Chciałam osobiście porozmawiać z Neveni, zanim dotrą do niej plotki.

Gdy stanęłam na progu, Neveni przez chwilę tylko gapiła się na mnie bez słowa. Później rzuciła mi się w ramiona.

Ten gest zbił mnie z tropu i upłynęła dłuższa chwila, zanim uświadomiłam sobie, że powinnam go odwzajemnić.

– Wróciłaś! Dobrze się czujesz? Dostałaś moją wiadomość?

– Tak – odpowiedziałam sztywno, odsuwając się od niej. – Chciałam ci podziękować, że zajęłaś się Mordercą. Zdobyć dla ciebie zaproszenie na dzisiejszą galę?

Neveni gwałtownie się cofnęła i zaczęła wpatrywać się we mnie z otwartymi ustami. Uświadomiłam sobie, że coś jest z nią nie tak. Po chwili się zarumieniła.

– Co? Tylko tyle?

Zmarszczyłam brwi.

– Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? – Jej oczy załśniły i zrobiły się szkliste. – Sydonio, gdzie byłaś przez ostatni tydzień? Co się z tobą działo? Ludzie mówili, że porwał cię Tyrus Domitrian i... opowiadali przeróżne straszne rzeczy! A kiedy widziałyśmy się po raz ostatni, zachowywałaś się tak dziwnie, że myślałam, że zrobiłaś coś lekkomyślnego.

– Nie zrobiłam.

Wcześniej omówiliśmy z Tyrusem swój plan. Na gali zamierzaliśmy oficjalnie wystąpić jako para, ale chciałam, żeby Neveni dowiedziała się wcześniej, że coś nas łączy.

– Tak się składa – powiedziałam do Neveni – że ja i Tyrus Domitrian jesteśmy teraz razem.

– Ra-razem?

– Tak.

– Jako para?

– Tak. – Polecił mi oznajmić to w taki właśnie sposób, więc zrobiłam to i miałam nadzieję, że brzmię wiarygodnie. – Spędziłam z nim pięć dni na błogich zalotach na Aleksandrii...

– Z Tyrusem? Ze stukniętym Tyrusem Domitrianem?

– Tak, a dzisiaj wieczorem idziemy na galę. Jeśli też chcesz pójść...

– Jego wuj zabił twoją rodzinę! – krzyknęła. – Bałam się, że ciebie też zamordował! Sydonio, co ty wyrabiasz? Oszalałaś? Myślisz, że mam ochotę iść na galę i tańczyć całą noc z tymi ludźmi?

Wybuchnęła płaczem.

Stałam zupełnie zagubiona w obliczu jej gwałtownych emocji – złości, strachu i smutku. Wcześniej zawsze skwapliwie korzystała ze wszystkich możliwości, jakie dawałam jej na dworze. Nie przyszło mi do głowy, że tym razem mogłaby zareagować inaczej, ale teraz wydało mi się to oczywiste.

Nie pomyślałam o tym, żeby wczuć się w jej sytuację.

Zwyczajnie zabrakło mi empatii.

– Neveni, przepraszam.

– Nie obchodzą mnie twoje przeprosiny. Nie rozumiem cię! Twoja rodzina nie żyje. Nie masz żadnych uczuć?

– Oczywiście, że mam.

Mogłabym jej opowiedzieć, jak bardzo cierpię, jak pragnę jakiegoś wytchnienia od bólu po utracie Sydonii. Mogłabym jej opowiedzieć o walce na śmierć i życie, jaką stoczyłam z Wrogością, łaknąc krwi cesarza, o prawdziwej naturze mojej umowy z Tyrusem. Mogłabym jej to wszystko powiedzieć i być może by zrozumiała, ale to nie były już wyłącznie moje tajemnice. Należały także do Tyrusa i nie miałam prawa narażać go na tak wielkie ryzyko.

Spróbowałam zatem innej taktyki.

– Pójdź ze mną na tę galę – namawiałam ją. – Może dzięki temu zapomnisz o śmierci matki.

Moja próba okazania współczucia jeszcze bardziej ją rozsierdziła.

– Zostaw mnie w spokoju! Nie mam ochoty iść na żadną wzgardzoną przez Słońce galę. Nie zdajesz sobie sprawy, co będzie się na niej świętować? Wymordowanie ludzi, których kochamy!!!

Miała rację. Na tym polegał cel gali. Spuściłam wzrok, nie będąc w stanie znieść jej udręczonej miny.

– O Boże – załkała Neveni. – Dłużej tu nie wytrzymam. Moja mama nie żyje i najwyraźniej nie mam tu już ani jednego przyjaciela! Idź dalej romansować z Tyrusem Domitrianem. Mam nadzieję, że to cię uszczęśliwi, Sydonio. Jesteś bardzo lojalna wobec rodziców, nie ma co!

Wyrwała mi się i wycofała do swojej sypialni.

Wyszłam na korytarz przed kwaterami zbędników i zamrugałam, oślepiona światłem jarzeniówek. Teraz, kiedy wreszcie uznałam się za coś więcej – za kogoś – więcej niż zwykłą diaboliką, uświadomiłam sobie, że istnieje olbrzymia przepaść niezrozumienia, którą będę musiała przekroczyć, zanim zdołam rzeczywiście wejść w rolę prawdziwego człowieka.

Zawierając pakt z Tyrusem, na dobre straciłam sojuszniczkę w osobie Neveni. Straciłam kogoś, kto najbardziej zasługiwał tu na miano mojej przyjaciółki.

## ROZDZIAŁ 25

Czekając na służących Tyrusa, robiłam pompki, rozkoszując się piekącym bólem dawno nieużywanych mięśni. Wiedziałam, że ćwicząc, ryzykuję zaprzepaszczenie wysiłków, jakie włożyła matriarchini w zmianę mojego wyglądu, ale potrafiłam myśleć jedynie o tym, jaka byłam słaba podczas walki z Wrogością. Nigdy więcej nie chciałam czuć się taka bezużyteczna. Aktywność fizyczna przynosiła mi upragnione wytchnienie od natrętnych myśli przepełnionych niepokojem o własny los. Gdy nie myślałam o niebezpiecznej misji, którą niebawem miałam podjąć wraz z Tyrusem, mogłam myśleć tylko o jednym: o Sydonii.

Donia uśmiechająca się do mnie tamtego pierwszego dnia w laboratorium, bicie jej serca pod moją dłonią, pierwsza chwila, w której coś gwałtownie się we mnie otworzyło i do środka wlała się zdolność do kochania...

Już samo wspomnienie Donii budziło we mnie pragnienie śmierci, więc starałam się o niej nie myśleć. Ćwiczenia fizyczne w tym pomagały.

Tym bardziej się zatem zdenerwowałam, gdy rozległ się głos z interkomu:

– Pracownicy Tyrusa Domitriana do Sydonii Impirian.

Podźwignęłam się, energicznie odpychając się od podłogi i ruszyłam do drzwi. Zobaczyłam, że serwitorki już je otworzyły. Mieli obowiązek robić to automatycznie, ilekroć przedstawiciel rodziny cesarskiej składał wizytę komuś o niższym statusie.

Do środka wlał się tłum mężczyzn i kobiet z włosami wymyślnie ułożonymi wokół tatuaży przedstawiających sześciogwiazdny symbol Domitrianów. Wszystko wskazywało na to, że ich przywódca nie jest pracownikiem, lecz zbędnikiem przyjętym do domu Domitrianów w uznaniu dla jego lojalności. Wciąż miał włosy i barwił skórę w pasiasty wzór, przez co skojarzył mi się z jakimś dziwnym zwierzęciem. Na mój widok wybuchnął donośnym śmiechem.

– Witaj, senatorko von Impirian. Jestem Szezar nan Domitrian. – Ostentacyjnie ukląkł i pogładził sobie policzki moimi knykciami. Miałam ochotę natychmiast wydostać ręce z jego uperfumowanego uścisku. – Przysłał nas pierwszy następca, żebyśmy przygotowali cię do udziału w gali.

– Wiem. Jakie przygotowania masz na myśli? Tańczyć już umiem. – Wprawdzie pod okiem Sutery nu Impirian nie zawsze szło mi łatwo, ale działało się tak wyłącznie dlatego, że jednocześnie przechodziłam kurację redukującą mięśnie. Teraz byłam przekonana, że ani razu nie pomyłę kroków.

– Jego Eminencja martwi się o coś innego – oznajmił delikatnie Szezar. – Pragnie, żebyś miała na sobie tyle klejnotów i ozdób, ile powinna mieć partnerka pierwszego następcy.

– Mam klejnoty.



Uniósł brwi ozdobione wytatuowanymi złotymi kreskami.

– Najwyraźniej Jego Eminencja myśli, że możesz potrzebować pomocy przy wyborze klejnotów odpowiednich na tę okazję.

No tak, przecież Tyrus wiedział, kim naprawdę jestem. Westchnęłam.

– Dobrze. Miejmy to już za sobą.

Myślałam, że zajmie to najwyżej godzinę, ale służący krzątali się wokół mnie aż do popołudnia, robiąc mnóstwo zamieszania wokół każdego mojego kosmyka, sklejjąc każdą rozdwojoną końcówkę, a także wplatając w moje ciemnobrązowe loki odcienie złota, jasnego brązu i najciemniejszego szkarłatu. Później zapleciono mi włosy w drobniutkie warkoczyki – by płynnie wirowały w tańcu. Przyglądałam się służącym, zdumiona ilością czasu, jaki można poświęcić na coś tak z gruntu nieistotnego. Też dbałam o szczegóły, ale na pewno bym nie zauważyła, że ktoś ma rozdwojone końcówki. Być może grandesi dostrzegali detale, które mnie umykały.

Służący odstawiali kolejne tace z wymyślnymi, zdobionymi pióropuszcami, broszkami i naszyjnikami, które z pewnością byłyby za ciężkie na szyję Sydonii.

Mimo wszystkich starań cesarza o skonfiskowanie ukrytej broni, tego rodzaju przedmioty można było bez trudu wykorzystać przeciwko oponentowi. Przyglądałam się naszyjnikom, wyobrażając sobie, jakie wywołałyby skutki, gdyby zdzielić nimi kogoś w głowę.

Oczywiście waga ozdób nie miała znaczenia. Gala odbywała się pod kopułą balową, w otoczeniu o zerowej grawitacji, a to umożliwiało grandecji obwieszenie się jeszcze większą ilością biżuterii niż zwykle, i to bez potrzeby wkładania egzoszkieletu. Służący mieli zabrać klejnoty i przystroić mnie nimi kilka minut przed rozpoczęciem gali.

Szeptali coś między sobą, nie zwracając większej uwagi na moje preferencje, zwłaszcza gdy zauważyli, że wskazuję przypadkowe elementy biżuterii, chcąc jak najszybciej mieć to z głowy. Nie chciałam być agresywna: wszystko, co mi pokazywali, wyglądało podobnie. Gdy wreszcie zaczęłam wskazywać największe i najbardziej błyszczące ozdoby – uznając, że będą odpowiednie dla partnerki pierwszego następcy – Szezar się roześmiał.

– Senatorko von Impirian, to dla ciebie zbyt jarmarczne! Ta biżuteria jest dla grandesów o niższym statusie, chcących coś zmanifestować.

Najwyraźniej miałam kiepski gust. Inne moje propozycje także były natychmiast wyśmiewane. Dwaj służący rozebrali mnie, żeby zadbać o moją skórę. Wstrzyknęli blask pod oczami i nad linią żuchwy, a potem dodali pigmentu do skóry pod kośćmi policzkowymi. Zastosowali nawet rozświetlacz i cień w taki sposób, że gdy przejrzałam się w lustrze, mój nos sprawiał wrażenie prostego, a górka była prawie niewidoczna.

Natarto mi skórę wonnymi olejkami, a kosmetoboty za pomocą laserów usunęły z niej nawet najmniejsze skazy. Wybrano dla mnie delikatną jedwabną suknię, śnieżnobiałą i przygotowaną

z myślą o zmaksymalizowaniu przepływu i zoptymalizowaniu falowania w środowisku o zerowej grawitacji. Buty zostały zaprojektowane wyłącznie do zerowej grawitacji, a nie do chodzenia: składały się z wymyślnych pasków z nanizanymi na nich klejnotami. Przyjrzałam się tym niepraktycznym akcesoriom, przypominając sobie stosowne instrukcje Sutery nu Impirian: cała sztuka polegała na tym, żeby za bardzo nimi nie kołysać, bo inaczej mogły zrobić krzywdę komuś innemu albo mnie samej.

Chyba że oczywiście chciałam zrobić komuś krzywdę.

Ostatnie dodatki miały postać zdobionych klejnotami pętli na ramiona i uda, eleganckich magnetycznych obręczy sterujących do nawigacji pod kopułą balową. Ustawiając je pod różnymi kątami, można było przemieszczać się w powietrzu.

– Czy *grandeé* życzy sobie masaż dla odprężenia? – spytał z troską Szezar nan Domitrian, gdy służący pakowali się, by przenieść moje klejnoty w pobliże kopuły balowej.

– Odprężę się, jeśli na godzinę zostawicie mnie w spokoju. Bo zakładam, że już skończyliśmy? – Gdy potaknął, spytałam: – Ile płacę?

Pokręcił głową.

– To prezent od Tyrusa Domitriana. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby pierwszy następca się zakochał. Nigdy. Ale wygląda na to, że podbiłaś serce Jego Eminencji.

– Tak, on jest... Jesteśmy sobą bardzo zauroczeni – zaszczebiotałam, mając nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco. Na szczęście udało mi się uwolnić rękę z perfumowanego uścisku Szezara.

Jego zachowanie wydawało się dziwne, takie przymilne. Byłam wprawdzie ważną osobistością, Sydonią Impirian, ale jeszcze nigdy nie traktowano mnie z tak wielką usłużnością.

Szezar nan Domitrian był pierwszą osobą, która zareagowała na mój awans społeczny. Ale bynajmniej nie ostatnią.

## ROZDZIAŁ 26

Sala balowa o sklepieniu w kształcie kopuły mieściła się tuż obok Langernhornu, jednego z długich, zakrzywionych wysięgników. Przypominała Wielką Heliosferę – z mnóstwem otwartych okien z widokiem na przestrzeń kosmiczną i prywatnymi komnatami dla grandecji. Krystaliczne szkło, z którego była zbudowana, prezentowało się wyjątkowo okazale – połyskiwało w świetle i rozpraszało promienie, rzucając tęcze smugi.

Moi serwitorzy i służący Tyrusa przynieśli mi szatę i ubrali mnie w nią w jednej z prywatnych komnat sąsiadujących z salą balową. Ta odłączyła się tymczasem od pozostałej części Valor Novus i trzęsąc się lekko pod wpływem grawitacji, sunęła teraz w dal, ku bardziej malowniczemu miejscu. Zaproszeni goście mogli podziwiać sześciogwiazdny układ widoczny za oknami. Wkrótce nasz statek wszedł na orbitę najmniejszej z sześciu gwiazd, w pobliżu mgławicy uformowanej z fioletowego i jaskraworóżowego pyłu. Roztaczał się stąd widok na gazowego olbrzyma i jego osiem księżyców. Wszystkie były ascetycznie piękne i tworzyły bezkresną gamę pejzaży na tle przepastnej ciemności kosmosu.

Rozległy się pierwsze dźwięki muzyki, oznajmiające gościom, że przyszła pora, by zająć miejsca. Jako pierwsi uczynili to oczywiście cesarz i jego najnowsza kurtyzana, kuzynka senatora von Canternelli. Zająłem pozycję przy olbrzymim lustrze weneckim i złapałem się przygotowanych dla mnie zdobionych drążków.

Po chwili wyłączono grawitację.

Przeżyłam szok, czując nagłą lekkość, jakby każda komórka w moim ciele popłynęła w górę. Warkoczyki wiły się wokół mojej głowy niczym ozdobne pnącza, a falujący materiał sukni przypominał lilie wodną unoszącą się na powierzchni stawu.

Nagle na środek wielkiej sali z gracją przypląsnęły w powietrzu dwie postacie – cesarz i *grandee* Canternella. Gdy patrzyłam na monarchę – na człowieka, który zabił Sydonię – krew wrzała mi w żyłach. Wyciągnęli do siebie ręce i gdy wolna, urzekająca melodia wypełniła pomieszczenie, połączyli się z wystudiowaną łatwością.

Odpędzając od siebie pragnienie, żeby tam wtargnąć i wyrwać cesarzowi serce, zmusiłam się do studiowania ich techniki tańca. Tancerze wirowali wokół siebie, zataczając kręgi, a potem niemal jednocześnie wykonywali gwałtowny ruch rękami, by się od siebie oddalić. Obydwoje mieli na sobie zwiewne szaty, nadające im wygląd płatków kwiatu otwierającego się ku słońcu. W ich stronę płynął nieprzerwany strumień rozjarzonych kul ognia.

Sutera nu Impirian ostrzegała mnie, że sztuka tańca przy zerowej grawitacji polega między innymi

na unikaniu wpadania na elementy dekoracji. Faleświatła czy unoszące się w powietrzu sadzawki z winem były przyjemne dla oka, ale z łatwością mogły zrujnować drogie suknie i stać się przyczyną nie lada gafy, gdyby wpadł na nie jakiś nieostrożny tancerz.

Ktokolwiek jednak wypuszczał ogniste bańki, robił to ostrożnie, i choć cesarz z partnerką tańczyli coraz szybciej, kule ognia ich omijały.

Potem szyba przede mną zaczęła się podnosić. Na parkiet wzywano drugą parę tancerzy – pierwszego następcę z partnerką.

Ze mną.

Czułam niepokój, bo nie ćwiczyliśmy kroków tańca w zerowej grawitacji. To była ważna chwila – po raz pierwszy występowałam oficjalnie jako partnerka Tyrusa, co stanowiło potwierdzenie pogłosek krążących na nasz temat, więc nie chciałam zrobić z siebie idiotki.

Nie było jednak czasu na zastanawianie się. Tyrus spojrzał mi w oczy zza swojej – teraz także wędrującej w górę – szyby. Jego krótkie miedziane włosy unosiły się wokół jego głowy, biała szata owijała się wokół umięśnionego ciała niczym pnącza. A potem obydwójce ruszyliśmy do tańca – Tyrus wdzięcznie spłynął, ja wykonałam przewrót w powietrzu. Ściany kryształowej sali balowej wirowały mi przed oczami, gdy obracałam się na wszystkie strony.

Kroki, które Tyrus ćwiczył przez całe życie, ja widziałam tylko na nagraniach, ale panowanie nad własnym ciałem zawsze przychodziło mi bez wysiłku, więc z łatwością poruszałam się w zerowej grawitacji. Gdy zbliżyłam się do środka sali, Tyrus wyciągnął ręce i złapał mnie za nadgarstki, a potem razem podążyliśmy w dół, wśród fałdów śnieżnobiałej tkaniny i połyskujących klejnotów. W skupieniu patrzył mi w oczy, a świat wokół wciąż wirował.

Nie widziałam niczego poza Tyrusem, lecz czułam na sobie tysiące zaskoczonych spojrzeń. Musiał to być widok dość niespodziewany – spadkobierczyni Impirianów tańcząca z następcą cesarskiego tronu.

Obydwójce potrząsnęliśmy rękami, żeby aktywować magnetyczne obręcze sterujące, i Tyrus wypuścił jedną z moich rąk. Zakręcił mną i oboje zanurkowaliśmy w powietrzu. Góra była dołem, a dół górą, wirujące warkoczyki opadały mi na twarz, a suknia mieniła się białym blaskiem. Skóra Tyrusa zajaśniała w świetle unoszącej się bańki ognia, która przemknęła tak blisko, że poczułam na szyi gorący podmuch.

Potem na parkiet wezwano następnych tancerzy, a ja i Tyrus popłynęliśmy w stronę cesarza i *grandeé* Canternelli.

Tym razem cesarz miał skórę bladą jak ściana, bez jednego piega, a jasne włosy nadawały mu upiorny wygląd w zestawieniu ze szkarłatnymi szatami, jakie mieli na sobie on i jego partnerka. Razem z *grandeé* Canternellą podpłynęli do nas, a gdy znaleźliśmy się w kręgu pośrodku olbrzymiej kulistej sali, Tyrus mocniej ścisnął mnie za rękę. Wokół tańczyły snopy światła gwiazd i kule ognia.

Poniżej wirował gazowy olbrzym, a na niebie nad nami utworzyła się jaskrawofioletowa mgławica.

– *Grandeé* Impirian – przemówił cesarz, podczas gdy *grandeé* Canternella bacznie się nam przyglądała. – Wyglądasz dziś oszałamiająco.

Poczułam zapierający dech w piersiach przyływ agresji. Tyrus aż się skrzywił – tak mocno ścisnął jego rękę – i w odpowiedzi ostrzegawczo ścisnął moją.

– Prawda? – powiedział wesoło. – Chciała zamknąć się w komnacie i pogрузić w żałobie, ale powiedziałem jej, że nie można pozwolić, by taka uroda marnowała się w odosobnieniu.

Cesarz uśmiechnął się pobłażliwie.

– Tyrusie, dobrze, że wreszcie postanowiłeś wziąć udział w cesarskiej gali. Zaskoczyłeś mnie wyborem partnerki...

Jego słowa na chwilę niespokojnie zawisły w powietrzu, a ja zacisnąłam zęby. O tak, był zaskoczony, że Tyrus zaprosił Impiriankę na galę zorganizowaną, żeby uczcić zniszczenie jej i wielu innych rodzin.

– Teraz jednak widzę, że wybrałaś doskonałą tancerkę – dokończył cesarz.

Gdy mówił, potrafiłam myśleć tylko o tym, że jest tuż obok mnie, że z łatwością mogłabym zakończyć tę maskaradę, rzucić się na niego i rozłupać mu czaszkę. Nie widziałam w pobliżu Rzyka. Nie widziałam Bólu. Byłam tu jedynym spośród popadłych ostatnio w niełaskę przedstawicieli *grandecji*. Inni mogli tańczyć dopiero po wyjściu cesarza. Nie był taki głupi, żeby przebywać w zasięgu rąk tych, którym właśnie wymordował rodziny.

Jako partnerka Tyrusa byłam jedynym wyjątkiem. Jego błędem.

Mogłam go teraz zabić.

Mogłam go zabić właśnie w tej chwili.

Tyrus chyba wyczuł te zamiary albo może moje fizyczne napięcie, bo nagle wtulił głowę w moją szyję i poczułam na skórze jego słodki oddech, a wokół mnie owinęły się jego silne, stanowcze ramiona. Wiedziałam, że mogłabym je złamać w mgnieniu oka, a gdy Tyrus wesoło się pożegnał i odpłynęliśmy od cesarza, poważnie to rozważałam.

– Nie – powiedział.

– Przecież on tutaj jest – wychrypiałam mu do ucha. – Tuż obok!

– I co potem? – Spojrzał mi prosto w oczy. – Zginiesz, a jego wizja ludzkości nadal będzie kwitła, zwłaszcza gdy wybuchnie wojna domowa, bo *grandecja* sprzeciwi się przekazaniu cesarstwa w ręce szaleńca.

Tyrus dotknął mojego policzka, a potem przesunął dłoń i nagle zacisnął mi ją na karku. Jego dotyk nie był przyjemny, dłonie miał zgrubiałe od wysiłku fizycznego, któremu zawdzięczał swoją muskulaturę.

– To pierwszy z wielu kroków – powiedział bardzo cicho. – Jeśli będziesz cierpliwa, w końcu

dostaniesz dokładnie to, czego pragniesz, i tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. Proszę, zaufaj mi.

Pomyślałam o zwłokach Wrogości w kojcu i o słowach, które od tamtej pory odbijały się echem w moim umyśle. „Jestem kimś więcej. Jestem kimś więcej”.

Sztywno pokiwałam głową, a potem pozwoliłam odciągnąć się jeszcze dalej od cesarza. Gdy wirowaliśmy w powietrzu, Tyrus w skupieniu patrzył mi w oczy.

– Sprawiedliwości stanie się zadość – powiedział cicho. – Pomścimy Sydonię... i całą resztę. Całe cesarstwo.

Poczułam, że się w niego wpatruję, zaskoczona blaskiem jego bladych oczu, rozjarzonych światłem dryfujących kul ognia. Co za dziwny człowiek – tak chętnie przyjmował odpowiedzialność za biliony. Nie tylko za tych, którzy właśnie do nas dołączali, za coraz liczniejsze grono tancerzy unoszących się w powietrzu, lecz także za bezimiennych obcych ludzi z całej galaktyki, za rzesze, które nigdy nie wymówiłyby jego imienia. Mało tego – większość tych, którzy jednak je wymawiali, przeklinała go, uważając za szaleńca. A mimo to chciał dla nich lepszego życia.

Nagle zalało mnie dziwne uczucie. Całą sobą zapragnęłam pewności, jaką miał Tyrus. Właśnie sobie uświadomiłam, że miał ją także senator von Impirian, który chciał szerzyć naukę. „Są sprawy ważniejsze od tego, czy ktoś przeżyje, czy umrze”.

Wypowiedziane dawno temu słowa senatora wynurzyły się z mojej pamięci, gdy Tyrus głaskał mnie kciukiem po policzku. Był to oczywiście obrazek przeznaczony dla gapiów, którzy nie mieli pojęcia o rzeczywistej naturze naszego związku ani o treści naszej rozmowy.

Tyrus wierzył w sprawę i ryzykował dla niej życiem. A teraz zachęcał mnie, żebym postąpiła tak samo, choć wiedział, że jestem diaboliką. Trudno mi było zrozumieć, jak to jest działać dla jakiejś sprawy, jak to jest w coś wierzyć. Ale chciałam się tego dowiedzieć.

Nieustannie czułam na sobie wzrok pozostałych gości. Obok mnie Elantra Pasmus tańczyła z Gladdikiem Atonem. Rzuciła mi przeszywające spojrzenie i uśmiechnęła się, ale kiedy zobaczyła, że jestem w towarzystwie pierwszego następcy, na jej twarzy pojawił się cień niepokoju. Miała powody, żeby się denerwować.

– Dla ciebie to też będzie zemsta, prawda? – powiedziałam nagle do Tyrusa.

Pomyślałam o jego rodzinie, która zginęła z rąk wuja i babki. Obydwoje byli helionikami i głęboko wierzyli w obecny system. Tyrus zamierzał jednak zasiąść na tronie i zniszczyć wszystko, czego tak zaciekle bronili.

– W pewnym sensie. – Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. – Nie powiem, że nie brałem tego pod uwagę jako dodatkowej korzyści.

Gdy rozległy się pierwsze dźwięki żaby i skorpiona, przypomniało mi się, jak uczyłam się tego tańca z Sydonią. Wezbrała we mnie fala smutku i Tyrus najwidoczniej dostrzegł go w moich oczach.

– Dobrze się czujesz?

Przełknęłam ślinę.

– Znam ten taniec.

– Tańczysz z niesamowitą wprawą.

– No jasne.

Roześmiał się.

– Twoja skromność jest przecudowna.

Droczył się ze mną, ale ja naprawdę nie widziałam sensu w udawaniu skromnej. Pod względem fizycznym byłam rozwinięta lepiej niż ktokolwiek inny w tej sali, a manewrowanie ciałem w zerowej grawitacji wymagało poczucia równowagi, koordynacji i wdzięku. Wszystkie te rzeczy przychodziły mi z łatwością.

Zamilkliśmy i Tyrus zaczął tańczyć partię żaby, ja skorpion. Podrzucał mnie i stawał na moim miejscu, a ja zsuwałam się po jego ciele i wirowałam wokół. Wijące się fałdy naszych ubrań splatały się ze sobą jak zawilce.

– Znasz tę historię? – spytał zasapany, gdy znowu się do siebie zbliżyliśmy. – Tę starą bajkę o żabie i skorpionie?

Melodia przechodziła teraz w ostry, bezładny rytm, więc zamierzyłam się na Tyrusa. On gwałtownie się cofnął i chwycił mnie za rękę, po czym zrobiliśmy obrót. Tancerze wirowali wokół jak setki szprych w olbrzymim kole. Gdy znowu przywarliśmy do siebie, obracając się w kółko, opowiedział mi bajkę.

– Skorpion chce przejść przez strumyk. Prosi żabę, żeby przeniosła go na grzbiecie. „Skąd mam wiedzieć, że mnie nie ukąsisz?”, pyta żaba. Skorpion zapewnia ją, że gdyby to zrobił, obydwójce poszliby pod wodę i utonęli. To przekonuje żabę. Zgadza się przenieść skorpion. Docierają na środek strumyka i wtedy skorpion ją kąsa.

Zatoczył się po kolejnym ataku z mojej strony, a ponieważ w tym tańcu każdy cios powoduje spowolnienie obrotów, takty muzyki zaczęły słabnąć i cichnąć. Skorpion śmiertelnie kąsa żabę, doprowadzając ich oboje do zguby. Znowu stoimy z Tyrusem twarzą w twarz, gotowi wspólnie utonąć.

– Żaba pyta skorpion, dlaczego ją ugryzł – dokończył Tyrus. – A skorpion na to: „Bo taką mam naturę”.

Zamilkliśmy i zanurkowaliśmy w powietrzu w rytm cichnącej muzyki.

Później, gdy zdjęto z nas najcięższą, wierzchnią warstwę stroju, udaliśmy się do jednego z przygotowanych do tego celu pomieszczeń, żeby odpocząć, rozkoszując się powrotem grawitacji. Sługoboty przyniosły nam napoje. Wewnątrz kulistej sali balowej szumiało – wreszcie pozwolono wejść na parkiet grandesom o niższym statusie.

Tyrus przesunął palcem po brzegu kieliszka i zmrużył oczy, przyglądając się tancerzom.

– Dzisiaj wykonaliśmy pierwszy krok – odezwał się po chwili. – Zobaczyli nas razem. Nie bez powodu opowiedziałem ci bajkę o żabie i skorpionie.

Spojrzałam na niego. Wyglądało na to, że Tyrus niczego nie robi bez powodu.

– Natury po prostu nie da się zmienić. – Postukał palcem w brzeg kieliszka. – Na skórze lwa nie pojawią się prążki, a gepardowi nie wyrosną rogi. Skorpion nie przestanie kąsać. Jeśli mam pokazać galaktyce nowe oblicze, ludzie muszą widzieć jakieś sensowne wyjaśnienie dla tej metamorfozy. Będziesz nim ty, Nemezis.

– Ja?

– To ty będziesz publicznie wywierała na mnie łagodzący wpływ. Potrzebujemy dobrego uzasadnienia dla zmiany w moim postępowaniu i tym uzasadnieniem będzie twój wpływ na mój charakter. Jako senatorka von Impirian już stanowisz ideologiczny punkt odniesienia. A to będzie jedynie kolejny krok. Potrzebuję okazji, żeby zrobić coś ważnego i dowieść w ten sposób, że się zmieniam... Muszę pokazać ludziom, jak może wyglądać imperium pod moimi rządami, gdy znajdę się pod twoim wpływem.

Milczałam. Ten sposób myślenia był mi zupełnie obcy. Tyrus dokładnie wszystko przeanalizował, miał mnóstwo dalekosiężnych celów. Ja wiedziałam tylko, co zrobić w danej chwili.

– Co zamierzasz?

– Będę musiał wymyślić jakiś dobry sposób, żeby świat dowiedział się o nowym układzie sił. Potrzebuję czegoś, co odbije się szerokim echem, o czym będzie się rozmawiało, co ludzie będą sobie powtarzać. – Opróżnił kieliszek, wstał i poprawił białą tunikę na umięśnionym ramieniu. Wyciągnął do mnie rękę. – Powinniśmy wracać na parkiet.

Odstawiłam kieliszek i wzięłam go za rękę. Gdy pomagał mi wstać, czułam siłę jego uścisku.

Tyrus w skupieniu wpatrywał się w moją twarz. Jego spokój i wyważone zachowanie były mi równie obce jak jemu moje instynkty i wrodzona agresja.

– Kiedy następnym razem pokażemy się publicznie, będę musiał cię pocałować. Pomyślałem, że powinienem cię uprzedzić, żebyś nie była zaskoczona. Nie chciałbym, żebyś złamała mi kark.

Ten pomysł rzeczywiście mnie zaskoczył. Przez chwilę chciałam nawet zaprotestować, zdziwił mnie jednak także własny niepokój. Jego słowa brzmiały logicznie. Dlaczego miałyby mi przeszkadzać jakiś mało istotny popis dla zwrócenia na siebie uwagi?

Pomyślałam jednak, że warto go ostrzec:

– Czułe gesty, które instynktownie przychodzą większości ludzi, nie są dla mnie czymś naturalnym. Nie jestem pewna, czy będę wiedziała, co robić.

– Nemezis, skoro umiesz tak dobrze tańczyć, to na pewno umiesz też całować. – Drgnęły mu usta, kiedy przesunął wzrokiem po moich wargach. – Pocałunek polega po prostu na dopasowaniu się do rytmu drugiego człowieka. Przypuszczam, że wyda ci się czymś naturalniejszym, niż przypuszczasz.



Z jakiegoś powodu poczułam nagle, że nie jestem w stanie wytrzymać dłużej jego spojrzenia. Obok, pod kopułą, długie rzędy tancerzy przeplatały się ze sobą niczym lśniące pnącza winorośli. Odwróciłam się, udając, że pochłania mnie piękno tańca.

## ROZDZIAŁ 27

W ciągu kilku następnych dni dawałam się porwać w wir zajęć. Pokazanie się na gali w towarzystwie pierwszego następcy zapewniło mi w Chryzantemum nowy status. Wszystko zaczęło się nazajutrz, gdy tylko wybiła godzina odpowiednia do odwiedzin. Nagle głos w moim interkomie zaczął zapowiadać całe tabuny gości, wywodzących się zarówno z wyższej, jak i z niższej grandecji.

- Credenza Fordyce do Sydonii von Impirian.
- Ivigny von Wallstrom do Sydonii von Impirian.
- Epheny Locklaite do Sydonii von Impirian.

Po zapowiedzi zawsze zjawiała się jakaś ważna osobistość ze swoją świtą, rozsiadała się w fotelu i zaczynała gapić się bez żenady na mnie, na moich serwitorów i na moje rzeczy, ciągnąc jakąś bzdurną rozmowę. Pogawędki nie szły mi za dobrze, więc przeważnie skupiałam się na tym, żeby nie świdrować gości wzrokiem w sposób mogący ich krępować. Wydawali się jednak zbyt skoncentrowani na autopromocji, by cokolwiek zauważyć.

– Moja *grandeé*, prawda, że pamiętasz tamto forum społeczne sprzed trzech lat, kiedy komplementowałam twój awatar? – spytała *grandeé* von Fleivert.

– Jacy silni, przystojni serwitorzy – zachwyciła się Credenza Fordyce. Do tej pory ostentacyjnie mną gardziła i w nowej dla siebie roli akolitki nie wypadała przekonująco. – Musisz mi powiedzieć, czym ich karmisz.

- Jedzeniem – odpowiedziałam. – Żywią się jedzeniem.
- Jedzeniem. Jakie to interesujące! – zaszczebiotała.

Spojrzałam na nią. Ona spojrzała na mnie. Cisza robiła się coraz bardziej niezręczna.

– No to muszę dawać swoim o wiele więcej jedzenia – podsumowała Credenza ze słabym uśmiechem.

Żadna z tych wizyt nie była jednak tak krępująca jak ta, którą złożył mi senator von Pasmus w towarzystwie Elantry. Na twarzy Pasmuski widniał jadowity, niczym niezmacony uśmiech.

– Miałem przyjemność poznać twojego ojca jakiegoś... hmm... dwadzieścia lat temu. A może dwadzieścia dwa? – powiedział senator von Pasmus donośnym głosem, który zagrzmiął w całym pomieszczeniu.

– Dwadzieścia dwa, ojciec – powiedziała Elantra. – Mówiłeś mi o tym.

– Tak, dwadzieścia dwa lata temu. W tym samym czasie zaczęliśmy sprawować władzę. – Twarz senatora von Pasmusy wykrzywiła się w uśmiechu. – Było mi bardzo przykro, kiedy się dowiedziałem, co go spotkało. Wierz mi lub nie, ale całkiem lubiłem te nasze starcia w senacie. Głęboko żałuję, że

zupełnie inaczej patrzyliśmy na fundamentalne problemy naszych czasów. W innych okolicznościach moglibyśmy dokonać wielkich rzeczy. – Chrząknął, gładząc się po krótkiej, starannie przyciętej brodzie. – Chcę powiedzieć, moja droga, że wiem, kiedy należy puścić stare spory w niepamięć. Bez wsparcia rodziców może ci być trudno.

Na twarzy Elantry ukazał się plastikowy uśmiech.

– Ojciec i ja z radością ci pomożemy.

– W rzeczy samej – potwierdził senator. – Jesteś jeszcze bardzo młoda, moja droga. Z pewnością nie miałaś czasu zapoznać się z wszystkimi niuansami sprawowania urzędu. – Na chwilę zamilkł. – Weźmy na przykład sposób traktowania zbędników na twoim terytorium. Zakładasz, że pójdą za twoim przykładem i będą wyznawali takie poglądy jak ty, ale tego rodzaju myślenie często okazuje się zwodnicze. Ba, może się znaleźć wśród nich jakiś drań, który podburzy ziomków, żeby sprzeciwili się władzy, ponieważ zdoła ich przekonać, że mają prawo współdecydowania o sprawach...

– Tak jak naczelniczka Sagnau? – spytałam słodko.

Bąknął coś i zamilkł. Elantra rzuciła ojcu pełne wściekłości spojrzenie, jakby już wcześniej ostrzegła go, że tak się stanie, a on jej nie posłuchał.

Nie obchodziło mnie, że właśnie złamałam tabu, zwracając uwagę senatora i jego spadkobierczyni na namiestniczkę, która sprzeciwiła się im na ich własnym terytorium... na kobietę, która w końcu została zamordowana razem z innymi, rekrutującymi się z arystokracji wrogami cesarza.

To mogło być wyłącznie dzieło senatora von Pasusa. Cesarz nie miał powodu uderzać w zwykłą namiestniczkę, bez względu na to, jakie miała poglądy. Matka Neveni nie mogła stanowić zagrożenia, chyba że senator von Pesus wyraźnie poprosił o jej usunięcie.

Mój gość wyprostował się, odzyskując rezon.

– Ta prowincja, Lamanos...

– Lumina – poprawiła go Elantra słodkim głosem.

– Tak, Lumina. Zawsze sprawiała kłopoty. Jest praktycznie samowystarczalna, więc tamtejsi przywódcy mają o sobie wysokie mniemanie. Ta cała Sagnau była demagogiem mieszającym ludziom w głowach. Większość zbędników jest zbyt zaślepiona propagandą albo zwyczajnie zbyt ciemna, żeby zrozumieć, jak bardzo potrzebują cesarstwa i jakie korzyści przynosi im zwierzchnictwo grandecji. – Przyniósł się do mnie, a w świetle mojego atrium jego spojrzenie było ostre i zimne. – Dostali jednak bolesną nauczkę. Nie ma tak bezpiecznej planety ani tak dobrze ukrytej dziury, żeby nie mogła jej dosięgnąć ręka grandecji. Zbędnicy szanują wyłącznie siłę, a po czymś takim spotulnieją, gwarantuję ci to.

Kilka dni później cesarz zaprosił mnie na prywatną kolację.

Kiedy zasiadaliśmy w komnacie audiencyjnej, Tyrus odsunął mi krzesło. Randewald jeszcze się

nie zjawił. Miejsce u szczytu stołu było puste.

Gdy usiadłam obok Tyrusa, poczułam na sobie spojrzenie jego babki, która patrzyła na mnie wzrokiem bazyliuszka. Urodziła się w innej gałęzi rodziny Domitrianów, gdy familia była liczniejsza, a jej członkowie nie mieli tendencji do umierania w młodym wieku. Pochodziła z tej gorszej linii. Jej symbolem była czarna dziura, nie sześć gwiazd, czyli herb Domitrianów z linii cesarskiej.

Zamiast starać się o samodzielne objęcie tronu, Cygna musiała się zadowolić poślubieniem następcy. Gdy w jej małżeństwie z cesarzem Lotariasem zaczęły się kłopoty, usiłowała rządzić za pośrednictwem swojego ulubionego dziecka, obecnego cesarza. To właśnie ona uknuła plan pozbycia się rywali Randewalda von Domitriana w wyścigu do tronu.

Ku mojemu niezadowoleniu tym razem do Cygny dołączyli Salivar i Devineé. Obydwoje wybudzili się ze śpiączki, ale nie byli w szczytowej formie. Miło się uśmiechali, lecz twarze mieli blade i wymizerowane, a oczy zamglone. Z kącika ust Salivara ciekła ślina. Jeden z serwitorów podszedł, żeby wytrzeć ją jedwabną chusteczką.

Tyrus przechylił się w moją stronę i zaczął ostentacyjnie bawić się jednym z kolczyków, które założyłam tego wieczoru. Poczułam ciepło jego oddechu, kiedy szepnął:

– Nic nie pamiętają. Devineé nie jest w stanie wyraźnie mówić. Salivar ciągle zapomina, jak ma na imię.

– Aż tak z nimi źle?

– Oddechu skorpiona trzeba używać z umiarem. Większe dawki działają jak silne neurotoksyny.

Poczułam przyływ okrutnej satysfakcji, gdy ponownie spojrzałam na bratanicę cesarza i jej męża i przypomniałam sobie, co zamierzali zrobić Sydonii i co zrobili Neveni. Niezdarnie trzymali sztucce, usiłując nadziać kęsy jedzenia.

Tyrus lekko trącił mój kolczyk.

– Staraj się nie cieszyć tak otwarcie. Babka jest bardzo spostrzegawcza. – Odsunął się.

Rzeczywiście, gdy spojrzałam na *grandeé* Cygnę, okazało się, że nie odrywa ode mnie wzroku. Moje zadowolenie nie uszło jej uwagi.

– Czy widok stanu, w jakim znaleźli się moja wnuczka i jej mąż, cię bawi, senatorko von Impirian?

– Ależ skąd, Wasza Eminencjo – odrzekłam pospiesznie. – Jeśli się uśmiechnęłam, to tylko dlatego, że przypomniało mi się, jacy byli dla mnie mili, zanim...

– Zanim spotkało ich to nieszczęście, a ty zupełnie straciłaś pamięć.

Ta kobieta zamordowała własne, mniej lubiane dzieci. Nie miałam wątpliwości, że zabiłaby także mnie, gdyby się domyśliła, co zrobiłam Salivarowi i Devineé.

– Tak, Wasza Eminencjo – mruknęłam. – To był tragiczny wieczór.

*Grandeé* Cygna skrzywiła usta, okazując zniecierpliwienie.

– No więc jak to się stało, że zaczęłaś się spotykać z moim wnukiem?

Tyrus nakrył moją dłoń swoją. W każdym centymetrze jego ciała wyczuwało się subtelne napięcie.

– Już ci opowiadałem, babciu...

– Chciałabym usłyszeć tę czarującą historię od młodej damy.

Przez chwilę miałam pustkę w głowie. Potem przypomniały mi się bajeczki, które wymyślił Tyrus, żeby uzasadnić nasze nowe relacje.

– Byłam zrozpaczona po niedawnych wydarzeniach, co z pewnością Wasza Eminencja rozumie.

Upiłam łyk wina, chcąc zyskać trochę czasu na przypomnienie sobie opowieści Tyrusa. Wciąż trzymał swoją dłoń na mojej i gładził kciukiem moją skórę. Takie gesty miały świadczyć o jego rzekomej czułości. Rozpraszało mnie to, ale zdusiłam impuls nakazujący mi cofnąć rękę i położyć ją na kolanach – bo to także nie uszłoby uwagi Cygny.

– Jego Eminencja natknął się na mnie, gdy byłam w rozpacz, i zaprowadził na Aleksandrię. Pokazał mi piękne antyki, które nazywa się książkami, a potem wszystko potoczyło się samo.

Chcąc uwiarygodnić całą historijkę, posłałam Tyrusowi uśmiech. Miałam nadzieję, że matka cesarza nie dostrzeże pustki i chłodu w moim spojrzeniu. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Ach, oczywiście – odrzekła Cygna. – Ujęła cię jego biblioteka. Tyrus trzyma ją Kosmos jeden wie po co, ale widzę, że podzielasz zamiłowanie swojego ojca do książek.

W jej słowach krył się podstęp. Próbowwała przyłapać mnie na jakimś błędzie.

– Nie, Wasza Eminencjo, nauka nie jest moją pasją – powiedziałam szybko. – Te książki były po prostu... bardzo ładne.

– Ach, ale ich treść może się okazać niezwykle niebezpieczna. – Upiła łyk wina. – Całe to pragnienie uczenia się... Zupełnie go nie rozumiem. Nauka to nedorzeczny sposób spędzania czasu, jeśli chcesz znać moje zdanie, zwłaszcza że można po prostu zajrzeć do komputera. Powinnaś bardzo uważać, senatorko von Impirian. Nie chciałabyś chyba zbłądzić, jak niegdyś twój ojciec.

Zacisnęłam pięści pod stołem.

– Nie, Wasza Eminencjo, nie chciałabym.

– Najbardziej zaskakuje mnie to – ciągnęła Cygna – że mój wnuk zakochał się w Impiriance. Nie miałam pojęcia, że ma takie skłonności. Myślałam, że zgromadził te książki, bo jest ekscentrykiem, a nie z powodu intelektualnej ciekawości. Prawda, mój drogi?

W tym pytaniu również krył się podstęp, ale Tyrus z łatwością zdołał wybrnąć. Zachichotał, a potem odchylił się do tyłu i spojrzał w sufit.

– No cóż, babciu, prawdę mówiąc, wcale nie mam ochoty czytać tych książek. Pomyślałem tylko, że mógłbym w nich znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego jestem tak dalece doskonalszy od zwykłego człowieka. Mam też wiele innych pytań. Na przykład dlaczego wszyscy na mnie patrzą i nie oślepia ich blask mojej transcendentnej natury? Dlaczego mam dostęp do boskiej mądrości Kosmosu,

a inni nie słyszą tych głosów co ja? Co takiego jest w mojej skromnej postaci, że jestem o wiele lepszy niż przeciętny człowiek? – Przysunął moją rękę do ust i spojrzał babce prosto w oczy. Jego wargi okazały się zaskakująco ciepłe. – Ale obecna tu Sydonia von Impirian dostarczyła mi odpowiedzi.

Cygna uniosła cienką brew.

– Czyżby?

– O tak. Twierdzi, że tak naprawdę Żywy Kosmos wcale nie wyraża swojej woli za pośrednictwem mojej skromnej postaci, ale że jestem po prostu produktem kosmicznej kreacji, tak jak każdy inny człowiek.

– Ciągłe ci to powtarzam – warknęła *grandeé* Cygna.

– Ale babciu, w jej słodkich ustach brzmi to o wiele bardziej przekonująco. – Wyciągnął rękę i pogładził kciukiem moją dolną wargę. – Czyżbym ci tego nie mówił, kochanie?

Czy naprawdę musiał mnie tak dotykać? Gdy jednak spojrzałam mu w oczy, zrozumiałam, że jedynie realizuje swój plan: przypisywał mi łagodzący wpływ na swoje szaleństwo. *Grandeé* Cygna, unosząc kieliszek z winem, przez chwilę gapiła się na niego bez słowa.

– No cóż. – Zreflektowała się i delikatnie upiła łyk. – Tyrusie, udało ci się mnie zaskoczyć.

Wtedy już wiedziałam, że mu uwierzyła.

Oczywiście, że uwierzyła. Przez wszystkie te lata patrzyła na wybryki szaleńca. Dlaczego miałyby wątpić, że w jego zachowaniu zaszła kolejna nieoczekiwana zmiana?

Światło nad naszymi głowami przybrało złoty odcień, zmieniając misterne rzeźby na ścianie w połyskliwy gobelin. Do środka wkroczył Ryzyko. Potem pojawił się cesarz w obstawie ochronobotów i swojego drugiego diabolika, Bólu.

Zauważyłam, że Randewald ma na sobie zbroję.

– Witaj, synu. Ucałuj mnie. – Cygna nadstawiła policzek.

Uśmiech cesarza był zimny jak granit. Najwyraźniej irytowało go, że choć sprawuje najwyższą władzę w państwie, musi słuchać rozkazów matki. Pamiętając jednak o dobrych manierach, pochylił się, żeby wycisnąć pocałunek na jej gładkim policzku.

– Tak się cieszę, że wszyscy się tutaj zgromadziliśmy – oznajmił cesarz, prostując się. Spojrzał na mnie przelotnie, a jego usta rozciągnęły się w pogardliwym uśmieszku. – Muszę pochwalić twój gust, siostrzeńcu. Senatorka von Impirian jest przeurocza.

Zastanawiałam się, czy nie wrócić do swojej naturalnej karnacji, zwłaszcza odkąd zobaczyłam zwłoki Wrogości w kojcu mantykory. Mściwa, złośliwa część mnie miała ochotę upodobnić się do diaboliki, której cesarz tak łatwo się pozbył, po tym jak zginęła, stając w jego obronie. Powstrzymałam się jednak, obawiając się, że Ryzyko i Ból odkryliby wówczas prawdę. Zamiast tego wybrałam ciemnorude włosy i bladą skórę – lepiej pasowały do naturalnego, rudawego koloru włosów

Tyrusa. Teraz wyglądaliśmy na idealnie dobraną parę.

Gdy sługoboty przyniosły kolację, nad stołem zaczęły krążyć drony. Tymczasem, jak to było w zwyczaju, członkowie rodziny cesarskiej jeden po drugim próbowali potraw cesarza, zanim skosztował ich sam władca.

Zauważyłam, że monarcha nie zwraca większej uwagi na test w wykonaniu Tyrusa, ale bardzo uważnie patrzy, jak *grandeé* Cygna odkrawa cieniuteńki kawałek soczystej szynki. Gdy służący podali porcje Salivarowi i Devineé, pokręcił głową.

– Podanie im trucizny byłoby w tej sytuacji niemal aktem łaski, nie sądzicie?

Zadowolony, że jedzenie nie może go zabić, z werwą zabrał się do kolacji.

– Ordynarna uwaga. Wszyscy powinniśmy się modlić o ich powrót do zdrowia. Muszą gdzieś istnieć jakieś lepsze medboty, nie sądzisz? – *Grandeé* Cygna odkrawała maluteńkie kęsy jedzenia, mierząc wzrokiem znajdujące się w oddali ochronoboty. – Synu, ten hałas jest nie do zniesienia. Czy naprawdę muszą nad nami krążyć przez całą kolację?

Cesarz chłodno się uśmiechnął.

– Ależ matko, chyba się nie dziwisz mojej ostrożności? Tydzień temu miałem trzy diaboliki. Teraz mam tylko dwa.

Przed oczami stanął mi obraz mantykory pożerającej Wrogość. Mocniej ścisnęłam sztucce i oparłam się pokusie przeskoczenia przez stół i zatopienia widelca w cesarskim oku.

Powstrzymało mnie zamieszanie za drzwiami. Ochronoboty cesarza z bzyčeniem popłynęły w stronę wejścia, a Ból spojrział na nie, napinając swoje wielkie mięśnie.

Do środka wkroczył senator von Pasmus. Policzki miał zarumienione, a siwe włosy potargane, jakby ktoś wściekle go za nie wytarmosił. Chwiejnie padł na kolana i powiedział:

– Wasza Najwyższa Czcigodność, proszę wybaczyć, że przeszkadzam w kolacji, ale mam pilne wieści.

Cesarz westchnął i wstał, żeby powitać senatora. Wyciągnął ręce, żeby senator mógł przycisnąć jego knykcie do swojej twarzy. Później zamienili parę słów, których nawet ja nie byłam w stanie wyłowić z bzyczenia dronów.

Cesarz raptownie zbladł.

– Znajdź tę dziewczynę. Sprowadź ją tutaj. To niedopuszczalne – warknął i wrócił do stołu.

Tyrus ostentacyjnie oglądał swoje paznokcie. Gdy jednak zetknęliśmy się ramionami, poczułam, że jest napięty i czujny. Devineé i Salivar dalej się ślinili i tępo wpatrywali w talerze.

Cesarz jadowicie się roześmiał.

– Co za radość! Doprawdy, zabawny rozwój wypadków. – Zwrócił się do Cygny. – Luminarianie ogłosili niepodległość. Wydalili ze swojego układu wszystkich cesarskich urzędników.

Policzki Cygny poszarzały.

– Przecież im nie wolno.

– A jednak to zrobili. Żądają – powtarzam: żądają – powrotu córki namiestniczki, Neveni Sagnau.

Neveni. Rzuciłam Tyrusowi naglące spojrzenie. Nadal udawał zupełny brak zainteresowania i w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi.

– No więc odeślę im tę dziewczynę – zapowiedział cesarz. – Och, a jakże... Dostaną jej głowę w pudełku.



## ROZDZIAŁ 28

Ze strachu zapało mi dech w piersiach. Chcieli przyprowadzić tu Neveni, prawdopodobnie na egzekucję. Chcieli ją zabić na naszych oczach, a potem... potem bez wątplenia zamierzali spokojnie wrócić do kolacji.

Wbiłam palce w nabrzmiały biceps Tyrusa. Popatrzył na mnie pytająco i unióśł brwi. Czułam spojrzenie Ryzyka wwiercające mi się w kark, ale pozostali byli zajęci czym innym: Ból drapieżnie strzegł drzwi, cesarz i jego matka odeszli od stołu i z przejęciem szeptali coś do siebie w kącie. Jeśli istniała jakakolwiek szansa na ocalenie Neveni, musiałam pomówić z Tyrusem – teraz, na osobności. Musieliśmy jakimś cudem oddalić się od diabolików. Ich wyostrzony słuch uniemożliwiał nam rozmowę przy stole.

Był jednak pewien sposób.

Przechyliłam się w stronę Tyrusa.

– Ciii – powiedziałam, przesuwając ręką po jego karku i zaskakująco umięśnionych ramionach. Zmarszczył brwi, przyglądając mi się z uwagą. Moje serce zaczęło bić szybciej. Nie byłam pewna, jak mam to zrobić. Musiało to wypaść przekonująco.

Przycisnęłam wargi do jego warg.

Na krótką chwilę zastygł w bezruchu. Prawie wpadłam w rozpacz. Przycisnęłam usta mocniej. „Zrozum mnie. Zrozum natychmiast”.

Delikatnie dotknął mojej twarzy. I chyba nagle zrozumiał. Przejął kontrolę i zaczął poruszać wargami, dodając wiarygodności naszemu pocałunkowi. Po chwili musnął ustami mój policzek i trącił nosem moje ucho.

– Wszystko w porządku? – szepnął.

Wtuliłam twarz w jego włosy. Używał perfum o ostrym zapachu.

– Nie – szepnęłam w odpowiedzi.

Usłyszawszy to, odsunął się i rozciągnął usta w głupawym uśmieszku. Wziął mnie za rękę i wstał.

– *Grandeé* von Impirian i ja musimy... porozmawiać na osobności – zwrócił się do biesiadników, którzy jednak wcale go nie słuchali. Lubieżnie puścił oko do Ryzyka, który nadal stał z kamienną twarzą.

Pociągnął mnie za sobą do osłoniętego kotarami przedsionka, oświetlonego ogniem kominka. Sąsiadujący z nim salon był przygotowany do rozrywek, jakim oddawano się po kolacji – wszędzie stały tace z kolorowymi proszkami i fiolkami z substancjami wziewnymi.

Tyrus dotknął mojego policzka i przysunął się blisko, a potem przemówił ledwie słyszalnym

głosem:

– Wiem, że ta Sagnau to twoja przyjaciółka, ale nie mogę tu odegrać żadnej roli.

– Musi być jakiś sposób, żeby ją uratować. – Złapałam go za tunikę i zacisnęłam pięść. – Jeśli ty nie zdołasz nic dla niej zrobić, nikt nie zdoła.

Tyrus odsunął z mojego oka zbłąkany pukiel włosów i przesunął palcem po moim policzku. No tak, prawdopodobnie śledziły nas kamery ochrony.

– To dla ciebie ważne?

– Tak. Jeśli nie zainterweniujesz, sama coś zrobię, bez względu na koszty!

Przez chwilę chyba się zastanawiał, a potem na jego usta wypełzł uśmiech.

– Sama w sobie jesteś inspiracją, Nemezis. Wracajmy do stołu.

Poprowadził mnie do komnaty audiencyjnej, a ja poszłam za nim, nie mając zielonego pojęcia, co zamierza zrobić, ale licząc, że coś wymyśli, że mu się uda. Nie czułam się pewnie, musząc powierzyć komuś rozwiązanie problemu, któremu sama nie byłam w stanie podołać.

Tyrus prowadził mnie do stołu, ostentacyjnie wypinając pierś, co zdarzało mu się tylko w chwilach udawanego szaleństwa. Na jego twarzy znowu pojawił się obłąkańczy uśmiech.

– Wuju, mam doskonały pomysł!

– Tyrusie – zachnęła się Cygna – nie pora teraz na...

– Jak dla ciebie, babciu, „Wasza Eminencjo”. Jestem przecież pierwszym następcą. – Tyrus nie odrywał wzroku od wuja.

Cygna mocniej ścisnęła kieliszek, a usta cesarza drgnęły. Lubił patrzeć, jak następcą okazuje jego matce brak szacunku – co Tyrus z pewnością wziął pod uwagę.

– Moja nowa ukochana jeszcze nigdy nie była na żadnej planecie – oznajmił – a i mnie marzą się planetarne atrakcje. Dajcie mi tę Sagnau, a rozwiążę problem.

*Grandeé* Cygna parsknęła śmiechem.

– Czyżby? Myślisz, że zapobiegiesz nieuchronnej rebelii?

– Tak. – Tyrus zamasyście zasalutował wujowi. – A przynajmniej trochę się rozerwę, próbując. Jeśli ta Sagnau okaże się nieskora do współpracy, skrócę ją o głowę.

– Och tak, wyślij go tam. – Przenikliwe oczy Cygny zaśniły jak noże. – To będzie naprawdę niezwykle zabawne. Szaleniec dławiący bunt zbędników!

Cesarz z pobłażliwym uśmiechem rozparł się na krześle.

– Tyrusie, Tyrusie... Tak niewiele wiesz o władzy i jej sprawowaniu. Co możesz zdziałać, wybierając się tam? Zbędnicy szanują siłę. Rzucają nam wyzwanie, więc w odpowiedzi możemy ich jedynie zmiażdżyć.

– Wuju. – Tyrus padł na kolana, wciąż uśmiechając się jak szaleniec. – Musisz zrozumieć, że ta

Sagnau jest droga mojej Sydonii, a Sydonia jest droga tej Sagnau. Myślę, że z pomocą *grandeé* Impirian uda się ją przekonać, żeby zdławiła bunt, nie narażając na szwank naszego skarbcza. Jeśli się mylę, sam poniosę konsekwencje.

– No, no! – *Grandeé* Cygna pochyliła się nad stołem. – Osobiście weźmiesz na siebie odpowiedzialność? – Spojrzała na syna. – Wyślij go tam. To ty wybrałeś go na swojego następcę. Daj mu szansę, żeby... – Jej uśmiech sprawił, że skojarzyła mi się z głodnym kotem. Tak jakby perspektywa, że Tyrus zrobi z siebie głupca, wydawała jej się zbyt smakowita, by zależało jej na pozorach. – Żeby pokazał, kim naprawdę jest.

Cesarz zamyślił się, pocierając palcem podbródek.

– Przypuszczam, że oszczędzilibyśmy sobie pewnych wydatków, gdyby Tyrus rzeczywiście zdołał przekonać Luminarian, żeby się z nim spotkali. Może nawet mógłby – do jego oczu zakradł się błysk – przemówić im do rozumu. Drogi Tyrusie, dokładnie ci powiem, co masz im przekazać. Co ty na to, senatorko von Impirian? Myślisz, że uda ci się wykorzystać tę uroczą Sagnaukę, żeby rozwiązać nasze nowe problemy?

Nie rozumiałam jeszcze planu Tyrusa, ale podjęłam decyzję, myśląc o tym, jak bardzo Sydonia chciałaby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

– Tak, Wasza Najwyższa Czcigodność. Jestem pewna, że możemy naprawić tę sytuację.

Nagle w otoczeniu chmary ochronobotów do pomieszczenia weszła zarumieniona Neveni Sagnau. Miała potargane włosy i zmizerniałą twarz. Nie zaznała pociechy, jaką ja znalazłam w planach zniszczenia cesarza. Mogła liczyć tylko na siebie.

Ale być może Tyrus miał jakieś plany także wobec niej.

– Panno Sagnau – powiedział cesarz – wśród twojego ludu zapanował niepokój. Będziesz towarzyszyć mojemu siostrzeńcowi i senatorce von Impirian w drodze na twoją planetę.

W jej oczach zapłonęła nadzieja. W tej chwili zdałam sobie sprawę, jak rozpaczliwie musiała tęsknić za domem.

– Zdusisz bunt swoich ziomków – oznajmił cesarz – albo poniesiesz odpowiedzialność za ich śmierć.

Radość malująca się na jej twarzy natychmiast zniknęła. I wtedy poczułam ciężar zadania, którego podjęliśmy się z Tyrusem. Oto w naszych rękach spoczywał los niezliczonych istnień.

## ROZDZIAŁ 29

Był to pierwszy dzień naszej dwutygodniowej podróży na Luminę. Tyrus stał w mojej komnacie, wpatrując się w rozgwieżdżoną pustkę za oknami. Znajdowaliśmy się na Aleksandrii, która odłączyła się od Chryzantemum, pozostawiając wielką wyrwę w boku Valor Novus. Morderca siedział zamknięty w sąsiednim pomieszczeniu i za drzwiami raz po raz rozlegało się jego szczekanie.

– O czym myślisz? – spytałam Tyrusa.

Marszcząc czoło, nieustannie analizował swoje plany wobec Luminy. Niemal widziałam trybiki obracające się w jego głowie. Kiedy statek znalazł się w hiperprzestrzeni i zniknęły gwiazdy za oknem, mój towarzysz odzyskał równowagę. Odwrócił się do mnie.

– Jestem słynnym bluźniercą. Na Luminie może mi to pomóc. Jak może słyszałaś, większość zbędników to wyznawcy starszych religii. Odprawiają helionickie rytuały, tylko gdy wymaga tego od nich grandecja. Jeśli jednak otwarcie zacznę sympatyzować z ich... bluźnierstwami... spotkają mnie kłopoty innego rodzaju.

– Straciłbyś szansę na przyszłe wsparcie ze strony grandecji.

– Właśnie. – Spojrzał na mnie. Podpierałam się na dłoniach, a nogi wyprostowałam przed sobą, tak że tkwiły nieruchomo równolegle do podłogi. Tyrus sprawiał wrażenie, jakby nagle coś do niego dotarło. – Zaraz, czy ty przez cały czas unosisz się na rękach?

Byliśmy w mojej prywatnej komnacie, więc uznałam, że Tyrus po prostu będzie musiał się oswoić z moimi ćwiczeniami. Usiadłam na ziemi i znowu uniosłam nogi równolegle do podłogi, balansując na knykciach. Zamiast mu odpowiedzieć, podwinęłam kolana pod siebie, wyprostowałam je z tyłu i stanęłam na rękach.

– Jesteś taka silna – mruknął Tyrus. Powoli mnie okrążył. – I nie wymaga to od ciebie żadnego wysiłku?

– Minimalnego. – To było po prostu przyjemne. – Właściwie to odkąd zajęłam miejsce Sydonii, unikałam ćwiczeń fizycznych. Mięśnie szybko mi przyrastają.

– Ja na utrzymanie formy przeznaczam dwie godziny dziennie.

A więc stąd się wzięły jego muskularne ramiona.

– Tyle poświęcenia w imię próżności.

– Gdyby chodziło o wygląd, zdałbym się na kosmetoboty. Ćwiczę, bo nie chcę czuć się słaby.

Zdziwiona spojrzałam na niego z ukosa. Bardzo dobrze rozumiałam ten lęk. Nie przypuszczałam jednak, że może nękać także następcę tronu.

– Podczas tej podróży czeka nas wiele leniwych godzin – powiedział Tyrus. – Bardzo bym chciał,

żebyśmy od czasu do czasu stoczyli walkę sparingową.

– Przegrałbyś.

– Możesz dać mi fory. Na przykład przywiążemy ci jedną rękę do tułowia.

– Przywiąż obie. I tak przegrasz, Wasza Eminencjo. Nie chcę zrobić ci krzywdy, a wierz mi, zrobiłabym.

– Zaryzykuję.

– Powinieneś wiedzieć, że nie jestem reprezentatywnym okazem swojego gatunku. Usunięto mi sporą część masy mięśniowej.

Powoli się uśmiechnął.

– W takim razie już mam fory.

– Zbyt małe – odparłam, po czym dodałam z wahaniem: – Nadal jestem diaboliką. – Medboty spiłowały mi kości, upodabniając mnie do zwykłej dziewczyny, ale tak naprawdę nigdy nie mogłam stać się człowiekiem. Dziwiło mnie, że najwyraźniej o tym zapomniał.

Jeszcze dziwniejsze było to, że zrobił mi tym przyjemność.

– Więc nie chcesz ze mną walczyć? – spytał.

Czując zaniepokojenie, wybiłam się w górę, zrobiłam obrót i wylądowałam na nogach. Wytrzeszczył oczy.

– O, dobra robota – powiedział, jakby to było coś wielkiego.

– Niech ci będzie – odparłam. Nie miałam pojęcia, dlaczego nagle poczułam złość. – Skoro chcesz, żebym cię pokonała, nie będę się opierać. – Dostanie cenną lekcję na temat mojej natury. – Mam cię złać od razu?

Tyrus się roześmiał.

– Dopiero po ceremonii. Lepiej, żeby nie wyglądało to tak, jakby Sydonia Impirian siłą zmusiła mnie do oddawania czci Żywemu Kosmosowi.

Jego słowa podsunęły mi pewną myśl.

– Wasza Eminencjo – powiedziałam, uświadamiając sobie pewną rzecz – Donia jest... – Zreflektowałam się i poczułam ból przeszywający mi pierś. Zdusiłam emocje i mówiłam dalej: – Sydonia była bardzo wierząca. Owszem, podzielała zainteresowanie ojca nauką, ale jednocześnie bardzo regularnie uczestniczyła w ceremoniach w heliosferze.

Uniósł brwi.

– Tak, słyszałem.

– Może więc to wykorzystamy? Mówiłeś, że mamy sprawić, by ludzie uznali, że wywieram na ciebie pozytywny wpływ, więc dlaczego nie w ten sposób? Swoim brakiem wiary możesz przypodobać się Luminarianom, ale przychylność grandecji zdobędziesz, uczestnicząc w nabożeństwach za moją

namową. Grandesi pogodzą się z tym, że jesteś bluźniercą, jeśli w razie konieczności okażesz gotowość zostania żarliwym helionikiem.

– Bardzo sprytnie – przyznał Tyrus, szeroko się uśmiechając. – Będzie to wyglądało tak, jakbyś przekonała mnie do udziału w ceremoniach mimo mojego braku zainteresowania. Pracownicy Domitrianów zatrudnieni na tym statku rozpuszczą pogłoski, które dotrą do Chryzantemum... Kolejny przykład pozytywnego wpływu Sydonii von Impirian na szaleńca.

Właśnie tak zrobiliśmy.

Ponieważ załoga statku była nieliczna, ceremonie w heliosferze wyglądały dziwnie. Osoba o najwyższym statusie zawsze stała pośrodku, najbliżej kapłana, te niżej postawione zajmowały dalsze miejsca. W tej sytuacji Tyrus musiał stać w wewnętrznym kręgu sam, ja tkwiłam sama w sąsiednim, a dalej była Neveni. Zewnętrzne kręgi zajmowali nieliczni służący, pracownicy, a po nich serwitorzy.

W czasie nabożeństwa Tyrus kilka razy poruszył się niespokojnie i wykonał ruch, jakby zamierzał wyjść. Za każdym razem wcielałam się w swoją rolę i łamiąc protokół, podchodziłam, żeby położyć rękę na jego ramieniu, jakbym chciała wyraźnie dać mu do zrozumienia, żeby został.

Na każde upomnienie reagował uśmiechem, pokazując wszystkim, jak bardzo jest pobłażliwy wobec swojej nowej ukochanej. Czułam na sobie uważne spojrzenia pracowników, zapewne po cichu układających już raporty dla tych, od których brali łapówki w Chryzantemum. Z pewnością wielu było gotowych zapłacić za strzępki informacji zebranych podczas podróży z następcą tronu.

Neveni wpatrywała się w czarną pustkę szklistymi oczami, milcząca i nieruchoma.

Po ceremonii wyszłam za nią na korytarz.

– Zjemy coś razem? – zawołałam.

Nie rozmawiałyśmy ze sobą, odkąd ujawniłam swój związek z Tyrusem, i przejmowałam się tym bardziej, niż byłabym skłonna przyznać.

Neveni lekko się odwróciła, ale nie spojrzała mi w oczy.

– Nie jestem głodna.

Niezrażona, próbowałam podtrzymać rozmowę.

– Cieszysz się, że w końcu wrócisz do domu?

– To ty się za mną wstawiłaś?

– Powiedziałam Tyrusowi, że mogłabyś pomóc opanować zamieszki.

Neveni gorzko się roześmiała.

– A więc to jest moje zadanie. Jak miałabym tego dokonać? Moi krajanie wiedzą, że cesarstwo blokuje drogę do postępu. Ściąga z Luminy więcej podatków, niż daje jej korzyści. Właściwie to co takiego dla nas robi? Zapewnia ochronę? Przed czym? Naszym największym zagrożeniem jest ono samo, cała ta zepsuta grandecja i jej przestarzałe statki, które co rusz powodują powstanie złośliwej przestrzeni!

Rozejrzałam się, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje.

– I jakby tego było mało, cesarz zamordował moją matkę, kobietę, którą Luminarianie wybrali na swoją przywódczynię. – Neveni zadrżał głos. – Nic dziwnego, że wybuchły zamieszki. Wielu ludzi pozbawiono praw obywatelskich, odarto z poczucia, że mają jakikolwiek wybór. Mam im powiedzieć, że żadna z tych krzywd nie ma znaczenia?

– Nie wiem, co powinnaś im powiedzieć – odparłam powoli. – Ale wiem, że jesteś jedyną szansą na załagodzenie sytuacji. Neveni, cesarz nie zna litości. Prędzej zniszczy tę planetę, niż pozwoli jej odłączyć się od imperium.

– Będzie próbował ją zniszczyć. – W jej oczach pojawił się dziwny błysk. – Nawet jeśli pomogę cesarzowi, nic nie stanie na przeszkodzie, żeby potem ponownie wezwał mnie do Chryzantemum i zabił. Nic mu nie przeszkodzi w zniszczeniu mojej planety trochę później, kiedy już stracimy czujność. Teraz mamy mocną pozycję. Jeśli się odłączymy, inne planety pójdą za naszym przykładem. Będą walczyły razem z nami. Nie mam specjalnej motywacji, żeby pomagać twojemu ukochanemu Tyrusowi. Zresztą powiem ci coś bardzo osobistego. – Pochyliła się w moją stronę z buntowniczą miną. – Nie wierzę w helionicyzm. Uważam, że to bzdury.

Zdumiona rzuciłam spojrzenie w stronę heliosfery, chcąc się upewnić, że nie usłyszy nas żaden z pracowników Domitrianów.

– Nie wierzę w to, że kosmos jest jakąś boską, żywą jednostką, która celowo nas stworzyła – warknęła Neveni. – Myślę, że przestrzeń kosmiczna jest pustką, kosmos to tylko obiekt, i jego, i nas stworzył Bóg. W takiej wierze wychowała mnie mama. – Skrzywiła się, jakby miała się rozplakać. – Rzadko jej słuchałam i gdybym mogła cofnąć czas...

Głos uwiązał jej w gardle, ale po chwili, drżąc na całym ciele, zaczerpnęła tchu, żeby się uspokoić.

– Sydonio, bez względu na to, co robiłyśmy w Chryzantemum, na jakie chodziłyśmy uroczystości, jak ładne nosiłyśmy stroje i ile mi dałaś pieniędzy, nie jestem *grandeé*. Nie jestem taka jak ty. Nie urodziłam się i nie wychowałam w przestrzeni kosmicznej, nie korzystałam z przywilejów danych przez imperium. Jestem jedną z nich. Należę do zbędników. – Ostatnie słowo niemal z siebie wypluła.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że to określenie – słowo, które słyszałam niezliczoną ilość razy i powtarzałam bez zastanowienia – miało obraźliwy wydźwięk. Zbędnicy. Sugerowało, że ogromna większość istot ludzkich jest bezużyteczna i nieważna.

– Wiem, że nigdy w to nie uwierzysz – powiedziałam do niej cicho – ale nie obchodzi mnie, że jesteś heretyczką. Takie sprawy w ogóle mnie nie obchodzą.

Najwyraźniej jednak nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– Dwa tygodnie temu – podjęła z gorzkim uśmiechem – bardzo bym się ucieszyła, słysząc coś takiego. Poczulałabym się tak, jakby przyjęto mnie w szeregach grandecji. Jakbym była jedną z was. Kiedyś chciałam być jedną z was. Byłam taka zła na mamę, że... – Zamilkła i zadrżały jej usta. –

Kiedyś się zastanawiałam, dlaczego sprzeciwia się senatorowi von Pasmusowi. Ale teraz już wiem. Sydonio, teraz wiem, kim naprawdę była: bohaterką. Zamierzam być taką córką, jaką powinnam była być, kiedy żyła.

Po tych słowach odeszła.

Gdy patrzyłam, jak się oddala, poczułam w piersi obezwładniający ciężar. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mogłaby nam odmówić pomocy. Nie byłam już jednak pewna, czy można na niej polegać. Była zbyt rozgniewana i zbyt przytłoczona smutkiem, bym mogła ją uznać za przewidywalnego uczestnika tej skomplikowanej gry.



## ROZDZIAŁ 30

Zbliżając się do Luminy, zwolniliśmy i ostrożnie przelecieliśmy obok złośliwej przestrzeni powstałej kilka lat wcześniej po eksplozji statku kosmicznego. Tyrus podszedł do największego okna Aleksandrii, żeby zobaczyć ją na własne oczy.

Dołączyłam do niego, zaciekawiona zjawiskiem, które zazwyczaj budziło w ludziach przerażenie.

Widok mnie zaskoczył. Ujrzałam wstęgę światła na tle rozległego gwiazdnego krajobrazu. Choć bardzo próbowałam sobie wmówić, że patrzę na coś niebezpiecznego, złośliwa przestrzeń wyglądała po prostu jak wielki rozbłysk słoneczny. Powiedziałam to Tyrusowi.

– O, jej wygląd może być zwodniczy. – Wskazał palcem. – Widzisz to światło? Nie wydobywa się ze złośliwej przestrzeni. To gazy wodorowe z gwiazd, które rozerwała. Szczeliny przyciągają światło, można by powiedzieć, że je pożerają. Nemezis, patrzymy na śmierć układów słonecznych. Właśnie to tak przeraża Luminarian. Mieszkają tylko trzy lata świetlne stąd. Od tysięcy lat używamy tych samych silników i zapomnieliśmy już, jak działają. Tak wygląda efekt końcowy naszej ignorancji: problem, którego nie potrafimy rozwiązać.

Jeszcze raz spojrzałam na martwe gwiazdy tworzące wirtualną szczelinę w przestrzeni, na czyste światło o jaskrawofioletowych krawędziach. Tym razem wyczuwałam w nim coś strasznego. Wiedziałam, że patrzę na nicość.

– I pomyśleć, że tyle czasu i uwagi poświęciliśmy na doskonalenie chemicznych przyjemności i oddawanie czci gwiazdom – powiedział Tyrus. – Coś takiego zdarza się coraz częściej, a my zwyczajnie odwracamy głowę. Wielu grandesów jest gotowych ignorować fakty tak długo, aż nie będzie już dokąd uciekać, aż nie zostanie nic poza złośliwą przestrzenią. – W jego słowa wkradła się nuta goryczy: – W pewnym sensie na to zasłużyliśmy... Ale inni, którzy będą cierpieć z powodu naszych działań, nie. Jeśli istnieje szansa, żeby to zatrzymać, muszę to zrobić. – Odwrócił się od okna. Na jego czole pulsowała żyła. – Dość się napatrzyłem. Dłużej nie mogę. Chciałabyś znowu powalczyć?

Jego wytrzymałość mnie zdumiewała.

– Doszedłeś do siebie po ostatnim razie?

– Miło będzie zająć się czymś innym.

Gdy walczyliśmy pierwszy raz, trzymałam ręce splecione za plecami. Szybko stało się jasne, że dla Tyrusa byłoby lepiej, gdybym zamiast tego unieruchomiła sobie nogi.

Jak na człowieka poruszał się zwinnie. Byłam pod wrażeniem jego silnych ciosów i gdyby nie

moja wrodzona szybkość, z pewnością straciłabym równowagę.

Potem kopnęłam go w klatkę piersiową i usłyszałam trzask kości.

Tyrus przeleciał przez komnatę i z paskudnym hukiem uderzył w ścianę. Leżał tam kilka sekund, chrapliwie łapiąc powietrze i trzymając się za żebra, póki medboty nie zareagowały na zmianę jego parametrów życiowych i nie zaroily się nad jego ciałem.

Jeśli o mnie chodzi, znieruchomiałam pod wpływem szoku. Widok medbotów wyrwał mnie z transu.

– Wasza Eminencjo? – podbiegłam do niego i próbowałam dostrzec go zza uwijających się robocików.

Wiedziałam, że tak będzie, wiedziałam! Dlaczego zgodziłam się na tak kretyński pomysł?

Gdy medboty napełniły powietrzem płuco Tyrusa i poskładały mu żebra, przechylił się na bok, by wypłuć krew, a potem usiadł, patrząc na mnie i wycierając usta przedramieniem.

– Jesteś niesamowita.

– Co? – szepnęłam oszołomiona. Czekałam cała w strachu, a w jego głosie było słycać wyłącznie podziw.

Wypluł więcej krwi.

– Wiem, skąd się wzięła ta brutalna siła i prędkość, ale gdzie się nauczyłaś takiej techniki?

Zamrugałam. Zwykle nie lubiłam pytań o moje dorastanie w zagrodzie, ale ponieważ przed chwilą o mało go nie zabiłam, poczułam, że jestem mu winna wyjaśnienie.

– Elementem szkolenia, jakiemu mnie poddawano, były wizualne materiały pomocnicze.

– Co to znaczy? – Podźwignął się i skrzywił. Medboty nadal pełzały po nim jak olbrzymie owady. Opatrywały rany, które odniósł, kiedy przelatywał przez komnatę.

– W kojcach wyświetlali nam hologramy. – Mówiłam z wahaniem, bo trudno było ubrać w słowa wspomnienia, które najchętniej na zawsze bym wymazała. – To były obrazy ludzi wykonujących różne chwytty. Oglądałam je. Nie było nic innego do roboty. Zauważyłam, że jeśli je naśladowę, dają mi nagrodę.

– Nagrodę... jaką? – Tyrus przykucnął, pozwalając medbotom opatrywać kolejne partie ciała, i przyglądał mi się z zainteresowaniem. Prawowity następca cesarskiego tronu, którego przed chwilą o mało nie zabiłam, czekał, żebym mu o sobie opowiedziała.

– Lepsze jedzenie – odparłam zdumiona. Dlaczego obchodziła go moja przeszłość? – Mniejszy hałas.

– Hałas?

Potaknęłam.

– Nieprzyjemne brzęczenie. Cichło na jakiś czas, jeśli zrobiłam coś, co zadowoliło zarządcę.

– To potworne.

Tak. To było potworne.

– Ale skuteczne – powiedziałam cicho.

Zmarszczył brwi.

– Z tego co wiem, diaboliki mają wyjątkową zdolność naśladowania ruchów, które widzą, ale nie miałem pojęcia, że trening odbywa się pod przymusem.

– Był skuteczny – powtórzyłam i wyciągnęłam rękę. Tyrus chwycił ją i się podniósł.

– Jeszcze raz? – spytał.

Gapiłam się na niego z niedowierzaniem.

– Teraz? Po tym, jak o mało...

– Czuję się już o wiele lepiej – zapewnił. – Teraz wiem, do czego jesteś zdolna, i będę przygotowany. Spróbujemy jeszcze raz.

Czyżby niczego się nie nauczył? Może naprawdę miał nierówno pod sufitem. Na szczęście ja nie byłam szalona.

– Nie.

– Nemezis, nalegam.

Znałam już to uparte spojrzenie.

– Nie, chyba że włożysz zbroję.

O dziwo się zgodził, choć wcześniej uparcie odmawiał.

– I nie będę cię kopała – dodałam.

– Na to się nie zgadzam. Muszę się nauczyć przyjmować ciosy. – Wytarł krew, która zakrzepła mu na czole. – Dużo się nauczyłem o sztuce walki. Nigdy nie miałem partnera sparingowego, który byłby gotów zaryzykować, że zrobi mi krzywdę. Z radością przyjmę najgorsze, co masz w zanadru.

Wariat.

– Lepiej nie, Wasza Eminencjo, bo skończysz martwy.

Nie potrafiłam jednak długo opierać się sile perswazji Tyrusa. W końcu zgodziłam się na następną rundę. Tym razem, mimo zachęt, nie kopałam i przyjął kilka ciosów, żeby móc ocenić jego siłę. Była znaczna. Jeden cios pozbawił mnie nawet tchu, ale potem instynktownie się zamachnęłam i złamałam mu rękę.

Tyrus siedział z kamienną twarzą, starając się ukryć ból. Znów zaroily się nad nim medboty. Leczyły mu złamane ramię, przemieszczony bark, pęknięte żebro, pogruchotany nos, spuchnięte usta. Patrzyłam na to wszystko i ze złością zaciskałam zęby.

– I co, zadowolony? – spytałam.

Zaśmiał się słabo.

– Zrobiłem ci jakąkolwiek krzywdę?

– Rozbolały mnie knykcie od okładania cię pięściami.

Uśmiechnął się, niemożliwie tym wszystkim uradowany. W końcu medboty się wycofały, a on poruszył na próbę świeżo wyleczonym ramieniem.

– No to... – zaczął, krzywiąc się – jeszcze jedna rundka?

– Nie! – zaprotestowałam. – Jestem... zmęczona.

W jego bystrych oczach pojawił się błysk.

– Oczywiście, że jesteś. Bo z pewnością nie chcesz oszczędzić mojego ego, widząc, że doszedłem do kresu sił. To wcale nie jest konieczne, Nemezis, ale dziękuję ci za ten gest.

Uklękałam, żeby przyjrzeć się temu dziwnemu młodemu człowiekowi. Jak to możliwe, że tylko ja widziałam go takim, jaki był naprawdę? Był bystry, przenikliwy, niesamowicie odporny, gotów przyjmować cios za ciosem w nadziei, że go to wzmocni, mimo że nikt nigdy nie miał się przekonać o jego waleczności.

Ciekawość była dziwnym uczuciem. Nieczęsto jej doświadczałam. Łaskotała mnie od wewnątrz tak intensywnie, że w końcu musiałam spytać:

– Dlaczego ćwiczysz się w walce ze mną, Wasza Eminencjo? Na pewno masz więcej powodów do zmartwienia, poczynając od trucizn i noży wbijanych w plecy. Siła mięśni cię przed nimi nie ochronią.

Tyrus oparł głowę o ścianę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Białe światło padało na jego piegowatą twarz, sprawiając, że wydawał się młodszy, niż był w rzeczywistości. Zupełnie nie wyglądał na swoje dziewiętnaście lat.

– Ataki mogą przyjąć różne formy, ale jeśli mam zginąć, chcę najpierw dać z siebie wszystko, bronić się wszelkimi dostępnymi środkami. – Zaciśnął usta i spojrzał w górę. – Moja matka zginęła, kiedy miałem osiem lat. Na pewno znasz tę historię.

– Nie – powiedziałam. To Sydonia studiowała historię, nie ja.

Spojrzał na mnie. Na widok jego posępnej miny pożałowałam swojej ignorancji – wolałabym mu oszczędzić opowiadania o tym zdarzeniu.

– Nie zabił jej żaden podstęp ani trucizna – powiedział. – Moja matka była bardzo rozważna, bardzo ostrożna i skrupulatna. Składaliśmy wizytę namiestnikowi, którego przekupiła babka. Do naszej willi wpadła zgraja najemników. Nie byłem w stanie nic zrobić – zakończył z goryczą w głosie.

– Oczywiście, że nie byłeś w stanie! Miałeś osiem lat.

– Jasne – powiedział beznamiętnie. Po chwili wzruszył ramionami. – W każdym razie ją zaszlachtowali. A ja się schowałem. – Spojrzał na swoją zaciśniętą pięść. – Od tamtej pory cały czas się chowam, tyle że w zupełnie inny sposób. – Przez chwilę milczał. – Pewnie myślisz, że jestem tchórzem.

– Wcale nie – odparłam. Ale nawet na mnie nie spojrzał.

Wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć, jednak się powstrzymałam, zdumiona tym nieoczekiwanym odruchem.

– To oczywiste – powiedziałam powoli – że zrobiłeś dokładnie to, co trzeba było zrobić, żeby pozostać przy życiu. Po prostu nie rozumiem, dlaczego twoja rodzina jest taka...

– Bezwzględna?

– Dlaczego działa tak nielogicznie. Twoja babka urodziła mnóstwo dzieci, a później zwróciła się przeciwko wszystkim oprócz jednego następcy tronu. Matriarchini Impirian zawsze powtarzała, że nowocześni arystokraci ograniczają liczbę potomstwa, żeby uniknąć takiego problemu.

Tyrus westchnął.

– To przez dziadka. Żył krótko – umierając, miał zaledwie dziewięćdziesiąt trzy lata – ale uparł się, żeby spłodzić jak najwięcej dzieci. To pewnie jakaś pokrętna forma męskiej dumy. Babcia zgodziła się tylko na jednego potomka. Jest nim właśnie Randewald. Dlatego dziadek pozbawił ją jajników i tworzył nowe dzieci bez jej zgody. Upierał się jednak przy naturalnych porodach i wykorzystaniu ludzkich macic zamiast inkubatorów. I całe szczęście – w przeciwnym razie mógłbym teraz mieć do czynienia z setką Domitrianów. Gdy z wiekiem dziadek zaczął słabnąć, babka postanowiła usunąć całe potomstwo mogące rywalizować z Randewaldem o tron.

– Ale cesarz jej nie ufa. Zauważyłam to. Ona dała mu władzę, a on się jej boi.

Tyrus zdobył się na uśmiech. Ostatni medbot kończył właśnie opatrywać rozległą ranę na jego klatce piersiowej.

– Gdy widzisz, jak skorpion wykańcza na twoich oczach dziesiątki ludzi, trudno go uznać za sojusznika. Siłą rzeczy myślisz, że pewnego dnia zaatakuje także ciebie. Między innymi właśnie dlatego Randewald się nie ożenił i nie spłodził dzieci. Boi się, że mogłyby zdobyć większą przychylność babki niż on, a w takim wypadku podzieliłby los większości członków swojej rodziny.

– I dlatego cesarz ci sprzyja.

Tyrus pokiwał głową.

– Babka mną gardzi. Przetrwiałem zorganizowaną przez nią czystkę i utrzymałem się przy życiu dość długo, żeby zdobyć zaufanie wuja, a dzięki szaleństwu nadal cieszę się jego względami i jestem pod ochroną. Babka nie ośmiela się we mnie uderzyć, jeszcze nie teraz. Zrobi to, dopiero gdy popełnię jakiś błąd i okażę się zagrożeniem dla jej syna. Wtedy być może cesarz pozwoli jej mnie wyeliminować. Ale na razie jest ze mnie zadowolony, bo pełnię funkcję bufora między nim a jego matką.

Przyglądałam mu się ze zdumieniem. Najwyraźniej powinnam się cieszyć, że nie zostałam obciążona rodziną. Więzy krwi łączyły mnie tylko z innymi diabolikami.

– Teraz już wiesz, Nemezis, dlaczego chcę z tobą walczyć – podjął Tyrus. – Jeśli w walce jesteś potwornym zagrożeniem, to z radością przyjmę każde rzucone przez ciebie wyzwanie. Ostatecznie

nauka u tak niebezpiecznej istoty może mnie tylko wzmocnić.

Jego słowa rozpały dziwny żar w mojej piersi. Nikt oprócz Donii nie doceniał mnie za to, co mogę pokazać i czego mogę nauczyć, wszystkich interesowało tylko, jak mogę im służyć.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecałam mu.

Przez resztę podróży w hiperprzestrzeni moje dni wyglądały tak samo. Ceremonie w heliosferze, od czasu do czasu wspólny posiłek z Neveni, jeśli była w nastroju mi towarzyszyć – co zdarzało się rzadko. Trening z Mordercą, z którym biegałam po Aleksandrii, żeby mógł spożytkować nadmiar energii. A potem spotkanie z Tyrusem i walka przez cały wieczór.

Zawsze dawałam mu jakąś przewagę. Czasami używałam pasów, żeby ograniczyć swój zakres ruchów. Nalegałam też, żeby wkładał zbroję. Czasami dawałam mu broń, a sama walczyłam gołymi rękami. Potrzebował coraz mniej ułatwień.

Nie chodziło o to, że zaczął dorównywać mi siłą. Bynajmniej. Lepiej przewidywał jednak moje ruchy, z większą łatwością odgadywał moje zamiary. Pewnego dnia, gdy włożyliśmy na próbę egzozkielety, żeby nabrać siły dalece wykraczającej poza możliwości zwykłych ludzi – tak dalece, że różnica między mną a Tyrusem straciła znaczenie – zostałam pokonana.

Przygwoździł mnie do ziemi. Jedną ręką przytrzymał moją rękę, a nogami unieruchomił moje nogi i zawisł nade mną, zbyt wysoko, żebym mogła uderzyć go głową.

Po starannej ocenie sytuacji nie miałam wątpliwości, że muszę uznać jego zwycięstwo.

– Poddaję się.

– Poddajesz się? Naprawdę? – Przyglądał mi się w skupieniu, oddychając chrapliwie.

– Pokonałeś mnie, Wasza Eminencjo.

– No, no... a to ci dopiero. – Puścił mnie i wstał. Tym razem to on wyciągnął rękę, żeby pomóc mi się podnieść. – Nemezis, na osobności mów mi Tyrus.

– Tyrus – powtórzyłam. Dziwnie zabrzmiało to w moich ustach.

– Właśnie. – Wciąż się uśmiechał, a jego twarz rozświetlało zadowolenie. – Oczywiście gdyby nie egzozkielet, nigdy bym z tobą nie wygrał.

– Oczywiście że nie.

– Nemezis – powiedział z powagą – dziękuję ci.

Teraz to ja się uśmiechnęłam. W czasie naszej podróży poświęcał tyle samo czasu na ćwiczenia w samotności, co na walkę ze mną. Nie byłam pewna, czy nauczyłam go aż tyle, ile mu się wydawało, mimo to szacunek, jakim mnie darzył, sprawiał mi przyjemność. Dziwnie było czuć się kimś docenionym, ważnym. Świadomość, że jestem potrzebna, dawała mi satysfakcję.

Z powagą pochyliłam głowę i powiedziałam uroczyście:

– Bardzo proszę... Tyrusie.

Tego wieczoru, gdy wróciłam do swojej komnaty i obejrzałam siniaki na skórze, uświadomiłam sobie, że od kilku godzin nie myślałam o Donii. Od kilku dni nie czułam potrzeby, żeby krzyczeć i rzucać się na podłogę.

I to nie tylko dlatego, że mogłam się pocieszać wizją zemsty.

Nie, chodziło o coś więcej. Zamknęłam oczy. Pod powiekami płonął mi obraz jaskrawego błysku światła. Złośliwa przestrzeń. Zobaczyłam prawdziwe niebezpieczeństwo – to, które chciał zażegnać Tyrus. Wiedziałam, że jeśli ludzkość będzie kontynuowała obecny kurs, czeka ją nicość, gotowa wszystko pochłonąć, wszystko zniszczyć.

Mogłam odegrać rolę w jej powstrzymaniu.

Mogłam to zrobić. Ja. Diabolika. Zostałam stworzona, żeby żyć i umrzeć tylko dla jednej osoby, ale teraz miałam szansę wpłynąć na losy bilionów.

Podciągnęłam nogi pod brodę i wtuliłam twarz w kolana, a potem wyszeptałam słowa, których nikt nigdy nie miał usłyszeć:

– Dziękuję ci, Tyrusie.

Nadal kochałam Sydonię, ale nie od początku żyłam dla niej z własnej woli. Odtąd jednak sama dokonywałam wyborów. I chciałam pomóc Tyrusowi w objęciu tronu oraz w pokonaniu bardzo realnego zagrożenia. To był nowy sens mojego życia, mój nowy cel. Znowu miałam po co żyć.

## ROZDZIAŁ 31

Wstrząs, jaki nastąpił, kiedy statek wypadał z hiperprzestrzeni, obudził mnie ze snu pełnego dręczących obrazów matriarchini besztającej mnie za to, że zapomniałam o Sydonii. Turbulencje sprawiły, że Morderca zaczął donośnie szczeekać. Wstałam z łóżka, żeby go uspokoić, a potem spojrzałam przez okno i poczułam, że mój żołądek robi fikołka.

Lumina była ogromna, większa niż wszystkie ciała niebieskie, jakie dotąd widziałam w przestrzeni kosmicznej. Były tam kontynenty, fioletowe oceany oraz kłęby białych i szarych chmur. Statek trząsał się, gdy zbliżaliśmy się do powierzchni planety. Po jakimś czasie zanurzyliśmy się w jaskrawofioletowej atmosferze.

Nie zdawałam sobie sprawy, że kurczowo ściskam w dłoni kępkę sierści Mordercy, dopóki nie skubnął mnie w rękę. Puściłam go, czując w piersi gorączkowe łomotanie serca, a potem zmusiłam się, żeby jeszcze raz spojrzeć przez okno, za którym robiło się coraz bardziej fioletowo

Moim oczom ukazały się wielkie, ośnieżone szczyty gór w oddali. Nastąpił spadek ciężenia – statek wyłączył własne pole grawitacyjne, zdając się na przyciąganie planety. Doznałam niepokojącego uczucia lekkości. Wkrótce wokół ukazały się budynki. Wylądowaliśmy.

Gdy zgasły silniki, zapanowała martwa cisza.

Znajdowaliśmy się na powierzchni Luminy.

Nigdy wcześniej nie byłam na planecie. Usiadłam obok Mordercy i zaczęłam przeczesywać palcami jego sierść. Czułam mdłości. Potrafiłam myśleć jedynie o bezkresnej przestrzeni kosmicznej wypełnionej martwymi asteroidami i pozbawionej jakichkolwiek murów i pól siłowych, które mogłyby nas chronić przed zagrożeniem. Były tam jedynie cieniutka warstwa atmosfery i pole magnetyczne.

Jak ludzie mogli tu żyć, dysponując tak marnymi systemami obrony? Każdy dzień na planecie oznaczał narażanie się na promieniowanie, na niszczycielskie światło gwiazd, na działanie śmiertelnych mikroorganizmów. Jedna asteroida odpowiedniej wielkości mogła zabić wszystkich mieszkańców... a mimo to zbędnicy znosili swój los z wyraźnym zadowoleniem. Wręcz się nim rozkoszowali.

Drzwi do mojej komnaty rozsunęły się i do środka wszedł Tyrus.

– Rozmawiałem z przedstawicielami rebeliantów. Zgodzili się wziąć udział w negocjacjach. Mamy się zatrzymać w stolicy.

– Nie zostaniemy tutaj? – spytałam ostro, zrywając się na nogi.

– Nie, zamieszkamy w kompleksie dla dostojników. To gest zaufania, Nemezis. Ale zostawimy tu



serwitorów. Wiesz, co zbędniczy o nich myślą.

Zamurowało mnie, ale Tyrus zdawał się tego nie zauważać. Lekkim krokiem ruszył przez korytarz, więc zmusiłam się, żeby założyć Mordercy smycz, i poszłam za nim.

Opuściliśmy statek. Wbiłam wzrok w swój cień, wciąż oszołomiona ogromną, nieskończoną, otwartą przestrzenią, która rozciągała się nad naszymi głowami. Atmosfera na Luminie była lżejsza niż ta, do której przywykłam, więc musiałam ostrożnie stąpać, żeby nie zacząć skakać. Zaczepnęłam powietrza i aż zaparło mi dech w piersiach. Było przesycone dziwnymi zapachami, a przy tym tak gorące i parne, jakbyśmy znaleźli się w wielkich otwartych ustach. Poczułam na skórze mrowienie wywołane nieprzyjemnym wrażeniem brudu, myślą, że jestem wystawiona na działanie niezliczonych bakterii.

Tymczasem Neveni, która właśnie wybiegła ze statku, prawie tańczyła z radości. Czekali na nas jacyś dostojnicy i od razu padła komuś w ramiona.

– Tato!

Objął ją serdecznie, a ja stanęłam tuż za Tyrusem. Miałam wrażenie, że świat wokół nas zamigotał i na chwilę pograżył się w ciemności. Gdy podniosłam głowę, zobaczyłam, że słońce zasnuła gruba szarawa masa pary wodnej.

– Lepiej wejdźmy do środka, zanim się rozpada – odezwał się jeden z dostojników, rzucając Tyrusowi chłodne spojrzenie.

Wyostrzyłam zmysły. Wodziłam wzrokiem od jednej twarzy do drugiej – malowały się na nich niechęć, nieufność, wręcz nienawiść. Pomyślałam, że Tyrus ma przed sobą trudne zadanie, jeśli chce skłonić tych ludzi do uwierzenia w jego dobre intencje.

Ojciec Neveni, teraz znów z córką u boku, rzucił Tyrusowi – potomkowi rodziny, która zamordowała mu żonę – najbardziej nienawistne spojrzenie ze wszystkich.

Tyrus był zbyt bystry, żeby mu to umknęło, lecz uśmiechnął się, udając tępe zadowolenie – jak zwykle grał.

– Racja. Dla senatorki von Impirian życie planetarne to nowość – powiedział. – Myślę, że brzydka pogoda pierwszego dnia mogłaby się okazać ponad jej siły.

Krew gwałtownie napłynęła mi do twarzy, gdy zdałam sobie sprawę, jak dobrze widać, że nie czuję się tu komfortowo, ale gdy Tyrus wyciągnął do mnie rękę, wcale na mnie nie patrząc, uświadomiłam sobie, że być może był to tylko pretekst, żeby zakończyć to krępujące powitanie.

Wzięłam go za rękę i pozwoliłam się poprowadzić.

– Skarbie, poślę cię do domu – powiedział do Neveni jej ojciec.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli osoba pełniąca obowiązki namiestniczki Sagnau zostanie z nami – wtrącił się Tyrus.

Otoczający nas dostojnicy spojrzeli na niego z różną dozą pogardy.

– Nie została wyłoniona w wyborach – stwierdził jeden z nich. – Arystokraci mogą umieszczać swoje dzieci na ważnych stanowiskach, ale u nas obowiązuje prawo.

– To jednak jedyna przedstawicielka waszego systemu, której władzę uznaje obecnie mój wuj – odparł Tyrus. – Cesarz nie zaakceptuje żadnych negocjacji prowadzonych bez udziału panny Sagnau.

Jego oświadczenie wywołało gniewne pomruki. Neveni podeszła i powiedziała:

– Wezmę w nich udział.

– Neveni... – zaczął jej ojciec.

– W Chryzantemum spędziłam wiele miesięcy wśród grandecji – odrzekła Neveni z godnością. – Nie ma powodu, dla którego nie miałabym się przysłuchiwać, gdy będą się ważyły losy mojej planety. Tato, proszę, pozwól mi zostać.

– W takim razie, Wasza Eminencjo – powiedział jeden z dostojników – zacniemy natychmiast. Mamy odeskortować twoją lubą do jej komnaty?

Ostro spojrzałam na Tyrusa. Czy mądrze było się rozdzielać? Czy nie zabrał mnie tu ze sobą dla ochrony?

Przez chwilę się zastanawiał, aż wreszcie chyba podjął jakąś decyzję. Spojrzał mi w oczy i lekko pokręcił głową, dając do zrozumienia, że powinnam zrobić to, czego chce.

– Odpocznij sobie, kochanie.

Targały mną złe przeczucia. Miałam wrażenie, że popełnia błąd. Mimo to odwróciłam się i ruszyłam za eskortą. Neveni w ostatniej chwili dogoniła mnie i objęła.

– Sydonio, dziękuję, że odwiozłaś mnie do domu – szepnęła mi do ucha. – Mam nadzieję, że wiesz, że cokolwiek się stanie, doceniam twoją przyjaźń.

Później, gdy zostałam sama w swojej komnacie, nie mogłam przestać myśleć o tych słowach: „Cokolwiek się stanie”.

Tyrus nie pojawił się przez cały wieczór, a ja krążyłam po skrzydle mieszkalnym w kompleksie dla dostojników, starając się nie wpatrywać w nagie niebo za oknem. Czułam się trochę mniej niepewnie, ale wciąż myślałam o tym, jak bardzo zanieczyszczone są planety i jak dużo promieniowania kosmicznego wchłania moje ciało podczas każdej spędzonej tu chwili.

Dziwnie było pomyśleć, że pierwsi ludzie wywodzili się z takich miejsc jak to. I że zdołali tu przetrwać.

Morderca wyczuł mój niepokój i zaczął się niecierpliwić. Wewnątrz nie było miejsca, gdzie mógłby opróżnić kiszki, więc kierując się wskazówkami jednego ze służących – Luminanina z burzą włosów, który spoglądał na mnie nieufnie i odpowiadał monosylabami – niechętnie wyprowadziłam go na zewnątrz.

Niebo było teraz czarne, nie zauważyłam żadnych gwiazd, a jedynym źródłem światła były oddalone budynki i księżyce sporadycznie wyzierające zza grubej pokrywy chmur. Żółte światło wytyczało ścieżkę w bujnym ogrodzie, który w niczym nie przypominał ogrodów, jakie dotąd widywałam. Mech wspinał się po drzewach, jakby pożerając gałęzie, a pod stopami chrzęściły mi suche liście. Rośliny były posplatane jak walczący wojownicy.

W Chryzantemum i w fortecy Impirianów znajdowały się liczne ogrody, wszystkie były jednak sztucznymi, starannie zaprojektowanymi tworami. Te rosły same, a jedyne ślady ingerencji widać było gdzieś w nienaturalnym rozmieszczeniu kwiatów. Odnosiło się wrażenie, że rośliny walczą ze sobą o przestrzeń, o słońce. Panował chaos. A do tego jeszcze to parne powietrze – nie pojmowałam, jak można żyć w tak nieprzewidywalnych warunkach.

I wtedy na mojej skórze rozprysła się kropla.

Morderca położył uszy po sobie i warknął. Zastygłam. Na moją skórę spadały kolejne krople, a ja wiedziałam, że biorą się z obłoków pary nad nami. Deszcz. Słyszałam o tym zjawisku. Ogrody w fortecy Impirianów były wyposażone w mające je imitować zraszacze. I nagle, jakby ktoś odkręcił kran, woda zaczęła lać się strugami, jak z miliona maleńkich fontann. Ta niespodziewana kąpiel zupełnie mnie zaskoczyła. Gdy ciągnęłam Mordercę z powrotem do willi, deszcz wciąż smagał mnie po twarzy.

Podłe, podłe życie. Sutura nu Impirian miała rację, to było...

Oślepiający błysk rozłupał drzewo, a potem rozległo się ogłuszające dudnienie.

Huknęło. Atakowano nas! Rzuciłam się w błoto, wypuszczając z rąk smycz. Wyteżyłam wzrok i w ulewnym deszczu dojrzałam następny oślepiający błysk, który zdawał się rozświetlać noc, a po nim rozległ się wstrząsający ziemią łoskot. Morderca puścił się biegiem, skomląc ze strachu.

Serce łomotało mi w piersi, bo jeszcze nigdy nie widziałam takiego chaosu. Dałabym radę jednemu napastnikowi, ale ta broń była tak potężna, że nie mogłam się z nią mierzyć. Przez chwilę nie wiedziałam, co robić. W głowie kłębiły mi się pytania. Kto atakuje? Przybywa z przestrzeni kosmicznej, a może z jakiegoś innego miejsca na Luminie? Co to za broń? Kto jest celem ataku?

Tyrus.

Oczywiście, że Tyrus!

Na myśl o nim zalała mnie fala paniki. Musiałam go znaleźć! Zerwałam się na nogi. Biegając pod wiatr, czułam się, jakby ktoś smagał mnie po twarzy; drzewa wokół wiły się jak targane bólem. Bezlitosna woda biczowała mi skórę i byłam w stanie myśleć tylko o tym, że pozwoliłam, żeby nas rozdzielono, i że teraz, w czasie tego ataku, Luminarianie mogą mu zrobić krzywdę.

Chciałam go jakoś ochronić. Osłonić go.

Znalazłam go w komnatach Rady Dyplomatycznej. Gdy zobaczył moją ubłoconą szatę

i gorączkowe spojrzenie, podbiegł, żeby mnie przytulić.

– Kochanie, co się stało?

– Trafili cię?

Odsunął się.

– Co ci jest?

– Trwa atak. – Wędrowałam rękami po jego ciele, szukając obrażeń. Mięśnie Tyrusa napięły się pod moim dotykiem. – Musimy natychmiast znaleźć jakieś schronienie!

– O jakim ataku mówisz?

– Ogień z powietrza. Nie wiem, jakiego rodzaju. Rozświetlił całe niebo. Słuchaj! – Skrzywiłam się, gdy znów rozległo się dudnienie.

Tyrus wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

Co w tym było śmiesznego?

– Och, Sydonio, przepraszam. – Ujął moją twarz w dłonie. – Zapomniałem, że nigdy nie byłaś na planecie. – Ściszył głos i wyciągnął rękę, żeby odgarnąć mi mokre loki z twarzy. – Nikt nie przygotował cię na to, co tu zobaczyłaś. Na pewno się bałaś. – Obejrzał się przez ramię i zapytał dostojników: – Możemy na chwilę przerwać negocjacje? Muszę coś pokazać mojej ukochanej.

Wydawali się równie zmieszani jak ja. Tyrus zachował jednak spokój i nie dał się wytrącić z równowagi, a gdy wyrazili zgodę, wziął mnie pod rękę, jakbym była jakąś kruchą istotą wymagającą opieki. Ten gest był mi tak obcy, że nie wiedziałam, jak powinnam go zinterpretować. Tyrus wyprowadził mnie na zewnątrz.

Przysunęłam się do niego. Może i beztrosko podchodził do zagrożenia, ale ja nie. Byłam gotowa rzucić go na ziemię i bronić, jeśli tylko okaże się, że jest w błędzie. Na niebie nadal było widać błyski, ale gdy pokazałam je Tyrusowi, pokręcił głową i nie chciał dać się wciągnąć z powrotem do budynku.

– To nie żadna broń. Ufasz mi?

Zastanowiłam się. Ufałam mu bardziej niż komukolwiek innemu. Potaknęłam.

Prowadził mnie dalej w deszcz. Gdy w końcu stanęliśmy pośród błysków i donośnego dudnienia, pokazał palcem niebo.

– To pogoda! – powiedział, przekrzykując hałas. – Właśnie trwa burza. Te błyski to nie żadna broń, tylko naturalne wyładowania elektryczne zwane piorunami. To element planetarnego życia.

– To normalne? – Wpatrywałam się w oślepiające ogniste błyski. O deszczu słyszałam, ale wyładowania elektryczne? – I ludzie tutaj żyją? Przecież... widziałam, jak drzewo rozłupuje się na pół! To niebezpieczne!

Silny podmuch wiatru potargał Tyrusowi włosy, a następcę tronu się roześmiał.

– Pioruny są niebezpieczne, nie przeczę. Ale jest w nich też wiele piękna, nie sądzisz?

Poczułam, że coraz mocniej ściskam go za rękę. Próbowałam spojrzeć na nie jego oczami. Rzeczywiście, było w nich coś majestatycznego. Rozświetlały kopułę nieba, odsłaniając rzędy sinych chmur.

– Tak – powiedziałam w końcu, czując, że po skórze przebiega mi dreszcz. To rzeczywiście było piękne. Takie niezwykle, takie dziwne.

Spojrzałam na Tyrusa i zdziwiłam się. Nie patrzył na niebo, lecz na mnie. Mokre włosy oblepiały mu czaszkę. Woda spływała po kanciastej żuchwie, wypełniając dołeczek w brodzie.

Poraziła mnie dziwna myśl: teraz, gdy nauczyłam się dostrzegać piękno, potrafiłam zauważyć je wszędzie. Nawet w cudzej twarzy.

Przełknęłam ślinę i odwróciłam się. Deszcz nadal bębnił, ale moje najgorsze obawy się rozwiały i zaczęłam zwracać uwagę na inne wrażenia: szata przylepiła mi się do ciała, była ciężka i zupełnie przemoczona. Skóra Tyrusa wydawała się taka ciepła i wilgotna. Kątem oka zobaczyłam, jak drgają mu kąciki ust, ale powstrzymał uśmiech.

Czyżby po cichu naśmiewał się z mojej ignorancji?

– O co chodzi? – spytałam nieufnie.

Wyciągnął rękę i odsunął mi znad oka mokry kosmyk.

– Nie przyszło mi do głowy, że cokolwiek może cię zaniepokoić. Myślałem, że diaboliki są... nieustraszone.

– Jestem nieustraszona – powiedziałam. Jednak gdy tylko wymówiłam te słowa, poczułam, że skłamałam. Szkolono mnie, żebym sprawiała takie wrażenie, ale w rzeczywistości nigdy nie wyzbyłam się strachu.

Pogłaskał mnie po ramieniu.

– Mniejsza o to. Przepraszam, że cię nie uprzedziłem.

Miał dziwną minę. Po chwili uświadomiłam sobie, że w jego oczach widzę czułość – uczucie wyjątkowo niepożądane u młodego mężczyzny, który zawsze czujnie wypatrywał zagrożenia. Nadal głaskał mnie po ramieniu i rozumiałam, że próbuje mnie pocieszyć. Mnie!

Wiedział, kim jestem. A mimo to próbował mnie uspokoić.

Spojrzałam przez ramię, ale nikt nas nie obserwował. To nie był pokaz czułości przeznaczony dla widowni. On po prostu próbował pocieszyć diabolikę.

Co więcej, wiedział, że skłamałam, gdy mówiłam, że jestem nieustraszona, ale wcale mnie nie osądzał.

W moim gardle uformowała się dziwna gruda. Potarłam szyję, ale to uczucie nie ustąpiło.

Deszcz ustał, ucichły pioruny.

– Muszę poszukać Mordercy – mruknęłam.

Ruszyliśmy równym krokiem, pogrążeni w przyjemnym milczeniu. Zza grubej pokrywy chmur

w końcu wyłoniły się księżyce, rzucając na ziemię srebrzyste promienie, które połyskiwały w kroplach pokrywających bujne zielone pnącza. Piękno – pomyślałam znowu. Dzikie i nieokiełznane jak pioruny. Nie wiedziałam, czy je podziwiam, czy się go boję.

Po chwili światło padło na zmęczoną twarz Tyrusa i pomyślałam o dostojnikach niecierpliwie czekających w budynku.

– Sama mogę go poszukać – powiedziałam. – Nie musisz mi towarzyszyć.

– Marzę o przerwie. Poza tym wolałbym, żeby to stworzenie nie pożarło jakiegoś Luminarianina. Nie pomogłoby to w negocjacjach.

– Jak idzie?

Uśmiechnął się, ale jego spojrzenie pozostało poważne.

– Są sceptyczni. Oczywiście to zupełnie zrozumiałe. Tuż obok mają złośliwą przestrzeń, więc boją się, czy za kilka dziesięcioleci ich planeta wciąż będzie istnieć. Grandecja nie chce słuchać o ich obawach. Jedyne rozwiązanie, jaką miał dla nich senator Pasmus, to żeby rozważyli ewakuację... Luminarianie się wściekli. Walczę z kilkoma zatwardziałymi przeciwnikami, ale mam nadzieję, że niedługo zawrzemy układ. Twoja przyjaciółka Neveni zostanie namiestniczką tylko nominalnie. Na razie cofną deklarację niepodległości – do chwili, gdy obejmę rządy. A potem, kiedy już będę cesarzem, zmienię politykę w sprawie kształcenia i dam im dostęp do wszystkich źródeł, które uda się odzyskać i które mogą pomóc w rozwiązaniu problemu.

– Zgodzą się na taki układ?

Tyrus odwrócił wzrok. Zmarszczył czoło, wyraźnie czymś zmartwiony.

– Mam nadzieję, że tak. W przeciwnym razie oddałem nas we wrogie ręce.

Wrogie? Wpatrywałam się w niego, chcąc, żeby spojrzał mi w oczy i mówił szczerze. Jak bardzo wrogie?

– O, jest twój pies. Szybko – powiedział Tyrus, puszczając się biegiem i klaszcząc.

Kamień spadł mi z serca. Pobiegłam za Mordercą, zapominając na chwilę o wątpliwościach związanych z prowadzonymi przez Tyrusa negocjacjami.

## ROZDZIAŁ 32

Pioruny i grzmoty wracały jeszcze kilka razy w ciągu nocy, zakłócając mój sen. Za każdym razem, gdy znowu rozlegał się łoskot, siadałam na łóżku z walącym sercem, przez ułamek sekundy przekonana, że ktoś nas atakuje. Później przypominałam sobie o słowach Tyrusa. Pioruny. To tylko pioruny.

Po źle przespanej nocy nie od razu się obudziłam, gdy ktoś wszedł do komnaty, mimo że Morderca zaczął szczekać w kojcu. Podczas mojego pobytu tutaj przydzieleni mi służący ciągle kręcili się w pobliżu, ale zaczęli mnie unikać, odkąd zaczęłam jednego z nich, pytając o Tyrusa.

Materac zapadł się pod dodatkowym ciężarem. Poczułam dotyk czyjejś ręki.

– Sydonio.

Podniosłam się tak szybko, że Neveni aż podskoczyła.

– A, to ty – powiedziałam z ulgą.

Nie odpowiedziała mi uśmiechem.

– Nie udaję, że rozumiem twoje nagłe uczucia do Tyrusa Domitriana – powiedziała. – Mogę się tylko domyślać, że to reakcja na tragedię, która cię spotkała.

– Tragedię? – Potarłam oczy, próbując odpędzić resztki snu.

– Straciłaś całą rodzinę. Jesteś teraz sama w całym wszechświecie i nawet nie umiem sobie wyobrazić, jakie to musi być bolesne. – Ścisnęła mnie za ramię. – Dlatego się za tobą wstawiłam. Wiedzą, kim był twój ojciec i co usiłował zrobić. Wiedzą, że próbował przekazywać informacje zbędnikom. Dlatego zgodnie uznali, że nie zostaniesz osądzona, mimo że jesteś senatorką imperium.

Zanim się obejrzałam, skoczyłam na równe nogi.

– Neveni, o czym ty mówisz?

Skrzywiła się, widząc, jak się nad nią pochylałam, ale wstała z godnością, a w jej ciemnych oczach załśniła determinacja.

– Lumina odłączyła się od imperium. Nie damy się przekonać do zmiany kursu. Skończyliśmy z cesarską dominacją. Nie mamy pod ręką cesarza, żeby ukarać go za zbrodnie przeciwko naszemu ludowi, ale pierwszy następca w zupełności nam wystarczy.

– O nie – westchnęłam.

– Już jest po wszystkim. – Wzruszyła ramionami. – Zabrali go w nocy. Przesłuchano go, osądzono i wkrótce zostanie skazany na śmie...

Uderzyłam ją.

Neveni krzyknęła i runęła na podłogę. Zanim zdążyła wstać, chwyciłam ją za włosy i pociągnęłam

do góry.

– Gdzie?

– Pomocy! – zawołała. – Pomocy!

Drzwi się otworzyły i do środka wbiegli strażnicy, którzy najwyraźniej byli przygotowani na taką ewentualność. Rzuciłam na nich okiem. Było ich czterech. Nie mieli pocisków, tylko pałki. Najwidoczniej uznali, że nie będą potrzebowali broni palnej, żeby poradzić sobie z Sydonią Impirian. I na tym polegał ich błąd.

– Pomocy! – zawołała Neveni.

Odepchnęłam ją i skoczyłam do przodu. Pierwszy ze strażników wyciągnął ręce, jakby chciał mnie złapać. Protekcyjny uśmiech na jego ustach zniknął, gdy kopnęłam go w twarz. Runął na ścianę. Drugi znalazł się w moich rękach, zanim zauważył, że się zbliżam. Tak mocno rzuciłam nim przez pokój, że roztrzaskał szklany stół. Dwaj pozostali ruszyli na mnie razem. Uchyliłam się przed ich wyciągniętymi rękami, a potem gwałtownie się odwróciłam i szarpiąc ich za tuniki, rąbnęłam o siebie ich głowami.

Gdy odwróciłam się do Neveni, wycofywała się chwiejnym krokiem, blada i z wytrzeszczonymi oczami. Wpatrywała się w pobojuwisko i dosłownie opadła jej szczęka.

– Ty... ty nie jesteś człowiekiem.

– Nie jestem – powiedziałam. No więc nadeszła ta chwila: zagrożenie, przed którym biegłam obronić Tyrusa poprzedniego wieczoru, przyszło dzisiaj. – Dokąd zabrali Tyrusa?

Oczywiście nie chciała mi powiedzieć. Ale nasze negocjacje trwały krótko. Wyraźnie dałam do zrozumienia, że jeśli spróbuje mi uciec, skręcę jej kark. Tak więc, pokonana, poprowadziła mnie korytarzami, rzucając mi łzawe spojrzenia zdradzonej przyjaciółki.

– Nie rozumiem. Kim ty jesteś?

Nie było sensu kłamać.

– Byłam diaboliką Sydonii Impirian.

– Diabo... diaboliką? Jak Wrogość? – Wybałuszyła na mnie oczy. – To niemożliwe.

– Najwidoczniej możliwe. Oszukałam cię.

– Jak udało ci się przeżyć?

– Sydonia Impirian ocaliła mnie przed wielką czystką. Potem poleciałam do Chryzantemum zamiast niej. – W moim głosie zabrzmiała gorzycz. – Żeby ją chronić.

– Nie rozumiem! Dlaczego pomagasz Tyrusowi Domitrianowi? Jeśli mówisz prawdę, masz więcej powodów niż ktokolwiek inny, żeby pragnąć śmierci Domitrianów!

– Tak. Ale nie Tyrusa. – Dlatego że on też był moim przyjacielem. Przyjacielem, który na mnie polegał. I bałam się o jego bezpieczeństwo jak nigdy dotąd. Nie mogłam zapobiec śmierci Sydonii. Ale los Tyrusa spoczywał teraz w moich rękach.



Wybiegłyśmy na ulicę.

– Już za późno – wydyszała Neveni. – Już wydali wyrok. Pewnie zabrali go na egzekucję.

– Dokąd?

– Do Aneksu na placu Centralnym.

Podniosłam rękę.

– Gdzie to jest?

– Zamierzasz mnie znowu uderzyć?

– Jeśli będę musiała.

Neveni splunęła krwią. Kiedy jej przywalałam, powstrzymywałam się tylko trochę.

– Sześćdziesiąt przecznic w tę stronę. – Kiwnęła głową w kierunku ulicy.

– Przecznic? – powtórzyłam, próbując zrozumieć, co ma na myśli.

– To odcinki chodnika między bocznymi ulicami. Sześćdziesiąt takich odcinków.

– Jeśli kłamiesz...

– Po co miałabym kłamać? I tak nie zdążysz na czas.

– Neveni – wpatrywałam się w nią, gorączkowo próbując zebrać myśli – ceniłam też twoją przyjaźń. Przepraszam. – A potem uderzyłam ją zniecierpliwiona, tak że nie zdążyła poczuć strachu.

Zabrałam jej nieprzytomne ciało z ulicy. Odwróciłam się i pobiegłam w stronę placu. Pędziłam najszybciej, jak umiałam, mimo to wiedziałam, że to i tak za wolno – że gdy tylko Neveni odzyska przytomność, pośle za mną swoich ludzi.

Powinna ją zabić. Tak byłoby lepiej.

Obok śmigały powietrzne samochody. Gdy po raz trzeci o włos uniknęłam potrącenia, przyszła mi do głowy pewna myśl. Wspięłam się na budynek, a potem rzuciłam na samochód, który ze świstem przelatował obok, i wczepiłam się palcami w szczeliny karoserii. Potężny podmuch o mało mnie nie strącił. Ze środka gapila się na mnie para przerażonych oczu. Wzięłam zamach i kopnęłam najmocniej, jak umiałam. Za pierwszym razem moje nogi odbiły się od szyby, po drugim kopnięciu szkło popękało. Kopnęłam jeszcze raz i wcisnęłam się do środka.

Pasażerowie krzyczeli, usiłując się ode mnie odsunąć. Musiałam przedstawiać straszny widok – byłam zakrwawiona i nadal miałam na sobie wygniecioną koszulę nocną.

– Zawieź mnie na plac Centralny – rozkazałam. – Natychmiast.

Plac Centralny był otwarty wyłącznie dla ruchu pieszego. Przed Aneksem – samotną wieżą z palladu – zebrał się już wielki tłum patriotów chcących nacieszyć się widokiem uśmiercanego Tyrusa Domitriana, pierwszego następcy aroganckiego władcy imperium, który rościł sobie prawa do panowania nad Luminarianami. Nad zgromadzonymi unosiły się olbrzymie ekrany, które miały

transmitować egzekucję. Liczebność zebranych wprawiła mnie w osłupienie – jeszcze nigdy nie widziałam takich tłumów w jednym miejscu.

Gdy tylko podpatrzyłam, jak działają stery powietrznego samochodu, przejęłam je i skierowałam pojazd prosto w tłum, włączając ostrzegawczą syrenę. Ludzie w popłochu uciekali mi z drogi. Nie wiedziałam, jak wyhamować. Głęboko zaczerpnęłam tchu, skierowałam samochód na ścianę Aneksu, a potem przygotowałam się na zderzenie.

Pojazd zatrzymał się z hukiem. Poczułam, że wśród gnącego się metalu otacza mnie kokon jedwabistej miękkości. Wygramoliłam się z siatki asekuracyjnej, a potem kopniakiem rozwalłam okno i wypełzłam na zewnątrz jak jakieś groteskowe stworzenie usiłujące wydostać się z rozbitej skorupki.

Na skutek kolizji w ścianie budynku powstała spora wyrwa. Wskoczyłam przez nią do środka, gdzie elity Luminy zgromadziły się, by na własne oczy obejrzeć egzekucję mającą się odbyć na scenie po drugiej stronie sali.

Strażnik, który dostrzegł mnie jako pierwszy, zaalarmował pozostałych krzykiem i wszyscy skierowali broń w moją stronę. Zewsząd leciały na mnie pociski energetyczne. Zrobiłam salto w tył, przeskakując przez rząd najbliższych stojących widzów, tak jak mogłaby to zrobić wyłącznie diabolika, i mając nadzieję, że te nieprzewidywalne ruchy ocalą mi życie.

Elita Luminarian rozpięchła się. Ludzie uciekali przede mną, krzycząc ze strachu i wpadając na siebie nawzajem. Wskoczyłam na ramiona jakiegoś mężczyzny i znalazłam się na tyle wysoko, że mogłam teraz dostać się na podwyższenie, na którym przetrzymywano Tyrusa. Było tam jeszcze więcej strażników. Już do mnie mierzyli, ale się uchyliłam, a potem zaatakowałam tego stojącego najbliżej. Odebrałam mu broń i zaczęłam strzelać do jego kolegów. Padali jeden po drugim.

Odwróciłam się do dostojników otaczających Tyrusa. Zmusili go, żeby uklęknął i przygotował się na śmierć.

Postanowiłam, że albo ich wszystkich zabiję, albo sama zginę.

Oddałam strzał do ojca Neveni – nie śmiertelny, bo przecież była moją przyjaciółką. Za to pozostali...

– Zaczekaj! – zawołał Tyrus. – Nie zabijaj ich.

To nie była pora na litość. Rzuciłam mu zniecierpliwione spojrzenie. „Dlaczego?” Jednym szybkim ruchem machnęłam bronią w jego stronę i przestrzeliłam kajdanki.

Tyrus drgnął, zaskoczony odzyskaną niespodziewanie wolnością, i podźwignął się na nogi. Stałam za dostojnikami, żeby znaleźć się poza zasięgiem strażników czyhających pod sceną.

– Najlepiej ich zabić – powiedziałam. – Ojca Neveni zachowamy przy życiu jako zakładnika, żeby móc stąd uciec...

– Nie. – Tyrus spojrzał w stronę dostojników. – Czy w zamian za darowanie wam życia zechcecie

mnie po raz ostatni wysłuchać?

Co on wyrabiał? Spojrzałam na garstkę przedstawicieli elity, którzy zostali na sali, na strażników powoli zbliżających się do sceny z wysoko uniesioną bronią. Czy Tyrus mógł powiedzieć coś, czego nie zdążył przekazać wcześniej? Ci ludzie okazali się oszustami, zdrajcami. Zakradli się nocą, żeby go pojmać i zaprowadzić na śmierć. Nie zasługiwali na drugą szansę.

Tyrus odwrócił się jednak ode mnie i patrzył teraz na dostojników, którzy jeszcze przed chwilą stali wokół niego, a teraz czekali bezradnie z rękami w górze.

– Chcę po raz ostatni zaapelować do waszego rozsądku. Wiem, że nie prosiliście, żebym tu przyjechał. Zjawiłem się nieproszony i jeśli po tym, co powiem, Luminarianie nadal będą chcieli wymierzyć sprawiedliwość mojej rodzinie, którą w ich oczach reprezentuję, zgodzę się na to. Z własnej woli.

Dostojnicy poruszyli się niespokojnie. Zauważyłam, że przez wyrwę, którą zrobiłam w ścianie, do środka wchodzi kilkoro ludzi. Zjawiła się także Neveni w obstawie swoich strażników. Trzymając się za głowę, lustrowała pomieszczenie. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, jej twarz wykrzywiły złość i poczucie zdrady.

Ojciec Neveni naradził się z innym mężczyzną, a potem powiedział:

– Dobrze. Wysłuchamy ostatniego apelu, pod warunkiem że poddasz się każdemu wyrokowi, jaki wydamy.

Tyrus pokiwał głową.

– W takim razie odłóżmy broń i porozmawiajmy.

„Odłóżmy broń?” Mocno przygryzłam policzek, żeby powstrzymać wściekłość. Chodziło mu o to, żebym to ja odłożyła broń, a wcale nie miałam takiego zamiaru. Przed chwilą chcieli go zabić. Co on wyrabiał?! Przecież zamierzali go uśmiercić!

Tyrus spojrzał na mnie, formułując milczącą prośbę, i w jego oczach zauważyłam błaganie, żebym mu zaufała. Żebym zaufała jego ocenie sytuacji. Czy mogłam? Czy mogłam do tego dopuścić?

Zadrżały mi ręce, ale zmusiłam się, żeby to zrobić. Odłożyłam broń.

Teraz obydwójce byliśmy na łasce Luminarian.

## ROZDZIAŁ 33

Oszołomiona ruszyłam za Tyrusem i garstką dostojników, którzy przeszli do bardziej zacisznej sali. Staralam się pozostawać jak najbliżej Tyrusa, a inni trzymali się ode mnie z daleka. Na mojej poszarpanej koszuli nocnej widniały ślady krwi i wiedziałam, że elity Luminy już się domyślają, że nie jestem człowiekiem.

Tyrusowi groziła rychła śmierć, ale spokojnie się napił i zasiadł przed dostojnikami, jakby nimi dowodził – jakby zwołał zwyczajne zebranie, a nie krótki trybunał na chwilę przed swoim zgonem.

– Niewłaściwie się do tego zabrałem – oznajmił. Leciutkie złote światło rozlewało się na jego skórze jak miód, podkreślając krągłości umięśnionych ramion i spokój malujący się na dostojnej twarzy. Nie było na niej ani śladu zaniepokojenia i mimo młodego wieku Tyrus wyglądał jak cesarz. Nie pojmowałam, jak ktokolwiek mógł uwierzyć w jego szaleństwo. – Przybyłem tu zapewnić was, że w niczym nie przypominam mojego wuja. Nie mieliście jednak żadnego powodu, żeby mi ufać. Nadal go nie macie.

Wokół rozległo się bezceremonialne potakiwanie i zobaczyłam wrogie błyski w oczach zebranych.

– Myślałem, że ślepo uwierzycie w moją obietnicę niepodległości. Ale dlaczego miałbym dotrzymać słowa, gdy zostanę cesarzem? Gdy już będę bezpieczny? Pozwólcie zatem, że was przekonam.

Sięgnął pod tunikę i wy dobył cienką metalową fiolkę. Spokojnie położył ją na stole przed sobą.

– Pytacie, czym różnię się od mojego wuja. Oto jego metoda. Metoda Domitrianów. Cały czas miałem to przy sobie, nawet gdy wasi ludzie mnie aresztowali, nawet podczas porannego procesu, na którym nie dopuszczono mnie do głosu. Wiecie, co to jest?

W sali zaległa martwa cisza. Widząc spojrzenia otaczających mnie ludzi, byłam pewna, że nikt nie ma pojęcia, czym jest ten przedmiot.

– Część z was z pewnością zna historię cesarstwa. Bez wątpienia zna ją mój wuj, który miał nadzieję na powtórkę. Kiedyś moja prababka użyła takiej broni, żeby zdusić bunt na Fortikanie.

W sali zapanowało poruszenie i kilku Luminarian zerwało się z miejsc, jakby chciało uciec. Rozległy się krzyki:

– Rozpuszczająca mgła! Rozpuszczająca mgła!

– Tak, to rozpuszczająca mgła. I gdybym chciał jej użyć – podjął Tyrus, podnosząc głos, ale nie krzyząc – już bym to zrobił, prawda? Groziła mi śmierć z waszych rąk, a mimo to nie zamierzałem tego użyć, nie chciałem ryzykować śmierci tysięcy niewinnych ludzi. To są metody mojego wuja. Tak, to także metody Domitrianów, ale nie moje!

W sali zapadła cisza. Przysunęłam się i przyjrzałam fiołce, nie dotykając jej jednak. Nagle przypomniałam sobie przebiegłą minę cesarza, gdy zgodził się, żeby Tyrus porozmawiał z Luminarianami, i gdy powiedział, że Tyrus powie im dokładnie to, co powinni usłyszeć.

– Cesarz przysłał cię tutaj, żebyś użył tej... tej broni biologicznej, prawda? – mruknęłam. – Nie chciał, żebyś negocjował.

Tyrus uśmiechnął się – słabo, z goryczą – i sięgnął po fiołkę, przesuwając wzrokiem po jej gładkich metalowych konturach.

– Nie, nie miał zamiaru rozwiązywać kryzysu pokojowymi metodami. Chciał, żeby Luminarianie posłużyli za przykład. Wyraźnie poprosił, żebym zdobył dostęp do tej planety, a potem, po wylądowaniu, wypuścił mgłę, tak jak kiedyś uczyniła moja prababka w konfrontacji ze swoimi przeciwnikami. W tej fiołce jest dość zarodników, żeby wytruć całą prowincję. My dwoje bylibyśmy bezpieczni. Zostaliśmy uodpornieni podczas standardowych planetarnych szczepień przed opuszczeniem Chryzantemum. Ale Luminarian spotkałby potworny los.

– Grozisz nam? – odezwał się ojciec Neveni drżącym głosem.

Tyrus patrzył na niego ze spokojem.

– Jeszcze nie zrozumieliście, że nie? Przysłano mnie tu, żebym użył tej mgły, ale nigdy tego nie zrobię. Nawet za cenę własnego życia. Przecież już wam to pokazałem. Zamierzaliście mnie zabić, czekałem na śmierć, a mimo to nie użyłem mgły. Nie będę stosował starych metod! Przybyłem tu, żeby zażegnać konflikt za pomocą słów i uchronić tę planetę od zamiarów, jakie ma wobec niej mój wuj. Bez względu na to, czy mnie dziś zabijecie, czy wyjdę stąd jako wolny człowiek, ta fiołka pozostanie zamknięta, niewykorzystana. – Pochylił się. – Jeśli jednak pozwolicie mi żyć, mogę wam obiecać jedno: nigdy więcej nie staniecie przed podobnym zagrożeniem. Zamierzam wrócić do Chryzantemum i przejąć władzę. Potem uwolnię to cesarstwo od wpływów grandecji i na zawsze wyzwolę was spod jej jarzma.

Wstrzymałam oddech, słysząc, że Tyrus tak otwarcie mówi o zdradzie stanu. Luminarianie zaczęły mamrotać pod nosem, oszołomieni jego słowami, ale pozwolili mu ciągnąć dalej.

– Widziałem złośliwą przestrzeń nieopodal waszej planety. Dobrze wiem, z jakim zagrożeniem przyjdzie wam się zmierzyć w niedalekiej przyszłości. Rozumiem, dlaczego dążycie do secesji. Cesarstwo ogranicza rozwój technologii, nie pozwala wam zdobywać wiedzy, której potrzebujecie, żeby przetrwać, a robi to wyłącznie po to, żeby grandecja mogła utrzymać władzę. Ci, którzy kwestionują te ograniczenia, są nazywani bluźniercami i heretykami, bo tak mówi helionicka doktryna arystokratów – religia, którą małostkowi ludzie pozbawieni szczerzej wiary posługują się jak pałką. Tak, mogę to powiedzieć z całym przekonaniem. Urodziłem się wśród tych ludzi, wychowałem się wśród nich. Religia jest dla nich narzędziem i niczym więcej.

Nagle z grupy dostojników wystąpiła Neveni. W jej oczach malowała się nieufność.

– A dlaczego miałbyś się od nich różnić? Jeśli zrobisz to, co mówisz, zwyczajnie stracisz władzę.

– Czy istnieje inne wyjście? – spytał Tyrus. – Mam czekać, aż złośliwa przestrzeń będzie wszędzie? Aż nie będziemy mogli skręcić w żadnym kierunku, nie narażając się na zgubę? Stagnacja oznacza śmierć, panno Sagnau. Zamiast zapisać się w historii jako kolejny tchórz oddający się przyjemnościom i zamykający oczy na rzeczywistość, chcę być kimś, kto robi pierwszy krok, żeby to zmienić.

– I niby jak zamierzasz to zrobić? – zabrzmiał czyjś szyderczy głos.

– Wuj osłabił już pozycję grandecji. Pozbawił wpływów wiele potężnych arystokratycznych rodzin. Może samowolnie działać w senacie i nie musi się przed nikim tłumaczyć. Chcę wykorzystać władzę, którą przejął – mandat, który sam sobie przyznał – i podjąć działania mimo sprzeciwu grandecji. I przysięgam wam, że to zrobię.

– Skąd mamy mieć pewność, że działasz w dobrej wierze? – spytał ojciec Neveni. – Może przejmiesz władzę i zmienisz zdanie.

– To bardzo proste – odrzekł Tyrus. – Przed chwilą wypowiedziałem tu słowa jednoznaczne ze zdradą stanu. Przyznaję przed wami, że planuję uśmiercić mojego wuja. Przyznaję nawet, że pomagam diabolice udawać senatorkę von Impirian i arystokratkę, mimo że samo posiadanie diaboliki jest zdradą stanu. – Wskazał mnie ręką.

Kilka osób spojrzało na mnie ze zdumieniem. Neveni przełknęła ślinę, ale nie popatrzyła w moją stronę.

– Daję wam wszystkim – ciągnął Tyrus – i każdemu z osobna, czyli blisko tuzinowi świadków, amunicję mogącą mnie zniszczyć, zanim zostanę cesarzem, albo i potem, bo przecież żaden grandes nie będzie tolerował mojej władzy, gdy przekona się, jak zamierzam ją wykorzystać.

Ludzie zaczęli szemrać.

– Postanowiłem zdradzić wam swoje największe sekrety – powiedział Tyrus z twarzą jaśniejącą przekonaniem – dlatego że naprawdę łączy nas wspólna sprawa. Tkwimy w tym razem. Chcemy tego samego. A teraz, czy pozwolicie, żebym stąd wyszedł i wykonał swój plan, czy wolicie mnie zniszczyć? Zdaję się na waszą łaskę.

Rozłożył ręce, a ja oparłam się pokusie, żeby skoczyć i osłonić go przed atakiem.

Nagle zobaczyłam, jak ludzie wokół mnie kolejno odpinają kabury i odkładają broń. Tyrus znowu się napił i w końcu do mnie dotarło: będzie żył. Nareszcie zdobył przychyłność Luminarian.

Siedzieliśmy razem przy oknie. Aleksandria oddalała się od powierzchni planety, a ja wciąż nie mogłam wyjść ze zdumienia, że Tyrus Domitrian naprawdę zdołał rozwiązać problem. Wersja przeznaczona dla cesarza brzmiała następująco: na Luminie wszczęto bunt, a Tyrus przybył na planetę i przekonał jej mieszkańców, żeby nie odłączali się od imperium. Cesarz nie wiedział, jak to się

Tyrusowi udało i co tak naprawdę powiedział ani do jakich uciekł się machinacji – i nigdy nie miał się tego dowiedzieć. Miało to wyglądać na akt politycznego geniuszu Tyrusa.

Przed naszym wyjazdem odwiedziła mnie Neveni. Trzymała się na dystans.

– Na pewno wiesz – odezwała się w końcu – że większość ludzi, większość takich zbędników jak ja, raczej nie przepada za genetycznie skonstruowanymi humanoidami. Traktujemy je jak... jak ostrzeżenie ze strony grandecji, że nie jesteśmy do niczego potrzebni. Że można nas zastąpić.

A więc dlatego zbędnicy uważali serwitorów za odrażające istoty. Diaboliki były im pewnie jeszcze bardziej wstrętne.

Neveni przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Nemezis, wiem, że takie istoty jak ty zwykle... zabijają ludzi, więc to, że nigdy nie zrobiłaś mi krzywdy, na pewno musi mieć jakieś znaczenie. Biorąc pod uwagę ten fakt oraz to, co, jak już się domyślam, zrobiłaś Salivarowi i Devineé, pewnego dnia być może wybaczę ci, że mnie okłamałaś.

Nie uszło mojej uwagi, że nazwała mnie „istotą”.

– Przykro mi, że musiałam cię zranić... Ale wiesz, nadal nie żałuję tego, co zrobiłam im dwojgu.

Uśmiechnęła się.

– To dobrze. – Po chwili jej uśmiech zbladł. – Chcę cię tylko ostrzec. Może i Tyrus jest wrogiem twojego wroga, ale to wciąż Domitrian. Nigdy im nie ufaj. Żadnemu z nich. To rodzina kłamców i morderców. Może i nie użył rozpuszczającej mgły, ale jednak ją ze sobą przywiózł. Jak to o nim świadczy?

Nie padły już żadne inne słowa. Rozstałyśmy się – być może na zawsze.

Teraz, gdy fioletowy ocean, olbrzymie kontynenty, łańcuchy górskie i chmury pod nami robiły się coraz mniejsze, spojrzałam na Tyrusa. Przez głowę przelatywały mi wspomnienia dni spędzonych na planecie. On wpatrywał się w fiolkę rozpuszczającej mgły – myślał o rozkazie wuja, którego nie wykonał. O sprzeciwieniu się starym metodom.

– Zdziwiasz mnie – powiedziałam do niego. – Wyprzedzasz wszystkich o dziesięć kroków.

Tyrus niespokojnie westchnął i drżącą ręką schował fiolkę.

– Chyba raczej robię takie wrażenie. Nie przewidziałem, że wpadną do mojej komnaty i jeszcze tego samego ranka będą chcieli mnie stracić. Myślałem, że już po mnie. Myślałem, że wszystko poszło na marne. Ale wtedy zjawiałaś się ty.

Dopiero teraz zauważyłam, że drży na całym ciele. Wciąż był pod wpływem adrenaliny. Spojrzał na mnie, chłonąc każdy szczegół, a na jego twarzy malowały się podziw i zdumienie.

– Nemezis, jesteś absolutnie niesamowita. Szykowałem się na rychłą śmierć, a ty wpadłaś jak jakiś anioł zemsty... – Głos uwiązł mu w gardle. – Przywykłem, że ludzie umierają albo zdradzają i że mogę polegać wyłącznie na sobie, ale to już nieprawda. Czuję, że mogę ci ufać. Może ci się wydawać, że to niewiele – oczy zaszły mu mgłą i głos zabrzmiał chrapliwie – ale to największy komplement, na

jaki jestem w stanie się zdobyć.

Zarumieniłam się, bo wiedziałam, że Tyrus stracił w dzieciństwie wszystkich, których kochał. Dostrzegłam jego ból, gdy mówił o śmierci matki. Wiedziałam, że dorastał w atmosferze ciągłego zagrożenia śmiercią z rąk własnej rodziny, mogąc pokładać zaufanie wyłącznie we własnym rozumie. Toteż jego słowa miały wielką wagę i nie musiał mi wyjaśniać dlaczego.

Patrzył na mnie w taki sposób... jak nikt przedtem. Czułam, że nie jestem w stanie odwzajemnić tego spojrzenia. Spuściłam wzrok i utkwiałam go w jego wargach. Czułam, że płonie mi twarz, zaschło mi w ustach.

Pogłaskał mnie kciukiem po policzku.

– Popatrz na mnie – poprosił.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze i przestałam zwracać uwagę na te niepokojące doznania. Gdy podniosłam głowę, przeszył mnie swoim przenikliwym spojrzeniem, jakby zaglądał głęboko do mojego wnętrza.

– Jesteś niesamowita – powtórzył cicho. – Czy to samolubne, że pragnę mieć cię teraz tylko dla siebie?

– Pragniesz mieć... Jak to? – wybąkałam.

Jego usta rozciągnęły się w dziwnym uśmiechu.

A potem mnie pocałował.



## ROZDZIAŁ 34

W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby nas zobaczyć, i Tyrus nie musiał przed nikim udawać, że mu na mnie zależy. Mimo to przywarł swymi miękkimi i ciepłymi ustami do moich.

Zakręciło mi się w głowie i zupełnie znieruchomiałam, czując, jak przeczesuje mi włosy palcami. Co za osobliwe doznanie. Gdy pocierał wargami o moje wargi, przeszył mnie dziwny, obezwładniający dreszcz. Jego zręczne palce odpowiedziały na ten odruch, głaszcząc mnie po karku. Tyrus nie był słaby – czułam na szyi moc jego uścisku – ale nie było w tym geście żadnej pogroźki. To było słodsze niż jakikolwiek dotyk, który dotąd znałam.

Usta Tyrusa stały się bardziej łapczywe. Moje ręce wędrowały teraz po jego ciele, badały sprężystość umięśnionych ramion. Planeta pod nami coraz bardziej się oddalała, spowijała nas wszechogarniająca ciemność przestrzeni. Oparłam się o niego. Czułam, że całe moje ciało budzi się do życia. Nie znałam dotąd tego uczucia. W tym momencie zupełnie się nie poznawałam, raptownie i niespodziewanie oderwana od szarej, prozaicznej rzeczywistości.

Nagle jego ciało wydało mi się cudem. Przebiegałam palcami po rozgrzanej skórze, po szerokim torsie. Przywarł do mnie, przyciskając mnie do ściany. Nad jego ramieniem dostrzegłam zarys kurczącej się Luminy i wypełniające przestrzeń gwiazdy.

Rozchylił mi usta i nasze języki się zetknęły.

A więc to było życie! To znaczyło być żywym, być człowiekiem!

Chciałam, żeby to się nigdy nie kończyło.

W końcu jednak Tyrus się odsunął i uważnie spojrzał mi w oczy. Ledwie trzymałam się na nogach. Ta słabość powinna była mnie zaniepokoić, ale byłam zbyt skupiona na dokonującym się właśnie objawieniu. Także patrzyłam Tyrusowi w oczy. Odniosłam wrażenie, że nigdy wcześniej go tak naprawdę nie widziałam. Zauważałam teraz setki szczegółów domagających się mojej uwagi: bladozielone plamki w jego szaroniebieskich tęczęwkach. Intensywność spojrzenia – jakby zaglądał w głąb mojej istoty. Jak to możliwe, że nigdy nie czułam zapachu jego skóry, nie zwracałam uwagi na silne, pewne, zręczne dłonie? Przesunęłam palcami po krągłości jego bicepsa i poczułam na skórze iskry.

Wreszcie poznałam, co znaczy odurzenie. Zrozumiałam, dlaczego inni ludzie czują się oszołomieni i kręci im się w głowie, pojęłam, skąd te głupkowate uśmiechy. Może nawet lepiej zrozumiałam pioruny: moja świadomość wydawała mi się naładowana energią, wszechogarniająca.

Tyrus się uśmiechnął, krzywo i tajemniczo, a potem znowu uniósł mój podbródek i mnie pocałował.

W głowie miałam tylko jedno słowo: „Tak”.

Opadliśmy na pluszowy szezlong, wciąż przytuleni, szczepieni jak dwa magnesy. Czy to, co robiliśmy, było mądre? Nie miałam pojęcia. Mój mózg wypełniała dziwna, cudowna mgła. To wydawało się właściwe. I nic więcej nie miało znaczenia. Ogarnęło mnie poczucie absolutnego spełnienia.

Po dłuższej chwili Tyrus przesunął palcem po wypukłości na moim nosie.

– Skąd to masz? – mruknął.

– Po walkach w zagrodach. – Przyjrzałam się dołeczкови w jego brodzie, jego piegom. – Nie modyfikujesz swojego wyglądu tak jak inni.

– To strata czasu. Zresztą po co? Myślisz, że powinienem?

Zastanowiłam się.

– Nie. To wszystko to dla mnie teraz twoje cechy charakterystyczne, po nich cię poznaję. Po piegach, włosach, brodzie... Po oczach.

Miał niesamowite oczy. I przeszywające, hipnotyzujące spojrzenie.

– Obserwujesz mnie – powiedział.

– Obserwuję wszystkich. Ale masz rację, zwłaszcza ciebie.

Widziałam, że próbuje powstrzymać uśmiech. Nie udało mu się. Wtulił głowę w moje ramię i długo wypuszczał powietrze, aż dostałam gęsiej skórki. Przeczesalam jego miedziane włosy i poczułam, że wciąż ma napięte mięśnie, że bezskutecznie próbuje ukryć zmęczenie.

– Najlepszym lekarstwem na stres jest sen – powiedziałam łagodnie. – Prześpij się.

Tyrus obrócił mnie plecami do siebie, a potem ułożył obok, łaskocząc oddechem w kark. Jeszcze nigdy nie spałam tak blisko kogoś innego – ale wcale mi to nie przeszkadzało. W jego objęciach czułam spokój.

Przesunął ustami po moim karku.

– Dobranoc, Nemezis.

Uśmiechnęłam się, choć nie mógł tego zobaczyć. Uśmiechnęłam się do komnaty i do zimnego, nieczułego, usianego gwiazdami krajobrazu za oknem, a potem leżałam zadowolona, słuchając, jak oddech Tyrusa staje się głębszy i coraz bardziej regularny.

Mnie w ogóle nie chciało się spać. Był zbyt blisko. Cała moja skóra pulsowała, każdy skrawek mojego ciała był ciekaw Tyrusa.

Bardzo ostrożnie, żeby go nie obudzić, odwróciłam się, chcąc mu się przyjrzeć. Srebrzyste światło gwiazd podkreślało jego urodę, padało na ostre kości policzkowe, na męską kanciastą żuchwę. Musnęłam opuszkami jego ramię.

Uświadomiłam sobie dziwność tej sytuacji. Diaboliki nie były stworzone, żeby pożądać. Nie znajdowałam jednak innej nazwy dla tego elektryzującego pragnienia.

W mojej piersi narastało dziwne napięcie. Nikt nie związał mnie z Tyrusem. Moje uczucia i doznania nie miały podłoża genetycznego.

To mogło być wyłącznie moje człowieczeństwo. Czyste, wrodzone człowieczeństwo.

Donia miała rację. Od początku je w sobie nosiłam.

Głośno przełknęłam ślinę, czując, że wzbiera we mnie to uczucie. Miałam ochotę obudzić Tyrusa i mu podziękować – tak jak wcześniej on podziękował mi za uratowanie życia. Pod wieloma względami on również mnie ocalił.

Bardzo delikatnie dotknęłam jego twarzy. Potrzebował więcej snu niż ja. Poza tym zauważyłam, że jest nienaturalnie blady. Pomyślałam, że groźba egzekucji odbiła się na nim bardziej, niż był skłonny przyznać.

I dlatego ostatecznie postanowiłam go nie budzić.

Gdy wpadliśmy w hiperprzestrzeń, srebrzyste światło na zewnątrz zniknęło, ustępując nieprzeniknionej ciemności. Szybko wstałam, rzuciłam Tyrusowi jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie, a potem wyszłam.

Wszystko wyglądało teraz inaczej: na każdym kroku zauważałam piękno. Foremność konsoli umieszczonych wzdłuż korytarza, wdzięczne łopotanie mojej szaty wokół kostek... Czułam się tak, jakbym znalazła się w cudownym śnie. Moje cieniste odbicie mignęło w konsoli obok i na chwilę przystanęłam, żeby mu się przyjrzeć. Zdziwił mnie widok tej uśmiechniętej istoty. W niczym nie przypominała obojętnego stworzenia o pustych oczach, które widywałam w lustrach w fortecy Impirianów.

Ta istota żyła.

Gdy znalazłam się w swojej komnacie klasnęłam w ręce, czekając, aż Morderca się obudzi, żebym mogła zaprosić go do jego ulubionej zabawy: przemknąć palcami po podłodze, udając zwierzątka, które mógłby obszcze kiwać. Spojrzałam w nieprzeniknioną ciemność za oknem i zdziwiłam się, że nawet pustka może być piękna. Po chwili ospale podszedł do mnie mój pupil.

Przyglądałam mu się o ułamek sekundy dłużej niż zwykle i zauważyłam, że ma szkliste oczy. Zamiast podskakiwać, rozsadzany energią, powłóczył łapami. Ogonem machnął tylko raz, bez przekonania, a potem ugięły się pod nim łapy.

– Morderca! – przyklęknęłam obok niego i poczułam, że cały się trzęsie. Był nienaturalnie zeszywniały, a jednocześnie przelewał się przez ręce. Wiedziałam, że dzieje się z nim coś bardzo niedobrego.

Wyjęłam pudełko z medbotami, z których korzystaliśmy z Tyrusem podczas naszych walk sparingowych, i zdjęłam pokrywę. Wyleciały i podfrunęły do Mordercy, migając światłami alarmowymi. Po chwili jednak zawróciły, nie przystąpiwszy do leczenia. Cokolwiek mu dolegało, nie były w stanie go naprawić.

Był ciężki, ale wzięłam go na ręce i wybiegłam na korytarz. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, gdzie jest lekarz Tyrusa. Waliłam w drzwi doktora nan Domitriana, aż się obudził.

Łypnął na mnie nienawistnie, zirytowany, że wyciągam go z łóżka z tak błahego powodu, ale gdy podsunęłam mu Mordercę, zgodził się go zbadać.

– Zjadł coś na planecie?

Spojrzałam na niego tępo. Pies nie towarzyszył mi przez cały czas, uciekł mi przecież w czasie burzy.

– Możliwe.

– Skoro medboty nie mogą mu pomóc, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. Takie są konsekwencje zabierania zwierząt na planety. W dzikim środowisku jest mnóstwo patogenów i mikroorganizmów, których nie spotyka się w przestrzeni. Nie zaprogramowano mu odporności.

Zaczęłam się martwić.

– Ale wyzdrowieje?

– Senatorko von Impirian, te istoty są stworzone do walki. Nikt nie wyposaża ich w długowieczność.

– Musi być jakiś sposób, żeby go wyleczyć! Nie może tak po prostu zachorować.

W tym momencie coś zabrzączało przy pasku lekarza. Spojrzał na urządzenie i ruszył do drzwi.

– Muszę się zająć czymś innym. Bardzo mi przykro, ale nic nie mogę zrobić.

Odprowadziłam go wściekłym spojrzeniem. Po chwili Morderca dostał drgawek. Przytuliłam go.

– Spokojnie. Obronię cię. Spokojnie. – Nie wiedziałam, skąd się wzięły te słowa, ale opuszczały moje usta jak mantra. Zniosłam Mordercę do naszej komnaty, gdzie przynajmniej mógł się poczuć bezpiecznie.

Raz po raz przewracał oczami, a jego białka nabrały niezdrowej żółtej barwy. Tylko chwilami skupiał na mnie wzrok i patrzył bezradnie, jakby się zastanawiał, dlaczego nie robię nic, żeby poczuł się lepiej. Obserwowałam w niemym przerażeniu, jak dygocze. Wydawał z siebie dziwny, zdławiony odgłos, a z jego pyska toczyła się piana.

Byłam taka nieostrożna. Myślałam, że spodoba mu się na planecie, że będzie mógł poznawać nowe miejsca i nowe zapachy. To była moja wina. Lepiej było go zostawić, żeby zginął podczas walki na ringu, niż dopuścić, żeby stało się to, co się stało.

Nie umiałam płakać. Mogłam jedynie drapać go za uszami i mieć nadzieję, że wie, że jestem obok. Teraz ataki wstrząsały nim bez przerwy, a z gardła wciąż wydobywało się gulgotanie. Przygryzł sobie język. Wtedy zrozumiałam: nie mogę pozwolić, żeby to trwało choćby minutę dłużej.

Oplotłam jego szyję ręką i ściskałam, dopóki wierzgające łapy nie znieruchomiały.

– Tak mi przykro – szepnęłam, nadal mocno go ściskając.

Nie puszczałam. Ciało Mordercy zeszywniało i ostygło mi w ramionach. Wciąż nie wiedziałam,

czy zjadł coś na planecie, czy może złapał jakąś chorobę. Czułam pustkę w żołądku na myśl, że mogło do tego dojść, że los mógł tak po prostu odebrać mu życie.

A gdy on cierpiał w mojej komnacie, mnie przy nim nie było. Byłam z Tyrusem.

Tyrus!

Musiałam się z nim zobaczyć. Musiałam go przytulić, wrócić do tego cudownego miejsca, gdzie śmierć nie ma znaczenia. Ostrożnie zawinęłam Mordercę w koc, a potem wybiegłam na korytarz.

Gdy przekroczyłam próg komnaty Tyrusa, dotarły do mnie głosy. Należały do pierwszego następcy i doktora nan Domitriana.

– Spokojnie, Wasza Eminencjo.

Odgłos torsji.

Poczułam, że robi mi się zimno. Przypomniałam sobie, że lekarz został wezwany do kogoś, kto go potrzebował. O nie. O nie!

Morderca nie był jedyną ofiarą choroby na pokładzie.

## ROZDZIAŁ 35

Tyrus wyprostował się zmieszany, gdy zobaczył mnie w drzwiach. Miał poszarzałą, spoconą twarz.

– Sydonio, lepiej nie podchodź. Nie chcę cię zarazić.

Przepełniło mnie przerażenie. Pomyślałam, że Tyrus może umrzeć tak jak Morderca. Wystraszona spojrzałam na lekarza.

– Co mu jest? Przecież przed podróżą poddaliśmy się szczepieniom. Jak to możliwe, że zachorował?

– To jakaś gorączka planetarna – odpowiedział za niego Tyrus.

– Co takiego?! – zawołałam.

– To termin ogólny. – Lekarz pokręcił głową. – Mówiłem już, że mikroorganizmy doskonale czują się w naturalnym środowisku, a mieszkańcy przestrzeni zwykle nie są narażeni na ich działanie. Szczepionki, które podałem wam przed podróżą, nie zapewniają stuprocentowej ochrony. Jego Eminencja nigdy nie zachowuje środków ostrożności podczas pobytu na planetach, więc zawsze łapie miejscowe bakterie.

Tyrus się skrzywił.

– Uwierz mi, doktorze, następnym razem cię posłucham.

Mogłam jedynie wpatrywać się w Tyrusa, który w ciągu kilku godzin od naszego spotkania zdążył już bardzo zmarnieć. Przypomniałam sobie, że jego skóra już wcześniej wydawała się ciepła, rozpalona. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że atakuje go choroba?

Tyrus zauważył moją minę.

– Naprawdę nie ma powodu do niepokoju – powiedział łagodnie. – To minie.

– Proszę to wypić. Niedługo wrócę, żeby sprawdzić, co się dzieje – poinstruował Tyrusa lekarz, podając mu szklankę z jakąś parującą miksturą.

Nadal stałam w nogach łóżka, oszołomiona i ogłupiała. Dlaczego wcześniej nie zauważyłam, jak kruche są żywe istoty?

– Ty czujesz się dobrze, prawda? – Tyrus sączył napój, a jego twarz lśniła od potu. – Choroba zaatakowała mnie we śnie, ale już wcześniej czułem, że coś mnie łapie.

– Rzadko choruję. – Mój głos brzmiał głucho, obco. Naprawdę czułam się dziwnie: jakbym była oddzielona od samej siebie.

Czy naprawdę niedawno pomyślałam, że wreszcie widzę go wyraźnie? Teraz dostrzegałam jedynie jego kruchość: kości, które tak łatwo złamać, skórę, którą tak łatwo przeciąć. Mordercę stworzono,

żeby był silny, żeby walczył o przetrwanie – ale nawet to go nie uratowało.

Wykazałam się nie lada arogancją, pozwalając sobie zapomnieć, co mnie odróżnia od Tyrusa. Byłam najbardziej morderczym stworzeniem, jakie kiedykolwiek zaprojektowano, a on – kruchą istotą ludzką. Mogłam żyć i mieć się doskonale, podczas gdy innych dotykały choroby i śmierć.

– Lekarz mówił, że twój pies zachorował. Dobrze się czuje? – spytał Tyrus zachrypniętym głosem.

Utkwiłam spojrzenie w punkcie nad jego głową.

– To nie był pies. – Mój głos zabrzmiał oschle, obojętnie, tak jak powinien brzmieć głos diaboliki.

– Był bestią wyhodowaną do walki i zabijania. Niczym więcej. – Rozmazał mi się obraz przed oczami i zamrugałam, żeby lepiej widzieć. – On... To stworzenie nie żyje.

– Ach – powiedział miękko. – Przykro mi, Nemezis.

– To było tylko zwierzę.

Zmarszczył brwi.

– Ale je lubiłaś. – Wyciągnął rękę. – Podejdź do mnie.

Wzdrygnęłam się.

– Nie. Odpoczywaj.

Zacisnął usta. Próbował wstać, podejść do mnie, ale nie miał dość siły i opadł na poduszki.

Schowałam w kieszeni spódnicy zaciśniętą pięść. Z całej siły walczyłam z impulsem każącym mi do niego podejść, pomóc mu.

– Odpoczywaj – powtórzyłam, wycofując się.

Tym razem nie protestował.

– Odwiedzę cię, kiedy wyzdrowieję – wychrypiał.

Wracając do swojej komnaty, czułam się dziwnie wyczerpana. Straciłam wiarę w mrzonkę, która tak niedawno gnała mnie tym korytarzem. Odzyskałam zmysły, wróciłam do brutalnej, chłodnej rzeczywistości, w której ja byłam diaboliką, a Tyrus tylko słabą, kruchą istotą, taką jak Sydonia.

Sydonia. Przycisnęłam rękę do ust i zdusiłam krzyk. Tak, to prawda, dysponowałam siłą czterech mężczyzn. Ale byłam zbyt słaba, żeby znieść kolejną stratę. Fakt, że pozwoliłam sobie na emocje, oznaczał, że nosiłam w sobie płomień, który w jednej chwili mógł zostać zduszony przez siły, z jakimi nie byłam w stanie walczyć, przez zagrożenia, których nie dostrzegałam. Troska oznaczała najgorszy rodzaj bezbronności.

Wchodząc do komnaty, przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie ulegnę tej słabości.

Gorączka planetarna trawiła Tyrusa przez tydzień. Wiedziałam, że nie umiera – w przeciwnym razie doktor nan Domitrian czuwałby w jego komnacie. Tymczasem jak zwykle przez większość podróży zajęty był jedzeniem.

Nie odwiedzałam Tyrusa, ale tak naprawdę ani na chwilę o nim nie zapomniałam. Wdzierał się w moje myśli, jego obraz towarzyszył mi na każdym kroku. Gdy spałam, gdy ćwiczyłam, gdy dłużył mi się czas w ciągu dnia – wyobrażałam go sobie i za nim tęskniłam. Zupełnie jakbym zażyła jakiś narkotyk i natychmiast się uzależniła. Byłam jak na głodzie.

Gdy Tyrus wreszcie wstał z łóżka, z uwagą wypatrywałam zmian, które w nim zaszły, choć bardzo chciałam skupić się na czymś innym. Wyraźnie schudł, ale humor mu dopisywał. Na mój widok oczy załśniły mu z przejęcia. Szukałam wymówek, żeby unikać jego wzroku – żeby unikać jego obrazu, który wciąż nawiedzał moje myśli.

Pewnego dnia, kiedy ćwiczyłam podciąganie się na drążku, zauważyłam, że obserwuje mnie, stojąc w drzwiach.

– Nie możesz mnie wiecznie unikać – powiedział.

Utkwiłam spojrzenie na punkcie między jego brwiami, byleby tylko nie patrzeć mu w oczy.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Co się dzieje? Czuję, że coś jest nie tak.

Opadłam na podłogę i przeszłam do pompek, udając, że nie zwracam na niego uwagi. Czułam się tak, jakbym odwracała się plecami do supernowej. Nie byłam w stanie uciec od jego blasku.

– To dlatego, że cię pocałowałem, tak? – Podszedł i stanął naprzeciwko mnie. – Wystraszyłaś się.

– Wcale się nie wystraszyłam – wycedziłam szyderczo, stając na rękach. Skórę zwilżyła mi warstewka potu. Tyrus był wystarczająco blisko, żebym czuła żar bijący z jego ciała. – Jestem wkurzona.

Gwałtownie uniósł brwi.

– Tak?

– Nie jestem taka jak ty. Nie potrafię czuć tego, co ty, Wasza Eminencjo.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Ośmielam się mieć inne zdanie na ten temat. Kiedy opuszczaliśmy Luminę, wydawałaś się kipieć od uczuć.

– Tak myślisz? – Byłam zadowolona z obojętnego tonu swojego głosu. – W takim razie, Wasza Eminencjo, muszę przeprosić, że wprowadziłam cię w błąd.

Chwycił mnie za ramię, a jego dotyk sparzył mi skórę.

– Tyrus, do cholery. Przecież mówiłem, żebyś zwracała się do mnie po imieniu.

– To niestosowne.

– Nemezis, do diabła z tym, co stosowne, a co nie! Nigdy tak między nami nie było.

– W ogóle niczego między nami nie było! – Wyrwałam mu się i odwróciłam. – Nie jestem człowiekiem, Tyrusie – wyplułam jego imię. – Nie potrafię kochać. Nie mogę być sympatią, kochanką



ani towarzyszką. Nie jestem taka, nie jestem do tego zdolna. – Odwróciłam się. – Oczekujesz ode mnie więcej, niż mogę ci dać. Prosisz mnie o coś niemożliwego.

Milczał, ale zrobił się blady. Od jego wyzdrowienia upłynęło tak mało czasu, że ten widok mnie zaniepokoił – a wcale nie chciałam czuć niepokoju. W ogóle nie chciałam niczego czuć, jak przystało na diabolikę.

Podszedł do mnie i brutalnie mnie do siebie przyciągnął, szukając ustami moich ust. Pocałunek był mocny, pożądliwy. Tyrus zamknął mnie w silnych ramionach, tuląc do swojego szczupłego ciała.

Na jedną głupią, niewybaczalną chwilę znowu mnie pokonał. Jego dotyk po tylu dniach tęsknoty... Czuałam się, jakbym obudziła się we śnie, miałam wrażenie, że oddzielam się od własnego ciała. Właśnie tego chciałam. Tylko tego chciałam...

I w jednej chwili mogłam to stracić.

Z oszołomienia wyrwał mnie wszechogarniający, dławiący strach. Odepchnęłam Tyrusa.

– Dość! Zbyt wiele ode mnie oczekujesz. Chciałbyś nauczyć psa tańczyć? Oczekiwałbyś od serwitora, że będzie pisał wiersze? Ja tego nie potrafię. Nie jestem zdolna do prawdziwych uczuć. Nigdy nie będę taka, jak byś chciał. Daj spokój. Przestań.

Twarz Tyrusa sposepniała, znowu nałożył maskę ostrożności. Przez chwilę przyglądał mi się ze spokojem, który zdawał się przenikać przez wszystkie moje systemy obronne.

A potem pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział cicho. – Nie będę się narzucał ze swoimi uczuciami, jeśli nie są mile widziane. Od tej pory dam ci spokój.

– O nic więcej nie proszę. – Odwróciłam się od niego i znowu zaczęłam ćwiczyć. Jego obecność była dla mnie udręką. Wreszcie wyszedł.

Przez resztę podróży nie walczyliśmy i nie rozmawialiśmy ze sobą, jeśli pominąć mdłą wymianę uprzejmości. Tyrus stał się taki odległy i oschle uprzejmy, że chyba byłoby mi łatwiej, gdyby okazywał złość. Ilekroć przebywaliśmy razem w jednym pomieszczeniu i powietrze przenikał lodowaty chłód, próbowałam sobie wmówić, że właśnie tego chciałam. Nie było sensu zajmować się tą niepokojącą, bolesną pustką – chciałam się od niej uwolnić.

Mimo to towarzyszyła mi nieustannie.

Być może nie tylko Tyrus i Morderca zarazili się czymś na Luminie. Niepokojąca potrzeba, która obudziła się we mnie, gdy opuszczaliśmy planetę, wydawała mi się teraz śmiertelną chorobą.

Postanowiłam, że się z niej wyleczę. W końcu byłam diaboliką, a diaboliki nie mają duszy. Każdy o tym wiedział. Już nigdy więcej nie zamierzałam być tak głupia, żeby w to wątpić.

## ROZDZIAŁ 36

Wróciliśmy z Tyrusem do Chryzantemum, gdzie czekała nas feta zorganizowana na jego cześć. Sam cesarz wyszedł nas powitać, a Valor Novus rozbrzmiewał gwarem – w sali zgromadził się tłum świętujących. Wszyscy byli ubrani w lśniące szaty.

– Nasz bohaterze! – zaśmiał się serdecznie monarcha i ciepło uściskał Tyrusa. – Musisz nam opowiedzieć, jak zdławiłeś ten bunt. Użyłeś rozpuszczającej mgły?

– Tego? – Tyrus spokojnie uniósł fiolkę. Zebrani wydali z siebie zduszony okrzyk. Natychmiast rozpoznali substancję. – Wiem, że rozkazałeś mi jej użyć, ale po rozmowie z moją ukochaną... – Objął mnie w talii i przyciągnął do siebie. – Sydonia przekonała mnie, żebym spojrzał na Luminarian z innej strony. Powiedziała: „Najdroższy, to rozumne stworzenia. Przemów im zatem do rozumu!”. – Uśmiechnął się do słuchającego w skupieniu tłumowi. – Dacie wiarę? Za jej radą po prostu... przekonaliśmy ich do zmiany zdania.

Cesarz spochmurniał – i nic dziwnego. Tyrus właśnie podważył zasadność jego polityki w obecności grandecji. Wuj kazał mu zabić przywódców Luminarian, a Tyrus postanowił ich oszczędzić.

– Wykazałeś znaczną inicjatywę – powiedział cicho monarcha, a w jego głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta.

– Wybacz mi, wuju. – Tyrus puścił mnie i padł na kolana, chwytając cesarza za rękę i przyciskając ją sobie do policzka. Wokół zapanowała absolutna cisza, otaczający nas tłum wstrzymał oddech. Po chwili Tyrus wypowiedział brzemiennie w skutki słowa: – Po prostu pomyślałem, że... Lumina to bogata prowincja, a skoro cesarski skarbiec świeci pustkami...

W tłumie rozległy się zduszone okrzyki – powiedzenie w sposób tak swobodny o tajemnicy państwowej najwyższej wagi musiało wzbudzić zdumienie. Cesarz zbladł.

– ...uniknięcie otwartego konfliktu – ciągnął Tyrus – wydało mi się rozważnym posunięciem. Mogłem ich przecież przekonać, używając siły perswazji. – Zawahał się i spojrzał na wuja z udawanym zdziwieniem. – Myślałem, że Wasza Najwyższa Czcigodność to pochwali. Mówisz, wuju, że postąpiłem źle?

Cesarz spiorunował Tyrusa wzrokiem. Ściągną na jego szyi nabrzmiały od ledwie skrywanej wściekłości. Zauważyłam, że stojąca z tyłu *grandeé* Cygna bacznie mu się przygląda, a na jej ustach błąka się nieprzyjemny uśmieszek. Nie była głupia. Doskonale rozumiała, jak daleko posunął się tym razem Tyrus, podważając publicznie władzę cesarza. Ale czy była w stanie się domyślić, że zrobił to specjalnie? A jeśli tak, czy zamierzała wykorzystać tę okazję, żeby zacząć sączyć jad do uszu swojego

syna?

Cesarz wyrwał ręce z uścisku Tyrusa, a potem powoli potoczył wzrokiem po grandesach, którzy właśnie po raz pierwszy byli świadkami otwartej rozmowy o kiepskiej sytuacji finansowej imperium... i po raz pierwszy zobaczyli, że cesarz dąży do rozlewu krwi, a następca tronu opowiada się za umiarkowaniem i rozsądkiem...

Pochwyciłam wzrok Tyrusa i wymieniliśmy spojrzenia. Jak sprytnie to zaplanował: zapewnił sobie wielkie zwycięstwo, które gwarantowało, że po powrocie powita go tłum, i czekał, żeby wtedy, dopiero wtedy, wykonać pierwszy poważny ruch przeciwko wujowi. Poza tym tego dnia jeszcze ani razu nie udawał szaleńca. Oficjalnie porzucił tę taktykę. Gdy moje spojrzenie pobiegło z powrotem ku *grandeé* Cygnie, rosnąca dezorientacja na jej twarzy uświadomiła mi, że i ona zdała sobie z tego sprawę.

Pod ciężarem tak wielu spojrzeń cesarz w końcu wysilił się na słaby uśmiech. Pomógł Tyrusowi wstać z klęczek.

– Ale mnie zaskoczyłeś, siostrzeńcu. – Mimo łaskawego tonu spojrzenie wciąż miał zimne i bezlitosne.

– Senatrix von Impirian wywiera na mnie łagodzący wpływ – odrzekł Tyrus, wruszając ramionami. Znowu mnie do siebie przyciągnął. – Bez niej byłbym zgubiony.

– Zauważyłem.

W głosie cesarza nie było cienia serdeczności, a gdy znowu spojrzałam na jego twarz, przypominała maskę śmierci. Poczułam dojmujący niepokój. Ta chwila była punktem zwrotnym. Bez względu na to, jakie konfrontacje z wujem czekały jeszcze Tyrusa i jakie boje będzie musiał stoczyć, żeby zasiąść na tronie – ten moment był początkiem zmian.

Zdziwiła mnie ulga, z jaką po tygodniach nieobecności wracałam do swojej willi. Po drodze zachwyciłam się nawet pięknem skąpanej w słońcu niebiańskiej kopuły, która wcale mnie już nie onieśmielała, odkąd stanęłam na powierzchni prawdziwej planety i doświadczyłam jej przerażającej pogody.

Tutaj, w Chryzantemum, wszystko było zaprogramowane. W powietrzu fruwały tylko te owady, które zdecydowano się umieścić w ogrodzie. W powietrzu nie było nadmiaru wilgoci sprawiającej, że oddech stawał się ciężki. Rośliny nie prowadziły chaotycznej walki o przetrwanie. Jedynymi niezaprogramowanymi organizmami były istoty ludzkie.

Mój wzrok zatrzymał się na ulubionym drzewie Mordercy. Poczułam w piersi bolesne ukłucie.

Wchodząc do swojej willi, wciąż byłam myślami przy nim, więc nie od razu zauważyłam zmiany. Dostrzegłam je jednak, gdy moje oczy przyzwyczyły się do półmroku: jeden z serwitatorów doglądał nowego krzewu jaśminu, inny obszywał jakąś szatę.

Napięłam wszystkie mięśnie. Znieruchomiałam i zaczęłam nasłuchiwać. Ktoś tu był. Usłyszałam kroki, które w niczym nie przypominały monotonnego, miarowego dreptania moich serwitörów. Ktoś przeszedł kawałek, zatrzymał się, odwrócił.

Ruszyłam w stronę sąsiedniego pokoju, w którym czaił się intruz. Kimkolwiek był, musiał się przede mną wytłumaczyć – inaczej czekała go rychła śmierć.

Przeszłam przez drzwi.

Sydonia gwałtownie się odwróciła i na jej twarzy odmalowała się ulga.

– Jesteś wreszcie! Już zaczynałam się martwić.

Stałam jak wryta. Tępo wpatrywałam się w ten miraż. To była jakaś sztuczka – na pewno. Sydonia nie żyła. Ale ta dziewczyna...

Uciekła się do bardzo prymitywnego podstępu – rozjaśniła sobie cerę, włosy i oczy. W gruncie rzeczy pozostała jednak Sydonią.

Nie wierzyłam w duchy ani zjawy. Nie potrafiłam jednak znaleźć innego wyjaśnienia. Stałam jak oniemiała, a ona podeszła do mnie, zarzuciła mi na szyję wątle ramiona i wtuliła głowę w moje ramię.

– Och, Nemezis, nic ci nie jest!

Pachniała jak Sydonia, jej ulubionym olejkiem lawendowym. To nie mogła być prawda. To z pewnością nie była prawda. Zaczynałam tracić rozum!

Odskoczyłam od niej.

– Zwariowałam.

– Nie, nie, nie zwariowałaś. – Do oczu Donii napłynęły łzy. – To długa historia. Ale teraz jestem tutaj, Nemezis. Cała i zdrowa.

Przełknęłam ślinę. Wyciągnęłam rękę, żeby jej dotknąć – a potem wydałam z siebie zduszony okrzyk i szybko cofnęłam dłoń, gdy moje palce zetknęły się z ciepłym, żywym ciałem.

– Opowiadaj – szepnęłam.

Kiedy znowu sięgnęła po moją rękę, wzdrygnęłam się i cofnęłam. Po jej twarzy przemknął cień żalu.

– Nie podejdziesz do mnie?

– Nie. – Mój głos brzmiał bardzo słabo. Bałam się jej – bałam się, że okaże się snem.

– Gdy rozmawialiśmy ostatnim razem – powiedziała – byłaś zdenerwowana. Roześmiałaś się, pamiętasz? I to cię zmartwiło.

Wypuściłam powietrze. To działo się w zupełnie innej rzeczywistości, całe wieki temu. Wtedy Morderca jeszcze żył, z Sydonią mogłam się połączyć w subprzestrzeni, a Tyrus był tylko jedną z wielu obcych osób, szalonym siostrzeńcem cesarza...

– Wiedziałam, że będziesz na mnie wściekła, więc nie wspomniałam ci, że przyjeżdżam. –

Uśmiechnęła się niepewnie. – Mamie i tacie też nie powiedziałam. Nadal mieliśmy chip tożsamości Sutery nu Impirian, więc go wykorzystałam, żeby dostać się na pokład statku z zaopatrzeniem, a potem wydałam rozkazy i przyleciałam tutaj jako twoja marszałkini etykiety. Pomyślałam, że sprawdzę, co u ciebie słyhać, upewnię się, że wszystko z tobą w porządku, a potem wrócę...

Ugięły się pode mną nogi. Upadłam na podłogę, nie odrywając wzroku od Sydonii i z trudem łapiąc powietrze.

Uklękła naprzeciwko mnie z przejętą miną.

– A potem dowiedziałam się, że nasza forteca została zniszczona.

– Donia. – Wymamrotałam to słowo ze zdumieniem. To była ona. Przyleciała tu. Żyła!

– No więc przyleciałam. Ale ciebie nie było, Nemezis. Tak bardzo się o ciebie martwiłam!

– Donia! – wyrwało mi się z ust i padłam jej w ramiona.

Krzyknęła, gdy ją przewróciłam i zamknęłam w uścisku. A potem zaczęła się śmiać. To był najpiękniejszy dźwięk w całym wszechświecie. „Ona żyje, ona żyje...”

Uświadomiłam sobie, że się trzęsę, a z mojego gardła wydobywa się dźwięk przypominający łkanie, i zdałam sobie sprawę, że Donia się wystraszyła. Chciała się odsunąć, ale jej nie pozwoliłam. Nie mogłam wypuścić jej z objęć. Po chwili wydała z siebie zduszony okrzyk.

– Nemezis, jesteś za silna, to boli.

W końcu rozluźniłam uścisk. Ujęła moją twarz w drobne dłonie i na mnie spojrzała. Jej oczy lśniły.

– Och, Nemezis, ja też za tobą tęskniłam. Wszystko u ciebie dobrze?

Chwilę trwało, zanim zdołałam wykrztusić odpowiedź na to niedorzeczne pytanie.

– Nie – powiedziałam.

Uśmiechnęła się smutno.

– To tak jak u mnie.

Teraz wszystko miało się jednak zmienić. Dla nas obu.

Donia tu była. Nie została zamordowana. Niczego więcej nie mogłam chcieć od tego życia, od tego wszechświata. Nie miałam już wątpliwości, że – tak jak twierdzili kapłani podczas ceremonii w Wielkiej Heliosferze – istnieje coś potężniejszego ode mnie, co jest dobre, sprawiedliwe i łagodne, bo właśnie dostałam dowód. Wiedziałam, że światło gwiazd nigdy nie pobłogosławiłoby diaboliki, ale w tej chwili mogłam całym sercem wysławiać Żywy Kosmos, który zwrócił mi Donię.

Nie zamierzałam nigdy więcej pozwolić, żeby mi ją zabrano. Jednak już sama myśl o potencjalnym zagrożeniu wprawiała mnie w przygnębienie. Donia żyła, ale wiedziałam, że jeśli ktoś ją tu znajdzie, będzie zgubiona. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że jest prawdziwą Sydonią Impirian,

groziłaby jej egzekucja za zdradę stanu, bo wcześniej kazała mi się pod siebie podszywać – a mnie groziłaby egzekucja za to, że wypełniłam jej plan. Przesłuchano by także Tyrusa. Cesarz rozprawiłby się z siostrzeńcem, a takie rodziny jak Pasmusowie głośno domagałyby się usunięcia ostatniej pozostałości po wpływach Impirianów.

Czy jednak istniało inne wyjście? Przecież Sydonia nie mogła się podawać za moją marszałkinię etykiety i czekać na śmierć cesarza. Była pełnoprawną galaktyczną senatorką, następczynią swojego ojca.

Przez kilka następnych dni głowiłam się nad tym problemem. Nie opuszczałam willi, zdawkowo odpowiadając na wszystkie wiadomości od Tyrusa i odrzucając jego wezwania. Cały ten zagmatwany i burzliwy czas, jaki spędziliśmy wspólnie, zostawiłam za sobą, a towarzyszące mi wówczas niepewność i rozdręganie ustąpiły miejsca spokojowi i radości: Donia znów była obok, a ja byłam jej diaboliką i tak jak dawniej przyświecał mi jasny cel. Wcześniej zachodziłam w głowę, jak to możliwe, że wszechświat wciąż istnieje po jej śmierci, że żyję bez niej. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się nad tym zastanawiałam.

Donia chciała poznać wszystkie szczegóły mojego życia w Chryzantemum, więc przedstawiłam jej najostrożniej i najobojętniej, jak umiałam. Powiedziałam, że odsunęłam się od Gladdica. Ku mojemu zdziwieniu uśmiechnęła się i odrzekła czule: „Och, Nemezis”, jakby w ogóle jej to nie obchodziło. Wywołałam lekki uśmiech na jej twarzy, opowiadając, jak Elantra bezskutecznie próbowała mnie skłonić do wygłoszenia heretyckich przekonań. Zasmuciła się, gdy mówiłam o tamtym pamiętnym dniu, w którym zginęła jej rodzina.

Musiałam na chwilę zamilknąć, bo po jej policzkach popłynęły łzy. Później bez słowa głaskałam ją po ramionach, gdy znowu płakała z powodu straty.

Przytulanie się nigdy nie przychodziło mi naturalnie. W fortecy Impirianów zawsze kojarzyło mi się z krokami jakiegoś dziwnego tańca, którego nikt nigdy mnie nie nauczył. Zaczęłam go jednak poznawać z Tyrusem i teraz, gdy obejmowałam Donię, ta umiejętność bardzo mi się przydała.

– Już dobrze – szepnęłam i w końcu jej łzy zaczęły płynąć wolniej.

– Powiedz mi, co było potem – poprosiła, ocierając policzki grzbietem dłoni.

Nie miałam ochoty do tego wracać. Wspomnienie tamtych okropnych dni po jej rzekomej śmierci było jak ostrze przecinające mnie na wskroś, gruchoczące kości i rozrywające ścięgna.

– Byłam zrozpaczona – powiedziałam sztywno. Starłam się odgrodzić od tych wspomnień, jakby należały do obcej osoby. – Wystąpiłam przeciwko cesarzowi.

Donia wydała z siebie zduszony okrzyk.

– Walczyłam z Wrogością, jego diaboliką. Zabiłaby mnie, gdyby nie... gdyby nie pierwszy następca. Spadkobierca cesarza.

Zdumiona Donia wytrzeszczyła oczy.

– Tyrus Domitrian?

– Tak. Zabił Wrogość. – Szeptalam, choć nikt nie mógł nas usłyszeć. Tyrus przysłał własne ochronoboty, żeby dwa razy dziennie oczyszczały moje komnaty z urządzeń szpiegujących. – Doniu, zawiązała się między nami nić porozumienia.

Gdy wtajemniczyłam ją w nasz plan oczyszczenia reputacji Tyrusa i zapewnienia mu pozycji, z której mógłby wystąpić przeciwko wujowi i dopiąć swego, Donia oparła głowę o moje ramię.

– Pomścimy twoją rodzinę – oznajmiłam jej.

– Och, Nemezis, to brzmi niebezpiecznie. Nie mogę stracić także ciebie.

– Nie stracisz.

Ale miała rację – to było niebezpieczne. Wcześniej się tym nie przejmowałam, lecz teraz, gdy się tu znalazła, musiałam przemyśleć wszystko jeszcze raz. Nie mogłam dalej podawać się za Sydonię von Impirian – oznaczałoby to roszczenie sobie praw do należnego jej miejsca. Musiałam przyznać się do oszustwa. Gdybym jednak czekała z tym do chwili, w której Tyrus zostanie cesarzem, przypadłoby mu w udziale ukaranie mnie dla przykładu.

Wzięłam głęboki oddech. Byłam gotowa z radością zapłacić tę cenę. Zawsze wiedziałam, że umrzeć za Donię to mój obowiązek.

– Jaki jest Tyrus Domitrian? – spytała Sydonia.

Na dźwięk jego imienia przeszedł mnie dreszcz. Odwróciłam wzrok, czując nietypową dla siebie obawę, że zdradzi mnie moja mina.

– Inteligentny. – Przynajmniej mój głos zachował neutralne brzmienie. – Niezwykle inteligentny. Działa w bardzo przemyślany sposób.

– Czy on jest... godny zaufania?

Chciałam powiedzieć: „Tak”. A jednak kiedy byłam z Donią, ta absolutna pewność już nie wydawała mi się oczywista.

– Nikomu, kto nie jest tobą, nie mogłabym ufać bardziej.

– Powiesz mu o mnie?

– Nie.

Moja odpowiedź zabrzmiała ostro. Sydonia wyprostowała się i spojrzała na mnie z niepokojem.

– Słuchaj – stwierdziłam, ujmując ją za brodę. – Zostaniesz tu i nikomu nie będziesz się pokazywać, dopóki nie wymyślę jakiegoś planu. Nie mogę... – Zaszło mi w ustach i ścisnęło mnie w sercu. – Nie mogę ryzykować, że znowu cię stracę.

– Wiem.

– To by mnie zniszczyło.

– Wiem. – Zarzuciła mi ręce na szyję i poczułam na skórze jej łyzy. – Ja też cię kocham, Nemezis.

Westchnęłam. Nie byłam w stanie wypowiedzieć tych słów, ale Donia знаła moje serce. Bo gdy chodziło o nią, miałam serce. Jeśli przez cały ten czas Tyrus przenosił mnie przez strumień, to właśnie okazywałam się skorpionem i odsłaniałam swoją prawdziwą naturę – zamierzałam chronić Sydonię za wszelką cenę. To ona zawsze miała być dla mnie najważniejsza, nawet gdyby to oznaczało, że muszę ukąsić pierwszego następcę.



## ROZDZIAŁ 37

Nasiona nieufności zasiane w umyśle tyrana kiełkowały szybko. Od czasu naszego powrotu z Luminy cesarz już nie patrzył na Tyrusa z pobłażaniem. Tyrus zaś ukradkiem rozszerzał zakres swojej kampanii mającej na celu podważenie władzy wuja. Był jednak ostrożny, zawsze działał w sposób, jaki tylko najbardziej paranoiczny umysł mógłby uznać za celowy.

Od czasu do czasu rzucał bezceremonialne uwagi na temat zamordowanych wrogów cesarza, swobodnie wymieniając ich imiona w obecności krewnych, którzy najprawdopodobniej wciąż cierpieli po utracie najbliższych. Znowu wspominał o bankructwie Korony – szczególnie chętnie robił to w obecności największych plotkarzy w cesarstwie. W dniu, w którym miała miejsce walka między mantykora cesarza a cenną hybrydą tygrysa i niedźwiedzia należącą do senatora von Fordyce’a, wydał przyjęcie dla tej części grandecji, która nie znosiła takich rozrywek. „Sydonia pokazała mi lepszą drogę – oznajmił dobitnie swoim gościom, biorąc mnie za rękę. – Upajanie się krwawymi sportami jest na wskroś niecywilizowane. – Przysunął się do mnie i głaszcząc mnie palcem po szyi, spytał z uśmiechem: – Prawda, kochanie?”

Do przeciwników walk zwierząt należeli arystokraci o określonych poglądach politycznych, więc jego gest był tym bardziej ryzykowny.

Na przyjęcie Tyrusa przybył tłum gości. Cesarz z pewnością był poirytowany, że tak wiele osób ominął triumf jego mantykory. Nie była to jednak obraza na miarę zdrady stanu. Nie mógł publicznie skrytykować za to Tyrusa. Nic, co robił pierwszy następca, nie zasługiwało na oficjalną karę.

Podczas kolejnego rodzinnego posiłku, na który zaprosił mnie Tyrus, cesarz był dziwnie milczący. Siedział zgarbiony, z ustami zaciśniętymi w cienką białą kreskę. Czekał, aż członkowie rodziny spróbują przeznaczonych dla niego potraw. Gdy przyszła kolej Tyrusa, nachylił się w jego stronę z uwagą, jaką dawniej okazywał jedynie matce.

– Spróbuj też z drugiej strony – polecił, gdy siostrzeniec odkroił kawałek dziczyzny.

Tyrus spełnił prośbę i już miał przekazać talerz dalej, gdy cesarz rozkazał:

– A teraz odwróć na drugą stronę i spróbuj spod spodu.

Cygna popatrywała czujnie to na syna, to na wnuka.

– Nic nie zostanie dla ciebie, synu – zauważyła.

Cesarz nie odrywał wzroku od Tyrusa.

– Zrób to.

– Oczywiście, Wasza Wspaniałość. – Tyrus odkroił duży kawałek mięsa i ostentacyjnie zaczął się nim delektować. – Wyborne. Rzeczywiście dostajesz najlepsze kaski.

To rozdrażniło cesarza.

– Podajcie mi talerz. – Obejrzał resztki dziczyzny. – Przecież zupełnie to rozgrzebałeś! Pożarłeś połowę mojego dania.

Mina Tyrusa wyrażała czystą niewinność.

– Przepraszam, Wasza Wspaniałość. Czy nie rozkazałeś, żebym spróbował z każdej strony?

– I tak nie mam dziś apetytu – warknął cesarz, lecz mimo to łapczywie rzucił się na mięso.

Przez następne krępujące pół godziny biła od niego wyraźna wrogość. Tyrus gawędził z babcią, udając dobry humor, a cesarz siedział w milczeniu, coraz bardziej poirytowany.

Później, gdy szliśmy do mojej willi, Tyrus pokazał na górę.

– Spójrz – powiedział. – Nie ma słońc.

Podniosłam głowę i ku swojemu zdziwieniu zobaczyłam nagą przestrzeń. Niebiańska kopuła nie zwracała się w stronę żadnej z sześciu gwiazd. Był to rzadki widok.

– Ciesz się tym, póki możesz – powiedział Tyrus. – Niedługo wszystkie sześć gwiazd znajdzie się w bliskiej odległości. Właśnie wtedy wuj zorganizuje wielki wyścig. Poprzednim razem właściwie doprowadził się do bankructwa.

– Jak to?

Tyrus zaśmiał się.

– Utopił pieniądze, za które można by kupić całą armadę, stawiając na jednego pilota. Już na pierwszym odcinku wyścigu jego faworyt miał wypadek – zahaczył o niego inny statek i obaj piloci wypadli z toru. Randewald stracił wszystko. – Uśmiech Tyrusa zbladł. – Był wściekły. Kazał zabić obu pilotów, ich rodziny i załogi.

Zapadła między nami ponura cisza. Przypomniało mi się, jak cesarz rozkazał Skórze obedrzeć się ze skóry, i przeszedł mnie dreszcz.

– Zaczyna tracić do ciebie zaufanie – ostrzegłam Tyrusa.

Spojrzał na mnie spokojnie.

– Tak, wiem. Częściej widuję go w towarzystwie Devineé i Salivara, mimo że są upośledzeni. Okazując im względy, chce, bym zaczął się niepokoić. Przypuszczam, że niedługo będziesz mi potrzebna bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

– Tyrusie, zawsze jestem czujna. – Miałam ku temu więcej powodów, niż podejrzewał. Był dla mnie teraz gwarancją, że po jego sukcesji Sydonia odzyska stanowisko, że będzie miała wpływowego przyjaciela. A poza tym...

Chciałam, żeby zwyciężył.

Niepokoili mnie myśli, że jego los nadal w dużej mierze zależy ode mnie. Donia wróciła. Myślami powinnam była być wyłącznie przy niej. Ale późnym wieczorem, gdy ona już spała, to o nim myślałam najwięcej.

Zależało mi na jego dobru. Zależało mi za bardzo.

Baczenie przyglądał się mojej twarzy.

– Ostatnio jesteś w znacznie lepszym humorze.

– Nie wiedziałam, że byłam w gorszym.

Westchnął, a potem zatrzymał się i spojrzał mi w oczy.

– Nemezis. – Mówił cichym, spokojnym głosem. – Na statku panowała między nami niezręczna atmosfera. Ale chcę, żebyś wiedziała... – Leciutko dotknął mojej twarzy, jakbym była delikatna, krucha. – Nigdy nie chciałem, żebyś czuła się skrepowana. Przepraszam.

Poczułam ucisk w żołądku. Nie miałam ochoty rozmawiać o tym, co zaszło między nami na statku. Gdybym mogła się pozbyć tego wspomnienia, zrobiłabym to. Nie zaprotestowałam jednak, gdy przysunął się do mnie, a jego usta znalazły się tak blisko moich. Tak blisko...

Dlaczego nie potrafiłam uśpić tych dziwnych pragnień, które we mnie obudził?

– To, co zaszło na statku – powiedziałam niepewnie – nie miało oczywiście żadnego znaczenia.

Jak mogłoby być inaczej? Tyrus właśnie o włos uniknął egzekucji i był wdzięczny, że go uratowałam. Po tym, jak go odepchnęłam, bez wątpienia przeanalizował swoje uczucia. Uświadomił sobie, jakim były szaleństwem.

– Żadnego znaczenia – powiedział spokojnie.

– Dobrze. No więc co dalej?

– Dalej? – Uniósł brwi. – Ciągnę to, co zacząłem. Drobne gesty tu i tam, rezygnacja z działań mogących narazić mnie na odwet na rzecz prowokacji pozwalających wydobyć z wuja to, co najgorsze, a we mnie ukazać to, co najlepsze. A to, co we mnie najlepsze, to oczywiście moja szlachetniejsza strona, odsłaniana przez *grandeé* von Impirian. – Uśmiechnął się do mnie przebiegle, ale szybko spoważniał. – Teraz największą przeszkodą jest moja babka.

– Dlaczego?

– Bo wuj słucha podszeptów tej jadowitej zmii. Może mu doradzać ostrożność, rozwagę. Może rozpuścić o mnie jakieś plotki. Nigdy nie potrafiłem osłabić jej wpływu.

– Coś wymyślisz.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Mam nadzieję, że nie zawiodę nadziei, jakie we mnie pokładasz. – Zawahał się, wpatrzony w moją twarz. Chyba pragnął dodać coś jeszcze, po chwili jednak wzruszył ramionami, zrobił krok do tyłu i powiedział neutralnym, oficjalnym tonem: – Dobranoc, Nemezis.

Ilekróć rozstawałam się z Sydonią, wracałam do willi z duszą na ramieniu – bałam się, że mogła zniknąć, zwyczajnie rozplynać się we mgle jak cień, znowu gdzieś przepaść, zginąć. Jak na razie

jednak moje koszmary się nie urzeczywistniły. Gdy widziałam, że na mnie czeka, ogarniała mnie niewysłowiona ulga. Donia nadal żyła. Nie była zjawą ani urojeniem.

Cieszyła się, że przebywa w niemal zupełnej izolacji, bo trochę się bała, a poza tym miała naturalną skłonność do introwersji. Poprosiłam Tyrusa o książki na temat dawnej Ziemi. Jego serwitorki dostarczyli mi kilka skrzyń.

– Więc jednak zainteresowałaś się historią? – spytał.

– Podobno to właśnie dzięki książkom zdobyłeś moje serce... więc muszę udawać, że chcę ozdobić nimi willę.

Teksty z biblioteki Tyrusa zafascynowały Sydonię. Po powrocie do willi zawsze zastawałam ją pogrążoną w lekturze. Wytrzeszczając oczy, z wielką ostrożnością przerzucała bezcenne strony, korzystając z bota, który tłumaczył jej fragmenty napisane w przestarzałych językach. Nazywała je łaciną, rosyjskim i angielskim.

Bardzo chętnie opowiadała mi o wszystkich teoriach, o których czytała.

– Znalazłam niezwykle wyjaśnienie faktu, że w miarę zbliżania się do czarnej dziury następuje coraz większe zaburzenie czasu. Wcześniej nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czemu może się tak dziać, ale...

Słuchałam jej opowieści bez zbytniego zainteresowania, po prostu ciesząc się z jej entuzjazmu.

Pewnego dnia, gdy spędzałyśmy czas w ten sposób, odezwał się głos w interkomie:

– Cygna Domitrian do Sydonii von Impirian.

Zamarłam. Sydonia gorączkowo wodziła wzrokiem między mną a drzwiami. Oczywiście wiedziała o matce cesarza, ale żadnej z nas nie przyszło do głowy, że Cygna mogłaby mnie odwiedzić.

Cygna nie czekała, aż ją wpuszczę. Już wchodziła do środka, korzystając z prawa przysługującego członkom rodziny cesarskiej.

Natychmiast zerwałam się na nogi, a Sydonia pochyliła głowę, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Z szacunkiem padłam na kolana. Cygna niedawno znów się odmłodziła i miała teraz burzę brązowych loków, oczy pozbawione rzęs, wystające kości policzkowe i świeżo ujędrnione usta. Gdy podawała mi rękę, jej drapieżny wzrok spoczął na Sydonii.

– A to kto? – spytała, kiedy przyłożyłam jej knykcie do policzka. – Nie jest serwitorką ani pracownicą.

– Jestem... – zaczęła Donia i zaraz zamilkła. Szkolono ją jako osobę o najwyższym statusie, która zawsze przemawia w swoim imieniu. Na jej twarz wkradł się rumieniec, gdy przypomniała sobie, że to ja jestem nią, a ona zaledwie zbędnikiem. Pochyliła głowę. – Proszę o wybaczenie.

– To Sutera nu Impirian – powiedziałam. – Marszałkini etykiety od dawna towarzysząca naszej rodzinie.

– Ach tak. Jak to dobrze, że przybyła dotrzymać ci towarzystwa po tragedii, która spotkała twoją

rodzinę.

– Szkoliła mnie w zakresie dworskiej etykiety. Jestem jej dozgonnie zobowiązana. To miło z jej strony, że przyjechała.

– Może już wyjść – powiedziała Cygna.

Donia odzyskała władzę w nogach i rzuciła mi zatroskane spojrzenie, a potem ruszyła do drzwi. Bała się zostawić mnie w towarzystwie tej harpii, ale ja poczułam ogromną ulgę, patrząc, jak oddala się od matki cesarza.

Cygna odprowadzała Donię wzrokiem, gdy moi serwitorzy szykowali dla niej miejsce do siedzenia, rozkładając poduszki i włączając talerze antygravitacyjne. Gdy usiadła, zajęłam krzesło naprzeciwko niej, z niepokojem myśląc o tym, co mogło ją do mnie sprowadzić.

– Senatorko von Impirian, masz niezwykle dobroczynny wpływ na mojego wnuka – powiedziała oficjalnym tonem. – Dlatego budzisz we mnie wielką ciekawość.

Pod względem usposobienia bliżej jej było do następcy tronu niż do cesarza. Wiedziałam, że to po niej Tyrus odziedziczył skłonność do starannego, niespiesznego namysłu. Z wysiłkiem skupiłam się na wszystkich zdradliwych elementach swojego wyglądu i reakcjach, na które zwracała uwagę matriarchini – takich jak przyglądanie się bez mrugania czy pusty wyraz twarzy – i starałam się je wyeliminować.

– Bardzo lubię pierwszego następcę – powiedziałam z prostotą.

– Wielce mnie to dziwi. Zawsze uważałam, że Tyrus cierpi na pewną słabość umysłu. – Nawet na chwilę nie odrywała ode mnie wzroku. Miała spojrzenie godne diaboliki.

– Wasza Eminencjo, zauważyłam jego brak zrównoważenia, ale odkryłam, że można złagodzić ten stan.

– Znów mnie zaskakujesz. To zdumiewające, moja *grandeé*, ile się dowiedziałaś o moim wnuku. Odkryłaś rzeczy, których sama nigdy nie zauważyłam. Powiedz mi, proszę, co on chce wskórać, zrażając do siebie mojego syna?

Tak bezpośrednie pytanie wytrąciło mnie z równowagi.

– Ja... ja... nie wiem, co pani przez to rozumie.

Uśmiechnęła się chytrze.

– Ja... ja... – powtórzyła za mną jak szydercze echo. – Dziewczyno, nigdy nie słyszałam, żebyś tak się jąkała. Jakie to zabawne, że jednak jesteś do tego zdolna. – Wstała, a ja zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, co powinnam powiedzieć. – Tyrus nigdy nie był moim ulubieńcem, nie robiłam z tego tajemnicy. Gdybym miała wybór, jego matka w ogóle nie przysłaby na świat. Przed wypadkiem chciałam, żeby mój syn mianował na swoją następczynię Devineé. W jej życiu też w ogóle się nie liczę, ale ona przynajmniej jest do mnie podobna. Teraz znalazłam się w niezręcznej sytuacji, mając za wnuczkę imbecylkę, więc muszę spojrzeć łaskawszym okiem na szaleńca... co dzięki twoim

wpływowi stało się łatwiejsze. Muszę jednak zrozumieć motywy stojące za jego ostatnimi działaniami. – Przyglądała mi się z namysłem. – Możemy się zaprzyjaźnić, senatorko von Impirian. Mam w tym imperium ogromne wpływy.

– Prosi mnie pani, żebym donosiła na Tyrusa? – spytałam.

– Skoro chcesz ujmować to tak otwarcie, tak prymitywnie, to owszem, właśnie o to cię proszę. Dla wszystkich zainteresowanych będzie lepiej, jeśli będę dokładnie wiedziała, co się dzieje w mojej rodzinie.

– Aha. Więc kieruje się pani interesem Tyrusa. – Do moich słów wkradł się sceptycyzm. Nie zdołałam go ukryć.

Zmrużyła oczy.

– Zawsze kierowałam się interesem swojej rodziny. Bez względu na to, jakie pogłoski słyssałaś na mój temat, interesowało mnie wyłącznie dopilnowanie, żeby u steru imperium stanął najsilniejszy przedstawiciel mojej krwi. Chciałam jedynie wspierać następcę o największych kompetencjach.

– Może w takim razie wsparła pani niewłaściwego.

Te słowa wyrwały mi się z ust, zanim zdążyłam się powstrzymać. Spojrzenie *grandeé* Cygny nabrało ostrości, a ja uświadomiłam sobie, że nie zdołam wygrać w tej rozmowie.

– Co masz na myśli? – spytała.

– Tylko to, że kocham Tyrusa. – Oczywiście było to kłamstwo, ale gdy je wypowiedziałam, poczułam, że się rumienię. Nigdy wcześniej nie użyłam tych słów, nawet w żartach. Miałam wrażenie, że nie pasują do mojego języka. – Jestem wobec niego lojalna – wycedziłam. To akurat była szczerą prawdą. – Nie uda się pani zrobić ze mnie szpiega.

– Odrzucasz moją propozycję przyjaźni?

Nie chciałam jej urazić. Nie widziałam jednak innego wyjścia.

– Jeśli składa ją pani pod takim warunkiem, to tak, odrzucam ją.

– Ty głupia dziewczucho. – Jej głos zabrzmiał lodowato. – Nigdy cię nie lubiłam.

– Zatem bez wątpienia podjęłam słuszną decyzję.

Nawet nie mrugnęła.

– Zawsze miałaś w sobie coś bardzo dziwnego – mruknęła. – Nie potrafię powiedzieć, co dokładnie, ale kiedyś się dowiem. A tymczasem... – wykrzywiła usta – niech ci się nie wydaje, że jesteś niezastąpiona. Zapewniam cię, że mogę znaleźć uleglejszą dziewczynę na twoje miejsce... Podobnie jak mój wnuk, jeśli uznam, że powinien poszukać gdzieś indziej.

Wstałam i spojrzałam na nią z góry.

– W takim razie chyba nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Wyprostowała się i wstała z godnością. Morderczyni, która zabiła prawie wszystkie swoje dzieci. Patrzyłyśmy na siebie jeszcze przez jedną pełną napięcia chwilę, a potem wyszła bez słowa.

Właśnie zrobiłam sobie wroga.

## ROZDZIAŁ 38

Odetchnęłam dopiero, gdy byłam pewna, że *grandeé* Cygna poszła, i od razu popędziłam do sąsiedniego pokoju, żeby sprawdzić, co u Sydonii. Stała oparta o drzwi – chyba podsłuchiwała.

– Dlaczego po prostu nie powiedziałaś jej tego, co chciała usłyszeć? – spytała zdumiona. – Mogłaś zgodzić się szpiegować Tyrusa, a potem powiedzieć mu o tej propozycji. Tak byłoby najlepiej ze strategicznego punktu widzenia.

Zaniemówiłam, zdziwiona i porytowana jej pytaniem. To uczucie tak mnie zdumiało, że wciąż milczałam: Sydonia nigdy dotąd mnie nie irytowała. To ona była wyedukowana, mądra, była prawdziwym człowiekiem wiedzającym o rzeczach, o których ja nie miałam pojęcia. Nie przywykłam do tego, żeby tłumaczyć jej oczywistości.

– Ponieważ – odparłam powoli – nie mogłam tego zrobić Tyrusowi.

– Dlaczego?

Nagle rozbolały mnie mięśnie – płonęły spragnione ruchu, wysiłku, pracy do utraty tchu. Wyminęłam Donię i zaczęłam chodzić po pokoju, głęboko oddychając, żeby uporządkować myśli.

– Rozzłościło mnie – powiedziałam – że chciała mnie wykorzystać przeciwko Tyrusowi. – Donia nie знаła Tyrusa. Nie mogła tego zrozumieć. – Ona jest naszym wrogiem, przecież wiesz. Jego własna babka. Gdyby postawiła na swoim... – Usłyszałam w swoim głosie narastającą furię i nie dokończyłam zdania.

– Nemezis – powiedziała miękko Donia, skłaniając mnie do popatrzenia jej w oczy. Splotła ręce na piersi i obejmowała się ramionami. Zobaczyłam, jak jej klatka piersiowa z każdym oddechem unosi się i opada. – Ty... Zależy ci na Tyrusie, prawda?

Po raz drugi tego dnia poczułam, że płoną mi policzki. Nie byłam w stanie wytrzymać jej spojrzenia.

– Tego nie powiedziałam.

Na dywanie rozległy się miękkie kroki. Potem jej chłodna ręka dotknęła mojej i delikatnie ją ścisnęła.

– Cieszę się.

Jej słowa tylko jeszcze bardziej mnie zasmuciły. Nie było powodu cieszyć się z moich uczuć do Tyrusa. Były niedogodnością, a przede wszystkim anomalią. Jedyna osoba, na której powinno mi zależeć, stała właśnie przede mną i trzymała mnie za rękę! A mimo to przepełniała mnie złość nawet na nią – w dodatku przez niego – i było mi z tego powodu strasznie głupio.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze przez nos, a potem spytałam:



– Naprawdę się cieszysz? Nie uważasz, że to zdrada?

– Zdrada?

– Bo ja... bo darzę uczuciem kogoś innego.

Nachmurzyła się, posmutniała i zadrżały jej wargi.

– Po prostu cieszę się, że masz uczucia. Co ważniejsze, pozwalasz sobie na uczucia. Niczego więcej nie mogłabym dla ciebie chcieć. – Szybko odwróciła wzrok, a jej delikatny obojczyk odznaczył się pod skórą. – Zawsze pragnęłam, żebyś była szczęśliwa.

Przełknęłam ślinę. Nie zasługiwałam na tyle współczucia.

– Doniu, żyję dla ciebie, nie dla Tyrusa.

– Może po prostu chcę, żebyś żyła dla siebie – powiedziała cicho.

Donia nie miała żadnych wątpliwości, że to dobrze, iż zaczęło mi zależeć na Tyrusie. Ja miałam na ten temat inne zdanie, zwłaszcza gdy zjawiłam się na kolejnej rodzinnej kolacji u Domitrianów. Przyszłam jako gość Tyrusa, a Cygna zaprosiła...

Elantrę.

– Usiądź obok Tyrusa, moje serduszko. – Zwracała się do Pasuski czulej niż do własnych krewnych. Elantra rozkoszowała się tym zainteresowaniem i ostrożnie zajęła miejsce po drugiej stronie Tyrusa.

Tyrus wcale nie wydawał się niezadowolony.

– *Grandeé* Pasus, jak przyjemnie cię widzieć – powiedział.

Jedynym sekretem, który utrzymywałam w tajemnicy przed Tyrusem, był powrót Donii. Po prostu czekałam na odpowiedni moment, żeby mu to wyjawić. Po wizycie Cygny bezzwłocznie poszłam na Aleksandrię i poinformowałam go o naszej rozmowie.

Tamtego dnia przyjął mnie w olbrzymim gabinecie obok swojej biblioteki, przy ogromnym oknie z widokiem na spód drogi Berneval.

– A więc mojej babce podoba się wpływ, jaki na mnie wywierasz – zauważył, przyglądając się z namysłem gwiazdnemu krajobrazowi i opierając brodę na palcach ułożonych w piramidkę. – Ale ty jej się nie podobasz.

Mając świeżo w pamięci uwagi Sydonii, poczułam, że muszę go przeprosić.

– Powinnam była zgodzić się na współpracę. Postąpiłam niemądrze, tak otwarcie jej odmawiając.

Wtedy gwałtownie spojrzał mi w oczy i spytał ze skupieniem:

– Dlaczego jej odmówiłaś?

To pytanie ukłuło mnie głębiej, niż mógłby przypuszczać. Znowu poczułam gulę rosnącą mi w gardle – efekt mojej troski o niego i niemożności przyznania, że oburzyłam się ze względu na jego

dobro.

– Nie wiem.

Tyrus przyglądał mi się przez pełną napięcia chwilę. Potem jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Wiesz, właściwie to dobre wieści.

Nic z tego nie rozumiałam. Byłam obolała i czułam się fatalnie, jakbym forsowała ciało godzinami intensywnych ćwiczeń.

– Jak to?

Wstał i odwrócił się ode mnie, splatając ręce na piersi i patrząc przez okno na ten mały zakątek wszechświata, który miał odziedziczyć.

– Skoro babka pragnie wyrzucić na mnie wpływ, to widocznie uznała, że jestem tego wart. A to oznacza, że nabrałam w jej oczach wystarczająco dużego znaczenia, żeby zechciała zainwestować we mnie trochę wysiłku. Albo to, albo mój wuj stracił w jej oczach.

– Nawet jeśli zmienia faworytów, nie wolno ci jej ufać. – Zaniepokojenie sprawiło, że powiedziałam to ostrzej, niż zamierzałam.

– Nemezis, nigdy nie ufałam nikomu, w kim płynie ta sama krew co we mnie. – Jego śmiech zabrzmiał ochryple. – Kłamstwo i zdrada leżą w naturze Domitrianów, ale babka jest najbardziej wpływową kobietą w tym cesarstwie. Jeśli będę ją miał po swojej stronie, wuj niewiele zdoła zrobić, żeby mi zaszkodzić, w każdym razie otwarcie. – Przymknął powieki i spojrzał na mnie przez ramię. – Jeśli pragnie postawić u mojego boku nową towarzyszkę, to będzie próbowała się ze mną pojednać. Naturalnie na własnych warunkach.

– Powiedziała mi, że zawsze chciała, żeby na tronie zasiadała najbardziej wpływowa osoba z rodziny – wyznałam niechętnie. Już sama myśl o popchnięciu Tyrusa ku współpracy z Cygną wydawała mi się okropna.

– To prawda. Taka właśnie jest moja babka. Nie jest ogrodniczką, która stara się pielęgnować wszystkie rośliny, faworyzuje te, które w pełni się ukształtowały. Woli wycinać wszelkie nowe szczepki. Gdyby Devineé wciąż była przy zdrowych zmysłach, babka storpedowałaby mnie za niedawną bezczelność. A tak nie widzi innego wyjścia, jak tylko uznać mnie swoim faworytem. – Wzruszył ramionami. – Jeśli planuje zainteresować mnie inną kobietą, zobaczę, kogo postanowi mi podrzucić, i zastanowię się, czy przyjąć jej gest. Bo przecież nasz związek się skończy, gdy tylko obejmę rządy. Tak się umówiliśmy, prawda? Będę więc potrzebował cesarzowej.

Odwróciłam wzrok.

– Tak. Będziesz potrzebował kogoś zdolnego do stworzenia z tobą więzi. – Kogoś innego niż ja.

Teraz już wiedziałam, kogo jego babka miała na myśli.

Gdy wszyscy siedzieliśmy w sali audiencyjnej, mój niepokój wzmógł się kilkakrotnie, gdy Elantra wyciągnęła rękę, żeby jak gdyby nigdy nic dotknąć ręki Tyrusa podczas rozmowy. *Grandeé* Cygna nie

odrywała od nich swego drapieżnego wzroku, a ja poczułam przypływ złości palącej jak trucizna. Miałam ochotę roztrzaskać im wszystkim czaszki, chwycić Elantrę, podnieść ją z krzesła i wyrzucić jej głową o głowę Cygny.

Skupiłam wzrok na kielichu z winem, starając się zwalczyć to uczucie. Może i byłam diaboliką, ale nie byłam zwierzęciem.

Mimo to serce waliło mi jak młotem, a policzki zapłonęły, jakby wrzała w nich krew. Czułam, że toczę wojnę z samą sobą – byłam wściekła na Tyrusa, który najwidoczniej dobrze odnajdywał się w tej sytuacji, i na siebie za pokusę skupiania jego uwagi wyłącznie na mnie. Chciałam zetrzeć mu z ust uśmiech, który posłał Elantrze.

Ludzie mówią o uczuciach podniosłym tonem. Mnie wydawały się udręką. Nie mogłam uwierzyć, że sprawiają komuś przyjemność. Jak ktokolwiek mógł się rozkoszować tą nieznośną potrzebą roszczenia sobie praw do drugiego człowieka?

Czułam, że *grandeé* Cygna mnie obserwuje. Wypatrywała skutków swoich machinacji. Wyobrażałam sobie, jak przeskakuję przez stół i łamię jej kark. Ależ by trzaskały te jej stare, suche kości!

Powstrzymałam się i obnażyłam zęby w uśmiechu. Potem skupiłam się na cesarzu.

Zmienił dotychczasowy układ przy stole, żeby mieć przy sobie Devineé.

Druga następczyni nadal błędziła wokół wzrokiem i raz po raz podchodził do niej serwitor, żeby zetrzeć jej z brody resztki jedzenia albo osuszyć usta ze śliny, ale cesarz zdawał się w ogóle tym nie przejmować. Wciągnął bratanicę w jednostronną rozmowę, od czasu do czasu obejmując ją ramieniem jak jakaś pasożytnicza roślina. Mój instynkt przetrwania znowu doszedł do głosu. Wymusiłam na sobie skupienie. Gdy pomyślałam o kilku ostatnich dniach na dworze, uświadomiłam sobie, że cesarz sadzał Devineé obok siebie także na ceremoniach w Wielkiej Heliosferze. Poza tym pokrzykiwał do niej wesoło, wywołując uśmiech na jej tępej twarzy.

Spojrzałam na Tyrusa, wciąż zajętego Elantrą. W moim umyśle nagle zaczęły budzić się podejrzenia. Tyrus w białych rękawiczkach podważał władzę wuja i dlatego stracił jego przychyłność. Porzucił też dawny wizerunek i pokazał siłę swego umysłu.

Cesarz uczynił Tyrusa swoim następcą tylko dlatego, że był przekonany o jego słabości – uważał go za bezużytecznego szaleńca. Tyrus nie był już jednak słaby. Cesarz myślał, że jego siostrzeniec jest w niełasce u Cygny. Tyrus mógł jednak się z nią sprzymierzyć. A teraz cesarz miał potencjalną alternatywę – naprawdę słabego następcę, któremu zagwarantowałam uszkodzenie mózgu: Devineé. To ją mogł osadzić na tronie zamiast Tyrusa.

Tyrus też o tym wiedział – ale czy był świadomy niebezpieczeństwa? Zauważyłam, jak od niechcienia wyciąga rękę, żeby pogłaskać Elantrę po nadgarstku.

Nie mogłam na to patrzeć.

Bo przecież nie było sensu chronić Tyrusa przed cesarzem tylko po to, żeby własnoręcznie go zamordować.

## ROZDZIAŁ 39

Donia przyłapała mnie, gdy waliłam pięściami w kamienny blok. Kupiłam go z myślą o niej – miał strukturę podatną na obróbkę i pomyślałam, że Donia ucieszy się, mogąc się zająć rzeźbieniem w przerwach między kolejnymi książkami. Teraz jednak rozwalałam go na kawałki, wyobrażając sobie igraszki Tyrusa z Elantrą i czerpiąc ponurą przyjemność ze swojego bólu.

– Uśmiejesz się – powiedziałam do Donii beznamiętnym tonem. – Wydaje mi się, że Tyrus chce zrobić z Elantry swoją cesarzową.

– Tylko nie z Elantry Pasmus!

– Właśnie z niej. *Grandeé* Cygna wybrała mu ją na przyszłą żonę, a Tyrus nie protestuje. Uważa, że dzięki współpracy babka będzie bardziej skłonna poprzeć jego sukcesję.

– Tak ci powiedział?

Odwróciłam się. Serce łomotało mi w piersi, a zakrwawione knykcie piekły. W głowie migały mi obrazy z sali przeznaczonej do relaksu, do której przeszliśmy po kolacji. Nie poczułam działania substancji wciągniętej z fiolki, a *grandeé* Cygna powstrzymała się od zażywania, ale Tyrus i Elantra sobie nie żalowali. Podobnie jak cesarz, który wciągnął trzy dawki, a potem wspiął się na jeden ze swoich platynowych posągów i udawał, że jeździ na nim jak na koniu.

Pamiętając o czujnym spojrzeniu *grandeé* Cygny, też próbowałam robić z siebie idiotkę, kręcąc się w miejscu i zmuszając się do głupkowatego śmiechu. Tymczasem Tyrus obracał Elantrą, tańcząc do jakiejś wyimaginowanej muzyki, którą słyszał tylko on. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Tworzyli ładną parę – on taki jasny, wysoki i barczysty, ona pełna życia, z burzą ciemnych włosów. O tak: cesarz i cesarzowa. Grandecja z pewnością poparłaby taki związek. Elantra i Tyrus wydawali się dla siebie stworzeni.

Nagle poczułam, że dłużej tego nie zniosę. Zostawiłam ich bez słowa, a wychodząc, czułam na plecach spojrzenie Cygny.

Teraz, gdy o tym myślałam, do gardła znowu napłynęła mi żółć. Odwróciłam się z powrotem do kamienia i zaczęłam znów walić w niego pięściami, czerpiąc ponurą satysfakcję z sianego przez siebie zniszczenia.

– Elantra jest spadkobierczynią Pasmusów. To oznacza, że stanowi dla ciebie bezpośrednie zagrożenie... To znaczy dla nas – zauważyła Donia, patrząc, jak pastwię się nad kamieniem. – Czy jeśli zostanie cesarzową, będziemy w niebezpieczeństwie?

– Nie. – Jej pytanie mnie zaskoczyło. Odwróciłam się do niej i zrobiło mi się głupio, że nie wzięłam pod uwagę takiej ewentualności. Głupio, a potem wstyd. Miałam chronić Donię. Dlaczego od

razu o tym nie pomyślałam?

Spojrzałam na nią. W całym wszechświecie miała tylko mnie. Wściekłość i niepokój od razu się ulotniły. Nie miałam prawa czuć się okropnie, skoro i tak spotkał mnie cud – największy cud, na jaki mogła liczyć diabolika.

– Nie, Doniu, nie będzie nam grozić nic złego. Tyrus jest silny. To on będzie kontrolował helioników, a nie odwrotnie. Do tego czasu pomogę mu przetrwać, a potem zażądam od niego nagrody: przywrócenia cię na stanowisko, zapewnienia ci bezpieczeństwa... i oczywiście ułaskawienia za oszustwo.

Zmarszczyła brwi i podeszła do mnie.

– A ty? Co dostaniesz?

– Już powiedziałam: twoje bezpieczeństwo.

– Nemezis, musi istnieć coś, czego pragniesz dla samej siebie.

– Nie chcę zostać na dworze – wypaliłam. Tak, marzyłam jedynie, żeby stąd uciec. Im szybciej, tym lepiej, byleby przed objęciem tronu przez Tyrusa. Wizja wspólnie rządzących cesarza Tyrusa i cesarzowej Elantry trawiła mnie jak trucizna. Nie mogłam tego znieść. Myślałam, że się uduszę.

Byłam zazdrosna.

Gdy to sobie uświadomiłam, przeżyłam wstrząs. A więc to były te paskudne emocje, które mnie gnębiły.

Twarz Donii złagodniała.

– Senatorowie nigdy dotąd nie musieli mieszkać w Chryzantemum i nie wyobrażam sobie, żebyśmy miały tu zostać po upadku Randewalda von Domitriana. – Wzięła mnie za rękę, oglądając z czułością moje zakrwawione knykcie. – Wrócimy razem i będziemy nadzorować odbudowę fortecy Impirianów. Będzie tak jak dawniej.

Pokiwałam głową. Przepęłniła mnie tęsknota za czasami, gdy życie było łatwiejsze, a moje dni wypełniały troska o Donię i treningi, i gdy nie marzyłam o niczym prócz tego, co już miałam.

– Tylko ty i ja – ciągnęła miękko. – Chciałabyś, Nemezis? – Spojrzała mi w oczy, a na jej twarzy odmalowała się bezbronność, której nie rozumiałam. Czy naprawdę myślała, że mogłabym jej odmówić?

– Tak. Chciałabym. – Odsunęłam się od niej, żeby spojrzeć na zniszczoną skałę. – Zamierzałam ci ją dać, żebyś mogła rzeźbić. Sporo zostało.

Donia przeszła obok mnie, żeby obejrzeć kamień, i dotknęła pozostawionych przez moje pięści zagłębień.

– Podoba mi się właśnie taka. – Uśmiechnęła się. – Ze śladami, które zostawiłaś.

Spojrzałam na kamienny blok, rozłupany i podziurawiony siłą mojego gniewu i zazdrości. A więc tak wyglądała wizualna reprezentacja uczuć diaboliki: jak brzydki, pogruchochotany i poplamiony krwią

kamień.

## ROZDZIAŁ 40

Rano w dniu wielkiego wyścigu odbyło się posiedzenie senatu. Wiedziałam, czego oczekuje ode mnie cesarz: miałam poprzeć rezolucję w sprawie nałożenia podatków na zbędników zamieszkujących planety na obrzeżach imperium. Donia powiedziała mi, że tradycyjnie korzystali oni z ulg podatkowych mających ich zachęcać do życia na tych niebezpiecznych terenach.

Jak jednak wszyscy już wiedzieli, cesarski skarbiec świecił pustkami. Monarcha potrzebował pieniędzy, ponieważ on i jego przodkowie roztrwonili całą cesarską fortunę – utoczyli ją z imperium jak krew. Teraz nawet ci, którzy dotąd byli chronieni przed podatkami, mieli poczuć ciężar utrzymywania rodziny Domitrianów.

Serwitor Tyrusa przyniósł mi jednak sekretny liścik z odmienną instrukcją: „Głosuj przeciwko rezolucji”.

No więc zagłosowałam tak, jak prosił Tyrus.

Nie byłam jedyną senatorką, która tak zrobiła. Rozglądając się po sali, zastanawiałam się, ilu z tych ludzi zagłosowało przeciwko rezolucji na polecenie Tyrusa. Po niedawnej czystce było to śmiałe posunięcie, więc mogli podjąć takie ryzyko, tylko jeśli mieli poczucie, że ktoś ochroni ich przed konsekwencjami sprzeciwienia się cesarzowi.

Był to naprawdę mocny cios dla Randewalda von Domitriana.

Mimowolnie zastanawiałam się, ile ciosów zdoła zadać Tyrus, zanim cesarz w końcu mu odda.

Po głosowaniu wsiadłam do magnetycznego tramwaju i pojechałam na Cartier – wysięgnik naprzeciwko Bernevalu. Ta trasa była mniej zaniedbana, zaprojektowano ją raczej z myślą o pieszych wyprawach. Otaczały ją piękne ogrody i sztuczne strumienie, a nad nią wznosiły się niebiańskie kopuły. Na samym końcu znajdowała się największa z nich, z oknami wychodzącymi na odcinek przestrzeni, w której miał się rozegrać wyścig.

Wokół mnie inni senatorowie zmierzający na wyścig rozmawiali cicho o wyścigu sprzed pięciu lat, o którym opowiedział mi Tyrus – o pilotach, ich załogach i rodzinach straconych po tym, jak cesarz przegrał zakład. Nikt nie zazdrościł pilotowi faworyzowanemu w tym roku przez cesarza.

Wielki wyścig odbywał się wtedy, gdy sześć gwiazd układu zbliżało się do siebie na odległość tak niewielką, żeby można było do nich dotrzeć jednym statkiem. Pojazdy ścigały się, okrążając wszystkie gwiazdy po kolei i zbliżając się do nich tak bardzo, jak tylko pozwalała uczestnikom odwaga. Sześćdziesięciu zawodników – przeważnie reprezentantów planet, lecz także kilku pomniejszych grandesów – latami przygotowywało statki i doskonaliło umiejętności. Przybywali z całego cesarstwa, żeby walczyć o wielki dzban, czyli nagrodę finansową, za którą można by kupić



tysiąc takich statków wyścigowych.

W przeszłości sponsorem imprezy był cesarz. Tym razem sponsorował ją jednak Tyrus. Jego hojność na pewno wydawała się cesarzowi bardziej niewinna rok temu, gdy zaproponował to po raz pierwszy, jeszcze zanim wzbudził podejrzenia monarchy, a przede wszystkim zanim upublicznił informacje o opłakanym stanie jego finansów. Teraz ten gest musiał się wydać cesarzowi próbą wystawienia go na pośmiewisko, bo sugerował, że Tyrus ma więcej środków niż on.

Usiadłam z Tyrusem na lewitującej platformie zarezerwowanej dla członków rodziny cesarskiej. Tyrus ułożył dłonie w piramidkę, a umięśnione ramiona oparł na poręczach. Elantra razem z rodziną została zesłana na niższą platformę, przeznaczoną dla grandecji o wysokim statusie. Posłała Tyrusowi kilka promiennych uśmiechów. Jeden z nich odwzajemnił, ale wydawał się zbyt przejęty, żeby dać się wciągnąć we flirt.

Tłum wokół nas kipiał z podniecenia. Tyrus sporo zainwestował w zapewnienie zgromadzonym chemicznej rozrywki i opieki lekarskiej na wypadek przedawkowania. Jakiś serwitorka podsunął nam tacę. Ostentacyjnie udałam, że szukam na niej czegoś interesującego. Oczekiwano ode mnie, że wezmę udział w tym wspólnym odurzaniu się.

Nie zauważyłam alkoholu ani opiatów – niczego, co mogłoby przytępić zmysły. Była tylko amfetamina i euforyki zwiększające czujność.

Rzuciłam Tyrusowi ukradkowe spojrzenie, zastanawiając się, czy istnieje jakiś powód, dla którego zakazał pewnych substancji.

Pierwszy następca uśmiechnął się szelmowsko. Przysunął się do mnie i powiedział ściszym głosem:

– Chcę, żeby ludzie zapamiętali ten dzień. Niech nic nie mąci ich umysłów.

A zatem coś zaplanował.

– Postawiłeś na kogoś? – spytałam.

– Owszem: postawiłem fortunę na Dandrasa Tyrone’a – odrzekł szczerze. – A ty?

Zdziwiło mnie, że Tyrus wydaje pieniądze lekką ręką, choć wie, ile przegrał jego wuj na poprzednim wyścigu. Wydało mi się to zupełnie do niego niepodobne. Może wiedział coś, czego ja nie wiedziałam. Przyglądałam się liście zawodników wyświetlonej na ekranie umieszczonym u naszych stóp.

– Też postawię na Dandrasa.

Zanim zdążyłam zrobić zakład, Tyrus złapał mnie za nadgarstek.

– Postąpisz mądrzej, wydając te pieniądze na coś innego.

Spojrzałam na niego zdezorientowana. Więc jednak nie był do końca pewny zwycięstwa Dandrasa? Nie potrafiłam rozgryźć jego zamiarów.

Postawiłam niewielką kwotę na innego pilota, którego wybrałam na chybił trafił.

Cesarz przybył ze swoją parą diabolików. Wokół zaczęły eksplodować holografy, rozległy się okrzyki i wiwaty. Monarchę odeskortowano na jego miejsce w rządzie nad nami. Zafalowało morze rąk – ludzie przyłożyli dłonie do serc i oddali pokłon. Cesarz spoglądał na tłum z marsową miną, bo najwidoczniej właśnie dowiedział się o przegranym głosowaniu w senacie. Zniecierpliwiony machnął ręką, dając znak do rozpoczęcia wyścigu.

Na ten sygnał statki zadokowane niedaleko stacji pomknęły w czarną pustkę, kierując się w stronę pierwszej z sześciu gwiazd, czerwonemu karłowi. Wystrzeliły jak z procy, żeby później nabrać jeszcze rozpędu.

Z góry zjechał wielki ekran. Wyświetlano na nim poczynania uczestników, gdy już zniknęli nam z oczu, rejestrowane przez satelity rozmieszczone w układzie sześciogwiazdowym.

Takie wyścigi trwały godzinami – emocje rosły, w miarę jak zwiększała się prędkość, a zawodnicy coraz bardziej zbliżali się do gwiazd, żeby zdobyć punkty za odległość. Tych, którzy podlatywali zbyt blisko, przyciągało pole grawitacyjne – dla nich gra kończyła się na zawsze. Siły grawitacyjne panujące w układzie były tak chaotyczne, że nawet latanie ze standardową prędkością wiązało się ze znacznym ryzykiem. Wielu zawodników miało stracić dziś życie, ale o ile nie zawiedliby na prostym odcinku – jak zdarzyło się to ostatnim razem faworytowi cesarza – mieli szansę uchronić się przed zgubą.

W tłumie krążyły tace z substancjami odurzającymi, jedzeniem i pamiątkami. Kibice zmodyfikowali swój wygląd, żeby przypominać ulubionych zawodników ze swoich układów gwiazdnych, i ilekroć na ekranach pojawiały się statki ich idoli, wznosili wesołe okrzyki.

Tyrus wyczekująco wpatrywał się w ekran, mówił niewiele. Nadal trzymał moją rękę w zagłębieniu łokcia. Nagle zaczął ją ścisnąć. Spojrzałam na jego umięśnione przedramię. Tak jawne okazywanie zaniepokojenia nie było w jego stylu. Podążyłam za jego spojrzeniem. Pojazd Dandrasa Tyronne'a zbliżał się do statku Wintona Travanisa.

I wtedy to się stało.

Musiała nastąpić jakaś zmiana w grawitacji, jakaś turbulencja – trudno powiedzieć. W każdym razie statek Wintona gwałtownie odbił w bok i zahaczył o statek Dandrasa, po czym oba pojazdy spiralnym lotem wypadły z toru i zostały zdyskwalifikowane.

A to był dopiero sam początek wyścigu!

W tłumie podniósł się krzyk i wszyscy zerwali się z miejsc. Po chwili statek Dandrasa uwiązł w polu grawitacyjnym, którego nie zdołał przezwyciężyć, i eksplodował.

W tłumie zapadła cisza i oczy widzów zwróciły się w stronę pierwszego następcy. Wszyscy wiedzieli, że postawił na Dandrasa majątek. Wpatrywałam się w jego twarz, zastanawiając się, jak zareaguje.

Tyrus siedział z rękami splecionymi na piersi i z kamiennym obliczem patrzył prosto przed siebie.

W gruncie rzeczy stało się to samo co podczas poprzedniego wielkiego wyścigu. Następca tronu, podobnie jak jego wuj, postawił na zawodnika, którego wyeliminowała pomyłka rywala, jeszcze zanim dotarł do pierwszej gwiazdy. Wszyscy wiedzieli, co potem spotkało zawodnika, który przeżył i ponosił winę za wypadek – egzekucja jego i jego bliskich.

Nagle z góry dobiegł nas głos cesarza:

– Jaka szkoda!

Tyrus spojrzał na wuja.

– Mam nadzieję, że się przez to nie spłukałeś – dodał władca.

– Postawiłem więcej, niż chciałbym przegrać – odrzekł cicho Tyrus. Z jego twarzy nadal jednak bił śmiertelny spokój.

– Błąd pilota. – W głosie cesarza zabrzmiała złośliwość. Jego oczy błyszczały z radości, gdy spoglądał na siostrzeńca. – Pozwolę ci wyciągnąć konsekwencje.

Tyrus opadł na oparcie. Obserwowałam go uważnie. Jego twarz była nieprzenikniona niczym maska, nie zdradzała żadnych emocji.

Powiedział, że bym nie stawiała na Dandrasa.

Pilot, który zawinił, Winton, z pewnością wiedział, co spotkało tych, przez których Domitrianowie stracili fortunę. Zanim reszta zawodników dotarła do następnej gwiazdy, jego statek zdążył już opuścić układ gwiazdny. Wolał uciec, niż ryzykować poddanie się karze w Chryzantemum.

Ale nie uciekł daleko.

Jacyś przedstawiciele pomniejszej grandecji, pragnący wkraść się w łaski pierwszego następcy, wysłali w pościg własne statki. Uszkodzony pojazd Wintona nie zdołał im umknąć. Najemnicy wrócili w ostatniej godzinie wyścigu, prowadząc winowajcę. Wieść szybko rozniosła się w tłumie. Tyrus wstał i wrócił na Valor Novus, a połowa ludzi na trybunach zrezygnowała z oglądania ostatniego odcinka wyścigu. Emocje mocno już opadły, bo większość zawodników została zdyskwalifikowana albo zginęła. Zwycięzca zdobył ogromną przewagę nad rywalami i z łatwością dotarł do linii mety.

Widzowie wiedzieli, że gniew pierwszego następcy dostarczy wszystkim znacznie większych wrażeń niż nieuchronny koniec wyścigu.

Gdy zbliżaliśmy się do Sali Sprawiedliwości na Valor Novus, Tyrus trzymał mnie za rękę. Ludzie z zapalem zajmowali miejsca pod ścianami, otaczając nas pierścieniem.

– Mam cię namawiać, żebyś zachował powściągliwość? – spytałam Tyrusa, mając na myśli rolę, którą zazwyczaj odgrywałam podczas naszych publicznych występów.

– Nie tym razem – odparł. – Niech wszyscy zobaczą moją reakcję.

Podeszliśmy do klęczącego mężczyzny, przerażonego zbędnika o skórze pokrytej niedoskonałościami typowymi dla mieszkańców planet. Na jego twarzy malował się strach. Wiedział, co spotkało ostatnią osobę, która rozzłościła Domitriana w taki właśnie sposób.

Tyrus długo mu się przyglądał, a potem uniósł rękę, żeby uciszyć zebranych, którzy zaczęli z przejściem mamrotać, spekulując, ile osób zostanie tym razem skazanych na egzekucję.

– Widziałem, że byłeś dziś uczestnikiem niezwykle poważnego wypadku. Dlaczego uciekłeś? – spytał Tyrus. Stał nad klęczącym człowiekiem i wyglądał zupełnie jak groźny cesarz.

– Bałem się, Wasza Eminencjo. To był wypadek. Nastąpiła awaria nawigacji. Proszę. – Winton rzucił się na podłogę. – Wiem, że Wasza Eminencja musi odebrać mi życie, ale proszę oszczędzić moją rodzinę. Proszę oszczędzić moją załogę. Oni są niewinni.

Tyrus milczał, pozwalając, żeby błaganie zawisło w powietrzu na dłuższą chwilę, i tym samym budując napięcie. Cesarz zapewne przełączył ekran na transmisję z tego zdarzenia, zamiast oglądać końcówkę wyścigu.

– Wstań, człowieku – rozkazał Tyrus.

Winton podniósł głowę. W jego wytrzeszczonych oczach malował się strach.

– Słucham, Wasza... Wasza Eminencjo?

– Powiedziałem, żebyś wstał. Nie mam zamiaru skazywać na egzekucję tak uczciwego sportowca jak ty z powodu czegoś, co bez wątpienia było wypadkiem. To byłoby zwykłe barbarzyństwo.

W sali rozległy się szepty i pomruki niedowierzania.

– Odbędzie się śledztwo w sprawie tego incydentu i jeśli wykaże ono, że ktoś zawinił, ta osoba dostanie zakaz brania udziału w tego rodzaju zawodach – powiedział Tyrus. – A jeśli chodzi o ciebie, złożysz wizytę rodzinie zmarłego i osobiście przekazesz jej kwotę, którą przyznam im z powodu straty. Czy mogę ci powierzyć to zadanie?

Winton ponownie osunął się na kolana i złożył ręce jak do modlitwy.

– Tak, tak, Wasza Eminencjo! Możesz!

Pierwszy następca wyciągnął rękę i pozwolił, żeby mężczyzna z nabożną czcią przyłożył sobie jego knykcie do policzka.

– Poza tym – ciągnął dalej – zamierzam zorganizować w Wielkiej Heliosferze ceremonię w hołdzie dla śmiazków, którzy zginęli podczas dzisiejszego wyścigu. Oczekuję, że przed wyjazdem weźmiesz w niej udział.

– O tak, z przyjemnością. Z przyjemnością, Wasza Eminencjo! – Mężczyzna gorliwie przykładał dłonie Tyrusa do swoich policzków. – Jesteś łaskawy, wielki i sprawiedliwy...

– Odpocznij. – Tyrus odsunął się od niego, po czym zwrócił się do najemników, którzy go przyprowadzili. – Dziękuję, że znaleźliście naszego zbłąkanego przyjaciela, zanim zdążył zrobić coś pochoptego. Zostaniecie dobrze wynagrodzeni za swoje usługi.

Gdy Tyrus skierował się do wyjścia, w tłumie zawrzało – oto zgromadzeni stali się świadkami aktu łaski Domitriana. Tego Domitriana. Gest Tyrusa tak mocno kontrastował z postawą jego wuja, że twarze zgromadzonych rozświetliła nadzieja – wizja cesarstwa pod panowaniem młodszego,

sprawiedliwszego władcy, stała się realna.

Szłam obok Tyrusa, doskonale rozumiejąc, co właśnie zrobił. Znowu podważył autorytet cesarza, czyniąc to tak subtelnie, że nie można go było oskarżyć o jawną wrogość, jednak dla mnie było oczywiste, że gest ten miał na celu podkopanie pozycji monarchy. Tyrus zdecydował się stracić fortunę, żeby okazać łaskawość mimo przegranej.

– Dobra robota – szepnęłam bardzo cicho.

Tyrus zerknął w moją stronę i na sekundę jego nieprzenikniona dotąd twarz przybrała wyraz, który już widziałam – wtedy, gdy Elantra wypuściła Jedność na ring.

– Nemezis, nie zasługuję na pochwały. Zrobiłem coś potwornego. Tamten statek nie miał zostać zniszczony, tylko uszkodzony.

Nie pomyślałam o człowieku, który zginął w wypadku – dla mnie cel zawsze uświęcał środki. Oczy Tyrusa zaszyły mgłą.

– W żadnym razie nie jestem dobrym człowiekiem. Dawno temu pogodziłem się z tym, że jeśli podążę obranym kursem, będę miał krew na rękach. Nie przypuszczałem jednak, że zamorduję dziś niewinnego człowieka.

– Tyrusie, gdybym przejmowała się krwią niewinnych, którą mam na rękach, nie byłabym w stanie funkcjonować. Ty przynajmniej masz szansę zadośćuczynić za to, co zrobiłeś.

– Tak – powiedział. – Mam. Jego rodzina otrzyma dobrą rekompensatę. Zadbam o tych ludzi najlepiej, jak potrafię. – Wydał z siebie drżące westchnienie. – Muszę z tym jakoś żyć, Nemezis, więc będę żył.

Pogrążyliśmy się w milczeniu. Tyrus rozmyślał o człowieku, którego niechcący doprowadził do zguby, a ja analizowałam jego manewr. Po tym czynie i po porannym głosowaniu nie sposób było dłużej ignorować jego subtelnych prowokacji wymierzonych w cesarza.

Wiedziałam, że Randewald von Domitrian się zemści. To była tylko kwestia czasu.

## ROZDZIAŁ 41

Kilka pierwszych dni po wielkim wyścigu było jak cisza przed burzą. Cesarz nie wypowiadał się publicznie o działaniach Tyrusa, który za jego plecami wpłynął na wynik głosowania w senacie, ani nawet nie uniósł brwi, gdy jego siostrzeniec z własnej inicjatywy sprzedał kilka swoich kolonii, by potem niespodziewanie obdzielić adwentowymi prezentami wszystkich weteranów wojennych.

Dawanie prezentów adwentowych było dawno zarzuconą tradycją, Domitrianowie nie robili tego od setek lat. Byli tak pewni swojej władzy, że nie potrzebowali lojalności tej części grandecji, która kontrolowała najpotężniejsze statki kosmiczne i maszyny wojenne uczestniczące w brutalnych konfliktach na granicach.

Było to najbardziej otwarte posunięcie Tyrusa przeciwko cesarzowi i musiałam mu towarzyszyć właściwie bez przerwy. Siedzieliśmy razem w jego solarianum na Aleksandrii. Nad nami rozciągała się niebiańska kopuła, a całą przestrzeń wokół nas obsadzono niedawno roślinnością, która spodobała się pierwszemu następcy podczas pobytu na Luminie. Sztuczna rzeka płynęła dość wartko, by mógł się w niej utopić nieuważny pływak.

– Zamierzałem w końcu zakwaterować cię w komnacie na Aleksandrii – powiedział do mnie Tyrus, wpatrując się w powierzchnię wody – ale w tych okolicznościach to niemożliwe.

– I tak nie chciałam tu spać – odparłam szczerze. Pomyślałam o Sydonii schowanej w mojej willi i o tym, że wołałabym nie zostawiać jej samej na tak długo.

Tyrus przyglądał mi się z nieodgadzioną miną.

– Tak ci nieprzyjemnie w moim towarzystwie?

– Nie – odpowiedziałam szybko. Za szybko.

– W każdym razie – podjął – babka mogłaby mieć mi to za złe. Dąży do mojego przymierza z Elantrą.

– Chce, żebyś poślubił żmiję.

– Helioniczkę – poprawił mnie z uśmiechem. – Przynajmniej będzie pasowała do mojej rodziny. Wszyscy prawdziwi politycy to żmije.

Poczułam nieprzyjemny ucisk w żołądku na myśl o Elantrze Pasmus w roli cesarzowej. A raczej o Elantrze Domitrian. Zwykle przyjmowało się nazwisko bardziej wpływowego małżonka. Właśnie tak Salivar Fordyce stał się Salivarem Domitrianem.

– Jak długo zamierzasz się ze mną pokazywać? – spytałam Tyrusa. – Jeśli chcesz się trzymać z Elantrą, w końcu będziesz musiał publicznie się mnie wyrzec. I nie mogę przecież bez końca udawać Sydonii von Impirian.

– Ale musisz. Nikt się nie może dowiedzieć, co zrobiłaś.

– Dlaczego? Bo będą cię wypytywali, dlaczego zataiłaś moją prawdziwą tożsamość?

Odwrócił się do mnie gwałtownie.

– Albo dlatego że znajdziesz się w niebezpieczeństwie – odparł. – Podawanie się za senatora to zdrada stanu.

– No i?

– Grandecja zacznie się domagać twojej egzekucji. Jako nowy cesarz i bez tego będę się musiał namęczyć, żeby zbudować sobie zaplecze. Nie mogę ci zagwarantować bezpieczeństwa, jeśli wystąpią przeciwko tobie moi sojusznicy.

Wzruszyłam ramionami, co chyba go rozzłościło. Zmrużył oczy i zbliżył się do mnie z groźną miną, ale po chwili najwidoczniej zmienił zdanie, bo wycofał się, biorąc głęboki oddech.

– Nie pozwolę ci na to – powiedział ochrypłym głosem. – Może i nie przejmujesz się swoim losem, ale ja owszem.

Nasze spojrzenia się spotkały. Dzieliły nas tylko dwa kroki. W powietrzu zawisła ciężka, pełna dziwnego napięcia cisza.

Tak samo było podczas powrotu z Luminy, gdy wynurzyliśmy się z fioletowych chmur ku ogromnej przestrzeni i Tyrus mnie pocałował.

Przełknęłam ślinę i odwróciłam się.

Nie znał prawdy: tak czy inaczej po ujawnieniu się Sydonii moje oszustwo miało wyjść na jaw.

Wstałam, zgnębiona ciężarem tego sekretu. Zanim poznałam Tyrusa, służenie Donii było moją jedyną radością. Z jakiegoś powodu stanął między nami. Tęskniłam za nim, a jednocześnie miałam do niego żal z powodu poczucia winy, które we mnie wzbudzał, mimo że robił to nieświadomie.

– Znajdę się w większym niebezpieczeństwie, jeśli wciąż będę się podawać za Sydonię Impirian, kiedy Elantra stanie się twoją cesarzową.

Chwycił mnie za ramię i przyciągnął z powrotem, nie pozwalając mi wyjść.

– Nigdy bym nie dopuścił, żeby ci zagroziła – powiedział cichym, lecz groźnym głosem. – Nigdy. – Jego mina wyrażała żelazną determinację. Uwierzyłam mu.

Nad oświetlonym solarianum przesunął się jakiś cień i obydwójce podnieśliśmy głowy. Niebiańską kopułę wypełniała sztuczna atmosfera, nad którą rozciągała się otwarta przestrzeń, przeważnie przysłonięta przez rozgwieżdżone niebo. Teraz jednak w naszym polu widzenia pojawiło się coś innego...

Sunął do nas obiekt przypominający olbrzymią górę odpadów. Był coraz bliżej, widzieliśmy teraz wyraźnie jego długi i cylindryczny kształt.

Uświadomiłam sobie z przerażeniem, że to nie żadne odpady.

To był pocisk. I sunął prosto na kopułę.

Obydwoje zdaliśmy sobie z tego sprawę w tym samym momencie.

– Uciekaj! – krzyknął Tyrus, ale ja byłam już w pełnej gotowości. Oboje rzuciliśmy się ku drzwiom.

Głośna eksplozja wstrząsnęła solarianum. W kryształowych oknach ziała teraz wyrwa, rozległ się huk i pod kopułą nastąpiła dekompresja. Potężny podmuch zwałił mnie z nóg. Poczułam, że unoszę się nad ziemią...

Czyjaś ręka zacisnęła mi się na ramieniu i pociągnęła z powrotem na dół. Prądy niebieskich gazów pędziły wokół mnie w zdradliwym wirze, kłując mnie w oczy. Spojrzałam za siebie i zobaczyłam, jak błękitne niebo wycieka w próżnię przez płonącą, poszarpaną wyrwę po pocisku.

– Zrób wydech! – krzyknął do mnie Tyrus, a jego głos uniósł się na porywistym wietrze. – Wypuść całe powietrze z płuc!

Odruchowo zrobiłam, co kazał. Jego uścisk zelżał, bo drugą ręką chwycił się pnia drzewa. Złapałam go za ubranie, przywarłam do jego ciała, a potem sama uczepliłam się pnia i przytrzymałam Tyrusa wolną ręką, mając rozpaczliwą nadzieję, że drzewo jest wystarczająco dobrze zakorzenione, żeby oprzeć się takiemu naciskowi.

Na szczęście było.

Gdy ulotniły się resztki atmosfery, wiatr ustał, a ciśnienie spadło do zera.

Nagle dotarło do mnie, co się dzieje, i ogarnęło mnie przerażenie: otaczała nas zimna, naga przestrzeń.

Moje serce zaczęło walić jak oszalałe, a pod skórą poczułam niepokojące łaskotanie, jakby coś rozsadało mnie od środka. To gazy w moim ciele usiłowały wydostać się na zewnątrz. Gdybyśmy nie wypuścili powietrza, eksplodowałyby nam płuca. Mieliśmy tylko chwilę, żeby stąd uciec i uniknąć śmierci. Twarz Tyrusa wykrzywiał ból, ale – wciąż przyciśnięty do drzewa – próbował dosięgnąć drzwi i energicznie na nie pokazywał.

Ogarnęła mnie ulga. Każde pomieszczenie sąsiadujące z przestrzenią kosmiczną zawierało komorę dekompresji, a zanik ciśnienia w kopule aktywował mechanizm otwierający.

Unosiliśmy się w zastraszająco wolnym tempie. We wszystkich kończynach czułam mrowienie, w uszach i oczach pulsowanie, a moja skóra zaczęła pokrywać się bąblami. Tyrus przestał się ruszać i domyśliłam się, że stracił przytomność, więc trzymałam go, walcząc z ogarniającym mnie zamroczeniem. Moja głowa zrobiła się lekka, a ślina na języku zaskwierczała i zaczęła wrzeć. Ogień w piersi narastał, lecz czepiałam się wszystkiego, czego tylko mogłam, rozpaczliwie walcząc o życie Tyrusa i własne. Krew gwałtownie pulsowała mi w uszach, zagłuszając myśli. W końcu dopadłam do komory dekompresji.

Otworzyłam ją szarpnięciem i wepchnęłam Tyrusa do środka, a potem podciągnęłam się i zamknęłam drzwi. Rozległ się syk i ciśnienie zaczęło rosnać. Wciąż nie dało się jednak oddychać –



w powietrzu brakowało tlenu. W słabym świetle widziałam, jak Tyrus robi się siny. Macałam wkoło rękami, które wprawdzie widziałam, ale których już nie czułam, i w końcu wyrwałam ze ściany maskę tlenową.

Tylko jedną.

Jedną.

Szybko przyłożyłam ją do twarzy Tyrusa, a potem spowiała mnie ciemność.

## ROZDZIAŁ 42

Chłodny podmuch. Następny. Potem nic.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze, tak że się nim zachłysnęłam.

– Otwórz oczy! – rozległ się zniekształcony głos Tyrusa.

Coś przywarło mi do twarzy i znowu mogłam oddychać, ale gdy już zaczęło mi się rozjaśniać w głowie, to coś zniknęło i znowu się zakrztusiłam.

Z wysiłkiem uniosłam powieki i zobaczyłam twarz Tyrusa. Zdałam sobie sprawę, że nasze ciała się stykają. Przyłożył maskę tlenową z powrotem do mojej twarzy.

– Co się... co... – wymamrotałam zniekształconym głosem. Nie mogłam pojąć, co się dzieje.

Zabrał maskę, a ja musiałam wstrzymać oddech, gdy on głęboko wciągał powietrze.

– Komora... brak powietrza... na zmianę.

Znowu przyłożył maskę do mojej twarzy, a ja z wdzięcznością wzięłam kilka głębokich oddechów. Zaraz potem ją odsunął – stanowczo zbyt szybko – żeby samemu zaczerpnąć powietrza.

– Sabotaż – powiedział, a potem dodał: – Nic więcej nie mów – i ponownie podał mi maskę.

Oddychaliśmy na zmianę w ten niezwykle męczący sposób. Wiedziałam, że to nie może trwać wiecznie. Mogliśmy tam spędzić wiele godzin albo i dni, zanim komuś przyszłoby do głowy nas poszukać. Mieliśmy szczęście, że w komorze panowało normalne ciśnienie i normalna temperatura, ale to było tylko tymczasowe. Atmosfera wróciła, żebyśmy mogli dotrzeć do chwili, w której przybędzie. Jeśli jednak mechanizm został wyłączony zdalnie, prawdopodobnie dezaktywowano także alarm mający powiadomić innych o tym, co się stało.

Nie miałam pojęcia, jaki mamy zapas tlenu, ale już czułam, że jest go zbyt mało. Gdy Tyrus wykonał ruch, jakby znowu chciał odsunąć maskę od swojej twarzy, wyciągnęłam rękę, żeby go powstrzymać.

Odepchnął moją dłoń i kręcąc głową, przyłożył maskę do moich ust.

– Jesteś ważny – powiedziałam z wysiłkiem. – Weź ją.

– Nie – odparł.

I wykorzystując fakt, że był ode mnie większy – a ja w ograniczonej przestrzeni nie mogłam użyć całej swojej siły – przycisnął maskę do mojej twarzy.

Znowu ją zerwałam i odepchnęłam w jego stronę.

Nagle pochylił się i przywarł ustami do moich ust. Przez chwilę trwaliśmy tak, uwięzieni w pułapce, w której płuca rozsadzał nam ból, a brak tlenu sprawiał, że w żyłach zdawał się płynąć ogień. Tyrus całował mnie, całował głęboko i rozpaczliwie, z furją, której nie potrafiłam zrozumieć.

Gdy się odsunął, nałożył sobie maskę na twarz i głęboko zaczerpnął tchu.

– Rozumiesz? – spytał drżącym głosem.

Co miałabym rozumieć? O co mu chodziło? Po chwili rzucił mi maskę. Przyjęłam ją z wdzięcznością – moje płuca rozpaczliwie pragnęły powietrza.

– Dlaczego? – wydyszałam, łapiąc oddech. Dlaczego mnie pocałował? Dlaczego nie chciał pozwolić, żebym się dla niego poświęciła? Zadanie tych wszystkich pytań wymagałoby jednak zbyt wielkiej ilości tlenu, a bez słów nie byłam w stanie go zrozumieć.

Z powrotem nałożył sobie maskę.

– Albo my obydwój – powiedział. – Albo żadne.

Byliśmy ściśnięci w maleńkiej przestrzeni i czułam wściekłe łomotanie jego serca. Pragnęłam go uratować, pragnęłam uratować siebie, ale nie potrafiłam tego zrobić na jego warunkach. Czasami miałam wrażenie, że jesteśmy dwiema gwiazdami binarnymi, krążymy wokół siebie, ale nigdy się nie spotykamy.

– Nie bądź głupi! – powiedziałam, gdy znowu przyłożył mi maskę do twarzy. A następnie zdarłam ją i najmocniej, jak umiałam w tej ciasnej przestrzeni, walnęłam go głową w czoło. Gruchnęła potylicą o ścianę i zwiotczał.

Zaczerpnęłam ostatni oddech i starannie umieściłam maskę na jego twarzy, zacieśniając paski, żeby nie spadła.

Uznałam, że zanim odzyska przytomność, kwestię tego, kto wyjdzie stąd żywy, rozstrzygnie natura.

Na chwilę mogłam zapomnieć, że gra toczy się o śmierć lub życie, i po prostu poczuć głowę Tyrusa na swoim ramieniu – było tu zbyt ciasno, by mogła osunąć się na podłogę. Objęłam go ramionami i rozkoszowałam się ciężarem jego ciała. Nie była to zakazana przyjemność, bo przecież za chwilę miałam umrzeć. Mogłam sobie pozwolić na tę jedną chwilę. Wróciłam myślami do tamtego wieczoru po wizycie na Luminie, gdy leżeliśmy obok siebie. Jakie piękne były te ulotne godziny, zanim się wystraszyłam, zanim stchórzyłam...

Bo właśnie dlatego odsunęłam się od Tyrusa. Nie przez rozagę ani nawet z poczucia obowiązku wobec Sydonii, lecz z powodu najzwyczajniejszego tchórzostwa. Czystego strachu. Zamknęłam oczy, przeklinając się za to, że znowu pozwoliłam, by to strach rządził moim życiem, dokładnie tak jak w zagrodzie. Teraz wreszcie rozumiałam, co zrobiłam, ale było za późno, żeby cokolwiek zmienić. Palący ból w moich płucach narastał i wiedziałam, że gdy się poddam, gdy spróbuję zaczerpnąć powietrza i mi się to nie uda, zacznie się koszmar. Marzyłam o szansie, żeby wszystko naprawić i poukładać tak, jak powinno wyglądać od samego początku.

Gdy nie byłam w stanie już dłużej wytrzymać, desperacko walczyłam o tlen, ale nie było czym oddychać. W uszach rozbrzmiewał mi słaby, miarowy oddech Tyrusa. Krztusiłam się i wiałam, i znowu

poczułam mrowienie na całym ciele – gęstą, ciężką czern, jakby wciągało mnie bagno.

To był koniec. Prawdziwy koniec.

Przez jedną niekończącą się chwilę przez głowę przemykały mi obrazy Tyrusa i Sydonii, matriarchini i Neveni.

Kątem oka uchwyciłam jaskrawe światło, którego blask przybierał na sile. W głowie rozbrzmiewały mi słowa Donii, jakbym usłyszała je wczoraj: w chwili śmierci ludzie widzą światło. Niektórzy uważają, że to efekt zachodzących w mózgu reakcji chemicznych, a inni że to Żywy Kosmos wzywający do życia po śmierci.

Diaboliki też je widzą – zabrzmiała moja ostatnia myśl – więc chyba jednak to reakcja chemiczna...

Powoli się budziłam. Ktoś mocno tulił mnie do siebie. Zobaczyłam nad sobą znajomą twarz – najpierw rozmazaną, potem coraz wyraźniejszą.

Tyrus intensywnie się we mnie wpatrywał. Pierwsze słowo, jakie padło z jego ust, wypowiedział szeptem:

– Nemezis?

Z mojego gardła wydobył się jakiś pomruk.

– Nie próbuj nic mówić. – Przytulił mnie mocniej. – Uratowano nas.

W oddali rozległo się jakieś skrzypnięcie.

– Udawaj, że śpisz – szepnął.

Zamknęłam oczy, a potem w powietrzu zaskrzeczał ostry, znajomy głos:

– Więc wygląda na to, że ta niemądra dziewczyna przeżyje. Zdecydowała się na nierozważny gest.

Tyrus ścisnął mnie jeszcze mocniej.

– Babciu, nie wszyscy są tacy jak my. Wielu jest lepszych... Ośmielę się powiedzieć, że większość.

Zarechotała.

– Ładnie mi się odwdzięczasz, Tyrusie. Gdybym nie wysłała na Aleksandrię swoich pracowników, nadal byłbyś uwięziony w tej komorze dekompresji, a twoja Sydonia byłaby już martwa.

– Byłbym ci bardziej wdzięczny za pomoc – odparł Tyrus oschle – gdyby nie pewność, że wiedziałas o tym ataku z wyprzedzeniem.

– Jeśli sugerujesz, że ponoszę odpowiedzialność...

– Och, nie, babciu. Wiem, kto za tym stoi. Nie zrobiłaś tego sama, ty tylko grałaś oportunistkę. Pozwoliłaś, żeby do tego doszło, i nie protestowałaś, żebyś potem mogła wkroczyć do akcji i zaskarbić sobie moją wdzięczność. Udało ci się. Dziękuję.

– Jakie to dziwne – powiedziała Cygna – doszedłeś do tych wszystkich wniosków, mimo że Sydonia Impirian niczego ci nie podpowiedziała. Zaczynam przypuszczać, że pogłoski o jej wpływie na zmianę twojego zachowania są przesadzone.

– Oczywiście, że zaczynasz.

Roześmiał się cicho i położył mnie na łóżku. Nieznacznie uniosłam powieki i zobaczyłam, że jesteśmy w komnacie, którą zajmowałam na Aleksandrii podczas naszej wyprawy na Luminę. Cygna stała jak drapieżny ptak, szykując się do ataku na Tyrusa. Spoglądali sobie w oczy.

– Chyba już się domyśliłaś, bo w przeciwnym razie nie zadałabyś sobie trudu, żeby mnie uratować: jestem twoim wnukiem. W moich żyłach płynie twoja krew. I dlatego znam wiele twoich tajemnic. Na przykład tę, kto tak naprawdę sprawuje władzę w imperium. To nigdy nie był mój wuj.

– Nie będę słuchała, jak obrażasz naszego cesarza.

– Och, przecież ostatnio właśnie dlatego mnie tolerowałaś, prawda? Bo odkryłem prawdę o tobie, a mój wuj nie. Jego apetyt doprowadził do ogołocenia skarbcza. Syn ignoruje i lekceważy twoje apele o rozagę, a nawet jawnie nimi gardzi. Wymknął ci się spod kontroli, babciu.

Milczała.

– Widzę, że nie masz nic do powiedzenia – ciągnął dalej. – Wiem, że kiedyś ostrzegałaś, żeby nie mianował pierwszego następcy, ale cię nie posłuchał. Wiem, że bardziej przejmuje się zdaniem senatora von Pasusa niż twoim. Wiem też, że cię denerwuje, gdy patrzy, jak próbujesz jego potraw – jak gdyby myślał, że jeśli zaczniesz życzyć mu śmierci, zdoła cię pokonać! Zapomniał nie tylko o tym, co zawdzięczał ci w przeszłości, ale i o tym, co zawdzięcza ci nadal.

– Randewald ostatnio mnie rozczarowuje – przyznała niechętnie. – Często myślę, że władza jest najbardziej szkodliwą substancją we wszechświecie. Zarówno pragnienie władzy, jak i jej posiadanie nieodwracalnie wypaczają charakter.

– Babciu, już wiesz, że między mną a wujem rozegra się teraz otwarta wojna. Devineé nie nadaje się na twoją powierniczkę. Jestem jedyną alternatywą, jaka ci pozostała, i chyba stałem się dla ciebie bardziej znośny, prawda?

– Przypuszczam, że przez lata byłeś niezrównanym aktorem.

– To tobie zawdzięczam te umiejętności. A teraz odsłaniam przed tobą całą prawdę, jak pragmatyk przed pragmatykiem. Nie mam nienasyconego apetytu i doskonale wiem, co znaczy szanować cię i bać się ciebie.

Roześmiała się.

– Och, Randewald musi bardzo żałować, że mianował cię swoim następcą. Ostrzegałam go.

– Tylko że z niewłaściwych powodów. Bo widzisz, ja nigdy nie byłbym taki niemądry, żeby lekceważyć twoje słowa, a jemu często się to zdarza. Jeśli chcesz, żebym był helionikiem, będę helionikiem. Jeśli chcesz, żebym się sprzymierzył z Pasusami, sprzymierzę się z Pasusami. Nigdy nie

ośmieliłbym się kwestionować twojej mądrości.

Oddaliła się od niego o kilka kroków. Zerknęłam na nią i zauważyłam metaliczne błyski w oddali. W całym pomieszczeniu czekały dyskretnie ukryte ochronoboty. Była gotowa zabić Tyrusa. Czyżby ocaliła go tylko po to, żeby postawić mu ultimatum? Czyżby ją ubiegł, od razu wykładając karty na stół?

– Czy dobrze rozumiem, Tyrusie – powiedziała – że proponujesz zdradę stanu? Chcesz, żebym konspirowała z tobą przeciwko własnemu synowi?

– Nie proponowałem żadnej konspiracji, ale ratując mnie przed próbą zamachu z jego strony, sama ją zaoferowałaś.

– Powiedz mi – odparła chłodno – z jakiego powodu, pomijając grozę, jaką w tobie budzę, miałabym postawić cię wyżej niż własnego syna?

– Dlatego że chcesz silniejszego cesarza, a Randewald stracił twoje zaufanie. – Tyrus rozłożył ręce. – Chcesz, żeby imperium rosło w siłę pod rządami najbardziej godnego z Domitrianów, a oboje wiemy...

– Że to ty? – spytała cierpko.

– Nie, babciu. Że to ty.

Tego się chyba nie spodziewała. Dumnie uniosła podbródek, ale pozwoliła Tyrusowi mówić dalej.

– A zaraz po tobie jestem ja, jedyna osoba na tyle mądra, żeby wiedzieć, że będę rządził zgodnie z twoimi rozkazami. Poza tym – wyciągnął rękę i ścisnął mnie za ramię – jestem też w pełni świadomy, że masz ze sobą swoje ochronoboty, uzbrojone i gotowe mnie zabić, jeśli sam nie zaproponuję ci takiego sojuszu.

Nie potrzebowałam innego sygnału. Moje mięśnie wciąż były okropnie obolałe po dekompresji i niedotlenieniu, ale zareagowały błyskawicznie: zerwałam się z łóżka i jednym susem przeskoczyłam przez komnatę. Zdziwiona Cygna krzyknęła, gdy dopadłam do pierwszego ochronobota, zanim zdążył odwrócić się w moją stronę i wystrzelić. Dokładnie w chwili, gdy wypuszczał promień, skierowałam go w stronę drugiego bota, a kiedy nadleciał trzeci, uskokczyłam przed jego promieniem, złapałam go i roztrzaskałam o ścianę.

Spojrzałam na Tyrusa, a on powoli pokiwał głową. Płonęły mu oczy.

– Dziękuję, Nemezis.

Cygna stała jak wryta i rozdziawiała usta. Wreszcie odzyskała zmysły.

– Diabolika. To diabolika!

– Zgadza się – potwierdził Tyrus.

– Nic dziwnego... – Cygna urwała, by zaraz dodać: – Sprawileś sobie diabolikę i udawałeś, że to Sydonia Impirian. – W jej głosie pobrzmiwało zdumienie skalą bezczelności, jakiej dopuścił się Tyrus.

– To nie był jego pomysł – powiedziałam, czując krążącą w żyłach adrenalinę i czekając, aż Tyrus da mi znak do ataku. – Wpadli na to ludzie, którzy już nie żyją.

– Jak to możliwe, że masz diabolikę? – spytała ostro Cygna, przyglądając mi się. – Nigdy jej dla ciebie nie zamawialiśmy.

– Bo ona nie jest moją własnością – powiedział Tyrus. – To moja sojuszniczka.

– Sojuszniczka? – powtórzyła Cygna. Krążyła wokół mnie, przypatrując mi się uważnie. – Tyrusie, diabolika pozbawiona więzi chemicznej to bardzo niebezpieczna sojuszniczka. Nie znasz tych stworzeń tak dobrze jak ja.

– A co ty możesz wiedzieć o diabolikach? – spytałam ją jadowitym tonem.

Uśmiechnęła się, ale jej spojrzenie pozostało lodowate.

– Więcej, niż ci się wydaje. Wiedziałam, że coś jest z tobą nie tak, i teraz już rozumiem co. Zatem pierwotnie należałaś do tej... kretyнки Impiriarki?

Poczułam przypływ złości, ale przez wzgląd na Tyrusa postanowiłam nie rozrywać Cygny na strzępy. Obraziła Sydonię, ale przecież słowa nie mają mocy.

– Jeśli ta historia będzie miała ciąg dalszy – ciągnęła, nie odrywając ode mnie wzroku – nie życzę sobie więcej komedii z udziałem tego czegoś.

– Przystanę na tę propozycję, jeśli nigdy więcej nie nazwiesz Nemezis „tym czymś” – powiedział Tyrus cichym, groźnym głosem.

Cygna spojrzała na niego ostro.

– Och, więc tak to z wami jest? – Jej spojrzenie pełzało między nami, jakby dopiero teraz zrozumiała, że Tyrusa i mnie naprawdę łączą partnerskie relacje. – Wasz sojusz musi być bardzo niepewny. Prawdziwe przywiązanie do diaboliki, a z drugiej strony przywiązanie diaboliki do ciebie mimo braku chemicznej więzi. Jakie to... wywrotowe. No cóż, Tyrusie, nie mogę się na to zgodzić. Jeśli naprawdę chcesz mi się podporządkować, będziesz musiał poślubić kobietę, którą sama ci wybiorę.

– Dlaczego akurat Elantrę Pasmus, jeśli można wiedzieć? – spytał Tyrus.

– Tym cesarstwem muszą rządzić helionicy, a żadnego z nas nie stać na takiego wroga jak Pasmus – odrzekła beznamiętnie Cygna. – Tyrusie, nie znam twoich prawdziwych przekonań i w ogóle mnie one nie obchodzą. Poślubienie Elantry zbliży cię do właściwej frakcji. Przyszłość tej galaktyki zależy od naszej nieprzemijającej siły: nie tylko od siły imperium, ale i od siły grandecji. Musimy dać zbędnikom wyraźny sygnał, że nigdy nie będą w stanie stawić nam czoła.

– Bardzo dobrze. Zatem poślubię Elantrę, babciu. Umowa stoi?

Cygna długo milczała, a potem odrzekła:

– Już niebawem poznasz moją odpowiedź.

Spojrzałam na Tyrusa, a on powoli pokiwał głową. Jedno było jasne dla nas obojga: Cygna

wyraźnie dawała do zrozumienia, że nasz los spoczywa w jej rękach. I na razie nie chciała wyjawić, czy wyjdzie nam to na dobre, czy wręcz przeciwnie.



## ROZDZIAŁ 43

Tyrus miał pewną zastanawiającą cechę: bez względu na to, jak napięta była sytuacja, zachowywał spokój w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Dopiero potem zauważałam u niego fizjologiczne skutki stresu: krew odpływała mu z twarzy, drżały mu kończyny.

Wycofał się do swojej prywatnej komnaty na Aleksandrii, mrużąc coś o unikaniu „okien zwróconych na zewnątrz”. Jego szerokie ramiona wydawały się spięte, gdy nalewał wino do kieliszka. Pociągnął spory łyk, a potem gwałtownie się odwrócił i cisnął kieliszkiem w holograficzny kominek. Szkło się rozprysło, a on popatrzył na mnie. Jego oczy płonęły.

– Wyjaśnij mi coś – zaczął ze śmiertelnym spokojem, który zupełnie nie pasował do jego miny. – Co ty właściwie wyrabiałaś w tej komorze? Obydwoje mieliśmy oddychać! Gdyby ludzie babki zjawili się pięć minut później, już byś nie żyła!

Wpatrywałam się w niego, zastanawiając się, jak w ogóle może zadawać takie pytanie.

– Przecież jesteś przyszłym cesarzem. Ja jestem diaboliką. Twoje życie jest ważniejsze od mojego.

Nie zdawał sobie sprawy, że poświęciłam nie tylko własne życie – porzuciłam Donię. Zrobiłam to dla niego, gdy zrezygnowałam z ochraniania jej. A teraz miał do mnie pretensje?

– Gdyby ludzie Cygny zjawili się pięć minut później – zauważyłam – też byłbyś martwy, a to dlatego, że odmówiłeś pogodzenia się z koniecznością poniesienia pewnych ofiar. Takich jak poświęcenie mnie. Zrobiłam to, co było najlepsze dla nas obojga.

– Zabroniłem ci!

– Nie będziesz mi rozkazywał! Nie jesteś moim panem. Jesteśmy partnerami. Podjęłam decyzję, w dodatku słuszną! Przyszły władca powinien uczyć się ponosić ofiary.

– Ofiary?! – zawołał. – Już je ponoszę! Nie mów mi, że nie wiem, co to znaczy ponosić ofiary. – Raz po raz przeczesywał włosy palcami. – Poświęciłem całe lata, udając szaleństwo. Poświęciłem swoją potrzebę zemsty, żeby przetrwać i wprowadzić zmiany mające znaczenie w ogólnym rozrachunku. Wiem, co to poświęcenie! – Gwałtownie się do mnie odwrócił. – A teraz zgodziłem się związać z kobietą, którą wybrała dla mnie babka. Poniosłem wiele ofiar. Ale tej nie poniosę. Nie poświęcę twojego życia i ty też tego nie zrobisz! – Stał przede mną, a potem ujął moje policzki w dłonie. W jego spojrzeniu kryła się rozpacz. – Chciałaś oddać za mnie życie. Nie mogę pozwolić, żeby to się powtórzyło. Nie zniósłbym tego!

Wróciłam myślami do tamtego delirycznego pocałunku w ciemności komory dekompresyjnej, do tego dziwnego wspólnego obłędu, gdy oboje się dusiliśmy i zbliżała się śmierć.

– Rozumiesz? – spytał.

Ale niczego nie rozumiałam. Zamknęłam oczy i teraz mogłam się skupić wyłącznie na ciepłe jego dłoni na moich policzkach.

– Więc naprawdę ożenisz się z Elantrą.

– Tak – powiedział szorstko. – Na to wygląda.

Gwałtownie się odsunęłam.

– Gratulacje – rzuciłam cierpko. – Mam nadzieję, że przeżyjecie wiele szczęśliwych lat, zanim postanowi cię zabić.

Gorzko się roześmiała.

– Ach, w dniu, w którym to nastąpi, stanie się prawdziwą Domitrianką. – Jego twarz złagodniała. – Niedługo będę mógł zrezygnować z twoich usług. Będziesz mogła zrobić, co zechcesz. Możesz wyjechać daleko stąd.

Ogarnęło mnie mroczne, nieprzyjemne uczucie – posępniejsze od złości, bardziej dojmujące od żalu. Nie znosiłam tego, że je we mnie budzi. Zacisnęłam pięści i usiłowałam zapanować nad głosem.

– Zrobię to z radością. Odsuń się i pozwól mi wyjść.

Nie poruszył się, tylko zadrżał mu podbródek.

– A dokąd się wybierasz?

– Do swojej willi.

Zacisnął zęby.

– Dopiero jak będzie po wszystkim, Nemezis. Dopiero jak to się skończy.

– To, dokąd się wybieram, to nie twoja sprawa.

– To zdecydowanie moja sprawa, chyba że masz jakiś plan i konkretny cel.

– Nieprawda. Sama dbam o swoje interesy. A tobie i twojej przyszłej cesarzowej życzę dużo szczęścia. – Odwróciłam się, gotując się ze złości. Gdybym tylko potrafiła odpędzić wspomnienie naszego ostatniego pocałunku! Dlaczego mnie pocałował? Dlaczego komplikował wszystko jeszcze bardziej?

Zamierałam wyjść, ale coś mnie powstrzymało – wspomnienie ostatnich chwil, kiedy się dusiłam. Wreszcie zrozumiałam, że moimi działaniami często kierował strach, najzwyczajniejszy strach. I nie chciałam, żeby kiedykolwiek się to powtórzyło.

Dlatego odwróciłam się do Tyrusa.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego zamierzam stąd wyjechać? – spytałam cicho. – Dlatego że popełniasz błąd, sprzymierzając się z Elantrą. Tak, zdobędziesz tron i poparcie babki, ale nigdy nie zaufasz swojej żonie i nie będziesz jej szanował, nigdy nie będziesz mógł spokojnie spać we własnym łóżku. Zasługujesz na coś więcej. Nie chcę patrzeć, jak to robisz, więc będę bardzo szczęśliwa, Wasza Eminencjo, jeśli najbliższe lata spędzę gdzieś daleko stąd!

Podszedł do mnie i złapał mnie za ramiona.

– A niby dlaczego tak się tym przejmujesz?

– Jak możesz o to pytać?! – krzyknęłam. – Rozmawiasz ze mną, jakbym była człowiekiem, a potem odwracasz się i zakładasz, że jestem pozbawiona wszelkich uczuć! Jak to z tobą jest, Tyrusie? Czy tak trudno ci zrozumieć, że przejmuję się twoim dobrem? Że mogę...

Zamilkłam przerażona.

Jego palce wbiły mi się w skórę.

– Że co możesz? Że co możesz, Nemezis?

Zacisnął mi się węzeł na gardle. Nie byłam w stanie mówić. Miałam te niebezpieczne słowa na końcu języka: „Że mogę cię kochać”.

– Nemezis – powiedział cicho Tyrus – na statku mówiłaś, że nigdy nie doświadczysz miłości. Mówiłaś, że nie jesteś zdolna obdarzyć mnie uczuciami ani poczuć choć ułamek tego, co ja czuję do ciebie. – Przynął mnie do siebie, nasze usta dzielił już tylko jeden oddech. W skupieniu wpatrywał się w moją twarz. – Kłamałaś?

Ucisk w gardle jeszcze się wzmógł.

– Powiedz mi szczerze. Proszę, po prostu powiedz. Jeśli na statku mówiłaś prawdę, nigdy więcej nie będę zawracał ci głowy.

– Na statku się... myliłam – powiedziałam niepewnie. Te słowa jakby wyrwały mi się wbrew mojej woli.

Pogłaskał moje usta kciukiem, a jego oczy zalśniły.

– Więc jednak coś czujesz. Czy to możliwe, że zależy ci na mnie tak jak mnie na tobie?

Szybko spojrzałam mu w oczy. Umysł nadal płonął mi wspomnieniem pobytu w komorze dekompresyjnej i jego ust tuż przy moich.

– A tobie nadal zależy? – szepnęłam.

– Nigdy nie przestało. I nigdy nie przestanie.

Wezbrał we mnie strach, ale postanowiłam, że nie stchórzę. Nie tym razem.

– Tyrusie, nie żeń się z Elantrą. Bo... bo ja tego nie chcę.

Uśmiechnął się.

– W takim razie się nie ożenię.

Oplótł mnie ramionami i pocałował. Jego dłoń zacisnęła się na moim karku i odchyliłam głowę, tuląc się do niego, jakby nasze ciała mogły zlać się w jedno. Lekki zarost na jego żuchwie drapał mnie w policzki. Czując dotyk jego ust, rozchyliłam wargi i nasze języki splotły się ze sobą. Każdy centymetr jego ciała promieniował ciepłem i siłą, działał na mnie jak magnes. Zapomniałam, gdzie się znajduję, poddałam się uczuciom – uczuciom, których pragnęłam jak narkotyku, odkąd Tyrus dotknął

mnie poprzednim razem.

Podniósł mnie i posadził na biurku, a jego gorące usta przesuwały się w dół mojej szyi. Zanurzyłam palce w jego miedzianych włosach i ścisnęłam je z zaborczością, która zaskoczyła mnie samą. Był teraz mój, mój. A poza tym był mądry i wystarczająco sprytny, żeby pozostać przy życiu, nawet jeśli sprzeciwi się Cygnie, nawet jeśli odrzuci jej żądanie i nie ożeni się z Elantrą.

– Czy ty mnie... kochasz? – spytałam, z trudem zdobywając się na te słowa, które nigdy nie powinny paść z ust diaboliki. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, o co spytałam.

Zanim jednak zdążyłam poczuć przerażenie, odpowiedział:

– O tak, kocham cię. – Odsunął się nieznacznie i zmierzył mnie przeciągłym, namiętym spojrzeniem. – Kochałem cię, kiedy oddalaliśmy się od Luminy, kiedy walczyliśmy o przetrwanie w przestrzeni i kiedy krztusiliśmy się, łapiąc powietrze. Jesteś odważna, szlachetna i silna i tylko ty naprawdę mnie znasz. Powiedz, że też mnie kochasz.

I wtedy to poczułam: wielką, miazdzącą falę pewności.

– Kocham cię. Kocham cię, Tyrusie.

Kochałam go za ten jego spokojny, rozważny sposób bycia, zupełnie nieprzypominający mojego. Za dalekowzroczność, będącą przeciwieństwem mojej porywczoci. Za to, że mimo swojej pozycji nie traktował mnie jak zwierzę ani istotę niższą. Za to, że w komorze dekompresji odmówił poświęcenia życia diaboliki, żeby samemu móc przeżyć.

Te wszystkie drobne akty znaczyły dla mnie ogromnie wiele. I absolutnie nikt inny nie mógł zająć jego miejsca w moim życiu. Tak, kochałam go równie mocno jak Sydonię, ale w zupełnie inny sposób. To był głód, pragnienie, potrzeba, z której istnienia długo nie zdawałam sobie sprawy.

Jego usta znowu znalazły się przy moich, skłaniając mnie do namiętych pocałunków, ale moje myśli popłynęły w inną stronę. Ku Sydonii, która chciała wrócić i odbudować fortecę Impirianów. Na razie sobie tego nie wyobrażałam, lecz pozostanie z Tyrusem oznaczało opuszczenie Sydonii. Musiałam wybrać.

Kiedyś podjęcie tej decyzji byłoby łatwe jak oddychanie. Ale teraz, gdy czułam się spełniona i kochana jak jeszcze nigdy dotąd... Nie miałam pojęcia, co robić.

Cokolwiek miało się stać, Sydonia musiała odzyskać swoją prawdziwą tożsamość, ja zresztą też. Tak wyglądały fakty. I właśnie dlatego nie potrafiłam się zdecydować.

– Tyrusie – powiedziałam zatem – musisz o czymś wiedzieć. To może wiele zmienić.

Delikatnie ujął moją twarz w dłonie, wpatrując się we mnie tymi swoimi szczerymi oczami. Czy kiedykolwiek widziałam jego twarz tak bezbronną? Bez tego spokoju i dystansu, który tak bardzo starał się zachować w kontaktach z innymi, wyglądał młodo, pogodnie, chłopięco.

– Nie mogę wiecznie być Sydonią Impirian. – Wyciągnęłam rękę i dotknęłam piegów na jego policzku, przesuwając palce wzdłuż kanciastej żuchwy aż do ust. – Bo widzisz – dodałam, biorąc

głęboki oddech – ona nadal żyje.

## ROZDZIAŁ 44

Gdy Tyrus wszedł do mojej willi, Sydonia natychmiast padła na kolana i sięgnęła po jego rękę, żeby przyłożyć knykcie pierwszego następcy do swych policzków.

– Wasza Eminencjo, senatorki von Impirian nie ma...

Wyłoniłam się zza Tyrusa.

– Doniu, wszystko w porządku. On wie.

Donia wstała, wytrzeszczając swoje sarnie oczy, a Tyrus przyglądał jej się ze zdziwioną miną. Wciąż trzymała go za rękę.

– Wie?

– O wszystkim – zapewnił ją Tyrus. Był wysoki i muskularny, a ona wydawała się przy nim maleńka. – Senatorko von Impirian, przyjmij najszczerze wyrazy współczucia z powodu utraty rodziny.

– Dziękuję – powiedziała Sydonia.

Tyrus odwrócił się lekko w moją stronę. Nigdy nie widziałam go tak zmieszanego. Poczułam znaczące ukłucie. Jeszcze kilka minut temu myślał, że wszystko między nami jest już jasne. Teraz wiedział, że wcale nie.

– Nemezis przedstawiła mi twoją sytuację. Przyznaję, że nadal jestem zdumiony.

Onieśmielona Donia pokiwała głową.

– Mam nadzieję, że nie sprawię Waszej Eminencji żadnego kłopotu.

Tyrus cofnął się lekko i rozejrzał po pomieszczeniu. Moja willa była ładna, ale jej urok bledł w zestawieniu ze wspaniałością jego statku.

– Widzisz – powiedział zamyślony – to bardzo komplikuje naszą sytuację. Podawanie się za przedstawiciela grandecji to zbrodnia karana śmiercią. Gdy odzyskasz swój status, jeśli oczywiście będzie ku temu okazja... No cóż, wielu grandesów widziało Nemezis, rozmawiało z nią... Gdy już zostanę cesarzem, będę potrzebował czasu, żeby umocnić swoją władzę, a ich poparcie będzie mi niezbędne. Nie mogę tak po prostu przedstawić Nemezis jako uzurpatorki i oczekiwać, że puszczą to w niepamięć. Czują się osobiście urażeni, że nieświadomie traktowali diabolikę jak równą sobie. Będą się domagali ukarania winnych.

Donia przyłożyła rękę do ust.

– Och, Wasza Eminencjo, proszę, nie dopuść do tego, żeby skrzywdzili Nemezis! – Znowu padła na kolana. – Musisz ją chronić. Nie mogę bez niej żyć.

Jej słowa odbiły się echem i zadźwięczało w nich stare wspomnienie: ostatnie tygodnie w fortecy

Impirianów i groźba Donii, że zabije się, jeśli zginę. Zaniepokojona uklękłam obok i przytuliłam ją. Nawet na chwilę nie oderwała wzroku od Tyrusa.

A on patrzył na nią z miną wyrażającą napięcie.

– Senatorko von Impirian, zrobię, co w mojej mocy, żeby ocalić Nemezis. To jednak tylko gdybanie, bo najpierw muszę zwyciężyć w walce z wujem.

– Ale jeśli zwyciężysz...

Ukląkł i wziął Sydonię za rękę.

– Wtedy Nemezis będzie żyła. Przysięgam. – Spojrzał na mnie, a jego oczy płonęły intensywnym blaskiem.

Wzięłam głęboki oddech. Czułam w kościach, że jeśli mogę wierzyć w choćby jedną rzecz w tym wszechświecie, to jest to miłość Tyrusa do mnie.

Chyba odgadł moje myśli, bo jego twarz złagodniała.

– Jej życie znaczy dla mnie więcej, niż przypuszczasz – powiedział.

Donia uwolniła się z moich objęć.

– Nemezis – powiedziała, patrząc na Tyrusa – chciałabym teraz porozmawiać z Jego Eminencją w cztery oczy.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że to rozkaz.

– Mam wyjść?

– Tak – powiedziała Donia, nawet na mnie nie spoglądając.

Bardzo długo byłam Sydonią Impirian. To ja wydawałam rozkazy. Dziwnie było znowu znaleźć się w pozycji podwładnej. Nie, nie zwykłej podwładnej. Byłam Nemezis dan Impirian, a Donia była moją panią.

Ta myśl nigdy dotąd mnie nie uwierała, ale teraz poczułam dziwny dyskomfort. Przecież Sydonia nigdy nie traktowała mnie jak swoją własność, poza tym nigdy nie musiałam wypełniać jej rozkazów. A jednak teraz założyła, że podporządkuję się jej woli.

Tyrus chyba czytał w moich myślach.

– To dotyczy Nemezis. Powinna zostać.

– Nie – zaprotestowałam. Sydonia chciała porozmawiać z nim na osobności, więc porozmawia z nim na osobności. – Zostawię was samych.

Po tych słowach wycofałam się, pozwalając, żeby dwoje przedstawicieli grandecji porozmawiało beze mnie.

Mijały minuty. Potem zrobiło się z nich pół godziny. Dla zabicia czasu podciągałam się na drążku. W końcu do pokoju cicho weszła Donia i zaczęła przyglądać mi się w milczeniu. Na jej twarzy malowała się łagodność, której nie potrafiłam zinterpretować.

Zeskoczyłam na podłogę.

– Tyrus już poszedł?

– Tak. Powiedziałam mu, że chciałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy.

A więc nie zamierzała mi powiedzieć, o czym rozmawiali. Moja twarz musiała wyrażać wielki niepokój, bo Donia zmarszczyła brwi.

– On bardzo martwi się tym, co z tobą będzie.

– Tak, oczywiście.

– Bardzo się martwi – podkreśliła, a po chwili wahania dodała: – Nemezis... jemu na tobie zależy.

Ogromnie zależy.

Na moją twarz wpełzł rumieniec.

Spojrzała na mnie badawczo.

– A tobie zależy na nim. – Pochyliła głowę i przez chwilę przyglądała spódnicy. – Ufasz mu? – spytała w końcu.

– Mówiłam ci, że tak.

Zacisnęła swoje małe dłonie w pięści i podniosła głowę.

– Pamiętam, jak opowiadałaś o wielkim wyścigu. Mówiłaś, że Tyrus przyłożył rękę do wypadku.

– Oczywiście – powiedziałam, zdumiona tym, że porusza teraz ten temat. – Sam mi to wyznał.

– Zdajesz sobie sprawę, że Dandras zginął. Nie przeszkadza ci świadomość, że Tyrus jest zdolny do odebrania komuś życia?

– To był wypadek...

– I co z tego? Był świadomy ryzyka. Ryzykował życie człowieka dla politycznej korzyści. Ktoś, kto tak łatwo poświęca jedno życie, z łatwością może poświęcić także inne.

Starannie przemyślałam odpowiedź. Dla kogoś takiego jak ja i Tyrus tego rodzaju kalkulacje były zupełnie naturalne, ale Donii rzeczywiście musiały wydawać się okrutne.

– Tyrus nie planował jego śmierci. A ja wierzę, że liczą się intencje. Poza tym – uśmiechnęłam się cierpko – sama też nie jestem niewiniątkiem. Na własne oczy widziałas, jak zabijam.

– To było co innego – odrzekła cicho, a potem się skrzywiła.

Chciałam powiedzieć, że wcale nie, ale się powstrzymałam. Sutura nu Impirian nie musiała umrzeć. To nie był żaden wypadek.

– Nemezis, ja tylko... martwię się...

– Jeśli o mnie, to niepotrzebnie. Sensem mojego życia jest chronić ciebie, a nie odwrotnie. O czym właściwie rozmawialiście? Wpadłaś w jakiś dziwny nastrój.

Podeszła do okna i uniosła wzrok ku niebiańskiej kopule, a jej sztucznie rozjaśnione włosy zaśniły w słońcu.



– Pamiętasz, co powiedziałam przed twoim wyjazdem z forticy? Powiedziałam, że wolałabym umrzeć, niż cię stracić.

– Jak mogłabym zapomnieć? – odparłam ochrypłym głosem.

Odwróciła się i spojrzała mi w oczy.

– Nemezis, zależy mi na tobie. Bardzo. Jeśli w końcu mam być szczerą... to zależy mi chyba tak samo jak Tyrusowi.

– To raczej nie... – zamilkłam. Najpierw pomyślałam, że Donia źle zrozumiała naturę uczuć, jakie żywi do mnie Tyrus.

Ale może nie. Przypomniałam sobie, jak zareagowała, gdy zaproponowałam, że zacieśnię jej znajomość z Gladdikiem. Wtedy myślałam, że nie chciała się dzielić jego względami.

Nie przyszło mi do głowy, że mogła nie chcieć dzielić się mną.

– Zawsze byłaś obecna w moim życiu – powiedziała Donia głuchym i obcym głosem. – Kiedy mama na mnie krzyczała, a tata poświęcał się pracy, zawsze miałam ciebie i nikogo więcej nie potrzebowałam. Biorąc udział w forach towarzyskich, gdzie miałam szukać partnera pośród grandesów, potrafiłam myśleć tylko o tym, że nie chcę nikogo innego niż ty. Miałam już wszystko, czego potrzebowałam. Chciałam tylko, żebyśmy zawsze byli razem. Nemezis, z trudem wytrzymuję, kiedy tak na niego patrzysz. To cudowne, że możesz coś takiego czuć, ale jednocześnie sprawia mi to ból.

– Och. – Nie byłam w stanie powiedzieć nic więcej. Nie wiedziałam, co robić. – Doniu...

Uniosła drżącą rękę, a na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

– Nie musisz nic mówić. Musiało ci na mnie zależeć, nie miałaś wyboru. Musiałaś mnie kochać. To nie w porządku. Nigdy nie podejmowałaś decyzji samodzielnie, a ja zawsze wiedziałam, że mogę to wykorzystać. Ale wiesz, nigdy nie chciałam tego robić. Nigdy tego nie zrobię.

– Nie potrzebowałam maszyny, żeby wytworzyła między nami więź. Bo... – Trudno mi było wypowiadać te słowa, nawet teraz, nawet mimo praktyki, którą zyskałam dzięki Tyrusowi. – Naprawdę cię kocham. Uratowałaś mi życie, kiedy zabijano inne diaboliki. Wcale nie musiałaś tego robić. Chciałaś, żebym była Nemezis Impirian, a nie dan. Zawsze myślałam, że to głupie i śmieszne, ale kiedy znalazłam się tutaj...

– To co? – spytała smutno.

– Zaczęłam rozumieć, co miałaś na myśli przez ten cały czas. Wreszcie widzę, jaka byłaś niezwykła. – Odwróciłam się od niej. – Widzę, jaka niezwykła jesteś teraz. Jesteś dla mnie najlepszą przyjaciółką, chociaż miałybyś wszelkie prawo być moją właścicielką. Nigdy nie traktowałaś mnie jak rzecz. Nawet kiedy sama się tak traktowałam.

Oczy Donii zalśniły od łez.

– Myślisz, że z Tyrusem jest coś nie tak? – spytałam, bo musiałam wiedzieć. – Chcę usłyszeć

twoją szczerą opinię. To dla mnie ważniejsze niż cokolwiek innego.

Pokręciła głową.

– Nie, Nemezis. Nie zaczynaj wątpić tylko ze względu na mnie. Jeśli czujesz coś do Tyrusa, chcę, żebyś była z nim szczęśliwa. Chcę tego bardziej niż cegokolwiek innego we wszechświecie. Musisz mi uwierzyć.

– Dlaczego mówisz w ten sposób? – Nagle nabrałam podejrzeń. – O czym rozmawiałaś z Tyrusem? Zaczynam się martwić.

Podeszła do mnie, a potem mocno wzięła mnie za rękę i przyłożyła sobie moje knykcie do policzków.

– Proszę, o nic się nie martw. Po prostu zrozumieliśmy, jaka ważna jesteś dla nas obojga. Chodzi o to, że trochę zaniepokoił mnie sposób, w jaki Tyrus mówił o dokonywaniu wyborów.

– Jakich wyborów?

– Och, trudno powiedzieć. Chyba wątpi, że uda nam się bez trudu wrócić do sytuacji, w której znowu stałabym się senatorką von Impirian. Martwi się o ciebie. I to mnie cieszy, bardzo. Jestem pewna, że znajdzie rozwiązanie. A teraz zostawmy ten temat. – Pomasowała skronie. – Boli mnie głowa. Mogłabyś mi zrobić opiatowy masaż?

Jej słowa wcale mnie nie uspokoiły. Przyniosłam maść, ale Sydonia nie była już w nastroju na pogawędkę. Usiadła obok okna, patrząc przed siebie i mrużąc oczy, i wydawała się zadowolona, dopóki siedziałam obok niej. Wsłuchiwałam się w jej oddech, tak jak kiedyś w fortecy, wracając myślami do tej gwałtownie urwanej rozmowy.

Niepokoili mnie okoliczności, w jakich się znaleźliśmy. Miałam wrażenie, że wszyscy troje wisimy nad przepaścią, mając pod sobą niezmierną, ciemną otchłań, i obawiałam się, że nawet dalekowzroczny Tyrus nie jest w stanie dojrzeć, co leży na dnie.

## ROZDZIAŁ 45

Tyrus porzucił myśl o ożenku z Elantrą, więc musiał zmienić swoją strategię wobec Cygny.

– Do ostatniej chwili, do samego końca będę udawał, że wywiązuję się ze swojej części umowy – wyjaśnił mi.

Zamierzał najpierw wyeliminować Randewalda, a potem babkę. Na razie chciał zdobyć jej przychylność, a potem poinformować cesarza o zdradzie. Randewald pozbyłby się matki. Później Tyrus zaaranżowałby śmierć Randewalda, najprawdopodobniej za pomocą jakiejś działającej miejscowo trucizny – był to najpewniejszy sposób, żeby oszukać diaboliki.

Plan rozwiał moje obawy, i to nie tylko dlatego, że wyeliminował ryzyko ślubu Tyrusa z Elantrą. Wiedziałam, że najgroźniejszym wrogiem Tyrusa jest Cygna. Pozostawienie jej przy życiu byłoby igraniem z losem.

Tymczasem spełnialiśmy jej żądania. Dziś Tyrus miał mnie publicznie porzucić i związać się z Elantrą.

Hera, statek *grandeé* Cygny, nie odznaczał się tak ostentacyjnym przepychem jak Valor Novus czy Aleksandria Tyrusa. Z zewnątrz robił wrażenie brzydkiego – umieszczono go wokół pustej asteroidy. Gdy jednak przybyliśmy na wielkie przyjęcie wyprawione przez Cygnę, odkryłam, że to tylko pozory.

Nad nami i wokół nas rozciągała się powierzchnia asteroidy: poszarpane stalagmity, połyskliwe kryształy i żyłkowania z palladu, wszystko gustownie oświetlone i roziskrzane, miejscami misternie rzeźbione, a gdzieniegdzie urozmaicone oknami z naturalnego i sztucznego kryształu.

– Pięćdziesiąt lat pracy – zauważył Tyrus. – Hera to duma babki. Dzieło sztuki.

– Właśnie widzę.

Kiedyś matriarchini powiedziała, że nie mam zmysłu estetycznego, ale przez ostatnie tygodnie pobierałam lekcje piękna – między innymi – toteż potrafiłam docenić wartość miejsca, w którym się znajdowałam. W ten statek włożono miłość, poświęcenie i wysiłek. Byłam pod wrażeniem tych starań i ambicji.

– Jesteś gotowa na to, co nieuniknione? – spytał, w skupieniu patrząc mi w oczy.

– Oczywiście.

Przysunął się bardzo blisko. Jego oddech połaskotał mnie w ucho, a głos zabrzmiał tak cicho, że prawie niedosłyszalnie.

– Pamiętaj, że nie mówię tego szczerze.

Uśmiechnęłam się.

– Wiem, Tyrusie. Bądź brutalny. W głębi serca będę się uśmiechała.

Dotknął mojego policzka.

– Będę potworem.

– Wiem... I jeszcze jedno... Dziękuję, że zachowałeś w tajemnicy to, co ci powiedziałam. O niej – uściśliłam.

Po jego twarzy przemknął cień.

– Nemezis, wiem, że jesteś z nią związana i że jest ci bardzo bliska. – Zawahał się i uciekł spojrzeniem. – To z jej powodu zamierzałaś wrócić do fortecy Impirianów, prawda?

– Oczywiście.

– I ukrywałaś ją przede mną, żeby ją chronić. Rozumiem to. – Badawczo patrzył mi w oczy. – Nemezis, czy więź diaboliki z jej panem można zerwać?

– Zerwać? – spytałam ostro. – Dlaczego miałabym to zrobić?

– Żeby się od niej uwolnić, rzecz jasna.

– Tyrusie, nie jestem jej jeńcem. Ja ją kocham. Kochałabym ją nawet bez tej więzi.

– Rozumiem, ale Nemezis... – Wziął mnie za rękę i przysunął bardzo blisko. – Wiem, jak okazujesz miłość. Pamiętam, że w komorze dekompresji chciałaś oddać za mnie życie. – Ścisnął mi rękę. – A jeśli grandecja dowie się o twoim oszustwie, wiem, jak dasz wyraz swoim uczuciom: wybierzesz życie Donii zamiast własnego. Tylko że dla mnie jej życie nie znaczy więcej niż twoje.

– Do niczego takiego nie dojdzie. – Nie mogłam tego zagwarantować, ale uznałam, że to najlepsza odpowiedź.

Wziął głęboki oddech i zadrżał.

– Więc mnie zostawisz, jeśli będzie chciała zabrać cię ze sobą?

– Tyrusie, przecież...

– Wiem, to nie jest odpowiednia pora. – Posłał mi słaby uśmiech. – Ale pamiętaj: jestem egoistą. Gdy nastanie ten dzień, nie oddam ci jej tylko dlatego, że ma nade mną chemiczną przewagę. My, Domitrianowie, nie lubimy się dzielić.

I poprowadził mnie dalej, nie mówiąc już nic więcej. Szłam za nim, analizując w myślach jego słowa. Tyrus i Sydonia byli teraz całym moim wszechświatem, bliźniaczymi biegunami magnetycznymi wprawiającymi mnie w ruch. Nie wiedziałam, co bym zrobiła, gdyby zaczęli mnie ciągnąć w przeciwne strony.

Weszliśmy do olbrzymiej komnaty audiencyjnej – przepięknej sali o ścianach bogato wysadzanych klejnotami. Poczułam nieokreślone napięcie, gdy przypomniałam sobie, co mamy tu zrobić. Było tam okno z prawie przejrzystego nietopiącego się lodu wzmocnione jakąś przezroczystą substancją. Zajęliśmy miejsce tuż przy nim.

Oficjalnie przyjęcie zostało zorganizowane po to, żeby podziękować Żywemu Kosmosowi za cudowne ocalenie Tyrusa z „dziwnego” wypadku spowodowanego przez awarię głowicy, w którym

o mało nie zginął. Nawet cesarz miał wziąć udział w uroczystości, choć tylko głupiec byłby skłonny uwierzyć, że monarcha nie był inspiratorem tego zdarzenia.

Tak naprawdę przyjęcie wyprawiono jednak po to, żeby Tyrus mógł się mnie wyprzeć i zasygnalizować swoje posłuszeństwo wobec *grandeé* Cygny, akceptując Elantrę jako przyszłą cesarzową.

Tyrus ścisnął mi rękę, gdy Cygna zasiadła na wielkim tronie. Byliśmy na jej statku, więc to ona była tu najważniejszą osobą. Spojrzała na tłum, a ja uświadomiłam sobie, ile racji miał Tyrus, nazywając babkę krewną najbardziej predysponowaną do rządzenia. Mimo że wysoko nad jej tronem unosiła się czarna dziura symbolizująca niecesarską gałąź Domitrianów, to kiedy Cygna spoglądała na zebranych, na jej dostojnym obliczu malowała się duma – patrzyła na swych gości niczym władczyni na poddanych.

Za chwilę Tyrus miał pokazać, że jest posłuszny jej woli, publicznie zalecając się do Elantry. Nie miałam wątpliwości, że Cygna zrozumie tę wiadomość.

Cesarz jak zwykle zjawił się w towarzystwie diabolików i ochronobotów. Z pogardą rozglądał się wokoło. Musiał wziąć udział w tym wydarzeniu i publicznie wyrazić zadowolenie, że Tyrus zdołał uniknąć śmierci. Chciał w ten sposób położyć kres plotkom, jakoby to on sam stał za atakiem... choć z pewnością nie cieszył się, że zamach się nie udał.

Cygna dała znak, żeby rozbrzmiała muzyka, i do wydzielonej części sali weszły harmonidy. Spojrzałam na te istoty, należące do cesarza humanoidy takie jak ja. Widywano je rzadko, przeważnie grały na swoich instrumentach gdzieś w ukryciu. Nie widziałam ich nawet w sali balowej na ostatniej gali, ale na Herze nie było żadnego osłoniętego miejsca, w którym można by je umieścić.

Ujrzałam niskie, korpulentne postacie o nieregularnych rysach twarzy i olbrzymich głowach. Niektóre miały dodatkowe palce. Wszystkie wyposażono w szerokie rozdziawione usta, olbrzymie uszy i małe oczka. Część miała bardzo długie ręce albo nogi, żeby zręcznie grać na danym instrumencie, a ramiona innych były nienaturalnie krótkie. Jednym z powodów, dla których rzadko je widywano, był ich nieprzyjemny wygląd. Większość genetycznie projektowanych humanoidów konstruowano tak, żeby cieszyły oko. Ale nie harmonidy.

Potem popłynęła muzyka. Harmonidy hodowano w jednym celu: żeby tworzyły muzykę, jakiej przeciętny człowiek nie był w stanie naśladować ani w pełni docenić. Były istotami stworzonymi wyłącznie dla dostarczania rozrywki i pod tym względem spisywały się doskonale.

Tyrus wziął mnie pod rękę i poprowadził w kierunku parkietu, a tłum wokół nas rozstał się, żeby cesarz i *grandeé* Wallstrom mogli zacząć pierwszy taniec.

Cygna nadal siedziała na tronie, wyczekująco spoglądając na nas z góry.

Wreszcie przyszła pora na nasz taniec. Tyrus ścisnął mnie za ramię, a potem poprowadził na parkiet i... zatrzymał się w połowie drogi.

Odwrociłam się, słysząc, że muzyka nadal gra. Tłum zamilkł, zauważywszy coś niezwykłego w sposobie, w jaki Tyrus mi się przyglądał.

Przez chwilę świdrował mnie wzrokiem, a potem wyciągnął rękę i wsunął palce w moje włosy. Poczułam, że odpina wysadzaną klejnotami spinkę, a gdy ją wyjął, kosmyki opadły mi na ramię.

Znałam swoją rolę. Przycisnęłam dłonie do ust, wytrzeszczając oczy. Miałam nadzieję, że dobrze udaję przerażenie. Przecież nie odbierałby mi bez powodu podarowanej biżuterii.

– Bardzo mi przykro, ale z nami koniec. – Wypuścił moje ramię i odszedł.

– Wasza Eminencjo, nie! – zawołałam, starając się włożyć w ten okrzyk jak najwięcej emocji. – Dlaczego to robisz? Czym ci się naraziłam?

Tyrus pokręcił głową.

– Jesteś przeurocza, senatorko von Impirian, ale moje serce zdobył ktoś inny.

Podszedł do płonącej czaszy, którą umieszczono na środku bulgoczącej fontanny z azotem. Wrzucił spinkę do ognia i teatralnie się odwrócił.

Padłam na ziemię, zasłaniając twarz rękami, żeby nikt nie mógł zauważyć malującej się na niej obojętności.

Tłum nadal milczał. Przez palce zobaczyłam, że cesarz i jego partnerka przestali tańczyć i również z zainteresowaniem obserwują tę scenę.

– Czy *grandeé* Elantra Pasmus zechce ze mną zatańczyć? – spytał Tyrus, wyciągając rękę w kierunku swojej nowej oficjalnej wybranki.

Jego donośny głos poniósł się po sali. Muzykę taktownie ściszone – najwyraźniej harmonidy wiedziały, kiedy dostosować głośność do rozgrywających się wydarzeń.

Z tłumu wystąpiła Elantra, z burzą czarnych loków, w falującej błękitnej sukni. Jej oczy jaśniały radością. Wyglądała zdumiewająco pięknie.

Tyrus uśmiechnął się, a ona ujęła jego dłoń. Jednym ruchem sięgnął do kieszeni i wyciągnął prezent wybrany specjalnie dla niej: połyskującą spinkę.

– To dla ciebie, w hołdzie dla twojego uroku – powiedział.

– Dziękuję, Wasza Eminencjo – odrzekła Elantra, padając przed nim na kolana. Pozwoliła, żeby wsunął jej spinkę we włosy, tym samym publicznie namaszczając ją na obiekt swoich uczuć.

Powoli wycofałam się z parkietu, spuszczaając głowę, jak przystało na wzgardzoną kochankę. O dziwo, udawanie przychodziło mi coraz łatwiej. Na widok Tyrusa z czułością dotykającego Elantry, zrobiło mi się słabo, choć przecież dobrze wiedziałam, że to tylko farsa.

Tłum rozstąpił się przede mną, jakbym roznosiła jakąś chorobę. Wiedziałam, że skończą się przymilne wizyty w mojej willi służące zaskarbieniu przychylności wybranki następcy tronu. Przynajmniej z tego mogłam się cieszyć. Gdy znowu popłynęła muzyka, a Tyrus i Elantra rozpoczęli taniec, spojrzałam na *grandeé* Cygnę. Jej twarz promieniała zimną satysfakcją, a chude

dłonie zaciskały się na podłokietnikach. W tamtej chwili przypominała cesarza o wiele bardziej niż jasnowłosa mężczyzna na parkiecie.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć na Tyrusa i Elantrę. Wkrótce ucisk w żołądku minął. Przecież to była tylko gra – wiedziałam, jak naprawdę czuje się Tyrus. Nie miałam powodu, żeby wątpić w jego intencje. Gdy tak tańczyli – Elantra uszczęśliwiona swoim triumfem – Tyrus przelotnie pochwycił moje spojrzenie i zobaczyłam w jego oczach nasz wspólny sekret.

Musiłam się bardzo starać, żeby powstrzymać uśmiech.

Poczułam na sobie ciężar czyjegoś spojrzenia i odwróciwszy się, napotkałam wzrok *grandeé* Cygny. Przywołała mnie palcem.

Przez chwilę wahałam się, nie wiedząc, czego jeszcze mogłaby ode mnie chcieć, ale ruszyłam w jej stronę, cały czas trzymając głowę spuszczoną – jak odrzucona, upokorzona kochanka. Gdy znalazłam się u stóp tronu, na znak szacunku przyłożyłam sobie jej dłoń do policzka.

Cofnęła rękę i pogłaskała mnie po głowie, a wokół rozszedł się słodki zapach perfum.

– Dobra robota, moja droga. Wyglądasz jak wzgardzona kochanka. – Przyjrzała mi się. – Tyle uczucia na twarzy diaboliki! Co za przedziwny widok!

Nie byłam pewna, jak zareagować.

– Cieszę się, że podobał się pani mój występ.

– Twój występ... tak. – Uśmiechnęła się cierpko. Jej przenikliwe, czujne spojrzenie kontrastowało z idealnie gładką twarzą. – Wiesz, nad czym się zastanawiam, odkąd odkryłam prawdę o tobie?

Ostrożnie spojrzałam jej w oczy.

– Nad czym?

– Nad twoją marszałkinią etykiety.

Moje serce zamarło.

– O tak – ciągnęła Cygna, widząc, jak krew odpływa mi z twarzy. – Marszałkini etykiety, którą u ciebie spotkałam, emanowała prawdziwą młodością, zupełnie inaczej niż Sutera nu Impirian, która mieszkała tu kilkadziesiąt lat temu. Co ona sobie wyobraża, biorąc udział w zdradzie stanu i traktując diabolikę jak spadkobierczynię senatora?

Zacisnęłam zęby. Krew dudniła mi w uszach.

– Ona nie ma pojęcia, kim jestem. Zobaczyła mnie po raz pierwszy, dopiero kiedy pozwoliła sobie tu przyjechać, żeby mnie pocieszyć.

– Czyżby? Przecież sama mówiłaś, że cię szkoliła.

Serce zamarło mi w piersi. Rzeczywiście tak powiedziałam.

– Twoja marszałkini etykiety bierze udział w przestępstwie. Tyrus wynegocjował dla ciebie ułaskawienie, ale czuję się bardzo urażona faktem, że zwykły zbędnik mąci w sprawach cesarstwa. Chyba nawet każe ją uwięzić...

Gwałtownie oparłam dłonie na podłokietnikach i mocno je ścisnęłam. Pochyliłam się do przodu, z trudem się powstrzymując, żeby nie chwycić jej za gardło.

– Nie zbliżaj się do niej!

Cygna nawet nie drgnęła.

– Och, nareszcie widać w tobie diabolikę. – Machnęła ręką, jakby chciała dać komuś sygnał, żeby się odsunął. Bez wątpienia kilkoro jej pracowników zauważyło mój ruch i było gotowych przybyć jej z pomocą. Nawet na nich nie spojrzałam.

Cygna ze spokojem zdjęła z podłokietników najpierw jedną moją dłoń, a potem drugą. Nie stawiałam oporu. Wiedziałam, że lepiej nie wykonywać tu żadnego ruchu przeciwko niej.

– A zatem – powiedziała cicho – Sydonia Impirian żyje. Domyśliłam się.

Płonęła we mnie złość. Miałam ochotę zabić tę kobietę, ale wiedziałam, że to nie jest odpowiednia pora – wokół było zbyt dużo ludzi. Z pewnością to zaplanowała, była przygotowana, na wypadek gdybym zareagowała zbyt gwałtownie. Szybko zrobiłam krok do tyłu, a później jeszcze jeden.

– Och, nie bój się – zaszcebiotała Cygna, widząc przerażenie na mojej twarzy. – Jest bezpieczna. Na razie.

Odwróciłam się od niej, biorąc głęboki wdech. Powietrze nagle zrobiło się jakby rzadsze.

Cygna podniosła się i stanęła tuż za mną. Oparła dłoń na moim ramieniu i szepnęła mi do ucha:

– Ale wiedz, diaboliko, że kiedy to się skończy, będzie trzeba ponieść konsekwencje. Jeśli Tyrusowi na tobie zależy, to jak może dopuścić do tego, żeby Sydonia Impirian przeżyła i odzyskała swoją tożsamość? Z pewnością wie, że grandecja nie pozwoli wam uniknąć kary.

– Tyrus coś wymyśli. – Mój głos brzmiał szorstko. – A jeśli nie, podejmę jedyną słuszną decyzję.

– Oczywiście, że tak. Ale czy myślisz, że pozwoli na twoją śmierć? Naprawdę? Bo jeśli tak, to... no cóż, chyba jednak nie kocha cię aż tak mocno. Z drugiej strony zawsze uważałam, że miłość to najbardziej nietrwała rzecz we wszechświecie. Wybuch, płonie, a potem zwyczajnie gaśnie...

Spojrzałam na nią, ale patrzyła na parkiet. Podążyłam za jej wzrokiem; wpatrywała się w swojego syna, Randewalda von Domitriana, przeciwko któremu spiskowała.

– Nemezis dan Impirian, miłość jest zdradliwa. Jeśli jesteś mądra, nigdy o tym nie zapomnisz.

Elantra Pasmus nie była łaskawą zwyciężczynią. W gorączkowych dniach, jakie nastąpiły po przyjęciu u Cygny, nie przepuszczała żadnej okazji, żeby rzucić mi wyzywające spojrzenie, ilekroć przechadzała się pod rękę z Tyrusem. Grałam rolę zgnębionej, odrzuconej kochanki i odwracałam od nich wzrok, wpatrując się w swoje dłonie.

Nie było mi trudno udawać zaniepokojenie. Czułam je, odkąd Cygna domyśliła się prawdy o Sydonii. Wysłałam serwitora do Tyrusa, żeby powiadomić go o tym, co się stało, ale chyba nie



podzielał moich obaw.

„Już niedługo babka przestanie być problemem – odpisał. – Trzymaj się planu i o nic się nie martw”.

Mimo to nie opuszczały mnie obawy. Byłam chora ze strachu, zastanawiając się, co może spotkać Sydonię. Nie mogłam ufać Cygnie i raz po raz wracały do mnie myśli o pozbawieniu jej życia. Jeszcze jednak nie nadeszła odpowiednia pora. Tyrus miał plan, a Cygna powinna była zginąć z rąk Randewalda, a nie moich.

Pewnego dnia podczas odurzania się oparami po ceremonii w heliosferze zaczęłam obserwować Cygnę, znowu rozważając potencjalne konsekwencje zamordowania jej. Nagle obok mnie wyrosła jakaś potężna postać. Wzdrygnęłam się i z zaskoczeniem zdałam sobie sprawę, że to Ból, zwalisty i ciemny jak noc diabolik cesarza.

– Jego Najwyższa Czcigodność chciałby, żebyś powdychała z nim opary w jego prywatnym salonie.

– I przysłał zaproszenie przez ciebie, a nie przez serwitora? – spytałam zdziwiona.

– Bardzo pragnie twojego towarzystwa. Serwitor nie byłby w stanie przekazać tak pilnej prośby.

Rzuciłam niepewne spojrzenie w stronę Tyrusa i Elantry – oboje delektowali się dymem. Ruszyłam za Bólem.

Cesarz rzadko korzystał ze swojej prywatnej komnaty rekreacyjnej. Był towarzyski, nie przepadał za izolowaniem się. Dzisiaj jednak, gdy weszłam do słabo oświetlonej komnaty, zastałam cesarza samego, rozłożonego w fotelu. Zdążył już opróżnić kilka fiolek.

– Och, Sydonia Impirian. Usiądź. – Wskazał mi poduszkę, która leżała na podłodze obok jego fotela.

W cieniu za nim zauważyłam Ryzyko, który bacznie mi się przyglądał. Posłusznie zajęłam miejsce na poduszce. Spojrzałam na odurzonego narkotykami cesarza i pomyślałam o tym, że jeszcze kilka tygodni temu nie mogłabym tak po prostu obok niego siedzieć i powstrzymać się od ataku. Teraz, gdy wiedziałam, że Sydonia przeżyła, moja złość i nienawiść zelżały. Umiałam patrzeć na niego z obojętnością.

Jego twarz – mimo ciągłego odmładzania się – zdradzała oznaki zmęczenia. Randewald był owładniętą paranoją istotą zepsutą przez władzę i daleko mniej sprytną niż otaczający go wrogowie.

– Widzę, że mój siostrzeniec cię porzucił.

Szybko spuściłam wzrok.

– Tak.

– Mówił mi, że pragnie poślubić Elantrę Pasmus.

– Tak słyszałam.

Okrutnie się roześmiał, a potem wciągnął zawartość kolejnej fiołki. Przez chwilę wstrzymywał

oddech, po czym zaniósł się kaszlem.

– Myślę, że to kiepski wybór. Zastanawiam się, czy rzeczywiście jest szalony. Zaczynam mieć wątpliwości.

Podejrzliwie spojrzałam na cesarza, nie wiedząc, po co mnie wezwał.

– Bo widzisz – ciągnął cesarz – zacząłem dochodzić do wniosku, że Tyrus... tylko gra. Zmiana nastąpiła w nim podejrzanie szybko.

Milczałam.

– Moja droga, jeśli coś wiesz, powiedz mi. Mój siostrzeniec oszukał nas oboje.

– Myślę... – zawahałam się, przypominając sobie, co radził mi mówić Tyrus. – Myślę, że on się po prostu boi, Wasza Najwyższa Czcigodność.

– Boi się?

– Tak, Wasza Czcigodność. Śmiertelnie.

– Mnie?

– Nie... nie tylko.

Oba diaboliki niespokojnie się poruszyły.

Cesarz gwałtownie wciągnął powietrze.

– Mojej matki?

Pokiwałam głową.

– Tyrus odrzucał jej propozycje – powiedziałam, zaciskając ręce na fałdach sukni. – Wasza Czcigodność musi mi uwierzyć. Naprawdę je odrzucał.

– Propozycje? – spytał ostro cesarz.

– Sama nie do końca wiem, co się działo – tłumaczyłam – ale z tego, co słyszałam, *grandeé* Cygna była... niepokieszona z powodu... czystki wśród grandecji. Nie zgadzała się z decyzją Waszej Czcigodności.

Zmrużył oczy.

– Tak, była temu przeciwna.

– I dlatego potem zainteresowała się Tyrusem. Na początku wyglądało to niewinnie. Doradzała mu, jak zapanować nad szaleństwem, jak ignorować głosy i zachowywać się stosownie w miejscach publicznych...

– Naprawdę? – zdziwił się cesarz.

– Wasza Czcigodność, chyba... – zaczął stojący za nim Ryzyko.

– Milcz! – warknął Randewald. – Chcę to usłyszeć. No więc powiedz mi, droga dziewczyno, czy to dlatego Tyrus ostatnio tak dziwnie się zachowywał? Bo moja matka szeptała mu do ucha? Bo mu doradzała?

– Tak. I wykorzystywała jego chwiejną naturę.

Rzuciłam szybkie spojrzenie na zatroskane miny Ryzyka i Bólu. Czy podejrzewali, że wprowadzam cesarza w błąd? Czy wystarczyło im jedno spojrzenie na moją twarz, by poznać, że kłamię?

– Po tym dziwnym wypadku z pociskiem raketowym – ciągnęłam – Tyrus bardzo się wystraszył. *Grandeé* Cygna powiedziała mu, że to był zamach, za którym stoisz ty, Wasza Eminencjo, i obiecała, że będzie go chronić, ale tylko jeśli poślubi Elantrę Patus i pokaże się jako żarliwy helionik. Chyba zamierza niedługo umieścić go na tronie, mimo że Tyrus jest zbyt słaby na umyśle, żeby to zrozumieć. On po prostu boi się jej sprzeciwić, ale choroba sprawia, że jest zupełnie bezbronny w obliczu jej manipulacji...

– Tak – szepnął cesarz. – Tak, z pewnością.

Ryzyko położył rękę na ramieniu cesarza.

– Wasza Najwyższa Czcigodność przekroczyła dopuszczalną dawkę. Chyba czas odpocząć.

– Nie jestem dzieckiem, żebyś mnie pouczał – warknął cesarz. – Chcę usłyszeć o tym spisku!

– To nieroztropne. Wasza Czcigodność nie powinna słuchać tego, co mówi to stworzenie – powiedział Ryzyko.

– To nie jest żaden spisek – zaprotestowałam pospiesznie. – Tyrus nie spiskuje, on jest tylko ofiarą... ofiarą... Przestań! Puść mnie!

Ból chwycił mnie mocno za ramiona i ciągnął w stronę drzwi.

– Musisz już iść, *grandeé* Impirian.

Używał dużej siły, o wiele większej, niż należało. Gdybym naprawdę była człowiekiem, mogłby połamać mi barki. Nie odważyłam się odtrącić jego rąk i ujawnić własnej siły.

Dobiegły mnie słowa Ryzyka:

– ...niegodna zaufania. Widać to po jej twarzy...

Usłyszałam jeszcze, że cesarz go beszta, a potem przestałam słyszeć ich głosy, bo Ból wypchnął mnie z komnaty.

Później, już na korytarzu, spojrział na mnie groźnie, a ja wczułam się w rolę urażonej spadkobierczyni sponiewieranej przez stworzenie niebędące człowiekiem.

– Jak śmiesz!

Ból przysunął się bardzo blisko.

– Pozwól, że użyję języka, który rozumiesz: jeśli jeszcze raz zbliżysz się do cesarza, wyrwę ci kręgosłup.

Słyszając tę brutalną groźbę, zastygłam. Czy mógł się domyślić, kim jestem? Nie, to niemożliwe. Zanim jednak zdążyłam zażądać wyjaśnień w związku z tak jawną pogroźką, wrócił do komnaty.

A zatem diaboliki zdołały wyczytać kłamstwo z mojej twarzy. Miałam jedynie nadzieję, że paranoja cesarza przeważy nad jego zaufaniem do ich oceny.

Przez serwitora posłałam Tyrusowi tajny liścik: „Zasiałam ziarno niepewności w umyśle twojego wuja. Jego diaboliki mi nie ufają, ale mnie wysłuchał”.

Teraz należało poczekać, aż ziarno wykiełkuje. Gdy cesarz zażąda od siostrzeńca wyjaśnień, ten użyje swojej inteligencji i załatwi resztę.

## ROZDZIAŁ 46

Jeszcze tego samego dnia ogłoszono zaręczyny Tyrusa i Elantry. Dowiedziałam się o tym, bo przybył do mnie serwitor z pismem od świeżo upieczonej narzeczonej: o świcie miałam się stawić w jej willi, by wziąć udział w namaszczeniu.

– Namaszczenie? Co to takiego? – zdziwiłam się, wpatrując się w kartkę.

Donia wyrwała mi ją i przeczytała.

– To rytuał zaręczynowy. Zwykle ludzie zapraszają do udziału najbliższych przyjaciół, jeszcze zanim ogłoszą swoje zamiary. Matka tłumaczyła mi, jak to się odbywa, ale to skomplikowana sprawa. Zbyt skomplikowana, żebym mogła ci to wyjaśnić.

– No to odmówię przyjścia.

– Nie! – Zbladła. – Nemezis, to byłaby okropna zniewaga.

– I dobrze – odparłam beznamiętnie. – Nie lubię Elantry, podobnie jak ty.

– Nie, naprawdę nie możesz odmówić. To święty rytuał. Wkroczyłabyś na ścieżkę wojenną z Pasmusami, a teraz nie możemy sobie na to pozwolić.

No tak, nie potrzebowałam dodatkowych kłopotów.

– Dobrze, nie odmówię, ale naprawdę tego nie rozumiem. Nie przyjaźnię się z Elantrą. Dlaczego w ogóle mnie zaprosiła?

– Może żeby napawać się zaręczynami? – podsunęła. – Słuchaj, pójdziemy tam razem. Nie będzie miała nic przeciwko, jeśli przyprowadzisz swoją marszałkinię etykiety. Będę ci szeptem przekazywać wskazówki.

„Świt” oznaczał szóstą rano, więc gdy szłyśmy w stronę willi Elantry, Donia przecierała zaspane oczy.

Otworzyli nam serwitorzy. Zaprowadzili mnie do sypialni Elantry, która leżała, udając, że śpi.

– Obudź się – warknęłam na nią. – Miejmy to już za sobą.

Elantra usiadła na łóżku, a czarne loki opadły jej kaskadą na ramiona. Rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

– Nie tak się to odbywa!

Poczułam gwałtowny przypływ irytacji. Wyjęłam jedwabną chusteczkę, a Elantra z powrotem zamknęła oczy i wyczekująco zamilkła. Wcześniej Donia wyjaśniła mi, co powinnam robić na początku rytuału. Dość dobrze zapamiętałam tę część.

Obok łóżka stała miska z wodą pobłogosławioną przez Słońce. Zanurzyłam w niej chusteczkę, a potem otarłam nią zamknięte oczy Elantry.

– Od razu lepiej – powiedziała, siadając.

Donia zajrzała do środka i bezgłośnie poruszając ustami, odpowiedziała mi moją kwestię.

– Gratuluję ci, *grandeé* Patus, w tym przewspaniałym dniu, w którym oficjalnie ofiarowujesz się drugiemu człowiekowi – wyrecytowałam.

Elantra wodziła wzrokiem między mną a Donią.

– Naprawdę potrzebujesz marszałkini etykiety, żeby przypominała ci podstawowy rytuał namaszczenia?

A więc zauważyła.

– Wybacz, *grandeé* Patus – powiedziałam. – Myślałam, że będę w nim uczestniczyła dopiero przed ślubem którejs z moich przyjaciółek.

Elantra prychnęła i podniosła się z łoża. Rozłożyła ręce i słodko zamrugała.

– Rozbierz mnie.

Wykonałam polecenie. Zdejmując jedwabną halkę, niechcący oderwałam jeden z przyszytych do niej guzików.

– A jeśli chodzi o to, dlaczego cię wezwałam, *grandeé* Impirian, to chyba powinno być to dla ciebie oczywiste.

– Nie jest – odparłam szczerze.

Donia pokazała mi gestem, żebym wyprowadziła Elantrę do solarianum. Wisiała tam wielka roleta zasłaniająca słońce. Elantra stanęła przed nią i czekała.

Podeszłam do rolety i zaczęłam ją powoli podnosić. Muskające skórę Patuski promienie wschodzącego słońca – w rzeczywistości zaledwie ich namiastka – miały symbolizować początek nowego życia Elantry ze wschodzącym nad horyzontem Tyrusem.

– Jednocześnie z pierwszym następcą – powiedziała Elantra, pochylając się. – Pomyślałam, że poproszenie cię o odprawienie tego rytuału mogłoby raz na zawsze wyjaśnić sprawy między nami. A teraz skup się na moich plecach.

Sięgnęłam po jeden ze słoików z olejkiem, które stały przygotowane obok.

– Jak to „wyjaśnić”? – spytałam.

– Nie, nie ten – powiedziała ostro Elantra, widząc, który słoik podniosłam. – Ten jest dla ciebie. Mój to ten ciemniejszy, obok.

Wzięłam więc ciemniejszy słoik, próbując sobie przypomnieć narysowany przez Sydonię wzór, który powinnam nakreślić na plecach Elantry.

Wyglądał jak słońce otoczone koncentrycznymi pierścieniami. Elantra stała nieruchomo przed lustrem, gdy odwzorowywałam go na jej skórze. Ilekroć się zawahałam, Donia podchodziła, brała mnie za nadgarstek i kierowała moimi palcami.

– To Tyrus zaproponował, żebyś mnie namaściła – powiedziała Elantra.

Moja dłoń znieruchomiała na jej skórze. Byłam zaskoczona.

– Naprawdę?

Spojrzałam na Donię, a ona uniosła brwi.

– Tak, chyba próbuje wzbudzić twoją zazdrość – dodała oschle. – To świadczy, że wciąż coś do ciebie czuje, nawet jeśli twierdzi inaczej. Zrobiło ci się miło?

Dlaczego Tyrus kazał jej mnie zaprosić? Niczego nie robił pochopnie, więc musiał istnieć jakiś powód. Być może był to sygnał dla jego babki, że pozostanę dla niego ważna, mimo że zmusiła go do małżeństwa z Elantrą. Widocznie skupił się na Cygnie, nie zastanawiając się, jak zareaguje jego narzeczona – takie przeoczenie było do niego zupełnie niepodobne.

– Oczywiście, że zrobiło ci się miło – odpowiedziała sobie Elantra, przyglądając mi się. – Każdemu by się zrobiło.

– Jest mi to naprawdę obojętne. – Wróciłam do rysowania wzoru na skórze Elantry.

– Od początku przypuszczałam, że może cię nadal kochać i zabiega o moje względy tylko z konieczności, ale niemiło jest uzyskać potwierdzenie – stwierdziła, patrząc na moje odbicie. – Przypuszczam, że porzucił cię dla mnie, żeby zrobić przyjemność *grandeé* Cygnie. Zgadzam się na tę jego fałszywą miłość, skoro właśnie taką cenę mam zapłacić za zostanie cesarzową.

Moja ręka znowu znieruchomiała, a serce dziwnie drgnęło.

– To... bezczelne.

Musiałam to powiedzieć. Rozmawianie o śmierci cesarza było zdradą stanu, a Elantra nie była moją przyjaciółką.

Rzuciła mi przez ramię nienawistne spojrzenie i wykrzywiła usta.

– Nie zgrywaj niewiniątka. Jestem mu potrzebna, żeby mógł zdobyć poparcie *grandeé* Cygny. Zamierza zabić cesarza. Widziałam nawet truciznę, której postanowił użyć do tego celu. To prosta toksyna, jedno nieuważne dotknięcie, a przeniknie przez skórę, zabijając biednego Randewalda w kilka minut.

Moje ręce znowu znieruchomiały. Elantra musiała wydobyć to wyznanie od samego Tyrusa. Gdyby wycofała się z małżeństwa, *grandeé* Cygna mogłaby zacząć się skłaniać do poparcia Randewalda zamiast wnuka. Przypuszczałam, że Tyrus podzielił się tą informacją z Elantrą, żeby przekonać ją do małżeństwa, ale wcale się nie ucieszyłam, gdy o tym usłyszałam. Pasuska mogła nas wszystkich zdradzić.

Z drugiej strony na pewno tego nie robi, jeśli ma nadzieję zostać cesarzową... Tylko że teraz, kiedy już się domyśliła, że Tyrus kocha mnie, a nie ją, z pewnością zamierzała zachować czujność po wstąpieniu na tron, w razie gdyby postanowił zwrócić się przeciwko niej. Wiedziałam, że będziemy musieli działać bardzo ostrożnie.

– Dlaczego mnie tu wezwałaś, Elantro? – spytałam. – Nie musiałaś się zgadzać na propozycję Tyrusa.

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła ręce, żebym mogła nałożyć jej koszulę. Potem się odwróciła i bosą stanęła na ogromnej poduszce, która leżała pod rozświetlonym oknem.

– Marszałkini etykiety! Podaj olejek dla senatorki von Impirian. Teraz jej kolej na namaszczenie.

Donia wybrała słoik z jaśniejszym olejkiem, którym musiałam namaścić sobie ramiona i klatkę piersiową przed odprowadzeniem Elantry do kąpielni. Znowu nie wiedziałam, jakie nakreślić wzory. Donia przyszła mi na ratunek.

– Mam bardzo zręczne ręce. Czy mogłabym namaścić moją panią? Tak będzie szybciej.

Elantra nie odrywała ode mnie wzroku.

– Sama może się namaścić. Daj jej słoik i zostaw nas same.

Donia posłała jej najśłodszy uśmiech, na jaki potrafiła się zdobyć, a ja zastanawiałam się, jak poczułaby się Elantra, gdyby wiedziała, że jej prawdziwą rywalką jest ta drobna, potulna dziewczyna stojąca obok mnie.

– *Grandeé* Paus, naprawdę bardzo chciałabym wyręczyć *grandeé* Impirian. Nalegam.

W oczach Elantry błysnęła wściekłość.

– Jak śmiesz na cokolwiek nalegać! Nie wiesz, gdzie twoje miejsce? – syknęła. Mimo to po chwili złość ulotniła się z jej twarzy, a rumieniec na policzkach zbladł. Elantra przechyliła głowę i się uśmiechnęła. – No dobrze, skoro nalegasz, możesz namaścić swoją panią.

Wyślizgnęłam się z tuniki i czekałam, aż Donia zanurzy dłonie w olejku i zacznie wcierać mi go w ramiona. Elantra patrzyła, jak palce Donii przesuwają się po mojej skórze.

– Szczerze mówiąc – powiedziałam – postąpiłaś bardzo lekkomyślnie, wyjawiając mi plany Tyrusa. Przecież z twojego punktu widzenia jestem mściwą wzgardzoną kochanką, która może na niego donieść cesarzowi.

Elantra złowieszczo się uśmiechała.

– Och, nie martwię się tym, że cokolwiek wyjawisz.

Właśnie wtedy słoik z olejem roztrzaskał się u naszych stóp, a Donia wydała z siebie zduszony okrzyk. Odwróciłam się gwałtownie i ujrzałam przerażenie w jej szeroko otwartych oczach. Uniosła drżące, śliskie palce, a ja zobaczyłam, że pod wpływem olejku jej skóra gwałtownie przybiera niezdrowy siny odcień. W tej samej chwili zaczęły mnie piec plecy i już wiedziałam, dlaczego Elantra mnie tu zaprosiła i dlaczego bez obaw tak szczerze ze mną rozmawiała.

Olejek był zatruty.

Elantra nie zamierzała wypuścić mnie stąd żywej.



## ROZDZIAŁ 47

Donia wpatrywała się we mnie, wybałuszając oczy z przerażenia, a ja obserwowałam plamy pojawiające się na jej szyi i dekolcie.

Zareagowałam błyskawicznie. Chwyciłam Donię i pobiegłam z nią do łazienki. Paliała mnie skóra na plecach, ale zignorowałam ból. Zaciągnęłam Donię do umywalki i wsadziłam jej rękę pod kran. Odkręciłam wodę i zaczęłam je energicznie pocierać.

– Nemezis... nie... mogę... oddychać... – wykrztusiła, a gdy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że jej twarz robi się szaroniebieska.

Rozległ się syk. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, że drzwi się zamykają. Rzuciłam się w ich stronę, ale nie chciały ustąpić. Znalazłyśmy się w pułapce.

W interkombie rozległ się paskudny głos Elantry.

– Daremny trud! – zawołała wesoło. – Trucizna jest już w waszych organizmach. Specjalnie ją przetestowałam, żeby sprawdzić, czy naprawdę jest śmiertelna. Musiała poleżeć na skórze egzalta dobrą godzinę, zanim pojawiły się pierwsze objawy, ale humanoidy zawsze są bardziej odporne na takie substancje. Przypuszczam, że na was podziała szybciej.

Rozwścieczona rzuciłam się na drzwi. Moja ręka odbiła się od nich, ramię przeszył ból. Donia znowu zaczęła się dławić, a ja odwróciłam się w jej stronę. Rękawy jej sukni były przemoczone, klęczała przy umywalce. Całą jej skórę pokryły plamy. Serce waliło mi jak młotem, na skórze wystąpił pot, a ramiona piekły coraz bardziej.

Nagle dotarła do mnie groza sytuacji.

Więząc nas, Elantra wystawiła nas na działanie trucizny – zapewne tej samej, której Tyrus planował użyć przeciwko cesarzowi.

Wyszorowałam skórę Donii, ale śmiertelna substancja już krążyła w jej organizmie.

Sydonia mogła umrzeć.

– Elantro, proszę! – zawołałam płaczliwie. – Proszę, wypuść nas! Albo przynajmniej moją towarzyszkę! Proszę, daruj życie mojej marszałkini etykiety. Proszę, wypuść ją. Elantro! Elantro!

– Niedługo ma się tu zjawić *grandeé* Cygna, żeby odeskortować przyszłą żonę wnuka do heliosfery – odpowiedziała szyderczo. – Chyba zamiast tego będzie musiała mi pomóc pozbyć się waszych zwłok.

– WYRWĘ CI SERCE, ELANTRO!

Cisza. Z furią natarłam na drzwi, wiedząc, że to nasza jedyna szansa. Musiałam zanieść Sydonię do lekarza, oddać ją pod opiekę medbotów... Musiałam zrobić cokolwiek!

– N-Nem...

Gwałtownie się odwróciłam i na widok Donii wszystko we mnie zamarło. Miała woskową twarz, przerażone spojrzenie. Leżała pod umywalką i wyglądała jak szmaciana lalka, a plamy na jej szyi pęczniały, zmieniając się w pęcherze.

– Umyj...

– Już cię umyłam. – Miałam mroczki przed oczami. Nie byłam w stanie oderwać od niej wzroku. – Zmyłam to, Doniu.

– Siebie.

Paliły mnie ramiona. Pomyślałam o egzalcie, który zaczął odczuwać skutki zatrucia dopiero po godzinie. Diaboliki bez wątpienia miały podobną konstrukcję. Zasługiwałam na śmierć za to, że wprowadziłam Donię w pułapkę. Nie wiedziałam, co robić. Modliłam się do wszystkich bogów, jacy mogli istnieć, zwłaszcza do Żywego Kosmosu, który już raz zwrócił mi Donię. Nie byłam w stanie przeżywać tego po raz drugi.

Donia słabo uniosła rękę w stronę umywalki.

– Zmyj.

– Nie zasługuję na to, by żyć! – zawołałam. – Mam nadzieję, że to mnie zabije.

– Zmyj – nalegała. – Proszę.

Zadziałałam automatycznie. Obmywałam ramiona wodą, dopóki pieczenie nie ustąpiło.

Znowu zadziałała fizjologia humanoidów. Trucizna ulatywała, jakby nigdy jej we mnie nie było. Oddałabym wszystko, żeby Donia też miała taką odporność.

– Ja... nie mam pojęcia, co robić – powiedziałam do niej. Spojrzałam na swoje ręce. Od walenia w drzwi krwawiły mi knykcie.

Donia była już całkiem sina, a białka jej oczu zaczerwieniły się od nabrzmiąłych żyłek. Zacisnęła drżącą dłoń na mojej ręce. Przykucnęłam obok niej. Przypominała wątłe piskłę. To się nie działo naprawdę, to się nie działo naprawdę...

– Kocham... – wyrzęziła.

Złapałam ją mocniej.

Ścisnęła mnie z całych sił. Jej oddech stał się chrapliwy i nie mogła złapać powietrza.

– Kocham... cię...

Wydała z siebie świszczący pisk, zesztyniała, a mnie znowu przypomniał się Morderca. Mocno ją przytuliłam. Owładnęło mną przerażenie – nie, to się przecież nie działo naprawdę...

Po chwili jednak już nie oddychała, nie poruszała się, a ja wpatrywałam się w jej oczy, teraz jakby zamglone, pozbawione iskry... Nie, nie zamierzałam na to pozwolić!

– Donia. DONIA!

Potrząsnęłam nią. Zaczęłam ją szczypać, próbując wywołać jakąkolwiek reakcję, chcąc usłyszeć, jak krzyczy, zobaczyć, jak się krzywi, jak robi cokolwiek, ale ona była zwiotczała i bezwładna – martwa. Zawylałam z wściekłości.

Raptownie opadłam z sił. Nagle straciłam całą energię i byłam w stanie tylko oprzeć głowę o ciało Donii.

– Ja też cię kocham – szepnęłam. – Kocham cię. Tak mi przykro...

Donia nie żyła i wiedziałam, że tym razem nie wydarzy się żaden cud.

Siedziałam odrętwiała, ledwie się poruszając i ledwie oddychając. Nie mogłam pojąć, jakim sposobem wszystko potoczyło się tak tragicznie. Czekałam, wsłuchując się jedynie w ciche, miarowe bicie swojego serca i niemal nie zwracając uwagi na piekący ból pleców.

Nie rozumiałam tego. Zupełnie nie rozumiałam, jak los potrafi być tak okrutny i gorzki.

Nagle za drzwiami rozległy się kroki.

Nie poruszyłam się. Wypełniał mnie mroczny, nieugaszony gniew. Wyczułam, że Elantra nasłuchuje ruchu. Po chwili drzwi się otworzyły i usłyszałam, jak mówi do serwitorów:

– Zabierzcie zwłoki. Powiedzcie *grande* Tyrusowi...

Gdy jeden ze służących pochylił się nade mną, poderwałam się na nogi i rzuciłam nim o ścianę. Krzyk Elantry rozdarł powietrze, ale było już dla niej za późno. Przypadłam do niej, ścisnęłam za szyję i pociągnęłam za sobą. Była zupełnie bezbronna. Rzuciłam ją na stół, który roztrzaskał się pod siłą uderzenia. Serwitorzy rzucili się na mnie, ale odepchnęłam ich i skupiłam się na Elantrze.

Jęknęła i krzyknęła ze strachu, gdy przygwoździłam ją do podłogi. Wiedziałam, że właśnie złamałam jej kilka żeber, ale nic mnie to nie obchodziło. Orałam jej twarz paznokciami i wykręcałam rękę, wrywając je ze stawów. Wreszcie odchyliłam jej głowę, żeby spojrzała mi prosto w oczy.

– Proszę... – jęknęła. Oczy miała pełne łez.

Jednym ruchem rozszarpałam jej tułów i już po chwili trzymałam serce. Stałam skąpana we krwi, wciąż płonąc gniewem. Serce Elantry było śliskie i gorące. Wpatrywałam się w nie i w zwłoki u moich stóp. Nie potrafiłam zrozumieć, jak mogło do tego dojść.

Co teraz?

Co teraz?

CO TERAZ?

Wypuściłam serce i zatoczyłam się nad zwłokami. Ręce i suknię miałam całe we krwi. Jaskrawe światło piekło mnie w oczy, upiornie dzwoniło mi w uszach. Sydonia nie żyła, tym razem naprawdę nie żyła, widziałam, jak umiera...

Osunęłam się na kolana i zwymiotowałam. Wyrzuciłam z żołądka cuchnącą treść i żółć, ale wciąż wstrząsały mną torsje. Jak mogło do tego wszystkiego dojść...?

Ogłuszona paniką, nie usłyszałam, że do pomieszczenia weszła *grandeé* Cygna. Matka cesarza

stała obok mnie, blada i przerażona. Na widok skutków masakry wydała z siebie zduszony okrzyk. Gdy uniosłam zakrwawioną twarz, szybko sięgnęła po broń energetyczną.

– Nie zbliżaj się.

– Zabiła ją – wykrztusiłam. – Elantra zabiła Sydonię.

Cygna krążyła wokół mnie, cały czas zachowując bezpieczną odległość, i zaglądała do kolejnych pomieszczeń. W końcu jej wzrok padł na wejście do łazienki. Długo patrzyła na ciało Donii.

– Więc ostatecznie Impirianka nie wywinęła się śmierci – powiedziała, odwracając się do mnie.

A potem się roześmiała, gorzko i okrutnie.

Roześmiała się... roześmiała!

Rzuciłam się na nią, ale snop energii powalił mnie na ziemię. *Grandeé* Cygna stanęła nade mną, wciąż trzymając uniesioną broń i świdrując mnie wzrokiem.

– To przez ciebie, prawda?! – krzyknęłam, gotując się ze złości. Podźwignęłam się na nogi. W pomieszczeniu zaczęło się robić coraz ciemniej, aż w końcu widziałam tylko jej okrutną, bezwzględną twarz. – To ty za tym stoisz!

Cygna zmrużyła oczy.

– Idiotko, myślałaś, że próbowałam otruć diabolikę? Wiem, czyja to sprawa – bo na pewno nie moja. Martwa Sydonia Impirian, martwa Elantra Pasmus... Dwie pieczenie na jednym ogniu. Bardzo wygodnie dla mojego wnuka.

Dla jej... wnuka...?

Moje ciało zastygło.

– Nie – powiedziałam głucho.

Cygna przechyliła głowę.

– Wiedziałaś, że nie zechce cię poświęcić, ale zastanawiałam się, jak wybrnie z tej sytuacji. – Uniosła brwi, patrząc na skutki masakry. – Teraz już wiem. Wygląda na to, że postanowił pozwolić, żeby Impirianka zginęła zamiast ciebie.

– Nie – szepnęłam.

– Śmierć Sydonii Impirian oznacza, że pewna diabolika może zająć jej miejsce – podjęła. – I oczywiście ta diabolika pomści śmierć swojej pani, dzięki czemu Tyrus będzie mógł umyć ręce od śmierci Elantry, tak żeby się nie domyśliła, że to wszystko zaplanował... A przynajmniej tak mu się wydawało. To naprawdę mi uwłacza, że myślał, iż zdoła mnie oszukać. Przecież sama wymyśliłam ten manewr.

– Mylisz się. – Zalewały mnie na przemian fale gorąca i zimna, ale zdołałam skupić się na jej słowach. Zanurzyłam zakrwawione ręce we włosach i nagle wróciło do mnie pewne wspomnienie.

„Trochę zaniepokoił mnie sposób, w jaki Tyrus mówił o dokonywaniu wyborów – powiedziała mi Donia. – Chyba wątpi, że uda nam się bez trudu wrócić do sytuacji, w której znowu stałabym się

senatorką von Impirian...”

Więc być może... być może obrał inny kurs.

Powiedział Elantrze, żeby zaprosiła mnie na namaszczenie, doskonale wiedząc, jakie padną pytania i co się potem wydarzy... Więc mógł jej wyjawić, że nadal mnie kocha, i nie musiał robić nic więcej. Elantra postanowiła mnie zabić. A gdy go wypytywała, pokazał jej truciznę, która – wiedział o tym – podzielałaby na Sydonię, ale na mnie już nie. Znał przebieg ceremonii namaszczenia: wzór musiał zostać narysowany na skórze bardzo dokładnie, a to wymagało pomocy Sydonii. Bo przecież diabolika nie miałyby pojęcia, jak wygląda ceremonia namaszczenia. Tyrus wiedział, że Sydonia będzie musiała mi pomóc, a bardzo łatwo było ukryć truciznę w olejku...

Wiedział też, że gdy Elantra zabije Sydonię, będę mogła pozostać Impirianką. A gdy ja zabiję Elantrę, nie będzie musiał się z nią żenić. Liczył, że ani ja, ani Cygna nie wpadniemy na to, że to wszystko jego wina. To było... dokładnie w stylu Tyrusa. Błyskotliwy, chytry plan.

Cygna okrążyła zwłoki Elantry.

– Pewnie nigdy nie miał zamiaru jej poślubić. Nie zdawał sobie sprawy, że poddaję go próbie. Oblał ten test. – Wzięła się pod boki i uśmiechnęła się jadowniczo. – Znalazłabym go i ukarała, ale nie pozbawię diaboliki szansy dokonania zemsty. Po ceremonii w heliosferze rodzina zbierze się na wspólnym posiłku... Może się tam zobaczymy?

Ruszyła w stronę drzwi, a ja nie próbowałam jej zatrzymać. Miałam wrażenie, że zamierzam, że wypełnia mnie lód, straciłam czucie w rękach. W willi Elantry było cicho i spokojnie, światło słoneczne wlewało się przez okno i padało na plamy krwi na mojej szacie, na podłodze i na zmasakrowanym ciele. A w sąsiednim pomieszczeniu... dziewczyna, którą miałam chronić, leżała martwa.

Serce przeszył mi obezwładniający ból. Zwinęłam dłoń w pięść i przycisnęłam ją sobie do obojczyka.

Potrafiłam myśleć tylko o przyrzeczeniu, które Tyrus dał Sydonii: „Nemezis będzie żyła. Przysięgam”.

Przysięgł jej.

Przysięgł.

Mówił z takim przekonaniem, bo wiedział, że zdoła tego dopilnować.

I zrobił to, poświęcając jej życie w zamian za moje.

## ROZDZIAŁ 48

Chciałam, żeby to było kłamstwo.

Chciałam wierzyć, że Cygna mnie oszukała.

Jednak bez względu na to, pod jakim kątem analizowałam minione wydarzenia, nie mogłam jej nie uwierzyć. Nie potrafiłam pozbyć się pewności, że za tym wszystkim stał Tyrus.

„W żadnym razie nie jestem dobrym człowiekiem. Dawno temu pogodziłem się z tym, że jeśli podążę obranym kursem, będę miał krew na rękach...”

„Muszę z tym jakoś żyć, Nemezis, więc będę żył”.

Tyrus mógł żyć, mimo że doprowadził do śmierci niewinnej osoby. Nie chciał mnie poświęcić. Byłam jedynym, czego nie odważył się stracić. Więc...

Więc oto miałam przed sobą coś, co był skłonny poświęcić.

Sydonia leżała już na łóżku. Przykryłam ją prześcieradłem Elantry i zamknęłam jej oczy. Miała zimną i bladą skórę. Długo jej się przyglądałam, próbując zrozumieć, jak Donia, którą znałam – żywa, oddychająca i patrząca na mnie Donia – mogła się zmienić w tą nieruchomą woskową figurę.

Weszłam pod prysznic i zmyłam z siebie krew Elantry. Włożyłam jedną z jej szat. Nie byłoby dobrze, gdybym zwracała na siebie uwagę, chodząc korytarzami Valor Novus zbryzgana posoką.

Masakra jeszcze się nie zaczęła.

Gdy pod niebiańską kopułą lawirowałam w tłumie wracającym z Wielkiej Heliosfery, czułam się, jakby spowijała mnie mgła. Myślałam o Neveni i o jej ostrzeżeniu. Tak bezmyślnie zlekceważyłam jej słowa!

„Może i Tyrus jest wrogiem twojego wroga, ale to wciąż Domitrian. Nigdy im nie ufaj. Żadnemu z nich. To rodzina morderców i kłamców. Może i nie użył rozpuszczającej mgły, ale jednak ją ze sobą przywiózł. Jak to o nim świadczy?”

Przywiózł na Luminę rozpuszczającą mgłę, wiedząc, jakie to niebezpieczne, ponieważ zdawał sobie sprawę, jak wielkie jest ludzkie pragnienie uniknięcia śmierci. Był zbyt przebiegły i wyrachowany, żeby po prostu wyrzucić fiolkę albo zostawić ją na pokładzie statku.

A potem, gdy oddalaliśmy się od Luminy, pocałował mnie... Ból przeszył mnie jak śmiertelne dźgnięcie.

Moje wątpliwości rozwiął olejek. Za bardzo szanowałam Tyrusa, by uwierzyć, że jest zdolny do takiej pomyłki – że mógłby przez przypadek wyjawić, co do mnie czuje, a Elantrze podpowiedzieć, jakiej użyć trucizny.

Huczało mi w głowie i miałam wrażenie, że światło wokół mnie zlewa się w jedną plamę. Kiedy

dotarłam do komnaty audiencyjnej, Cygna właśnie z niej wychodziła. Pochwyciła moje spojrzenie, ale nie przywitała się ze mną. Zamiast tego odciągnęła na bok kilkoro pracowników.

Diaboliki cesarza nie strzegły drzwi – a więc Cygna chciała mi ułatwić zadanie. Weszłam prosto do komnaty audiencyjnej. Moje oczy przyzwyczyły się do panującego tam półmroku i ujrzałam ich wszystkich – Tyrusa, Devineé, Salivara, Randewalda. Ucztowali, a w powietrzu leniwie unosiły się smugi dymu. Ryzyko i Ból czaili się w cieniu pod przeciwległą ścianą.

To też zwróciło moją uwagę. Byli za daleko, żeby mnie powstrzymać, gdybym wykonała zdecydowany ruch.

Ale go nie wykonałam. Zatrzymałam się, gdy tylko mnie zauważyli.

Rozmowy ucichły. Wszyscy Domitrianowie gapili się na mnie, nie kryjąc zdumienia – jako była narzeczona Tyrusa uchodziłam tu za intruza. Kątem oka zauważyłam lecące ku mnie ochronoboty – jedynych w pomieszczeniu strażników, których zaniepokoiła moja obecność.

– Sydonia? – zdziwił się Tyrus. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na moją twarz, by od razu zerwał się z miejsca. – Sydonio, co się stało?

Ależ był sprytnym aktorem! Wciąż stała mi przed oczami twarz umierającej Sydonii. Bez słowa patrzyłam na pierwszego następcę z odległości, która teraz wydawała się nie do przebycia.

On naprawdę wierzył, że zdoła zaplanować zabójstwo Donii, a ja nie zauważę, jaką odegrał w tym wszystkim rolę! Gdyby nie zjawiła się Cygna, gdyby nie nasza rozmowa, nigdy nie wzięłabym pod uwagę, że to może być jego sprawka.

Teraz jednak wersja, którą mi przedstawiła, wydawała mi się jedyną sensowną.

„Wybierzesz życie Donii zamiast własnego. Tylko że dla mnie jej życie nie znaczy więcej niż twoje”.

Diaboli postąpiłby dokładnie tak samo – zamordowałby niewinną osobę, żeby ratować kogoś, kogo najbardziej kocha. Potrafiłam to zrozumieć, bo sama też bym tak zrobiła, ale nie potrafiłam tego wybaczyć.

Jako diabolika Sydonii znałam swoją rolę: miałam się zemścić za tę potworną zdradę. Wydrzeć Tyrusowi serce, tak jak on wydarł serce mnie. Tak długo nie mrugałam, że oczy zaszyły mi mgłą, a potem musiałam się odwrócić, bo nawet teraz nie byłam w stanie zabić Tyrusa. Może i Cygna ułatwiła mi zadanie, ale i tak nie umiałam tego zrobić.

Ktoś zaplanował morderstwo Donii i zamierzałam się zemścić, ale postanowiłam działać tak, jak działałby sam Tyrus: dyskretnie. Rzuciłam się na podłogę, padając na twarz przed cesarską władzą.

– Wasza Czcigodność, muszę coś wyznać.

– Co takiego? – spytał cesarz, wstając.

– Mam informacje na temat spisku przeciwko Waszej Najwyższej Czcigodności.

Tyrus struchlał, a cesarz uniósł rękę, powstrzymując swoje diaboliki, gotowe się na mnie rzucić.

Kątem oka zauważyłam, że Cygna wchodzi do komnaty i gwałtownie się zatrzymuje. Bez wątpienia myślała, że zostanie mnie już nad zwłokami swojego wnuka.

– Spisku? – powtórzył cesarz. – Jakiego spisku?

– Wasza Najwyższa Czcigodność... – spróbował Tyrus.

– Nie jestem Sydonią Impirian – zawołałam, przekrzykując go. – Jestem Nemezis dan Impirian, diaboliką z domu Impirianów. Spiskowałam z twoim siostrzeńcem Tyrusem, żeby pozbawić cię życia.

– Sydonio! – powiedział ostro Tyrus.

– Nie, nie, niech mówi dalej – rzekł cesarz ze zwycięskim błyskiem w oku. Skinął na serwitorów.

– Zabierzcie stąd moją bratanicę i jej męża. Reszta z nas zostanie. Wysłucham tego do końca.

Serwitorzy wyprowadzili śliniących się Salivara i Devineé. Tyrus ruszył w moją stronę, ale Ryzyko zagroził mu drogę.

– Nie... nie rozumiecie – jęknął Tyrus, rozglądając się bezradnie. – Ona chyba... chyba oszalała. Pozwólcie mi z nią porozmawiać!

– Kiedyś ty też byłeś szalony – odparł cesarz, przeciągając samogłoski. – A mimo to zawsze cię słuchałem.

– Sydonio – powtórzył Tyrus dobitnie. – Proszę...

– Nawet nie wymawiaj tego imienia! – włożyłam w ten krzyk cały swój ból. – Myślisz, że jestem zbyt głupia, żeby zauważyć, jaką rolę odegrałeś w tym, co się stało? – Czułam się tak, jakby rozrywano mnie na pół, nie zauważałam niczego oprócz trawiącego mnie bólu. – Sydonia nie żyje. Nie żyje przez ciebie, jestem tego pewna!

– Zaraz, zaraz... – zaczął Tyrus.

– Synu – przemówiła chłodno Cygna, stając obok cesarza. – To niezwykle poważne oskarżenie. Kto wie, co planował mój wnuk? Zanim zdąży coś zrobić, zalecam bezzwłoczną egzekucję.

Spojrzałam na nią. Tak, myślała, że od razu go zabiję. Teraz na jej twarzy pojawiło się napięcie – bo tego nie zrobiłam. Nie byłam jej narzędziem i nie przyszłam tu po to, żeby tańczyć, jak mi zagra.

– Wasza Najwyższa Czcigodność – powiedziałam – *grandeé* Cygna też bierze udział w spisku.

Cygna się wzdrygnęła.

– Absurd!

– Uczestniczy w tym od początku – dodałam cicho. „Dwie pieczenie na jednym ogniu”.

– Ona kłamie! – zawołała Cygna. Błada jak ściana gwałtownie odwróciła się do cesarza. Reakcja syna z pewnością jej jednak nie uspokoiła. Na jego twarzy malowało się bowiem szaleńcze zadowolenie: wreszcie dopiął swego.

Na widok tego uśmiechu Cygna cofnęła się i uniosła ręce, jakby chciała się zasłonić przed ciosem.

– Synu, nie wolno ci w to wierzyć! Czy zdradziłabym cię po tym, ile dla ciebie poświęciłam?



Tyrus znowu się roześmiał, ale jego śmiech zabrzmiał słabo. Najwyraźniej uznał, że nie zdoła się z tego wyłgać.

– Babciu, nie ma sensu zaprzeczać. – Spojrzał na nią z nagłym, wyczekującym błyskiem w oku. – Nakryto nas. Nasze plany wzięły w łeb.

Cygna wydała z siebie zdławiony okrzyk.

– O, ty...

Tyrus się uśmiechnął i rzucił jej lodowate spojrzenie. Wiedziałam, co robi. Moje oskarżenie zgrabnie powiązało los Cygny z jego losem, bez względu na to, jak te losy miały się potoczyć. Nie zamierzał dać się zniszczyć, jeśli ona miałaby wyjść z tego cało.

– Ryzyko, łap mojego siostrzeńca – rozkazał cesarz, nadal świdrując *grandeé* Cygnę wzrokiem. – A jeśli chodzi o ciebie, matko, zamierzam skorzystać z twojej rady. Bo przecież mogłabyś coś zrobić, zanim cię powstrzymam. Nie ma powodu, żebym pozwolił ci opuścić tę salę.

– Randewaldzie, co ty mówisz?! – wykrzyknęła.

Obnażył zęby.

– Jeśli dam ci szansę, bez wątpienia znajdziesz sposób, żeby uniknąć wyroku skazującego. Nie, nie pozwolę, żebyś zaczęła knuć ze swoimi sojusznikami. Umrzesz tutaj, teraz, odpowiesz za tę haniebną próbę uśmiercenia własnego syna. A gdy już będziesz martwa, przekonam Tyrusa, żeby publicznie złożył zeznania w sprawie twojej winy i powiedział wszystko, czego zapragnę. Ból? – warknął na swojego diabolika. – Zabij ją.

Ani Ból, ani Ryzyko nie ruszyli się z miejsca.

Cesarz oderwał wzrok od Cygny. Tyrus zmarszczył brwi i też spojrzał na diaboliki.

– Ból! – Cesarz się pochylił. – Rozkazałem ci zabić moją matkę!

Nadal klęczałam, czując rozpacz i pustkę, ale zauważyłam spojrzenie, które Ból rzucił Cygnie. W tym spojrzeniu... było pytanie.

Ryzyko też zwrócił swoje jasne, błękitne oczy w jej stronę.

Żaden z nich nie wykonał rozkazu cesarza.

Wstrzymałam oddech. Przecież... Ryzyko i Ból patrzyli na Cygnę w oczekiwaniu na instrukcje!

Nie byli diabolikami cesarza.

Należeli do niej.

Należeli do niej już w dniu, w którym rozmawiałam z cesarzem i próbowałam rzucić na Cygnę cień podejrzenia. Ból wypchnął mnie wtedy z komnaty, a Ryzyko zatrzymał cesarza – dla dobra Cygny.

Wiedziała, że ja i Tyrus knujemy przeciwko niej. Teraz jej twarz wykrzywiła się z odrazą.

– Randewaldzie, jak śmiesz we mnie wątpić? Wybrałam cię spośród innych swoich dzieci, zawsze

wybierałam tylko ciebie. A dzisiaj, mimo twojej perfidii, wybieram cię znowu: tym razem zamiast mojego własnego wnuka, chłopca, który mógłby cię przechytrzyć, będąc jeszcze w kołysce. Chciałam podać ci go na tacy, a ty co robisz? Zwracasz się przeciwko mnie. Przez te wszystkie lata zaniedbywałam nawet własne bezpieczeństwo, rozkazując swoim diabolikom, żeby chroniły ciebie zamiast mnie. Och, właśnie. – Zamilkła z szyderczym uśmiechem, gdy na zwiotczącej twarzy cesarza odmalowało się zrozumienie. – Otóż to, nigdy ci o tym nie wspomniałam. Nie zostały powiązane z tobą, Randewaldzie. Są moje. I jak mnie nagradzasz mimo wszystkich moich poświęceń? – Rozłożyła ręce. – Skazujesz mnie na śmierć! Widzę, że dla nas to już koniec. Ryzyko, Ból, pozbądźcie się tego zdrajcy.

Ryzyko skoczył w stronę cesarza, po czym jednym ruchem chwycił go i powalił na ziemię. Ból dał susa i roztrzaskał nadlatującego ochronobota, uskakując przed promieniami pozostałych. Potem zniszczył także je.

Zszokowany cesarz ryknął, gdy znalazł się na podłodze, wydany na łaskę własnych diabolików. Tyrus chwiejnym krokiem oddalał się od tego pandemonium. Skoczyłam na nogi i ruszyłam za nim... właściwie nie wiedziałam dlaczego. Żeby go chronić, żeby zrobić mu krzywdę?

Nie zaszłam daleko.

Tyrus spojrzał w moją stronę. Na jego twarzy malował się niepokój. Pstryknął palcami.

I nagle przeszył mnie prąd, który powalił mnie na ziemię. Uderzyłam o podłogę. Każda komórka mojego ciała zdawała się wibrować. No tak – elektrody.

Mówił, że się rozpuszczą. Nie rozpuściły się. Cały czas tam były.

Nigdy mi nie ufał.

Myślałam, że zostałam zdradzona. Jednak dopiero teraz, gdy z trudem łapałam powietrze, poznałam prawdziwą mękę zdrady. Trawiła moje ścięgna jak ogień, bez litości.

Kilka minut później zdołałam odwrócić głowę i spojrzeć na scenę rozgrywającą się w sali. Cesarz wpatrywał się w matkę, w kobietę, której aż do tej chwili nie rozumiał. Potem rozległ się paskudny trzask. To Ryzyko złamał mu kark.

Martwy Randewald osunął się na podłogę.

W sali zapanowała cisza, gęsta i ciężka. Cygna wskazała na mnie i chwilę później Ryzyko i Ból byli już obok. Chwycili mnie za ramiona i podnieśli. Nie walczyłam. Po co miałabym walczyć? Gdybym stawiała opór, Tyrus aktywowałby elektrody. Patrzyłam tylko, jak Cygna podchodzi do wnuka.

Dwoje bladookich Domitrianów wpatrywało się w siebie jak wrogowie na polu bitwy.

– A więc taki miałeś plan mimo całej tej gadaniny o sojuszu – odezwała się Cygna. – Zamierzałeś donieść na mnie mojemu własnemu synowi.

– Tak – potwierdził chłodno Tyrus. – Ale wygląda na to, że zadziałałaś pierwsza.

– Oczywiście, że tak. Zawsze będę cię wyprzedzać o krok. Przypuszczałam, że prowadzisz mnie

w pułapkę, więc najpierw zastawiłam własną. Wygląda na to, że twoja diabolika naprawdę cię kocha. Myślałam, że cię zabije, miała ku temu wszelkie powody. A jednak nie potrafiła się na to zdobyć.

– Nie widziałaś, co próbowała zrobić przed chwilą. – Tyrus spojrział na mnie i na jego twarzy zamajaczył grymas bólu.

Dotknęłam swojej szyi w miejscu, gdzie musiały zostać wszczepione elektrody.

– A teraz mamy impas – ciągnęła Cygna. – Bo widzisz, Randewald nie żyje, a my potrzebujemy cesarza. Sama nie mogę zasiąść na tronie, więc musi to zrobić ktoś, w czyich żyłach płynie cesarska krew.

Tyrus spojrział na diaboliki Cygny gotowe zabić go w mgnieniu oka.

– Mądrze postąpiłeś, starając się mnie zniszczyć, Tyrusie – powiedziała Cygna. – Miałeś rację: z całej tej rodziny to ja najbardziej nadaję się na władczynię. Rządziłam za pośrednictwem twojego dziadka i przez lata za pośrednictwem syna. A teraz albo pozwolisz mi rządzić za twoim pośrednictwem, albo za chwilę umrzesz i cesarstwo będzie musiało się zadowolić zaślinioną kretynką na najwyższym stanowisku... Wolałabym, żebyś to był ty. Gdybym przekazała władzę Devineé, pojawiłoby się mnóstwo problemów, bo przecież cała grandecja mówi o jej katastrofalnym stanie zdrowia. Twoich roszczeń nikt jednak nie zakwestionuje.

Tyrus się roześmiał.

– Jak mielibyśmy teraz zostać sojusznikami? Chciałem twojej śmierci. Zaraz potem uśmierciłbym wuja. Przecież wiesz.

– Ach, ale wiem także, jaki jesteś mądry. Wystarczająco mądry, żeby się mnie bać.

Wpatrywał się beznamiętnie w kobietę, która zabiła mu rodziców i większość krewnych.

– Owszem – przyznał.

Uniosła brodę.

– Ta podstępna diabolika Impirianów zamordowała dziś naszego ukochanego cesarza. Wszyscy się o tym dowiedzą.

Tyrus zaczerpnął powietrza.

– Nieprawdaż? – spytała Cygna ostrym tonem. Trzymające mnie diaboliki złowrogo się poruszyły, a Tyrus rzucił im nieufne spojrzenie.

Głośno przełknął ślinę i powiedział:

– Jak sobie życzysz, babciu.

– Twoja diabolika zostanie złożona w ofierze podczas koronacji. Będzie ofiarą ognia w najprawdziwszym helionickim sensie.

Tyrus zacisnął pięści.

– Miłość czy władza, Tyrusie? – zanuciła Cygna. – Ja dokonałam wyboru. Mój wnuk może podjąć tylko jedną decyzję.

Tyrus padł przed nią na kolana, wpatrując się w jej twarz.

– Jak sobie życzysz, babciu.

Gdy przyłożył sobie jej knykcie do policzków, uśmiechnęła się chytrze.

– Niech żyje cesarz – powiedziała.

Patrzyli na siebie, a ich spojrzenia były tak samo cyniczne i czujne, pozbawione choćby cienia zaufania. Obydwoje bezskutecznie próbowali się nawzajem zabić, wykorzystując Randewalda, ale w efekcie po prostu go zniszczyli. Teraz ten potworny sojusz miał trwać dalej i nadawać kształt rządowi Tyrusa. Żadne z jego wzniosłych ideałów i wielkich planów nie miały zostać wcielone w życie pod żelazną ręką Cygny – bo to ona zamierzała sprawować faktyczną władzę.

Przyglądałam się temu z pustką w sercu, wciąż boleśnie świadoma, że w mojej szyi tkwią elektrody: dowód, że mój sojusz z Tyrusem od początku był kłamstwem. Żałowałam, że prawdę o najmłodszym z Domitrianów poznałam tak późno, kiedy nie mogłam już uratować Sydonii.

## ROZDZIAŁ 49

Obudziłam się w zagrodzie. A przynajmniej tak mi się wydawało, gdy usłyszałam brzęczenie pola siłowego i zobaczyłam jaskrawe światło.

Powoli usiadłam. Po drugiej stronie pola siłowego stał Tyrus z rękami splecionymi na piersi. Czekał, aż się obudzę.

Szczypała mnie szyja. Dotknęłam jej i wymacałam zagojoną ranę. Uśmiechnęłam się szyderczo. Jakby usunięcie elektrod miało teraz jakieś znaczenie!

– Na początku trudno mi było ci zaufać – powiedział cicho Tyrus. – Nie miałem serca powiedzieć ci o tym później, kiedy naprawdę żałowałem, że te elektrody się nie rozpuściły.

– A potem znowu ich użyłeś.

– Inaczej byś mnie zabiła.

– I zrobię to. – Zakołysałam się i wstałam, drżąc ze złości. – Nienawidzę cię każdą komórką swojego ciała.

Tyrus patrzył na mnie ze spokojem, nieruchomy i niedosięgly.

– Wiem, co o mnie myślisz. Wiem, co spotkało Sydonię. Widziałem zwłoki w willi Elantry. Rodzina Pasmusów domaga się sprawiedliwości. Babka rozkazała wydalić ich z Chryzantemum, żeby nie zrobili niczego pochoznego.

– Już wcześniej wiedziałeś, że Donia i Elantra umrą – warknęłam. – Sam to uknułeś!

Tyrus westchnął, a potem pochylił się i oparł czoło o oddzielające nas pole siłowe.

– Nemezis – powiedział, a w jego drżącym głosie usłyszałam czułość. Mimo to zacisnęłam zęby, starając się ją zignorować. Przecież nic już dla mnie nie znaczył. – Przysięgam, to była babka, nie ja. Pomyśl: chciała nas ze sobą poróżnić, więc zasiała w twoim umyśle wątpliwości. Miała nadzieję, że mnie zabijesz. Kto inny...

– Skoro tego nie zaplanowałeś, to dlaczego kazałeś Elantrze zaprosić mnie na namaszczenie?

– Nie kazałem.

– Powiedziałeś jej o spisku! I o szczegółach zamachu!

Wyprostował się i zacisnął szczęki.

– O niczym jej nie mówiłem. Nie miałem też w planach zamachu na Randewalda... jeszcze nie. Zamierzałem działać zgodnie z naszymi ustaleniami: donieść cesarzowi o działaniach Cygny i najpierw pozbyć się jej. To ona zawsze stanowiła największe zagrożenie, nie Randewald.

– Więc nie chciałeś śmierci Sydonii? Powiedziałeś, że wybiorę jej życie zamiast własnego, ale że ty byś tego nie zrobił. Chciałeś zerwać łączącą nas więź.

Wypuścił powietrze przez zęby.

Zamknęłam oczy.

– Jej śmierć to dla mnie koniec wszystkiego – dodałam. – Nigdy nie dojdę do siebie. Byłoby lepiej, gdybym umarła razem z nią.

– Oczywiście, że dojdiesz do siebie – powiedział szorstko Tyrus. – Już raz to przeżyłaś.

– Wtedy cię nie podejrzewałam.

Uderzył otwartą dłonią w pole siłowe.

– Kocham cię – powiedział żarliwie. – Nemezis, jesteś jedyną prawdą w moim życiu. Nigdy bym cię tak nie skrzywdził.

– Ale zamierzasz mnie poświęcić! – krzyknęłam. – Zgodziłeś się, gdy tylko Cygna postawiła ci warunek! I nie miałeś żadnych oporów przed tym, żeby porazić mnie prądem. Dlaczego miałabym ci teraz uwierzyć? Wyznajesz mi miłość, a potem z łatwością o niej zapominasz. Dlaczego miałabym nie wierzyć, że zabiłbyś Donię, gdyby było ci to na rękę? „My, Domitrianowie, nie lubimy się dzielić”. Sam to powiedziałeś.

– Jestem człowiekiem. Czy byłem zazdrosny o więź, która was łączyła? Tak. Czy miałem nadzieję, że wybierzesz mnie, a nie ją? Tak, miałem! Ale jej nie zamordowałem! Babka wiedziała, że zwróciliśmy się przeciwko niej. Wiedziała o tym, gdy tylko porozmawiałaś z moim wujem w obecności diabolików. Dlatego zadziałała pierwsza. Musisz mi uwierzyć.

Ukryłam twarz w dłoniach, żeby nie musieć na niego patrzeć, bo nagle poczułam, że nie zniosę tego widoku – widoku człowieka, którego kochałam i który mnie zniszczył. W ciągu ostatnich miesięcy pojawiło się we mnie tyle uczuć, a teraz wszystkie one spłonęły na popiół, bo okazały się krokami prowadzącymi do zdrady, niczym więcej. Cokolwiek Tyrus mówił, cokolwiek planował, chciał mnie zabić. Nie mogłam wierzyć w jego zapewnienia, wiedząc, że zostanę złożona w ofierze na ołtarzu jego władzy.

– Zostaw mnie w spokoju – odezwałam się, mając wrażenie, że mój głos dobiega z oddali. – Idź sobie. Nie mogę nawet na ciebie patrzeć.

Milczał przez dłuższą chwilę, wreszcie powiedział zduszonym głosem:

– Nemezis, nie zamierzam ci się narzucać. Będę się trzymał z daleka. Zresztą tak może być dla ciebie bezpieczniej.

Odwróciłam się, czując rozdzierający ból. Jak śmiał mówić o moim bezpieczeństwie, skoro zamierzał mnie zabić podczas swojej koronacji!

– Koronacja odbędzie się za miesiąc – dodał z rezerwą. – Do tego czasu zapewnię ci wszelkie wygody. Nie bój się. Mam plan...

– Niczego od ciebie nie chcę – wychrypiałam.

– Nemezis...

W jego głosie zabrzmiał prawdziwy żal, ale nie dokończył zdania. Po prostu pozwolił mu zawisnąć w gęstej ciszy.

– Sydonia cię kochała, widziałem to na własne oczy – podjął po chwili. – Oddałaby za ciebie życie.

– To nie usprawiedliwia morderstwa.

– To nie jest usprawiedliwienie. To apel, Nemezis. Apel, żebyś zrobiła to, co umiesz najlepiej. Żebyś nie dała się zabić.

Potem Tyrus, przyszedł cesarz, zostawił mnie samą w zagrodzie dla zwierząt – jedynym miejscu w Chryzantemum nadającym się do przetrzymywania diaboliki.

Czas mijał powoli. Jedzenie i wodę zrzucano mi przez szparę w suficie – karmiono mnie rarytasami, o jakich inni więźni mogłby tylko marzyć. Co jakiś czas odzywał się mechaniczny głos, pytając, czy chcę wziąć prysznic, a jeśli odpowiadałam twierdząco, z góry spływała woda. Jeden otwór w podłodze służył jako toaleta, drugi jako umywalka. Gdy czujniki wykrywały, że jestem zmęczona, z podłogi wyjeżdżała pluszowa poduszka. Nigdy na niej nie spałam – wolałam twardą podłogę. Nocami śniłam o Sydonii i Mordercy. Ku mojemu przerażeniu śniłam też o Tyrusie, co napawało mnie odrazą.

Śniło mi się, że mnie dotyka, i budziłam się, gardząc swoim zdradzieckim sercem.

Któregoś dnia Tyrus przysłał swoich asystentów ze zwierzętami, które miały mnie pocieszyć, ale bardzo wyraźnie dałam do zrozumienia, że zabiję każde, które się do mnie zbliży.

Nie miałam zamiaru pławić się w luksusach ani cieszyć się drobiazgami. Nie zasługiwałam na to. Zawiodłam Donię i kochałam tego, który najprawdopodobniej ją zamordował. Jedyne, czego chciałam, to spędzić dni pozostałe do koronacji Tyrusa, niczego nie czując i o niczym nie myśląc. Nic innego mi nie pozostało. Tym razem nie napędzała mnie chęć zemsty – musiałabym przecież zniszczyć Tyrusa. Chciałam go nienawidzić, ale wewnątrz czułam się pusta.

Tyrus chyba czuł, że obraziłby mnie następną wizytą, trzymał się więc z daleka. Zjawił się jednak jego asystent, Szesar nan Domitrian, żeby zawiadomić mnie o zbliżającej się koronacji – i mojej rychłej śmierci.

– Czy Tyrus nie może się doczekać? – spytałam chłodno.

– Nie mam pojęcia... Nowy cesarz bardzo rzadko się pokazuje. Chyba pochłaniają go przygotowania. Czy masz jakieś życzenia co do swojego ostatniego dnia? – spytał, trzymając się nieufnie w pewnej odległości od pola siłowego. No tak, przecież już wiedział, że jestem diaboliką.

Cygna prawdopodobnie wykonała swój plan i rozpuściła pogłoski, że to ja zamordowałam cesarza, więc Szesar bez wątplenia się mnie bał i dziwiło go, że Tyrus uparcie dba o moje wygody.

– Niczego nie chcę – odparłam cierpko, ale po chwili zastanowienia zmieniłam zdanie. –

A właściwie to tak, potrzebuję jednej rzeczy.

W ustach diaboliki i morderczyni prośba o kosmetobota musiała zabrzmieć dziwnie, nie miałam jednak żadnych nikczemnych zamiarów. Gdy tylko dostarczono mi maszynę, zaprogramowałam ją tak, żeby pozbawiła mnie kamuflażu, który miałam na sobie, odkąd opuściłam fortecę Impirianów. Po godzinie znowu byłam bladą istotą o śnieżnobiałych włosach i jasnej skórze – dokładnie taką jak wtedy, gdy pojawiłam się w życiu Donii. Pomijając wciąż jeszcze pomniejszoną sylwetkę i zniekształcony nos, wyglądałam jak bliźniaczka nieżyjącej już Wrogości.

Niewiele spałam. Kilka kojców dalej trzymano mantykorę zamordowanego cesarza Randewalda i obserwowałam to nieszczęsne, zaniedbane, pogrążone w apatii stworzenie. Nie miało już właściciela, który mógłby je wypuścić na arenę i pozwolić zakosztować krwi. Dalej trzymano inne potwory. Wszystkie były takie jak ja – wszystkie stworzono dla przyjemności człowieka.

Pomyślałam, że z radością rozstanę się z życiem.

W dniu koronacji przyszli po mnie pracownicy Domitrianów. Tyrus nie odważył się przysłać serwitorów, których mogłabym przechytryć, ani ochronobotów, które mogłyby mnie jedynie zabić. Pracownicy mieli broń energetyczną i byli gotowi mnie ogłuszyć, gdybym odmówiła wyjścia z kojca. Musiałam pozostać żywa, żeby można mnie było złożyć w ofierze.

Stałam na zeszywniałych nogach i czekałam, a oni otoczyli kojec, mierząc we mnie.

– Pójdiesz z nami do Wielkiej Heliosfery – odezwał się jakiś młody, wystraszony pracownik. Jego głowa lśniła w świetle. Na jej środku widniał świeży jeszcze tatuaż: sześciogwiazdny symbol Domitrianów.

Wyciągnęłam ręce, ale żaden z mężczyzn nie podszedł, żeby zakuć je w kajdanki. To mnie zaskoczyło. Ruszyłam w znajomym kierunku. Wszyscy pracownicy trzymali się w bezpiecznej odległości ode mnie.

Bez trudu mogłabym skoczyć i wyrwać któremuś z nich broń, a potem skierować ją przeciwko pozostałym. Mimo to nie zrobiłam tego.

Dopiero gdy w moich uszach zaczął rozbrzmiewać narastający hałas – okrzyki zgromadzonych w Wielkiej Heliosferze – przypomniałam sobie o swoim celu.

Niewiele mogłam zrobić, żeby zranić Tyrusa – poza jednym: mogłam biernie zginąć z jego rąk, ale wbrew jego woli. Był to najokrutniejszy cios, jaki mogłam mu zadać, i jedyna broń, jaka pozostała w moim arsenale.

Postanowiłam zatem umrzeć bez walki, żeby Tyrus musiał z tym żyć do końca swojego panowania.



## ROZDZIAŁ 50

Grandesi zebrani w Wielkiej Heliosferze rozstąpili się. Wszyscy mieli włosy ułożone w jarzące się aureole oraz szaty z połyskliwego materiału wysadzanego światłem. Na twarzy każdego z przybyłych widniało sześć gwiazd – symbol Domitrianów – namalowanych od szablonu. Poprowadzono mnie w stronę kapłana.

Tyrus stał na podium. Włosy, dłuższe niż ostatnio, kiedy go widziałam, miał ułożone w świetlną koronę i pod każdym względem wyglądał jak przywódca galaktycznego imperium.

Wpatrywałam się w niego w sposób charakterystyczny dla diabolików, nie mrugając. Tak, byłam gotowa umrzeć na jego oczach.

*Grandeé* Cygna, jak pozostali odziana w najwspanialsze szaty, wystąpiła naprzód.

– Morderczyni mojego syna, cesarza Randewalda, zostanie złożona w ofierze. Zdarzenie to zapoczątkuje nową, wspaniałą epokę w naszej historii! – Skinęła na pracowników, żeby podprowadzili mnie bliżej.

Nie opierałam się, gdy czyjeś ręce chwyciły mnie od tyłu i popchnęły, żebym podeszła kilka kroków i padła na kolana. Zauważyłam diaboliki Cygny. Stały obok okna, niedaleko wnęki w ścianie, gdzie znajdowała się skrzynka wielkości trumny – mój ostatni dom. Były gotowe umieścić mnie w niej siłą, gdybym stawiała opór. Skrzynka miała ścianki z przejrzystego krystalicznego szkła. Ryzyko i Ból mieli mnie wepchnąć do środka i wystrzelić w stronę najjaśniejszej gwiazdy.

– Czy skazana ma coś do powiedzenia? – spytała Cygna.

Spojrzałam Tyrusowi w oczy, ale milczałam. Wyglądał jak wielki, jaśniejący posąg, tak daleki, że zastanawiałam się, czy naprawdę kiedykolwiek dotykałam jego ciała, widziałam jego uśmiech... Wydawał się równie odległy jak otchłań hiperprzestrzeni.

– Niech żyje cesarz! – powiedziała Cygna, a potem skinęła na swoje diaboliki.

Podeszły do mnie, gotowe wyprawić mnie w ostatnią podróż, jednak Tyrus uniósł obie ręce na znak, żeby się zatrzymały. Wokół zapadła cisza. Cygna spojrzała na wnuka ze złością. Domyśliłam się, że właśnie pozwolił sobie na odstępstwo od procedury.

– Babciu – powiedział Tyrus, nie patrząc na nią – najdroższa matko mojej matki i wielki korzeniu, z którego wyrosła tak znaczna część naszej rodziny... – Pochylił się nad nią i wziął ją za ręce. – Pamiętasz, jak kiedyś przysięgłaś Żywemu Kosmosowi, że gdy wstąpię na tron, wystrzelisz się w stronę gwiazdy?

Przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa, a potem jej usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Wasza Czcigodność, byliśmy wtedy w zupełnie innej sytuacji.

– Tak, tak. – Tyrus przyłożył sobie jej knykcie do policzków. Przez cały czas patrzył jej w oczy – Ale nie wolno nam obrażać Żywego Kosmosu, łamiąc przysięgi.

Krew zaczęła huczeć mi w uszach. Cygna pobladła.

– To z pewnością jakiś żart – powiedziała lodowatym tonem.

Ryzyko i Ból jednocześnie zdali sobie sprawę, że Tyrus wcale nie żartuje. Nagle wypuścili moje ręce i rzucili się w jego stronę...

– Teraz – rozkazał Tyrus, wciąż patrząc babce w oczy.

Pracownicy, którzy przyszedli po mnie uzbrojeni w broń energetyczną, skierowali pistolety w stronę Ryzyka i Bólu i wystrzelili. Diaboliki krzyknęły, ale nacierały dalej, walcząc z rozżarzonymi snopami. Runęły na pracowników, którzy próbowali je powstrzymać, i część z nich także poraził prąd. Ci, którzy pozostali przy życiu, nadal jednak zagradzali diabolikom drogę, wykazując poświęcenie, z jakim żaden zbędnik nie bronił dotąd grandesa.

Nie minęło wiele czasu, a Ból i Ryzyko leżeli na ziemi. Po ich ciałach pełzały jaskrawe smugi, a wokół leżały dziesiątki pracowników uśmierconych prądem, który diaboliki obezwładnił tylko chwilowo. Wszędzie słychać było krzyki i wrzaski, w Wielkiej Heliofserze panował chaos. Pracownicy rzucili się na grandesów z bronią energetyczną i z tępymi kijami i powalali ich kolejno na ziemię. Część napastników wywodziła się z grandecji – elegancko odziane elity imperium sięgnęły po ukrytą broń i likwidowały cele, które najwyraźniej wybrały już wcześniej, okładając przeciwników kijami i strzelając do nich wiązkami energii. Jednak większość agresorów stanowili zbędnicy. Po chwili zobaczyłam znajomą twarz z symbolem Domitrianów na głowie i serce zabiło mi mocniej.

Ojciec Neveni przygwoździł do podłogi senatora von Fartha. Zerknęłam w bok i zauważyłam Luminariankę uśmiercającą senatora von Canternellę.

Luminarianie udawali pracowników Domitrianów? Dlaczego?

Tyrus obserwował to wszystko z podium, a Cygna krzyczała, próbując powstrzymać agresorów. Nadbiegli pracownicy – jedni zajęli się kolegami ranionymi przez Ryzyko i Ból, inni szybko spętali nieprzytomne diaboliki.

Mnie nawet nie tknęli.

Wreszcie wszystko się uspokoiło. Na ziemi leżała połowa zgromadzonej w Wielkiej Heliosferze elity imperium. Drugą połowę stanowili Rothesayowie, Amadorowie, Wallstromowie – pozostali przy życiu spadkobiercy z frakcji senatora von Impiriana. Obok nich, z pierściami falującymi z wysiłku i zwycięskim błyskiem w oczach, stali Luminarianie udający pracowników.

Tyrus musiał potajemnie ściągnąć ich do Chryzantemum.

Otępiała, zszokowana Cygna nie stawiała oporu, kiedy Tyrus znowu wziął ją za ręce. On sam nie triumfował, wydawał się raczej wyczerpany – jak człowiek, który właśnie przechytrzył odwiecznego wroga, ale wcale się tym nie upajał.

– Babciu – powiedział bardzo cicho. – Zamordowałaś moją matkę. Zamordowałaś mi ojca, siostrę, kuzynów, wujów, ciotki. A także cesarza, twojego ukochanego syna. – Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, jakby podziwiał dzieło sztuki. – Naprawdę myślałaś, że pozwoliłbym rządzić za moim pośrednictwem żmii czekającej, żeby zaatakować, jeśli się jej sprzeciwię?

– Powinnaś była pozwolić ci umrzeć – szepnęła Cygna.

– Ale tego nie zrobiłaś, bo zamierzałaś zdradzić mojego wuja. Potem próbowałaś zniszczyć mnie i tak dotarliśmy do tego punktu. Do chwili poprzedzającej złożenie cię w ofierze.

Podniosłam na nią oczy. Widok potwornego strachu na twarzy kobiety, która nigdy niczego się nie bała, wyrwał mnie z otępienia.

Chwiejnym krokiem zeszła z podium, byle znaleźć się jak najdalej od wnuka, i gorączkowo się rozejrzała. Zobaczyła diaboliki i swoich sojuszników leżących u stóp arystokratów i zbędników sprzyjających Tyrusowi. Nowy cesarz zorganizował ten przewrót w kilka tygodni po tym, jak sprzymierzyła się z nim przeciwko własnemu synowi.

– Żałuję, że zbezczęściłem naszą świątynię – rzekł – ale musiałem zaatakować w jedynym miejscu, w którym byś się tego nie spodziewała.

– Sprzymierzasz się ze zbędnikami przeciwko grandecji! – zawołała Cygna, rozglądając się z przerażeniem, jakby patrzyła na coś obrzydliwego.

– Sprzymierzam się z tymi, którzy pragną postępu, przeciwko tym, którzy zmuszają nas do stagnacji – odparł Tyrus z prostotą. – Sprzymierzam się z tymi, którzy są gotowi walczyć o przyszłość, zamiast ulegać mrzonkom i biernie czekać na zagładę. A teraz dam ci wybór. Spotka cię śmierć, ale masz szansę wyrazić skruchę.

– Skruchę? – Głos Cygny przypominał smagnięcie batem.

– Jestem spadkobiercą cesarzy Domitrianów. Wiem, że zależy ci na ciągłości naszego rodu i na tym imperium, więc dla dobra naszej rodziny wyznaj swoje winy, zanim umrzesz.

– Zanim mnie zabijesz, chciałbyś, żebym ułatwiła ci życie? – spytała jadowicie.

– Tak.

– A co będę z tego miała? Przeżyję?

– Obydwoje wiemy, że to niemożliwe.

Cygna otworzyła usta, jakby chciała wyśmiać jego bezczelność, ale po chwili chyba dotarła do niej powaga sytuacji. Po jej twarzy przemknął cień.

– Podczas czekającej mnie podróży chcę móc zasnąć. Daj mi jakiś środek uspokajający, który będę mogła sobie wstrzyknąć. Coś o szybkim działaniu.

– To prośba dość łatwa do spełnienia. Dziękuję, babciu, że poprosiłaś o coś, co mogę ci dać. A teraz twoja część umowy... – Gestem przywołał ją na podium.

Cygna zmrużyła oczy. Sztywno weszła po schodach i odwróciła się do tłumu. Wydawała się

rozdarta między pragnieniem zachowania godności a rozpaczą.

– Zabiłam Randewalda. Jedyny... – Głos jej się załamał, jakby usiłowała zdusić łzy. – Jedyny owoc mojego łona. Zabiłam swojego ukochanego syna. Nęka mnie to i będzie mnie nękało, dopóki nie pochłonie mnie nicość. Zabiłam też wielu innych członków rodziny, ale robiłam to wyłącznie dla dobra cesarstwa i niczego nie żałuję.

Tyrus położył rękę na jej ramieniu. Przyglądał jej się z uwagą.

– Coś jeszcze?

Cygna gwałtownie otworzyła usta, a potem je zamknęła. Tego się nie spodziewała.

– Co... jeszcze?

Tyrus patrzył jej w oczy, jakby starając się bez słów przekazać jakąś wiadomość. Wreszcie wskazał na mnie dyskretnym ruchem głowy.

Kąciki ust Cygny lekko się uniosły. Twarz miała zimną, jakby jeszcze się zastanawiała, czy ten środek uspokajający rzeczywiście jest jej potrzebny. Potem spojrzała prosto na mnie, wciąż z tym dziwnym uśmiechem.

– Tyrusie, jeśli pragniesz dźwigać to brzemię, bynajmniej nie zamierzam cię powstrzymywać. Dążysz do zguby, zabiegając o względy zbędników, więc równie dobrze możesz pójść o krok dalej i związać się z wybrykiem natury. Nemezis dan Impirian, to ja zaplanowałam śmierć twojej pani, Sydonii.

Ona. Ona! Czułam, że ziemia osuwa mi się spod nóg, nie mogłam złapać oddechu.

– Moje diaboliki odkryły wasz spisek przeciwko mnie, więc popchnęłam Pasuskę do działania i zasugerowałam, że rytuał namaszczenia może być cudowną okazją do zrealizowania jej planów. Poinstruowałam ją tylko, co ma mówić, żeby skierować twoje podejrzenia w stronę mojego wnuka. Ta głupia dziewczyna nie miała pojęcia, dlaczego chcę, żeby coś takiego mówiła, skoro i tak miała cię zabić, mimo to spełniła moją prośbę. Nie zdawała sobie sprawy, że tym samym podpisuje na siebie wyrok. Chciałam śmierci Tyrusa, więc nie mogła mi się do niczego przydać. – Znowu spojrzała na Tyrusa. – Mniemam, że to wyznanie cię zadowala?

Nie słyszałam już prawie nic poza dzikim brzęczeniem. Kręciło mi się w głowie i z trudem skupiałam się na głosie Tyrusa.

– Dziękuję ci za szczerość – powiedział. – Chciałabyś teraz dostać zastrzyk?

– Sama wyjdę śmierci na spotkanie.

– Rozumiem – rzekł ze szczerym uznaniem. Wziął ją za ramiona i odcisnął pocałunek na czole. – Dziękuję ci, babciu, za wszystko, czego mnie nauczyłaś.

Cygna uniosła głowę i po raz ostatni rozejrzała się po heliosferze. Omiotła wzrokiem nieprzytomne diaboliki, tłum nieprzejednanych wrogów i mnie, tę, którą przeznaczyła na śmierć, jaka za chwilę miała spotkać ją samą.

– Tyrusie, widzę, że naprawdę jesteś najprzebieglejszym z Domitrianów – powiedziała, wypowiadając ostatnie słowa zgodnie z przysługującym jej prawem. – W minionych tygodniach myślałam, że ze sobą współpracujemy i że możesz być władcą, który ze mną u swego boku stworzy jeszcze potężniejsze imperium. Tymczasem ty knułeś przeciwko mnie, chcąc mnie zabić. Biada wam wszystkim, bo odtąd będzie wami rządził przebiegły demon. Początek jego panowania to skalanie najświętszego miejsca ofiarami jego zdrady. Jest najgroźniejszym z moich potomków. Tyrusie, sam doprowadzisz się do zguby. – Zniżyła głos do szeptu, którego nikt oprócz mnie nie mógł usłyszeć: – Tak jak ja.

Zauważyłam, że jej ciało drży pod obszerną odświętną szatą; o mało nie wypadł jej z ręki środek uspokajający, podany jej na poduszce przez doktora nan Domitriana. Schowała go do kieszeni, wyprostowała się i pomaszerowała do swojej kryształowej trumny. Ułożyła się w niej i czekała, aż zasunie się nad nią przejrzysta pokrywa.

Patrzyliśmy, jak trumna Cygny odłącza się od heliosfery i mknie w ciemność, obierając kurs na najjaśniejszą gwiazdę w układzie słonecznym. Gdyby dotarła do niej i spłonęła, byłby to dobry omen dla rządów cesarza Tyrusa von Domitriana. Zresztą nawet jeśli wcześniej zniszczyłyby ją siły grawitacyjne układu, i tak rozpuszczono by kłamliwe pogłoski, że doleciała do celu.

Miałam mętlik w głowie, bo jeszcze przed chwilą byłam pewna, że czeka mnie rychła śmierć. Tymczasem teraz nie mogłam przestać myśleć o słowach Cygny, w które rozpaczliwie chciałam wierzyć. Chciałam wierzyć, że jedna z dwóch osób, które kiedykolwiek kochałam, nie zamordowała tej drugiej.

A co jeśli Cygna powiedziała to tylko po to, żeby dostać środek uspokajający? Co jeśli skłamała...?

Kiedyś Tyrus powiedział mi, że łatwo przełknąć miłe sercu kłamstwo. Jeżeli więc wyznanie Cygny było kłamstwem, rozpaczliwie pragnęłam dać mu wiarę.

Tyrus zszedł z podium. Jaśniał jak samo słońce. Włożył połyskliwy złoty płaszcz, a włosy, zgodnie z tradycją helionicką, miał ułożone w aureolę. Na jego twarzy, na której czasami malował się brak litości, zauważyłam łagodność i wyczekiwanie.

– Nemezis – zwrócił się do mnie. – Słyszałaś, co powiedziała moja babka?

Spojrzałam na niego nieufnie.

– Jak mogłabym nie słyszeć?

– Pozwól więc, żeby serce powiedziało ci prawdę. Wiem, że je masz. Ja też je mam. I cały czas cię kocham – dodał, a jego spojrzenie uświadomiło mi, że zapomniał o wszystkich zgromadzonych w Wielkiej Heliosferze. Widział tylko mnie, a ja nie mogłam oderwać od niego wzroku. – Chcę, żebyś była przy mnie. Chcę, żebyś rządziła ze mną galaktyką.

– Przysięgnij... – wykrztusiłam – przysięgnij, że nie maczałeś palców w zabójstwie Donii.

Przyłożył ręce do serca.

– Przysięgam na moje imperium.

Mimo to się wahałam. Oczyma wyobraźni ujrzałam twarz Sydonii, błagającej, żebym była ostrożna. Równocześnie jednak pragnęłam wstać i wziąć Tyrusa za rękę. Był jedynym, na czym jeszcze mi zależało, a mimo to nie mogłam skalać pamięci o Donii...

Ale Donia chciała przecież mojego szczęścia.

Gdy nagle to sobie uświadomiłam, głośno przełknęłam ślinę. Przypomniałam sobie, jaka była zachwycona, kiedy odkryłam w sobie uczucia, kiedy znalazłam miłość.

– Jeśli kiedykolwiek odkryję, że to nieprawda – ostrzegłam go cicho – będę bezlitosna.

Uśmiechnął się.

– Niczego więcej od ciebie nie oczekuję, kochanie. A teraz podaj mi rękę.

Jeśli ją zamordował, miałam całe życie, żeby go zdemaskować. Mogłam ją pomścić jutro. Mogłam ją pomścić za dziesięć lat, gdybym dowiedziała się prawdy po dekadzie, a wcześniej przeżyłabym piękne lata. Wiedziałam, że zawsze będę opłakiwała Sydonię, ale już raz uporałam się z tą stratą i byłam w stanie zrobić to ponownie.

Uniosłam oczy i spojrzałam na nowego cesarza – postać podobną do jaśniejącego słońca, pozwalającego kąpać mi się w złotym blasku swojej chwały. Oto przede mną stał Tyrus, młody mężczyzna, który ze mną spiskował, zwierzał mi się, wyjaśnił mi, czym są pioruny, całował mnie i tulił w ramionach...

Wzięłam go za rękę.

Uśmiechnął się promiennie i wciągnął mnie na podium, żebym stanęła obok niego. Górowaliśmy nad heliosferą, którą wypełniali grandesi, zbędni i sojusznicy Tyrusa wciąż jeszcze zajęci eliminowaniem jego przeciwników – a teraz jego więźniów. Trzymał mnie pewnie i mocno. Jego spojrzenie miało taką siłę, że mogłabym stanąć w płomieniach. Powiodłam wzrokiem po polu bitwy, na którym Cygna Domitrian nareszcie poniosła klęskę.

To właśnie tę masakrę planował w ciągu miesiąca, który poświęcił na konsolidację władzy przed objęciem tronu. Widocznie łatwiej było zdobyć sojuszników, występując w roli przyszłego cesarza niż pierwszego następcy o wątpliwej reputacji. Pertraktował z Luminarianami i sprowadził ich ukradkiem jako swoich nowych pracowników. Dowiedział się, kto sprzyja Cygnie, i unieszkodliwił wszystkich jej popleczników. I zgodził się mnie poświęcić, udając uległość wobec babki, choć od początku planował pozbyć się właśnie jej, nie mnie.

Nie powinno mnie już dziwić, że Tyrus wyprzedza wszystkich o dziesięć kroków. Ktoś zdolny do takiego czynu z pewnością nie musiał zabijać Sydonii Impirian, żeby ocalić mi życie.

Musiałam w to wierzyć, więc wierzyłam. Podjęłam decyzję: wybrałam prawdę, którą zaoferował mi Tyrus, i miałam rozpaczliwą nadzieję, że ta prawda już zawsze pozostanie tą jedyną.

Przyprowadzono kapłana, żeby zgodnie z tradycją namaścił Tyrusa olejkami. Gdy duchowny sięgnął po dłoń Tyrusa, zobaczył, że jest spleciona z moją. Tyrus cały czas trzymał mnie za rękę.

Kapłan wzdrygnął się.

– Przecież to diabolika – powiedział zdumiony. – Nie mogę pobłogosławić diaboliki.

Chciałam cofnąć rękę, ale Tyrus mocno ją trzymał.

– Wolałbym dalej korzystać z twoich usług w Chryzantemum. Nie widzę powodu, dla którego nasze dążenia miałyby być sprzeczne. Jeśli jednak jej nie namaścisz, nie namaścisz także mnie. Nemezis będzie moją cesarzową.

– To obraza Żywego Kosmosu. Żaden cesarz nie może zrezygnować z namaszczenia, a ja nie pobłogosławię diaboliki!

Tyrus się uśmiechnął.

– Rozejrzyj się, nastąpiła nowa epoka. I jeśli to konieczne, będziesz należał wyłącznie do poprzedniej.

Po tych słowach przyłożył sobie moje knykcie do policzka i odwrócił się od kapłana. Kilka osób głośno wciągnęło powietrze, ale nikt nie odważył się wystąpić przeciwko nowemu cesarzowi, Tyrusowi von Domitrianowi. Gdy oboje zeszedliśmy z podium, zostawiając kapłana z niewykorzystaną fiolką pobłogosławionego przez gwiazdy olejku, wokół zagrzmiały oklaski.

Grandecja i zbędnicy rozstąpili się, żeby zrobić nam przejście, a moje serce waliło tak, jakby miało wyskoczyć z piersi. Wiedziałam, jak ważne jest to, co robi Tyrus. Odcinał się nie tylko od helioników, ale także od tych, którzy uparcie obstawali przy dawnym porządku.

W drzwiach otrząsnęłam się, jakbym właśnie się obudziła.

– Tyrusie, jak to możliwe? – spytałam. – Jako nowy cesarz możesz podejmować ryzyko, ale poddani nie zgodzą się na twój ślub z diaboliką. Nawet zbędnicy uważają mnie za coś odrażającego!

– Nemezis, poniosę wszelkie ofiary na rzecz zmian, które pragnę zapoczątkować – odparł, patrząc mi w oczy. – Ale tej nie. Ciebie nie poświęcę. Nigdy.

Kiedyś Cygna powiedziała, że władza zmienia ludzi. Gdy patrzyłam na Tyrusa, ogarnął mnie dziwny niepokój. Nie wiedziałam, co nas czeka w najbliższych miesiącach i latach, mogłam tylko mieć nadzieję, że Tyrus pozostanie szlachetny i czysty – bo przecież miał zadatki na prawdziwego tyrana.

Przyciągnął mnie i pocałował na oczach wszystkich zgromadzonych w Wielkiej Heliosferze.

Rozkoszowałam się dotykiem jego ust, miękkich i ciepłych. Objęłam go. On miał na sobie odświętne szaty, a ja ubranie, w którym jeszcze niedawno zamierzałam umrzeć.

Niektórzy mogliby nas nazwać potworną parą – i mieliby rację. Na swój sposób obydwójce byliśmy skorpionami, niebezpiecznymi stworzeniami przekraczającymi razem rwący strumień. Razem mogliśmy kąsać, ale i płynąć.

Może tylko skorpion jest w stanie uratować skorpiona.

Cokolwiek nas czekało, już zawsze mieliśmy być we dwoje i górować nad resztą wszechświata.

Biada temu, kto odważy się stanąć nam na drodze.



## PODZIĘKOWANIA

Z jakiegoś powodu zawsze męczę się z podziękowaniami. Z każdą kolejną książką jest mi coraz trudniej, bo w miarę rozwoju mojej kariery grono osób zasługujących na wyróżnienie i wdzięczność rośnie, żyję więc w śmiertelnym strachu, że kogoś pomnę.

Dziękuję Meredith Duran, która jest nie tylko cudowną siostrą, ale również najlepszym beta-czytelnikiem, jakiego kiedykolwiek miałam. Dziękuję ci za trafne uwagi dotyczące charakterystyki postaci i instynktowne wyczucie wymogów porywającego romansu. Naprawdę wątpię, żeby bez ciebie *Diabolika* zdołała osiągnąć taki kształt.

Dziękuję ukochanym bliskim: mamie, tacie, Robowi, Mattowi, Betsey, Stelli, Madeleine, Grace i Sophii.

Holly Root, jesteś cudowna. Spełniłaś wszystkie nadzieje, jakie mogłabym pokładać w agentce, i pomagasz mi odnaleźć kierunek, ilekroć zaczynam się gubić. Dziękuję, że pozwoliłaś mi złapać drugi oddech. Nie mogę się doczekać wszystkiego, co przyniesie nasza współpraca!

Czuję się onieśmielona, myśląc o składaniu podziękowań ludziom z Simon & Schuster Children's. Poznałam tam tylu wspaniałych i pełnych entuzjazmu specjalistów, że ich lista mogłaby być nieskończenie długa, a i tak pominęłabym kogoś ważnego. Oto kilka nazwisk: Stephanie Voros, Deane Norton, Alexa Pastor, Anne Zafian, Dorothy Gribbin, Chava Wolin, Chrissy Noh, KeriLee Horan, Katy Hershberger, Audrey Gibbons, Lucille Rettino, Michelle Leo, Betsy Bloom, Anthony Parisi, Candace McManus, Christina Pecorale, Gary Urda, Victor Iannone. Na pewno o kimś zapomniałam. Powiem tylko, że gdy zobaczyłam siedzibę waszego wydawnictwa i zaczęłam z wami rozmawiać, byłam pełna podziwu dla was wszystkich i ucieszyłam się, że będziemy razem pracować nad tą książką.

Na wyróżnienie zasługuje autorka niesamowitej okładki, Lizzy Bromley.

Na koniec najważniejsza osoba: Justin Chanda. Justinie, każdy pisarz marzy o współpracy z takim redaktorem jak ty. Od pierwszego dnia twój entuzjazm, wnikliwość i doświadczenie były dla mnie bezcenne. Z niecierpliwością czekam na dalszy ciąg naszej współpracy.

Dziękuję też pozostałym ludziom ze świata wydawniczego: innym autorom piszącym dla młodzieży (jest ich tak wielu, że nie sposób ich tu wymienić), którzy podczas powstawania tej powieści cały czas wspierali mnie swoją spostrzegawczością, empatią i przyjaźnią. Dziękuję Molly O'Neill, z którą się zaprzyjaźniłam. Była przy mnie na początku mojej kariery i bardzo się cieszę, że nadal mamy ze sobą kontakt. Składam wyrazy wdzięczności Danie Spector, Barbarze Poelle (dzięki, że dałaś cynk Justinowi!) oraz wszystkim zagranicznym wydawcom, którzy sięgnęli po tę książkę.

Poza tym jak zwykle dziękuję Davidowi Duntonowi, Sarah Shumway, Laurel Symonds i innym

pracownikom wydawnictw, z którymi byłam związana na wcześniejszych etapach kariery. Na zawsze pozostanę pod waszym wpływem.

Dziękuję osobom z mojego prawdziwego świata: Judy i Persoffom, Winnie i Hattenom, Toddowi, Barb i Anticeviche'om.

Dziękuję przyjaciołom, których pewnie zapomnę tu wymienić w komplecie. Jako pierwsi przychodzą mi do głowy: Jackie, Leslie, Yae, Stephen, Abby, Tina, Heidi, Alice, Tim, Allison, Mark, Bryan, Amy.

Specjalne pozdrowienia dla Davida Bishopa. Może nie byłam stworzona do tych studiów, ale twoje wsparcie i rady naprawdę pomogły mi odnaleźć właściwy kierunek. Dziękuję i mam nadzieję, że dasz znać, co spotkało cię na twojej drodze!

Dziękuję Robertowi Gravesowi za powieść *Ja, Klaudiusz* i scenariusz inspirującego miniseriału BBC, który natchnął mnie do napisania tej książki!

Wyrazy wdzięczności należą się wreszcie wszystkim wspaniałym czytelnikom, blogerom, bibliotekarzom, nauczycielom i księgarzom, którzy sięgnęli po serię *Insignia. Wojny światów*. Dziękuję wam za entuzjizm, wsparcie i czas, jaki poświęciliście na przeczytanie moich książek. Dzięki wam wszystko jest możliwe!